

Olgierd Łukaszewicz
Umiera albo się rozbiera
▶24

Pola Nireńska
Taniec, Zagłada i miłość
▶40



WYSOKIE OBCASY

Elizabeth Strout
Każdy skrywa jakiś sekret

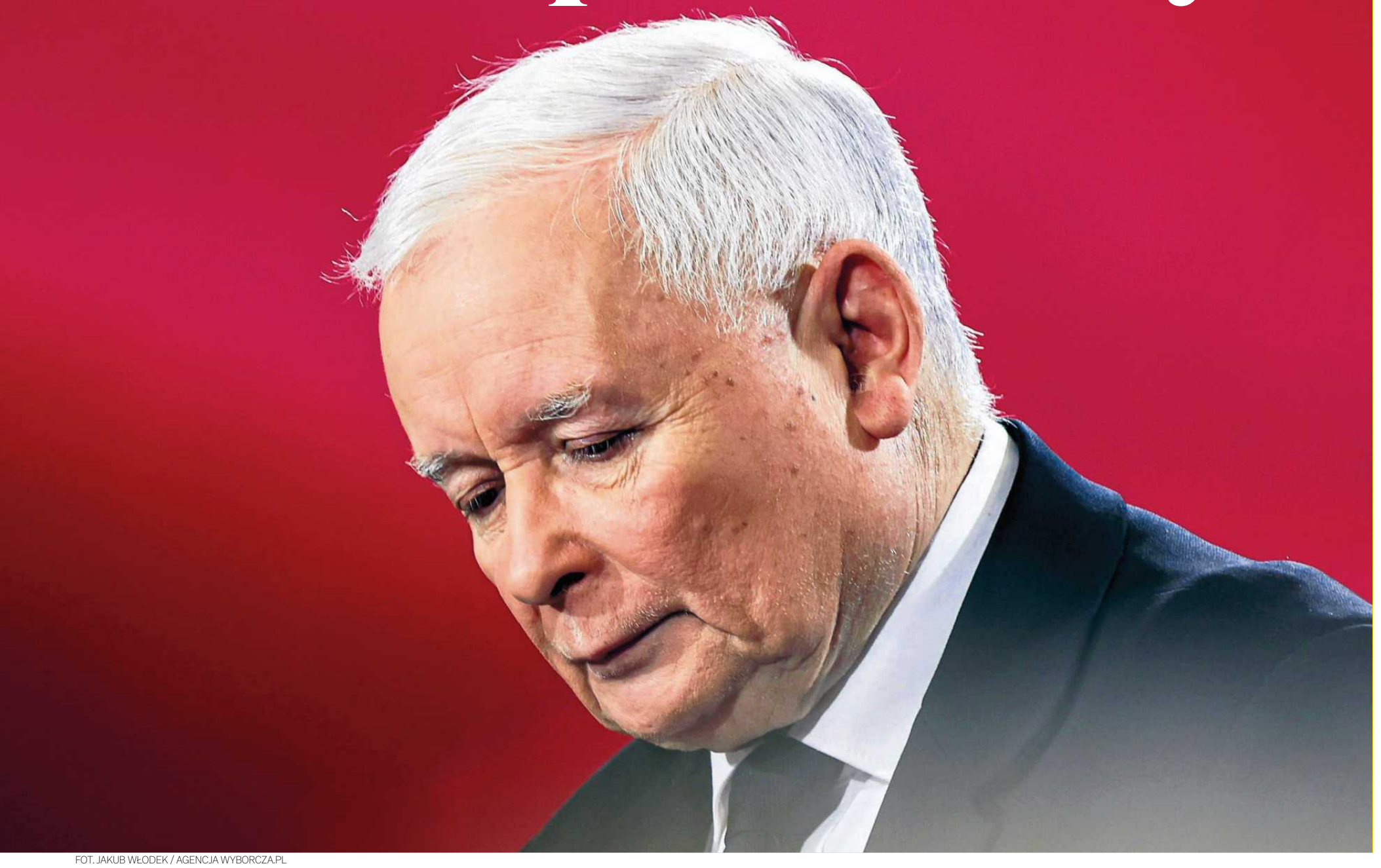


FOT. MICHAŁ BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL, NAC, GETTY IMAGES

MAGAZYN wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

JAROSŁAW KACZYŃSKI

Jesień patriarchy
▶4



FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 36

Niewolnice IV piętra
Winda, wanna i inne pułapki
▶10

Mumia Mao
Czy to ciało, czy wosk?
▶20

Pogoń za testosteronem
i teoria męskiego idioty
▶34

Dorota wypiękniała
5. odcinek „Gustawa”
▶31

Bułgarski road trip
Osmańska wrażliwość
▶28

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

1 RP
Sobota – czwartek, 5-10 września 2026 | Redaktorka prowadząca **Ewa Wieczorek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 207.11306, 1 Nakład 70 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl bbdb7a80f8

Andrzej Wielowieyski
16 grudnia 1927 - 29 sierpnia 2026

Wielowiey Rozsądny

W czystości jego intencji nie wątpili nawet przeciwnicy. Kilkukrotnie wpłynął bezpośrednio na losy państwa.


FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Andrzej Brzeziecki

Mogę mieć różne osobiste poglądy na temat hrabiów, zatroskanych o podmiotowość klasy robotniczej, w niczym jednak nie zmienia to faktu, że Wielowieyski nie jest Geremkiem czy Mazowieckim" – generał Wojciech Jaruzelski dzieląc się tą opinią z 1989 roku chciał podkreślić, że w przeciwieństwie do obu wspomnianych doradców Lecha Wałęsy, Wielowieyskiemu nie sposób było zarzucić uprawiania politycznej gry.

Dlatego też żywił dla niego respekt także intelektualny. Być może także zazdrość.

Jaruzelski był od Wielowieyskiego starszy tylko o cztery lata – na dobrą sprawę było to to samo pokolenie. Może gdyby trafił do armii Andersa, Syberia nie przypieczętowałaby jego losu. Stało się inaczej. Nastoletni Wielowieyski tymczasem kontynuował naukę na tajnych kompletach, a następnie włączył się w działalność AK. Dzieliły ich wówczas nie tylko cztery lata, ale też cztery i pół tysiąca kilometrów oraz linia frontu największej ze znanych wojen.

Nic nie zapowiadało, że czterdzieści kilka lat później, w lipcu 1989 roku, jeden pomoże zostać drugiemu prezydentem wybijającej się na wolność Polski.

Niech władza coś zaproponuje

Dwa lata wcześniej, wiosną 1987 roku, Andrzej Wielowieyski – za pośrednictwem Stanisława Cioska – przekazał Jaruzelskiemu kilkunastostronicowe opracowanie. Kreślił obraz państwa w kryzysie, stawiał trafne diagnozy społeczne, ale przedstawiał także drogę wyjścia z impasu. W tekście przewija się propozycja poszukiwania narodowego kompromisu, pod auspicjami generała i Kościoła. Autor dowodził, że jednym z atutów władzy jest „ciągle tląca się w ludziach nadzieja, że w końcu władza coś zaproponuje".

Memoriał musiał zapaść Jaruzelskiemu w pamięć. Oczywiście nie można twierdzić, że był fundamentem dla późniejszych rozmów Okrągłego Stołu, ale z pewnością był jednym z elementów, które uświadomiły władzy, że po stronie opozycji są ludzie, z którymi można rozmawiać.

Od początku wśród architektów Okrągłego Stołu był właśnie Wielowieyski. Z jego głosem liczyli się Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek oraz oddelegowani do spraw politycznych hierarchowie kościelni, którzy potem pobłogosławili kompromisowi. Na taką pozycję Wielowiey – jak go nazywano – pracował całe swoje dojrzałe życie.

Pożegnanie z ruchem narodowym

Był 27 marca 1945 roku, gdy Wielowieyski w tłumie studentów ściśniętych w Collegium Novum Uniwersytetu Jagiellońskiego słuchał pierwszego wykładu na studiach prawniczych. Niczego z niego nie zapamiętał.

Wojna jeszcze trwała, ale jej los był już przesądzony. Nie był jeszcze do końca – albo tak się wydawało – przesądzony los Polski. Jedni wierzyli w III wojnę światową, inni ufali, że Stanisław Mikołajczyk, przy życzliwości zachodnich aliantów, wywalczy Polsce jakąś formę demokracji. Dla 18-letniego Wielowieyskiego było jasne, że nowa Polska tak czy inaczej musi być bardziej sprawiedliwa.

Jeszcze w partyzantce, czytając konspiracyjne biuletyny i dyskutując ze starszymi oficerami wyrobił sobie własny światopogląd. Gdy usłyszał, że przyszła Polska będzie jednolita narodowo i religijnie, a przede wszystkim bez konfliktów społecznych – zapytał, jak to osiągnąć bez reformy rolnej. Odpowiedź była dlań niczym kubeł zimnej wody: reforma rolna będzie zbyteczna, bo polski chłop sięgnie po ziemię na Ukrainie, której jest pod dostatkiem. „Od tej chwili pożegnałem się ideowo z ruchem narodowym" – pisał po latach.

Wielowieyski lata wojny spędził wśród chłopów z radomszczyzny. Zdążył zapisać się do Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici", kilka miesięcy później wziąć udział w pogrzebie Wincentego Witosa, pomagać w kampanii referendalnej i wyborczej PSL Mikołajczyka, by wkrótce patrzyć, jak wszystkie marzenia o sprawiedliwej i demokratycznej Polsce diabli biorą.

Notes pełen telefonów

I choć całe życie zawodowe związał z Warszawą, to sprawy wsi zawsze były mu bliskie. W latach 50. pracował na różnych stanowiskach od ministerstwa skarbu, przez ministerstwo finansów po miejską komisję planowania gospodarczego. To dało mu solidny background, jeśli idzie o kwestie ekonomii, finansów społecznych. Rozumiał język peerelowskich planistów – może dlatego potem potrafił z nimi przekonująco rozmawiać.

Wszystko to było jednak wstępem do kariery w „Więzi" i Klubie Inteligencji Katolickiej. Oczywiście trudno mówić o karierze w sensie ścisłym. Środowisko otwartych katolików skupionych wokół „Tygodnika Powszechnego", miesięczników „Znak", „Więź" było maleńką i ubożuchną przystanią, dla tych którzy chcieli działać publicznie, ale niekoniecznie na warunkach dyktowanych przez władzę.

Ludzie „Znaku" dysponowali jednak sporym kapitałem społecznym i kulturowym, mieli też kontaktu na Zachodzie. Kontakt z europejską kulturą pozwalały poczuć się swobodniej i raźniej. To sprawiało, że do Klubu ciągnęło ludzi nawet dalekich od Kościoła. Od roku 1965 przez kilkanaście lat Wielowieyski był wiceprezesem i sekretarzem generalnym KIK.

Z jednej strony KIK i bliska współpraca z episkopatem, z drugiej udział – jak pod koniec lat 70. – w konserwatorium „Doświadczenie i Przyszłość", w którym brali udział także intelektualiści partyjni, sprawiło, że Wielowieyski miał w swym kalendarzyku numery telefonów wielu ważnych ludzi. Co więcej – ci ludzie byli gotowi od niego telefon odebrać.

„Więź"i kamasutra

Gruntowne wykształcenie, znajomość języków, szerokość horyzontów, a do tego pasja podróżowania... Taka była polska inteligencja w XX wieku w najlepszym wydaniu. I publiczne zaangażowanie. A Wielowieyski z żoną Zofią (z domu Tyszkiewicz), taterniczką i miłośniczką żagli, zaangażowaną w działalność KIK, zdołali jeszcze wychować siedmioro dzieci. Razem zresztą chętnie uczestniczyli w wychowawczo-edukacyjnej działalności KIK.

Poznali się w Tatrach w roku 1950. Zofia po latach opowiadała Elżbiecie Turlej z „Newsweeka": „Początkowo mnie wkurzał, bo cały czas się do mnie przychrzaniał. Potem jednak zauważyłam, że ma parę zalet".

Uzupełniali się. W tej samej rozmowie on przyznawał: „Zatrzymał mnie kiedyś milicjant – a jechałem naszą pierwszą syrenką – i zwrócił uwagę, że nie mam świateł. Powiedziałem zgodnie z prawdą, że wymianą świateł zajmuje się moja żona. Pokiwał głową ze zrozumieniem i puścił wolno".

Mówił w sejmie: „Nie można ludzi prawnie zmuszać, aby wierzyli i kochali Boga"

Wielowieyskiego -publicystę nurtowały problemy rodziny i rozumiał je lepiej niż katoliccy dogmatycy. Pewnie, że jako katolik uznawał w tej materii nauczanie Kościoła, ale nie zamykał oczu na przemiany społeczne i obyczajowe.

To on wpadł na pomysł, by w wakacyjnym numerze „Więzi" dać cały blok tekstów o seksie. Był rok 1962, nawet Zachód dopiero wchodził w rewolucję seksualną – a tu pismo, wydawane pod parasolem Kościoła, zamieściło cytaty z Kamasutry, deliberowało nad niską świadomością Polaków, brakiem dostępu do antykoncepcji, problemem oziębłości, a nawet bez wrogości wspominało o homoseksualizmie – uznając, że seks po pierwsze nie musi służyć jedynie prokreacji i może mieć różne oblicza.

Pasjonował się wyzwaniami, jakie niosła rewolucja informatyczna i biotechnologiczna – na długo zanim większość Polaków poznała znaczenie tych słów. Książka „Przed trzecim przyspieszeniem" wydana w połowie lat 70. XX wieku zadziwia aktualnością wielu prognoz dotyczących nowoczesnego społeczeństwa.

Przed laty opowiadał mi o atmosferze panującej w redakcji. Żywe i wesołe dyskusje nazywano „uczelnią wywijania kota ogonem". Wierszyki, dowcipy, śmiechy. Redaktor naczelny „Więzi" Tadeusz Mazowiecki przysłuchiwał się temu wszystkiemu, ale nie przyłączał się do zgrywy.

U boku Mazowieckiego

Bo oczywiście w „Więzi" najważniejszy był Mazowiecki. „On zawsze kierował »Więzią« tak, jakby był ministrem kultury. To, że jesteśmy małym pismem, było nieważne" – mówił mi Wielowieyski.

I gdy Mazowiecki w sierpniu 1980 r. znalazł się wraz z Bronisławem Geremkiem w Stoczni i zaczął tworzyć zespół ekspertów – ściągnął Wielowieyskiego licząc na jego ekonomiczne i socjologiczne ekspertyzy. Bliski Mazowieckiemu miał wówczas podobny stosunek do KOR-owców, czyli mówiąc delikatnie ambiwalentny. Dlatego, gdy podczas negocjacji stanęła sprawa uwolnienia działaczy KOR eksperci nie upierali się przy tym. Na władzy wymusili to robotnicy.

Adam Michnik wspominał, że gdy wyszedł na wolność, brał udział w spotkaniu z Geremkiem, Jadwigą Staniszkis i Wielowieyskim, którzy opowiadali o strajku. „Mówili z taką wyższościową ironią wobec korowców – opowia-

Kod dostępu do Wyborcza.pl



eprasa.pl bbdb7a80f8

dał Michnik w rozmowie z Jackiem Żakowskim i ks. Józefem Tischnerem – że nie wytrzymałem i w trakcie przemowy Wielowieyskiego wyszedłem, trzaskając drzwiami. Myślę, że mówili bez złej woli. Dla nich naprawdę w tym czasie KOR nie był niczym ważnym".

Wkrótce Wielowieyski został powołany na kierownika ekspertów „Solidarności" w Ośrodku Prac Społeczno-Zawodowych. Niewiele ci eksperci zdołali co prawda uradzić, bo dynamika wydarzeń w 1981 r. im na to nie pozwoliła. Jaruzelski wprowadził stan wojenny. Wielowieyski schronił się w biurze Episkopatu, gdzie przeczekał kilka dni.

Później władze dały mu do zrozumienia, że pozostanie na wolności, jeśli nie będzie się krył i uciekał. Obiecał, że nie będzie. „I przez to mam krechę i lukę w życiorysie, bo nie przeżyłem z kolegami interny" – pisał.

Brudna polityka

Wolność katolickiego działacza w komunistycznym państwie i to w warunkach stanu wojennego nie była pozbawiona trosk. Budżet domowy ratowała współpraca z „Gościem Niedzielnym" i „Królowa Apostołów". Reżim Jaruzelskiego był nawet tak praworządny, że przez jakiś czas wypłacał Wielowieyskiemu pensję za Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych.

Gdy Jaruzelski klecił Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa (czyli przy sobie) wysłał do Wielowieyskiego zaproszenie. Ten nie dał się skusić – uznał, że takie ciało będzie wydmuszką. Zachował sobie jednak możliwość dotarcia do otoczenia Jaruzelskiego. Skorzystał z niej, jak wiemy, w 1987 roku, pisząc doń wspomniany memoriał.

I wkrótce, bo w 1988 roku, Wałęsa i jego ludzie wracali do gry. Początki nie były jednak zachęcające. Gdy w kwietniu stanęła Stocznia w Gdańsku, Mazowiecki z Wielowieyskim wyruszyli na Wybrzeże mając w kieszeniach rekomendacje kościelnych hierarchów. Władze nie chciały jednak rozmawiać. W Nowej Hucie strajk stłumiło ZOMO, w Gdańsku sytuacja była patowa.

Strajk poniósł porażkę, ale wymarsz robotników ze stoczni przy akompaniamencie kościelnych dzwonów był początkiem drogi do Okrągłego Stołu.

Gdy w sierpniu 1988 r. wybuchły kolejne strajki, ówczesny prezes warszawskiego KIK Andrzej Stelmachowski uruchomił swoje kontakty z ludźmi partii i zaczął tkać cienką nić dialogu. Towarzyszył mu w Wielowieyski. „Nie mieliśmy jeszcze świadomości, że dokonuje się właśnie historyczny zwrot w naszych dziejach, ale czuliśmy, że po siedmiu latach impasu powstaje nowa sytuacja" – wspominał.

Przełom lat 1988-1989 to czas negocjacji poprzedzających Okrągły Stół. Wielowieyski, wówczas ważny działacz Komitetu Obywatelskiego, brał udział w tych rozmowach, pojechał też z Wałęsą do Paryża w grudniu 1988 roku. To była ważna podróż, bo przywódcę „Solidarności" witano tam ze wszelkimi honorami. Jaruzelski, którego izolowano na światowych salonach, mógł tylko zazdrościć.

W wyborach czerwcowych został senatorem z Katowic, a potem wicemarszałkiem Senatu. 19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe zebrało się dla obioru prezydenta. Sytuacja była cokolwiek schizofreniczna – liderzy opozycji rozumieli konieczność wyboru Jaruzelskiego, ale nie mogli się przemóc, by nań zagłosować. Nawet Geremek, Michnik i Kuroń okazali się estetami.

Wybór Jaruzelskiego stanął pod znakiem zapytania, groził kryzys polityczny. Wielowieyski zdołał przekonać kilku posłów i senatorów, by na czas głosowania albo oddali głosy nieważne (jak on sam) albo opuścili salę. To obniżyło próg potrzebny do wyboru prezydenta.

„Byłem przekonany, że Jaruzelskiego trzeba wybrać i później, z jego wsparciem robić szybciej reformy – wspominał w swej książce – Zwłoka bije w nas wszystkich, a innego kandydata na prezydent nie mamy".

Politycy lubią mówić, że czasem, by zrobić porządek, trzeba się ubrudzić. To często wymówka, ale akurat w przypadku głosowania 19 lipca, Wielowieyski poświęcił swoje dobre samopoczucie dla ważniejszego celu.

Jaruzelski przeszedł jednym głosem. Było to dlań upokorzenie i sygnał, że jest prezydentem z łaski „Solidarności". Po tym głosowaniu Stanisław Ciosek wypalił do Geremka, że opozycja ma pakt z diabłem. Bo jak inaczej dałoby się z taką zegarmistrzowską precyzją przeprowadzić głosowanie?

Wałęsa: „Stłucz pan termometr"

A potem było jeszcze dziwaczniej. We wrześniu 1989 r. powstał rząd Tadeusza Mazowieckiego. Lech Wałęsa poczuł się izolowany i wszczął, za namową swego otoczenia, „wojnę na górze" atakując rzekomą powolność rządu i zgłaszając prezydenckie aspiracje.

Deklarował walkę z komunizmem, w rzeczywistości zwalczał solidarnościowego premiera.

Wielowieyski próbował przekonać przywódcę „Solidarności" do zaniechania walki z sojusznikami i przyjaciółmi -pokazał wyniki badań społecznych, z których wynikało, że Polacy nie chcą kłótni i będą one szkodliwe polityczne dla obu stron.

Wałęsę jednak te wyliczenia tylko zirytowały. Jak wspominał Wielowieyski, „zdobył się na piękny popis politycznej poezji, ripostę, dla której byłem pełen podziwu: Stłucz pan termometr, nie będziesz miał pan gorączki".

Nie posłuchał Wałęsy i nie stłukł termometru – przeciwnie rozum przeciwstawiał ideologii i doktrynie. Tak było podczas słynnej debaty na temat aborcji. Prawica wsparta przez Kościół dążyła do jej aborcji.

W kwietniu 1992 r. mówił w sejmie, sprzeciwiając się własnemu środowisku wsłuchanemu w głos papieża i episkopatu: „Nie można ludzi prawnie zmuszać, aby wierzyli i kochali Boga. Nie można też matek zmuszać sankcją karną do miłości swych dzieci. Karanie lekarzy jest pośrednio karaniem matek. To nie jest sfera działania prawa karnego, jakkolwiek są jeszcze kraje, gdzie karze się z powodów religijnych lub ideowych.".

Dwie dziesiątki wnuków

Unia Wolności zeszła z politycznej sceny. Przesądził o tym wewnętrzny konflikt i podział, z którego wyrosła Platforma Obywatelska.

Szły nowe wiatry, a weterani politycznych walk byli już zmęczeni. Wielowieyski gorzko konstatował: „my, unici, z reguły dawni »solidarnościowcy«, umieliśmy rozegrać sprawę z Jaruzelskim i Millerem, a nie potrafiliśmy rozegrać sprawy z dawnymi kolegami: Tuskiem z PO i Kaczyńskimi z PiS".

Jeśli wierzyć temu, co pisał w 2015 roku, nie było w nim do Tuska żalu, jaki długo żywili Mazowiecki czy Geremek. Uważał nawet, że winą Unii Wolności była niezdolność do zatrzymania w swych szeregach – tego, jak oceniał ambitnego, odważnego i bystrego gracza. „Poniosły nas emocje i zgubiliśmy zdrowy rozsądek".

Sam Wielowieyski jako jeden z nielicznych unitów zdołał się przecisnąć w 2001 r. do senatu, przegrał dopiero w kolejnych wyborach. Jako czynny polityk godnie zakończył karierę wypełniając przez rok osierocony w 2008 roku przez Bronisława Geremka mandat europosła.

A potem przyszedł czas na pisanie wspomnień, radość z idących w ponad dwie dziesiątki wnuków i z jeszcze większej liczby prawnucząt, uczestniczenie w coraz bardziej szacownych gremiach i odbieranie honorów – z Orderem Orła Białego w 2011 roku na czele.

Cztery lata temu pożegnał „Zulę". Przeżył niemal 99 lat. ●

• Korzystałem m.in. z: Andrzej Garlicki, „Rycerze Okrągłego Stołu", (Czytelnik, 2004r.), „Rok 1989. Geremek opowiada, Żakowski pyta" (Agora i Polityka, 1990r.), Andrzej Wielowieyski, „Losowi na przekór" (Agora, 2015r.).

REKLAMA
Kraj/34451017



eprasa.pl bbdb7a80f8

TEMAT WAŻNY

Chciał dobrze

Na koniec politycznego życia Kaczyński uwolnił te siły, które od 40 lat próbuje powstrzymać.

Dominika Wielowieyska



▲ Sejm, 22.07. 2006. W ławach rządowych liderzy ówczesnej koalicji Jarosław Kaczyński i Ludwik Dorn (PiS), Andrzej Lepper (Samoobrona RP) i Roman Giertych (LPR). Ten egzotyczny i konfliktowy sojusz rozpadł się w 2007 r., co doprowadziło do przedterminowych wyborów parlamentarnych



▼ Sejm, 4.06.1992. „Noc teczek". Szef MSW Antoni Macierewicz ujawnia listę osób figurujących w aktach SB, co kończy się odwołaniem rządu Jana Olszewskiego. Na zdj. posłowie Jarosław Kaczyński, lider Porozumienia Centrum i Donald Tusk, przewodniczący Kongresu Liberalno-Demokratycznego



eprasa.pl bbdb7a80f8

FOT. WOJCIECH SURDZIEL, TOMASZ WIERZEJSKI, PIOTR WÓJCIK, RAFAŁ MIELNIK, RAFAŁ MICHAŁOWSKI, SŁAWOMIR KAMIŃSKI, BARTOSZ BAŃKA / AGENCJA WYBORCZA.PL



• Warszawa, rok 1990. Jarosław Kaczyński na ławce przed Sejmem



• Opole, 17.07.2003. Prezes PiS spotyka się z mieszkańcami Opolszczyzny w hotelu Mercure. PiS budowało wtedy swoje struktury regionalne w kraju i przygotowywało się do kolejnej kampanii wyborczej



• Łazek Garncarski (Lubelszczyzna), 09.10.2007. Premier Kaczyński w gospodarstwie agroturystycznym pozuje z kaczką o imieniu „Jarosław". Kampania przed wyborami do Sejmu w październiku 2007 r.



▲ Pałac Prezydencki, 10.07. 2006. Prezydent RP Lech Kaczyński desygnuje swojego brata Jarosława, na stanowisko premiera po dymisji rządu Kazimierza Marcinkiewicza. Cztery dni później powstanie rząd koalicji PiS, LPR, Samoobrona



▶ Kąty Rybackie, 16.10.2018. Minister gospodarki morskiej Marek Gróbarczyk, prezes PiS oraz poseł PiS z Elbląga Jerzy Wilk, wkopują ostatni słupek geodezyjny, który wyznacza przebieg przekopu przez Mierzeję Wiślaną

eprasa.pl bbdb7a80f8

Jarosław Kaczyński będzie najważniejszym punktem odniesienia w historii Polski po 1989 roku" – te słowa z prywatnej rozmowy z pewnym znanym publicystą zapadły mi w pamięć.

To nie jest propagandysta, sympatyk PiS, wyborca Kaczyńskiego, tylko krytyczny wobec większości polityków prawicy konserwatysta. Lecz sam Kaczyński dla ludzi jego pokroju i formacji ideowej jest guru, niemal bóstwem. Skąd ta fascynacja? Czy tylko z zauroczenia siłą, skutecznością i wielką władzą?

To, co spróbuję teraz opisać, jest perspektywą dużej części intelektualnego, konserwatywnego zaplecza polskiej „tradycyjnej" prawicy głównego nurtu, tej sprzed czasów Konfederacji i Korony Brauna. Trudno się z nią zgodzić, bo wygląda na usprawiedliwianie wielu łajdactw, złodziejstwa i praktyk autorytarnych. Niemniej ten sposób myślenia warto pokazać. Właśnie teraz, gdy być może rzeczywiście nadchodzi zmierzch polityka, który od blisko trzech dekad w taki lub inny sposób, wprost lub zakulisowo, urządzał państwo i wyobraźnię polityczną Polaków.

●

Dziś PiS przeżywa największy kryzys od 20 lat. To właśnie w 2007 r. PiS oddał – krótko sprawowaną – władzę na własne życzenie, bo przegrał w przedterminowych wyborach w zaordynowanych jako ucieczka do przodu przez ówczesnego premiera Jarosława Kaczyńskiego.

Nie odejście Mateusza Morawieckiego jest tu jednak najważniejsze.

Największą porażką Kaczyńskiego jest wzrost notowań Grzegorza Brauna oraz Konfederacji Krzysztofa Bosaka i Sławomira Mentzena. Bowiem „Naczelnik" – jak go nazywają w partii – poczytuje sobie za najważniejszy sukces to, że do tej pory w III RP polska prawica bardzo różniła się od skrajnej, populistycznej, antysystemowej prawicy w Europie.

Ta fundamentalna różnica sprowadzała się do tego, że Kaczyński stworzył obóz jednoznacznie antyrosyjski, podczas gdy inne partie konserwatywno-narodowo-populistyczne, podobne do PiS w wielu wymiarach, flirtowały z Putinem, fascynowały się Rosją, zachwycały się fundamentalistycznym kursem Kremla w sprawach obyczajowych i kreowaniem przeżeń Unii Europejskiej jako lewicowej zgnilizny moralnej. Zjednoczenie Narodów rodziny Le Penów, austriaccy Wolnościowcy, włoska Liga, Flamandowie z Vlaams Belang, Grecy ze Złotego Świtu – wszystkie te stare formacje europejskie, ich prominentni członkowie lub zaplecza brały pieniądze z Rosji. Podobnie jak młodsza, ale już osadzona na scenie AfD czy radykalne think-tanki albo fundacje katolickich fundamentalistów.

I wszystkie te partie oraz grupy nacisku w 2022 r. chciały zablokować pomoc Ukrainie. Ale nie w Polsce, bo prawicowy rząd dusz miał Kaczyński, który nawet konfederatów zmuszał do deklaracji, iż pomoc sąsiadowi jest potrzebna i który pod skrzydłami w mocnym uścisku trzymałtakie organizacje jak Ordo Iuris. A to idealny kandydat na prorosyjską przybudówkę w Polsce. O relacjach organizacji katolickich fundamentalistów z ludźmi Putina pisaliśmy w „Wyborczej" wielokrotnie.

Prezes – mówią byli współpracownicy – był zawsze chadekiem, w latach 90. chciał budować centroprawicę.

Jego koncepcje, uważane przez część opinii publicznej za oszołomskie, okazywały się trafione: chodzi o korupcję, która kwitła w latach 90. Prawica popełniała tu błędy: do worka skorumpowanych polityków wrzucała, kogo się da, nie bacząc na dowody. W 50 procentach miała rację, w 50 były to zwykłe pomówienia, co sprawiało, że wyborcy nie bardzo mogli się połapać, która część informacji jest prawdziwa.

Kaczyński był też liberałem gospodarczym, dlatego uległ wizji surowej ekonomistki Zyty Gilowskiej, którą zrobił po podwójnej – parlamentarnej i prezydenckiej – wygranej w 2005 roku ministrem finansów.

Był zapamiętany jako krytyk ekspresowych wolnorynkowych reform Leszka Balcerowicza po upadku PRL w 1989 roku, ale jednocześnie twierdził, że nie można Balcerowiczowi odebrać zasług w procesie złamania inflacji, będącej spuścizną po niewydolnych komunistycznych rządach.

Twórca Porozumienia Centrum – w latach 90. jednej z głównych partii centroprawicy – już wtedy posługiwał się populizmem, nazywając prywatyzację „złodziejską". Tymczasem prywatyzacja przyczyniła się do budowy gospodarki rynkowej, przejęcia know-how od Zachodu. Ale na późniejszym etapie polityka sprzedaży kolejnych przedsiębiorstw zachodnim korporacjom budziła słuszne wątpliwości – i retorykę „kapitał ma narodowość" przejęła liberalna PO, choćby odzyskując kontrolę nad PZU. Tym samym zrezygnowała z hasła, że rynek wszystko załatwi – i było to ideologiczne zwycięstwo braci Kaczyńskich.

Gdyż to Kaczyńscy i przyjaciel Jarosława, współtwórca PC i PiS, intelektualista Ludwik Dorn promowali system, w którym partie nie będą mogły brać pieniędzy od biznesu, utrzymywać je będzie państwo. Liberałowie z Unii Wolności i jej duchowej, a po części i personalnej, spadkobierczyni, PO, początkowo się temu opierali, twierdzili, że w USA, wzorcu demokracji, dotacji państwowych nie ma, ale po jakimś czasie przyznali Kaczyńskim rację.

I budowanie zrębów nowej formacji na bazie popularności Lecha Kaczyńskiego, ministra sprawiedliwości kreującego się na szeryfa w przeżartym kolesiostwem, dysfunkcyjnym państwie. Jarosław wybrał bratu i partii takie emploi, bo zrozumiał, że społeczeństwo jest zmęczone korupcją, którą przede wszystkim postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej, ale także centroprawicowa Akcja Wyborcza Solidarność pozostawiły w spadku po swoich rządach.

Dlaczego przez wiele lat spora grupa polityków, publicystów, autorytetów publicznych umiarkowanych, przywiązanych do wartości demokratycznych, wspierała Kaczyńskiego wbrew swoim poglądom. Choć nawet Lech Kaczyński miał wątpliwości co do niektórych posunięć brata.

Po raz pierwszy przed poważnym dylematem ci ludzie stanęli wtedy, gdy PiS w 2005 r. postanowił stworzyć koalicję z antysystemową Samoobroną Andrzeja Leppera i nacjonalistyczną, religijną, antyunijną Ligą Polskich Rodzin.

Co nie zmienia faktu, że braciom obca była zapatrzona na wschód opcja endecka. Uważali od zawsze Rosję za największe zagrożenie, nie wierzyli w jej demokratyzację. Robili wszystko, aby duch endecki nie zdominował prawej strony właśnie ze względu na jej prorosyjski profil. Wiele lat temu słyszałam od polityków PiS-u i słyszę teraz: „Wieszacie psy na braciach, a tymczasem wy, liberałowie, powinniście Bogu dziękować, że to oni zagospodarowali ten elektorat, którego preferencje mogły być zagrożeniem dla państwowości i egzystencji Polski, to oni trzymają w ryzach wyborców o wschodniej mentalności, skłonnych do pełnienia roli wasala wobec Rosji w zamian za zatrzymanie marszu Polski ku Zachodowi jego zgubnym nowinkom. Nie sprawicie za pomocą różdżki czarodziejskiej, że ta część Polski zniknie".

Czy takie zagrożenie istniało? Owszem, kurs na Unię i NATO mógł zostać zahamowany. Ten antyzachodni trend po stronie lewej, czasami wracający także dziś czkawką w środowisku postkomunistów – patrz Leszek Miller, „żelazny kanclerz" z czasów rządów SLD – powstrzymał prezydent Aleksander Kwaśniewski. Po prawej stronie tę rolę antyzachodniego, prorosyjskiego lobby mogła z czasem odgrywać Samoobrona, a próbowali ojciec Rydzyk i LPR. To posłowie od Rydzyka na czele z popularnym wówczas Janem Łopuszańskim głosowali przeciwko wejściu Polski do NATO.

Dziś wiele rzeczy wydaje się oczywiste, ale w latach 90. nie było. Nie ulega wątpliwości, że kurs zachodni zawdzięczamy Janowi Pawłowi II i uległości postkomunistów wobec Kościoła, którego hierarchia – przy wszystkich słabościach jednak uformowana w innych czasach i wartościach niż pokolenie reakcyjnych biskupów ostatnich dwóch dekad – nie odwodziła Polaków od głosowania za wejściem do UE.

Ale po 2004 roku? Kaczyński rok później, w pierwszym roku Polski w wymarzonej Wspólnocie, tłumaczył swoim ludziom: robimy koalicję z Lepperem i Giertychem, bo tę antyzachodnią grupę musimy mieć pod kontrolą.

Wkrótce PiS przejął elektorat Samoobrony i LPR.

●

W 2008 r., gdy rosyjskie wojska zbliżały się do Tbilisi, by powstrzymać europejskie aspiracje Gruzinów, prezydent Lech Kaczyński mówił w ich stolicy: „I my też wiemy świetnie, że dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę!". W kontekście tej wypowiedzi nawet kłamstwo o zamachu smoleńskim przydało się, by budować silny antyrosyjski front w tej części elektoratu o wschodniej mentalności, która miała skłonność do spiskowych teorii.

W ten kanał Kaczyńskiemu udało się – także z pomocą strumienia pieniędzy do jego biznesów – wciągnąć Rydzyka, który kłamstwo smoleńskie zaczął propagować w swoich mediach. PiS przez lata korumpował redemptorystę, choć kilkanaście lat wcześniej jego lider mówił, że Radio Maryja jest eksponentem rosyjskich interesów. W „Gazecie Polskiej" w 1998 r. Kaczyński powiedział: „Nie mam wątpliwości co do tego, że po naszej stronie działają aktywnie rosyjskie służby specjalne. Radio Maryja jest dziś głęboko antyzachodnie, niechętnie nastawione do hierarchii kościelnej, prorosyjskie, wcale nie nieżyczliwe PRL. Ma nadajnik na Uralu. W Rosji panuje wprawdzie bałagan, ale niektórych rzeczy tam jednak pilnują dość dobrze". To ilustruje przekonania braci, że trzeba budować układ, w którym po prawej stronie PiS jest tylko ściana.

Wątpiący w tę opowieść zwolenników Kaczyńskiego powiedzą: a przepraszam, kto w 2010 roku chciał jechać świętować 9 maja Dzień Zwycięstwa nad Trzecią Rzeszą na Placu Czerwonym z Putinem i jeszcze zaprosił generała Jaruzelskiego, „sowieckiego namiestnika PRL", na pokład samolotu prezydenckiego? Lech Kaczyński.

A kto mówił, doprowadzając do szału antykomunistyczne zaplecze, że Edward Gierek – odchodzący od socjalistycznej ortodoksji, modernizujący (i zadłużający) z pomocą zachodnich licencji PRL pierwszy sekretarz partii komunistycznej – był patriotą? Jarosław Kaczyński.

To była ta sama gra o elektorat postkomunistyczny, mocno antyliberalny. Elektorat skrajnej prawicy i elektorat postkomunistyczny przenikają się wzajemnie, a egzemplifikacją tego zjawiska była debata Sławomira Mentzena i Leszka Millera, którzy prawili sobie dusery.

Kaczyński cel osiągnął. Owszem, kolegował się z prorosyjskimi populistami: z Viktorem Orbanem, z Marine Le Pen i innymi, ale nigdy nie przejął ich postawy. Ta gra pozwalała mu trzymać w ryzach naszych nacjonalistycznych populistów i blokowała wzrost notowań antyzachodnich partii, których duchowymi spadkobiercami są obie Konfederacje.

Dlatego, jeśli będzie taka konieczność, a nawet tylko możliwość, Kaczyński oczywiście zrobi koalicję z Konfederacją Korony Polskiej Brauna, ponieważ zawsze uważał, że skrajności trzeba wciągnąć do rządzenia. Wtedy ich poparcie się zdewaluuje, jak to było z LPR i Samoobroną.

Tą logiką Kaczyński kierował się, godząc na to, by Mateusz Morawiecki co innego mówił w Brukseli, a co innego pokrzykiwał w antyunijnych wystąpieniach w Warszawie. I tą logiką przekonał dużą część ludzi umiarkowanej, klasycznej prawicy – chadeków, konserwatystów, część ludowców – do trzymania się linii, a także list wyborczych Nowogrodzkiej. Uwierzyli mu, choć niektórzy uznawali w pewnym momencie, że „Naczelnik" jednak przekracza granice. Jak Kazimierz Michał Ujazdowski, który odszedł z PiS w 2017 r., gdy rząd zaczął w rażący sposób łamać konstytucję.

Ujazdowski to postać emblematyczna – poważny centroprawicowy polityk z bogatym parlamentarnym dorobkiem, poważany przez grono nie tylko konserwatywnych publicystów. Przewidział, co będzie się działo. Z biegiem czasu Kaczyński, tłumacząc innym i sobie, że cel uświęca środki, stał się takim ty-

„Naczelnik" poczytuje sobie za najważniejszy sukces to, że polska prawica bardzo różniła się od skrajnej, populistycznej, antysystemowej prawicy w Europie

eprasa.pl bbdb7a80f8

pem polityka – autorytarnego paternalisty coraz bliższego wschodniemu autokracie – przed którym Polskę chciał uchronić. Bo zbyt wielka władza demoralizuje.

Rubikonem, po którym odwrócili się odeń ostatni prawicowcy starej daty, uznając, że PiS z partii – rozumianej specyficznie, ale jednak – racji stanu stał się burzycielskim *alt-rightem*, była próba zniszczenia niezawisłego sądownictwa rękami Zbigniewa Ziobry. Który, choć w młodości uwiódł „prezesa" energią, ostrością reformatorskich sądów i przedwojennymi inteligenckimi korzeniami, nigdy propaństwowych sentymentów nie okazywał. Bliżej mu było do zdeterminowanych, interesownych arywistów, jakich skupia dziś choćby ekipa Mentzena.

●

Dopuszczenie do niewiarygodnego złodziejstwa w drugiej kadencji PiS oraz problemy związane z pandemią, z którymi rząd Morawieckiego nie potrafił sobie radzić, sprawiły, że wyborcy zaczęli odpływać do obu Konfederacji. Do prezesa dotarło, że doprowadził do tego, przed czym Polskę chciał uchronić. Wystawił więc na pierwszej linii Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera, który znów miał odegrać tę samą rolę: zagospodarować skrajny elektorat – nacjonalistów, mentalnych rusofili, zwolenników silnej ręki.

Jowialno-brutalny ludowy trybun z profesorskim tytułem okazał się jednak niezdolny do wykonania zadania, natomiast tak wczuł się w rolę, że zaczął żądać wstrzymania unijnej pomocy dla Ukrainy. Wtedy Kaczyński nie wytrzymał i zrugał Czarnka publicznie: „Pomoc militarna, realizowana także przez UE na rzecz Ukrainy, to kluczowa sprawa z punktu widzenia polskiej racji stanu i naszego bezpieczeństwa".

Obszerniej to, co wciąż mu przyświeca, wyraził Jan Rokita, niedoszły „premier z Krakowa", konserwatysta w zachodnioeuropejskim stylu, który po utracie pozycji w PO i wycofaniu się z czynnej polityki jako komentator przeszedł na pozycje PiS. Człowiek o pokolenie młodszy, ale ze świata braci Kaczyńskich, podobny do Jarosława pod względem formacji kulturowej i poglądów.

Rokita na Czarnku nie zostawił suchej nitki, wskazując, że polska prawica nie może opierać się na nienawiści do Zachodu, bo dla sojuszu z Zachodem, ze wspólnotą euroatlantycką nie ma alternatywy, byliśmy i jesteśmy częścią tej cywilizacji, a po drugiej stronie jest tylko „oś zła": Rosja, Chiny, Korea Północna i inne państwa autorytarne.

To wciąż jest myślenie Kaczyńskiego – ale taktyka, jaką je realizuje, obraca się przeciwko wszystkiemu, co mu bliskie, w co wierzył i czego zawsze chciał bronić.

Młode alt-prawicowe partie oparte na pomyśle „zbierzmy wszystkich freaków, radykałów, ortodoksów, pieniaczy zawodowych i z usposobienia i spróbujmy dociągnąć do wyborów" krzepną, zamiast rozlecieć się po parunastu miesiącach, jak wcześniejsze podobne, z natury nietrwałe start-upy. Po raz pierwszy farbowani i szczerzy antysemici, obyczajowi obskuranci, reakcjoniści, kremlowscy agenci płatni i z zamiłowania, religijni ortodoksi, szowiniści, antyszczepionkowcy, karierowicze nieudacznicy, zamiast rozpaść się jak kometa, zakorzeniają w dużej polityce i świadomości obywateli.

Doktor prawa, erudyta, rozmiłowany w historiozofii inteligent z Żoliborza chciał im odebrać tlen – a ich uprawomocnił. Bo jako idol setek tysięcy wyborców, przywódca dużej, poważnej parlamentarnej partii wprowadził zaczerpnięty od nich język, retorykę, brutalność, skrajne poglądy, brak skrupułów do mainstreamu. Znormalizował je.

●

Wielu ludzi z kręgu PiS już parę lat temu zadawało sobie pytanie: po co Kaczyński po 2015 roku szedł na rympał, łamał konstytucję, przejmując Trybunał Konstytucyjny czy bezprawnie



FOT. TOMASZ WIERZEJSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

• Stocznia Gdańska, Sala BHP, 8.07.1990. Z Lechem Wałęsą na spotkaniu przed pierwszymi wyborami prezydenckim w III RP

• 11.09.2025. Z prezydentem Nawrockim na posiedzeniu RBN po tym, jak rosyjskie drony naruszyły naszą przestrzeń powietrzną



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

skracając kadencję Krajowej Rady Sądownictwa, skoro mógł tylko trochę poczekać, a obsadziłby te instytucje swoimi ludźmi lege artis.

Ale właśnie o to chodziło: Kaczyński chciał ostrego konfliktu, by zawładnąć wyobraźnią antysystemowego, braunowo-rydzykowego elektoratu o wschodniej mentalności, który pożądał wojny z liberalnymi elitami.

A jednocześnie prezes uczynił swoją partię rzecznikiem najgorzej zarabiających grup społecznych, wprowadzając 500+, które było nawet czymś więcej niż rewolucją socjalną. Bo także symbolicznym zadośćuczynieniem za zaniedbania i krzywdy – mniejsza, na ile zawinione, a na ile wynikłe z faktu, iż komuniści pozostawili kraj zrujnowany – tych wszystkich, których transformacja ustrojowa upokorzyła, zepchnęła w dół drabiny społecznej.

Ta kompilacja rewolucji symbolicznej, retorycznej i socjalnej w połączeniu z koniunkturą gospodarczą, wstrzemięźliwością wobec nowinek obyczajowych i deklarowanym przywiązaniem do konserwatywnych wartości – Bóg, parafia, rodzina, „geje i lesbijki niech się kochają, ale nie afiszują" – przyniosła PiS osiem lat u władzy – z czego spory szmat czasu przy autentycznym poparciu społecznym.

I znów: wszystkie przemowy prezesa PiS o odsunięciu od koryta elity III RP, o przywróceniu godności narodowi, o naszej własnej drodze z dystansem do Zachodu – to tylko retoryka podporządkowana temu samemu celowi.

Układ dwubiegunowy, który tworzy z KO, bardzo mu odpowiada. Gdyż nie w rządach „odklejonych od ludzkich spraw" liberałów Kaczyński widzi zagrożenie dla Polski. Przeciwnie: uważa, że rotacja władzy polegająca na tym, że raz rządzi on, a raz Tusk, jest optymalnym wyjściem. Bo nie dopuszcza do władzy polskiego Orbana, polskiej Le Pen czy polskiego AfD.

Ta filozofia prezesa – zdaniem jego zwolenników – zdała egzamin z chwilą agresji Rosji na Ukrainę. Niemal cała Polska, niezależnie od poglądów, z tak niby niechętnym „obcym" rządem PiS na czele, stanęła po stronie Ukraińców zimą i wiosną 2022. W chwili próby daliśmy świadectwo solidarności i politycznej mądrości. Praktycznie nie było zdradzieckiej piątej kolumny, nawet obecni liderzy Konfederacji ulegli temu nastrojowi – a przecież nie musiało tak być. Wystarczy spojrzeć na politykę Orbana.

●

Wróćmy jeszcze do historii PiS. W 2010 r. ceniony nie tylko na prawicy publicysta Piotr Zaremba wydał książkę „O jednym takim... biografia Jarosława Kaczyńskiego". Pisał tak: „Jarosław Kaczyński to dla wielu antybohater, niosący Polakom konflikt, skłonny do fauli – ale wyjątkowo mocno bity.

Prywatnie miły, skromny człowiek, na »ty« z sekretarkami i z kierowcami wożącymi go do biura. Z tego biura wysyła konkurentom zatrute strzały. Nielubiący go publicysta napisał, że jako jeden z niewielu chciał nie tylko rządzić, ale zmieniać Polskę.

W walce o kolejne cele – główny to silne państwo broniące słabszych – używał drastycznego języka polityki, przekonany, że opisuje konflikty społeczne dzielące Polaków. Aż ich wystraszył w czasach, do których pasuje marketingowa papka. Dziś jedni przypisują mu minimalizm, inni grzebią go jako ofiarę grzesznych marzeń. A on znów podnosi się i staje w ringu" .

Niedługo po wydaniu książki Zaremby Jarosław Kaczyński przegrał wybory, a władzę utrzymał Donald Tusk. Obaj doskonale wiedzieli, że kluczem do przetrwania jest utrzymanie w ryzach swojego ugrupowania i wychodzili z założenia, że na poważnie myśląc o wygranej w przyszłości, w czasach dekoniunktury nie można ryzykować otwierania się na środowiska obce, spoza partyjnych skrzydeł.

Bo to się kończy utratą kontroli nad partią. A partia i przywództwo w niej są najważniejsze, gdyż władzę się miewa – ale nie da się jej mieć bez partii. Partia pozwala przeczekać czas w opozycji i zawalczyć w kolejnych wyborach. Partia jest niezbędnym instrumentem, który wykorzystuje się w momencie sprzyjających okoliczności, zmęczeniem społeczeństwa daną ekipą rządzącą.

Tego nie rozumiało wielu polityków i komentatorów, którzy po 2011 r. wieszczyli polityczny koniec Kaczyńskiego. Używając pozornie trafnych argumentów: mówiono, że jest nad nim szklany sufit, że zamiast walczyć o władzę, poszerzać elektorat, zrobił z PiS fundusz emerytalny oszołomów.

Bo prezes wyrzucał wielu ludzi z partii, stawiał na brutalny konflikt, kopał rowy w społeczeństwie, siejąc kłamstwo smoleńskie o zamachu. Tylko że wcale nie oszalał ani nie uległ jakieś metafizycznej skazie charakteru. Trzeźwo uważał, że na tym etapie czyśćca musi utrzymać twardy elektorat, przekształcić sympatyków i aktyw w oblężoną twierdzę, która przygarnie wszystkich wyborców wściekłych, nieufnych, sfrustrowanych. Zbudował mit Lecha Kaczyńskiego, a siebie obsadził w roli świeckiego świętego, strażnika pamięci prezydenta.

Na czas politycznej posuchy to było optymalne wyjście z punktu widzenia PiS. Oraz samego prezesa – gdyż u Kaczyńskiego życie prywatne mocno splata się z życiem politycznym. Nie ma żony, nie ma dzieci. Perspektywa jest tylko jedna.

Kaczyński – tak jak Tusk – kalkulował, kiedy trzeba postawić na pierwszym miejscu zwartość partii i umocnienie swojego przywództwa, a kiedy można zaplecze poszerzyć bez zbędnego ryzyka.

Ten drugi manewr wykonuje się wtedy, gdy nastroje społeczne sprzyjają danemu obozowi. Tusk wiedział, że w 2019 r. atmosfera w kraju nie daje gwarancji powrotu do władzy, więc czekał, kalkulował. Dopiero gdy uznał, że są duże szanse na odsunięcie PiS, wrócił z unijnych szczytów do polskiej polityki.

●

Kaczyński też ma słuch społeczny – oraz coś więcej. Stworzył wokół siebie aurę polityka autentycznego. Kiedy komentatorzy naśmiewali się, że palnął coś głupiego, nie mając na swoją tezę czy obserwację dowodów, to elektorat prawicowy o skłonnościach do spiskowych teorii dziejów oraz wyborca żyjący w poczuciu krzywdy i urażonej godności mówili sobie: on jest autentyczny, nie kalkuluje, wali prosto z mostu. Sprytne zagranie, bo choć Kaczyński z okłamywania zwolenników uczynił swój główny instrument, to wyborcy już tak ugrzęźli w przekonaniu o jego szczerości, że żadne argumenty ich nie przekonywały.

Lista oszustw jest długa, a zaczyna się w kampanii prezydenckiej 2010 roku, gdy prezes nałożył koncyliacyjną maskę, by potem opowiadać, że był na proszkach i zaatakować konkurentów oskarżeniem, że zabili Lecha Kaczyńskiego. Warto zwrócić uwagę, że w zależności od potrzeb „Naczelnik" raz lekko wycisza sprawę Smoleńska, a raz do niej wraca ze zdwojoną sił. Właśnie wtedy, gdy włącza „tryb przetrwanie" – by utrzymać we wzmożeniu najwierniejszych akolitów.

Ostatnio kłamstwa Kaczyńskiego zaczął demaskować Morawiecki, który w serii wywiadów, między innymi w popularnym kanale Bogdana Rymanowskiego, ujawnił kulisy zaostrzenia ustawy antyaborcyjnej jesienią 2020 z użyciem Trybunału Julii Przyłębskiej. Media, w tym ja, nie raz podawały, że aborcja została „odpalona" na życzenie Kaczyńskiego, który miał kłopoty w partii z konserwatystami – ale po raz pierwszy pod nazwiskiem tę historię opowiedział polityk z samego jądra PiS.

eprasa.pl bbdb7a80f8

Do teraz ludzie Kaczyńskiego powtarzają, że delegalizacja aborcji w przypadku wady płodu była autonomiczną decyzją TK, że oni nie mają z tym nic wspólnego. Że wniosek nie kto inny, jak niektórzy posłowie PiS złożyli jeszcze w 2017 r., ponowili w 2019 i nagle jesienią 2020 Przyłębska się tym zajęła? PiS odpowiadał, że nie ma pojęcia, dlaczego akurat wtedy.

A ekspremier w końcu dał odpowiedź. Chodziło o to, że Kaczyński postanowił, korzystając z pełni władzy, wreszcie poprawić los braci mniejszych, który szczerze go przejmuje, i forsował „Piątkę dla zwierząt". Morawiecki łączy ten projekt – który zniechęcił do PiS rolników, bo zakaz trzymania psów na łańcuchach jeszcze by przełknęli, podobnie jak zakaz hodowli zwierząt futerkowych, ale kto to widział: kontrole weterynaryjne na serio czy inspekcje jakichś ekologów – z antykobiecym wyrokiem TK właśnie.

– Najpierw była piątka dla zwierząt, niepotrzebnie zastymulowana przez pewnych niemających wyobraźni politycznej działaczy – mówił u Rymanowskiego, mając na myśli posła Michała Moskala, stronnika Jacka Sasina, zaufanego przybocznego Kaczyńskiego. – Piątka dla zwierząt była triggerem, katalizatorem, który spowodował, że grupa tak zwanych konserwatystów u nas rzuciła się panu prezesowi do gardła i błagała, razem z Solidarną Polską wówczas, żeby zrobił wszystko, aby przykryć teraz te pierwsze spadki sondażowe i żeby wymusić wyrok w sprawach aborcyjnych – opowiada niedawny delfin.

Odpowiedzialność zrzuca na Kaczyńskiego. – Myślę, że jest na tyle uczciwy, że powiedziałby, że przestrzegałem go wielokrotnie: nie ruszaj tego! Po fakcie przyznawał mi wielokrotnie rację, że trzeba było zostać przy kompromisie.

Oczywiście Morawiecki co innego mówił, gdy był w PiS. Najpierw nie protestował przeciwko decyzji sędziów konstytucyjnych, potem bąkał, że była błędem politycznym, ale" Trybunał Konstytucyjny, opierając się o polską konstytucję, nie mógł wydać innego wyroku".

Kaczyński teraz wie, że decyzja w sprawie aborcji przyczyniła się do jego klęski, ale żałuje jej nie ze względu na los kobiet, tylko ze względu na spadek sondaży. To pokazuje niewiarygodny cynizm – przez jego obrońców nazywany pragmatyzmem – lidera PiS. Kaczyński uległ konserwatystom, bo bał się, że przejdą do Konfederacji i straci panowanie nad partią. To była wciąż realizacja planu: na prawo tylko ściana. Nawet kosztem życia i zdrowia przerażonych kobiet, które zmuszano do rodzenia niemal martwych płodów i narażono na niebezpieczeństwo sepsy w imię ideologicznej wojny.

W której – znów ta mantra, że cel uświęca środki – „Naczelnik" wcale nie stał po stronie sił reakcji. Przypomnijmy, że gdy znany w latach 90. i wczesnych dwutysięcznych pryncypialnie katolicki polityk Marek Jurek chciał wpisać „ochronę życia poczętego" do konstytucji, Kaczyński miał powiedzieć o nim: „No agent albo wariat". Potem współpracownicy „Naczelnika" tłumaczyli, że z wiekiem stał się bardziej konserwatywny i katolicki. Ale nie oszukujmy się: podstawowym motywem było ratowanie jedności partii.

Rząd PiS lawirował też w pandemii w sprawie szczepień: szczepić się trzeba, niezaszczepionych czekają obostrzenia, ale kto się nie zaszczepił, tego nie spotykały reperkusje czy ograniczenia – a antyszczepionkowcy swobodnie szerzyli fejki na demonstracjach i w dopalanych przez kremlowskie trolle serwisach społecznościowych. Tu też Morawiecki wsypał niedawnego mentora: niedawno stwierdził, że prezes PiS był za obowiązkowymi szczepieniami

Dodajmy, że gdy Jan Pospieszalski – niegdyś popularny dziennikarz i gospodarz talk-show, który przedzierzgnął się w prawicowego aktywistę – dopuszczał w swoich programach w TVP przesłanie, że szczepienia szkodzą, stracił pracę w telewizji publicznej. To nie mogło się odbyć bez wiedzy Kaczyńskiego.



FOT. PATRYK OGORZAŁEK/AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Stalowa Wola, 18.08. 2019. Jeszcze razem i w dobrej komitywie. Prezes Kaczyński i jego premier Mateusz Morawiecki podczas Pikniku Rodzinnego PiS „Dobry Czas dla Polski"**

Czy Kaczyński wybaczy Morawieckiemu? Wybaczał gorsze rzeczy. Ziobro działał na niego jak płachta na byka, jego zdrada była tak dotkliwa, że jeszcze w 2015 roku dawny pupil mógł się z nim kontaktować tylko przez pośredników

Wyimki z tych wywiadów byłego premiera współpracownicy Kaczyńskiego przynieśli mu na biurko. „Naczelnik" autentycznie się wściekł. Bo to oznacza możliwy odpływ kolejnej sporej grupy wyborców do Konfederacji.

Kaczyński napisał więc na X: „Ostatnie wypowiedzi Mateusza Morawieckiego pokazują jasno: wrogiem dla Mateusza Morawieckiego nie jest Tusk, ale ja oraz Prawo i Sprawiedliwość. Najwyraźniej Mateusz Morawiecki ma plan poszukiwania swoich sojuszników gdzie indziej. Były premier zrzuca z siebie odpowiedzialność za podejmowane decyzje na innych, często niezgodnie z prawdą…".

Emocja i niepokój muszą być znaczne, bo wpis jest wyjątkowo długi jak na kogoś, kto nie przepada za smartfonami i lubi wypowiadać się w enigmatyczno-aforystycznym stylu Mistrza Yody. Nawet jeśli wpis przygotował rzecznik partii Rafał Bochenek, to nie zamieścił tego bez zgody prezesa.

„Skoro tak bardzo się z nimi nie zgadzał, wypada zapytać: dlaczego nie odcinał się od tych decyzji publicznie albo nawet nie zrezygnował z funkcji premiera? Co jakiś czas słyszę, że członkowie rozłamowego stowarzyszenia byli zapewniani przez Mateusza Morawieckiego, że i tak lista będzie wspólna… Po takich wypowiedziach ich szefa uwierzyć w to jest niezmiernie trudno. Mam wrażenie, że pan premier jest w jakimś dziwnym stanie. Odnosiłem je również w trakcie naszych rozmów. Daj Boże, żebym się mylił".

Ale choć „Naczelnik" może żałować sprawy aborcji czy poluzowania cugli Ziobrze, to obecne straty nie zmienią jego zdania w sprawie „harcerzy" rozłamowców. Gdyby mógł cofnąć się w czasie, wyrzuciłby Morawieckiego drugi raz, bo nie ma innego wyjścia – ponieważ Morawiecki najpewniej odebrałby mu przywództwo w partii.

Kaczyński znów przedkłada władzę w przetrwalnikowej partii nad grę o władzę, czyli budowanie masowego poparcia lub utrzymanie poparcia dotychczasowego w szerokim prawicowym elektoracie. Wie, że stracił rolę hegemona po prawej stronie, więc przełączył się z trybu „walka o władzę" w tryb „przetrwanie" i „moja, i tylko moja partia".

Być może zakłada, że nie wróci do władzy po 2027 roku, ponieważ nie będzie w stanie się dogadać z Grzegorzem Braunem czy Sławomirem Mentzenem, by stworzyć z nimi rząd.

Co wcale nie oznacza, jak sądzą niektórzy, złożenia broni i pogodzenia się, że raczej już nie doczeka kolejnych rządów. Kaczyński widzi to samo, co widzą dziennikarze i socjolodzy:

- ambitną lewicę Włodzimierza Czarzastego;
- walczącą o przetrwanie Polskę 2050, w której Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz nadal ma nadzieje na któreś z najwyższych stanowisk w państwie, a Szymon Hołownia tęskni za publicznością;
- zdesperowany, bo z sondażu na sondaż coraz trudniej dosięgający wyborczego progu PSL;
- już niemal nieskrywany brak chemii między autystycznie demonstrującym dominację Mentzenem i ambitnym prymusem Bosakiem;
- oraz liczącego na oswojenie Grzegorza Brauna

– i bierze pod uwagę, że jesienią za rok czeka nas raczej chaos niż stabilny rząd. A więc – całkiem możliwe przyspieszone wybory.

Właściwie to prezes PiS nie ma nic przeciwko temu, aby Tusk wszedł w jakiś układ z Mentzenem, bo wtedy będzie mógł siać ferment w obu blokach: triumfując, że racja była po jego stronie, gdy podejrzewał konfederatów o zdradę prawicowych ideałów, i zarzucając hipokryzję liberalnym, europejskim demokratom z KO.

Ale jeśli kalkulacja z przyspieszonymi wyborami okaże się mylna i Tusk będzie rządził następną pełną kadencję, też nic straconego.

Tak, prezes PiS ma już 77 lat, ale dajmy na to Donald Trump ma 80 i z werwą rządzi największym mocarstwem na świecie. Owszem, to przykład nie najszczęśliwszy, bo nie brakuje specjalistów sugerujących, że narastające ekscentryzm i brak zahamowań prezydenta USA nie są bez związku z jego wiekiem i kondycją – ale choćby premier Indii Narendra Modi ma lat 75 i znakomitą formę.

•

Póki co jednak prezes, realizując ten plan, popełnia błędy – ponieważ nie może się pogodzić, że to prezydent Karol Nawrocki jest uważany za najsilniejszego polityka po prawej stronie.

Aby udowodnić słabość Nawrockiego, Kaczyński wezwał go do zbudowania szerokiej prawicowej koalicji, i to bardzo zdecydowanie, bo podczas miesięcznicy smoleńskiej. „Ja prezydenta swego czasu prosiłem i mam nadzieję, że to zrobi. Byłoby bardzo dobrze, gdyby prezydent energicznie się tym zajął". Lider PiS wie, że to bardzo trudne zadanie, w zasadzie niewykonalne. Bo kto miałby się znaleźć w tej koalicji: czy obie Konfederacje, czy tylko jedna, a może Stowarzyszenie Rozwój Plus – czyli szkodnik Morawiecki – PiS i Ruch Narodowy Krzysztofa Bosaka, a Menzten poszedłby do wyborów osobno? Tygodnik „Sieci", medialny głos Kaczyńskiego, wzywa prezydenta do zjednoczenia wszystkich tych partii. Ale Bosak się do tego nie pali, wydaje się dogadany co do podziałów miejsc na listach z Mentzenem. Z kolei napięcie między Morawieckim a Kaczyńskim rośnie. I jak ten Nawrocki ma sklecić jedną listę, nie wychodząc na nieudacznika?

Na czym polega pułapka, którą Kaczyński sam na siebie zastawił? Otóż deklaracja, że jego ludzie będą z Morawieckim na jednej liście, może mieć fatalne skutki uboczne. W regionach i samorządach pomniejsi lub pozbawieni patronów działacze przechodzą do stowarzyszenia Rozwój Plus, bo kalkulują: w PiS i tak nie załapiemy się na dobre miejsca, ale jak pójdziemy do Morawieckiego, to nasze szanse się zwiększą. Bo ma ogarniętą ekipę, zasięgi, być może mu wzrośnie samodzielnie. A jak prezes będzie pod ścianą, to da mu miejsca biorące.

Więc owszem: PiS przechodzi najpoważniejszy kryzys od powstania. Ani odejście grupy Pawła Kowala, ani grupy Zbigniewa Ziobry nie przysporzyło prezesowi tyle bólu głowy.

Czy Kaczyński może się pogodzić w przyszłości z Morawieckim? Oczywiście, skoro był w stanie przyjąć z powrotem Antoniego Macierewicza, Adama Bielana czy zwłaszcza Zbigniewa Ziobrę. Przez osiem lat rządów, kiedy ów dostał olbrzymią władzę i współfirmował najpaskudniejsze ustrojowo oraz etycznie przedsięwzięcia obozu władzy, zdążyliśmy zapomnieć, że po frondzie w 2011 roku Ziobro działał na Kaczyńskiego jak płachta na byka. Zdrada była tak dotkliwa, że jeszcze w zwycięskim 2015 roku „Naczelnik" oznajmił, iż dawny pupil ma się z nim kontaktować tylko za pośrednictwem Jarosława Gowina. Dopiero gdy zorientował się, że za pomocą bezwzględnego Ziobry może zrealizować autorytarne plany wobec sądownictwa, zmienił zdanie i zrobił go ministrem sprawiedliwości. Tak samo może pogodzić się z Morawieckim, o ile tylko były premier założy włosiennicę i pójdzie do Canossy.

•

Wielu komentatorów wskazuje, że Kaczyńskiego w roli lidera prawicy już zastąpił Karol Nawrocki. To mrzonki. Młody prezydent nie ma doświadczenia politycznego, po pierwszych miesiącach zderzenia z realiami korytarzowych rozgrywek, targów i gabinetowych gier wystraszył się wizji wchodzenia w partyjną politykę, jest mu wygodnie pod żyrandolem. I zdaje sobie sprawę, choćby go to uwierało, że jest wykreowaną przez Kaczyńskiego gwiazdą bez doświadczenia, a nie politykiem, który do swojej pozycji doszedł sam. Może kiedyś nauczy się polityki na tyle, by zawalczyć o przywództwo na całej prawicy, nie tylko o drugą kadencję, ale dziś za wcześnie o tym mówić.

Owszem, Morawiecki to także twór Kaczyńskiego, lecz jest dużo bardziej otrzaskany. Przecież polityczny kapitał kulturowy wyniósł z domu, a doświadczenie w polityce zbiera od młodości – bo czym innym, jak nie szkołą budowania sojuszy, uginania się, kiedy trzeba, docierania z odpowiednim przekazem do kogo trzeba, szukania okazji, jest kariera w świecie bankowości i korporacji. Morawiecki jak kameleon zmienia poglądy w zależności od potrzeb. Przypomnieli sobie o tym nagle, niemniej politycy PiS nie mijają się z prawdą, gdy podnoszą, że przed przejściem pod skrzydła Kaczyńskiego był w radzie doradców premiera Tuska.

Dlatego to on jest dla Kaczyńskiego pierwszym realnym zagrożeniem od wielu, wielu lat. I dlatego trudno zakończyć tę opowieść zgodnie ze sztuką, dobitną puentą.

Bo z jednej strony Kaczyński nie jest już na prawicy hegemonem, ale wciąż bardzo silnym i najbieglejszym graczem.

A z drugiej, przysłowiowy trzepot skrzydeł motyla w nieodpowiednim momencie może sprawić, że jego detronizacja dokona się już za kilkanaście miesięcy, jesienią 2027 roku. ●

eprasa.pl bbdb7a80f8

Przemiany Morawieckiego

Były premier mógłby spokojnie konkurować z byłym prezydentem USA pod względem liczby i urody powiedzonek.



Michał Rusinek

Wszyscy, którzy przygotowywali się do matury z języka polskiego wiedzą, że jednym z kluczowych motywów w literaturze jest przemiana bohatera. Człowiek wszak jest istotą dynamiczną, reagującą na bodźce zewnętrzne i wewnętrzne, więc pod wpływem cierpienia, miłości, zbrodni lub silnych przeżyć – ewoluuje. Lub dewoluuje.

Kmicic przemienia się z awanturnika i zdrajcy w patriotę, który broni Częstochowy, by odkupić winy. Gustaw przemienia się z nieszczęśliwego, skupionego na sobie kochanka w Konrada: patriotę walczącego za naród. Marek Winicjusz przemienia się – pod wpływem Ligii i chrześcijaństwa – z okrutnego rzymskiego patrycjusza w dobrego człowieka. Jacek Soplica przemienia się z kłótliwego szlachcica, który dopuszcza się zbrodni, w pokornego księdza Robaka gotowego na poświęcenie. Gregor Samsa przemienia się w robaka innego rodzaju – ale tu się już chyba zagalopowaliśmy.

●

Postacią poniekąd literacką jest także Mateusz Morawiecki, o którym z pewnością powstanie sporo rozprawek. Morawiecki uległ przemianie. Była ona o wiele bardziej radykalna niż wymienione powyżej: polega na tym, że przemieniony Morawiecki ostro sprzeciwia się nieprzemienionemu Morawieckiemu.

Po odejściu z PiS przedstawił się np. jako obrońca kobiet, wkładając koszulkę z napisem „Wspieram kobiety", której nie włożyłby nieprzemieniony Morawiecki, kiedy był premierem, a władze tłumiły protesty po wyroku trybunału konstytucyjnego i zaostrzane było prawo antyaborcyjne. Nieprzemieniony Morawiecki tolerował, a nawet korzystał z propagandy uprawianej przez TVP pod wodzą Jacka Kurskiego, ale Morawiecki przemieniony powiedział: „Każdy wie, że ja byłem głównym adwersarzem Jacka Kurskiego, że mi się ta propaganda nigdy nie podobała". Nieprzemieniony Morawiecki podejmował decyzje zgodne z kierunkiem wyznaczonym przez kierownictwo PiS-u, a przemieniony wyznał, że się z tym kierunkiem często nie zgadzał. Na pytanie Jarosława Kaczyńskiego, czemu nie zrezygnował ze stanowiska premiera – odpowiedź jest prosta: nie przeszedł wówczas jeszcze przemiany.

●

W rozprawkach o przemianach należy poświęcić miejsce kwestiom językowym. Czy język nieprzemienionego Morawieckiego różnił się od języka tego przemienionego? Warto odnieść się do facebookowego profilu: „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu". Znajdziemy tam fragmenty jego wypowiedzi, zarówno przed przemianą, jak i po. Wydaje się, że na razie język obu wersji jest podobny. Być może na językową przemianę przyjdzie jeszcze czas. Morawiecki mówił niedawno np. (o programie stowarzyszenia Rozwój Plus): „Nasza propozycja dotrze pod strzechy, będzie bardzo ciekawa dla wszystkich Polaków. Tego życzę wszystkim Polakom". To sprytne życzenia, bo jeśli życzy Polakom, żeby jego propozycja okazała się ciekawa, to właściwie są to życzenia dla niego samego, a niekoniecznie dla Polaków. Przeświadczenie, że jego wyborcy żyją w domach krytych strzechą wskazywałoby, że Morawiecki nie uległ przemianie. Nawet jeśli to była metafora.

Morawiecki zawsze miał tendencję do posługiwania się metaforami. Ostatnio jakby częściej igra ze związkami frazeologicznymi: „My w 2023 r. naprawdę wygraliśmy wybory [...]. Tymczasem nie mogliśmy [stworzyć rządu], więc zwycięstwo było gorzej niż pyrrusowe. To tak, jakby Pyrrus przegrał podczas już tej swojej pierwszej z dwóch bitew, w 279 r. chyba. Przed naszą erą oczywiście". Rzadko się zdarza, żeby ktoś tak precyzyjnie, a zarazem ze skromnością („chyba") wyjaśnił pochodzenie związku frazeologicznego. W rozprawce można wspomnieć, że jest to przykład na posłużenie się funkcją metajęzykową.

Były premier nadal próbuje sił w tworzeniu neologizmów, a ściślej: eponimów: „To ten system, z którym walczymy. Z którym ja walczę. I wiem, że wielu z was również. System tuskizmu". Owszem, nazwisko obecnego premiera jest wygodne ze względu na spółgłoskę na końcu. Gdybyśmy chcieli nadać nazwę np. wyznacznikom stylu Morawieckiego, musielibyśmy się posłużyć określeniem „morawizmy". I choć były premier mógłby konkurować z byłym prezydentem USA pod względem liczby i urody powiedzonek, to jednak „buszyzmy" brzmią lepiej – dzięki spółgłosce na końcu nazwiska. George W. Bush był autorem niezapomnianych fraz, np.: „Jeśli nie osiągniemy sukcesu, grozi nam ryzyko porażki", „Wszyscy jesteśmy gotowi na nieprzewidziane wydarzenia, do których może dojść, albo nie dojść", „Sądzę, że wszyscy się zgodzimy, że przeszłość minęła".

●

Ale przyjrzyjmy się wspaniałemu zdaniu Morawieckiego: „Kierownictwo PiS robi dwa kroki do przodu, jeden do tyłu. Następnie odwrotnie" (29.07.2026). Nie wspomniał o liczbie serii kroków, ale jeśli jest taka sama, oznacza to, że kierownictwo wraca w to samo miejsce, więc ostatecznie nigdzie się nie rusza. Mamy wówczas do czynienia nie tyle z marszem (ku świetlanej przyszłości), ile z układem choreograficznym czaczy (cha-cha), kubańskiego tańca towarzyskiego. Zwizualizowawszy sobie kierownictwo PiS-u w pląsach trudno nie zgodzić się z Jarosławem Kaczyńskim, który napisał na portalu X: „Ostatnie wypowiedzi Mateusza Morawieckiego pokazują jasno: wrogiem dla Mateusza Morawieckiego nie jest Tusk, ale ja oraz Prawo i Sprawiedliwość".

W podsumowaniu rozprawki można zatem napisać, na czym polega istota przemiany Morawieckiego po odejściu z PiS-u. Odwołując się do Nietzschego („Narodziny tragedii z ducha muzyki") należy stwierdzić, że do tej pory mieliśmy do czynienia z Morawieckim apollińskim (dążącym do porządku, harmonii i spokoju, ograniczonym formą), który uległ przemianie w Morawieckiego dionizyjskiego (uwolnionego, afirmującego zmienność i chaotyczność bytu, dostrzegającego ekstatyczny taniec tam, gdzie inni widzą polityczną grę).

To dopiero początek przemiany, czy raczej przepoczwarzania się. Czekamy na kolejne dionizyjskie deklaracje i wierzymy, że gdy przyjdzie czas matur, na profilu „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu" będzie już sporo materiału do rozprawki. ●

Antropologia kolonialna w Juracie

Prawica na całym świecie rozumie inteligencki rasizm, więc uwzniośla gust zwyczajnych ludzi, czyni go gustem narodowym – i z satysfakcją patrzy, jak elita w swoim klasizmie znowu się kompromituje.



Marcin Matczak

Karol Nawrocki spotkał się z młodzieżą w Juracie. Gwiazdą wieczoru był Skolim, król latino, właściciel stacji benzynowej w Czeremsze i marki własnych kabanosów. Oprócz niego zagrali też inni, w tym bracia Lee, pianiści z Konkursu Chopinowskiego. To wydarzenie spowodowało ogólnopolską dyskusję o guście prezydenta i jego wyborców. Zbigniew Hołdys napisał na X, że program w Juracie „ma adekwatny poziom": Skolim – ten, co śpiewa o bzykaniu panienek na blacie.

Hołdys nie wymienił braci Lee, za to w innym wpisie dodał, że „socjologia jest nieubłagana": mieszkańcy dużych miast, głosujący na KO i Tuska, lubią jazz, muzykę klasyczną i poezję śpiewaną. Tymczasem mieszkańcy prowincji, głosujący na PiS i Nawrockiego, lubią „muzykę taneczną z gatunku discopolo".

Tomasz Lis z kolei uznał, że Skolim Nawrockiemu odpowiada, bo ten nie słuchałby przecież Mahlera czy Szostakowicza. Wszak to „nie jest muzyka gangusów i sutenerów". Obelgi wobec gatunku muzycznego nie da się odnieść tylko do jednego słuchacza Czy w Polsce są ponad dwa miliony gangusów i sutenerów? Bo tylu Skolim ma słuchaczy na Spotify.

Jako tło do tego felietonu nastawiam zatem adagietto z Piątej Mahlera i siadam do analizy. Otóż, drodzy państwo, będzie po francusku. Pierre Bourdieu w „La distinction" z 1979 roku dowodzi, że gust nie jest sprawą słuchu czy podniebienia, ale pozycji społecznej. Gust klasyfikuje, a klasyfikując, klasyfikuje klasyfikującego. Bo kapitał kulturowy, a więc Pendereckiego i Prokofiewa, dziedziczy się jak majątek.

Ten akapit jest doskonałą ilustracją zjawiska. Ja napisałem „Bourdieu", państwo skinęli głową i wszyscy właśnie uzyskaliśmy z tego zdarzenia przyjemną korzyść. Ja z tego, że wiem. Państwo z tego, że wiedzą, że wiem. Bonżur!

W 1978 roku ten sam klasyk socjologii wygłosił prelekcję „Rasizm inteligencji". Argumentował, że różne grupy społeczne wytwarzają sposoby usprawiedliwiania własnej pozycji. „Rasizm inteligencji" uzasadnia jej dominację: dyplomy, przedstawiane jako świadectwa inteligencji, zastępują dawne tytuły własności i szlachectwa, a odziedziczony kapitał kulturowy uchodzi za naturalny talent, którego inni naturalnie nie mają.

Dziesięć lat później Étienne Balibar opisał „rasizm bez ras". Nie musi on odwoływać się do biologicznej dziedziczności: kultura może zacząć funkcjonować jak natura – może zamykać ludzi w rzekomo nieprzekraczalnych różnicach i „niekompatybilnych" sposobach życia.

Dyskusja nad koncertem Skolima pokazuje, że nasze elity uprawiają inteligencki rasizm. U Lisa „gangusi i sutenerzy"odnoszeni nie tylko do Nawrockiego, ale do gustu muzycznego, to nie jest ocena estetyczna, ale ostrzeżenie przed moralną zarazą. Ta zaraza jest przy tym chyba dziedziczna, bo w ocenie redaktora nawet Duda wypada lepiej: wprawdzie „też lubił Zenka", ale był „synem inteligentów krakowskich i mężem córki wybitnego poety", więc „pewna granica była nieprzekraczalna". Obecni lokatorzy pałacu mają „zerowe niemal zasoby kulturowe", stąd „klimaty knajacko-kibolskie".

Zbigniew Hołdys chce być bardziej empatyczny, ale pewnych rzeczy nie potrafi ukryć. Podaje dwie przyczyny kulturowych i politycznych wyborów wsi: to „brak informacji" albo „konserwatywna tradycja". Czyli: niewiedza albo zacofanie. Nie pojawia się trzecia opcja: że ci ludzie mają prawo lubić to, co lubią, i że ocenili elity i wypadły one źle. To antropologia kolonialna: tubylec ma wprawdzie jakąś tam kulturę, ale na pewno nie może mieć racji.

Wpis Hołdysa jest etnograficzny. „Ludzie liberalni powinni zajrzeć na tiktoka i zobaczyć, jak wygląda ten inny świat". Toż to propozycja safari! A poziom empatii wobec tego innego świata zatrzymuje się na: „zrozumieć, że on istnieje". Czyli maksimum szczodrości to przyznanie, że tamci są.

Jest i „brzemię białego człowieka" – obowiązek tych bardziej „cywilizowanych", by cywilizować tych cywilizowanych mniej. Pisze Hołdys: „nie zmienimy tego w jeden dzień ani sezon". Cóż, *c'est un dur labeur*, ale ktoś musi ją wykonać.

Prawica na całym świecie rozumie ten inteligencki rasizm, więc uwzniośla gust zwyczajnych ludzi i czyni go gustem narodowym – żeby przywrócić tym ludziom poczucie godności i przynależności. Promuje muzykę i kulturę zwyczajną i z satysfakcją patrzy, jak elita w swoim klasizmie znowu się kompromituje. A że to politycznie działa, w pakiecie idzie traktowanie eksperta jak wroga klasowego.

I społeczeństwo się rozpada, bo spirala dehumanizacji się nakręca. Psycholog Nick Haslam pokazał, że żeby kogoś odczłowieczyć, nie trzeba nazywać go zwierzęciem – wystarczy odmawiać mu cech, które ludzi od zwierząt odróżniają.

Dehumanizacje są dwie i rasizm inteligencki napędza obie. W tej pierwszej wersji elity odmawiają zwyczajnym ludziom takich cech, jak racjonalność, samokontrola czy wyrafinowanie, postrzegając ich jako prymitywnych, dziecinnych i podatnych na popędy, jak zwierzęta. W tej drugiej zwyczajny człowiek odmawia elitom takich cech jak emocjonalność, ciepło i empatia. Tacy ludzie są więc zimni i bezduszni jak maszyny.

W efekcie nie rozmawiamy już o guście, ale o godności. A to koniec dyskusji, bo konflikt o interesy jest negocjowalny, a konflikt o godność nie. Między „jestem człowiekiem" a „nie jesteś człowiekiem". nie ma kompromisu.

Atak na godność powoduje też, że inna krytyka, nawet merytoryczna, trafia do tego samego godnościowego worka i przestaje działać. Zarzut prawny czy ustrojowy wobec Nawrockiego i jego wyborców jest odczytany jako kolejna porcja tej samej pogardy, a nie argument w sporze.

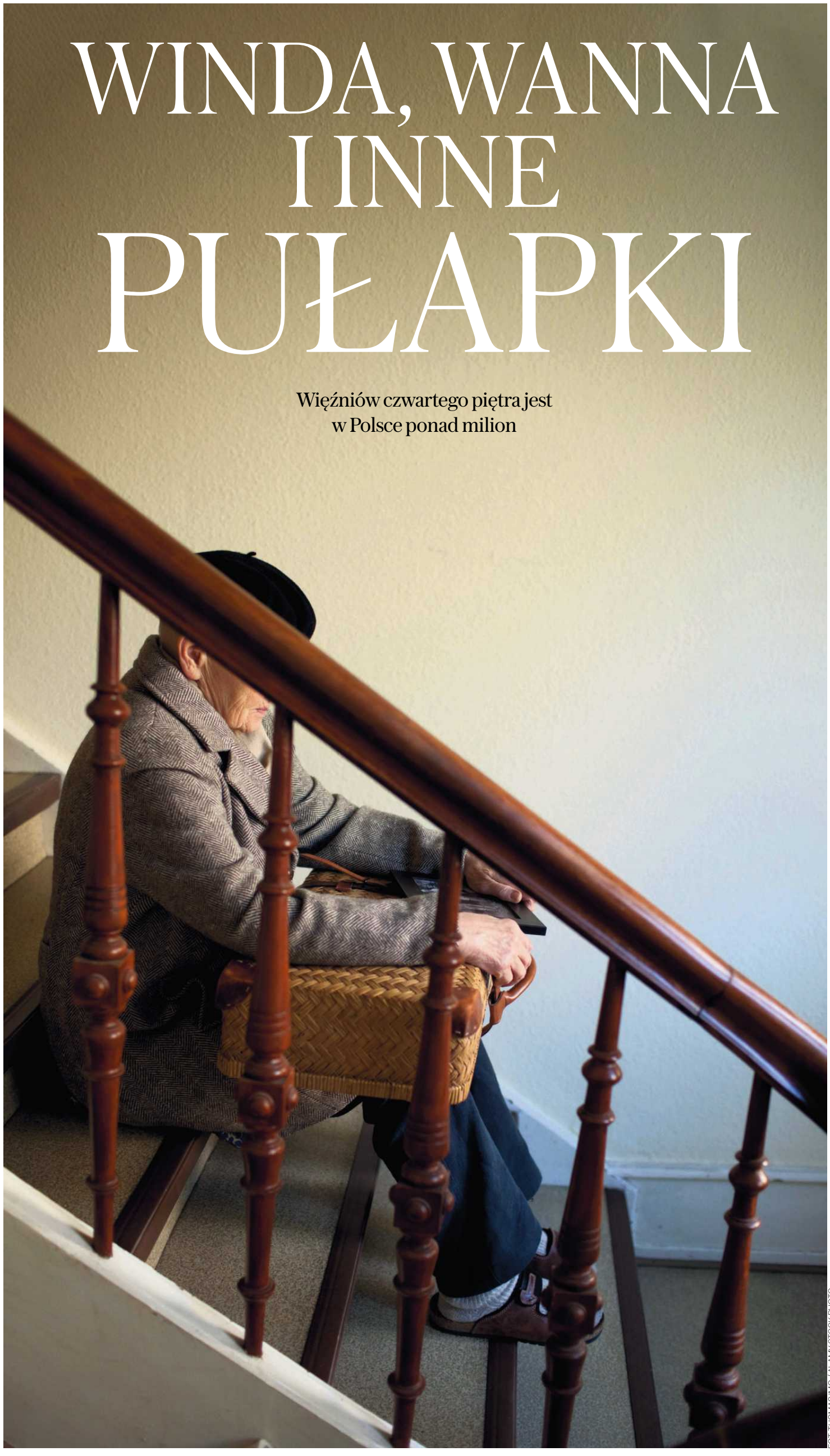
Bourdieu zakładał, że zwyczajni ludzie uznają „hierarchię gustu" i gdy elita ich krytykuje, wstydzą się. Ale w pewnym momencie przestają hierarchię uznawać, a krytyczne wypowiedzi elit już ich nie upokarzają, a zaczynają mobilizować. U nas zaczęło się od Leppera i jego „skończył się Wersal, a nasiliło po 2015 r.

Ale my nadal słuchamy Mahlera. I z głupią nadzieją dinozaurów, że to, co w naszym kierunku leci, to spadająca gwiazda, mówimy sobie *bonżur*. ●

eprasa.pl bbdb7a80f8

WINDA, WANNA I INNE PUŁAPKI

Więźniów czwartego piętra jest w Polsce ponad milion



FOT. THOMAS IMO / ALAMY STOCK PHOTO

Monika Redzisz

Pani też zdyszana! – wita mnie z uśmiechem pani Marlena Sent, kiedy docieram do mieszkania jej mamy na czwartym piętrze na warszawskiej Pradze. – Kardiolog zawsze mówił mamie: „Pani to ma szczęście, że mieszka tak wysoko. Jest pani zmuszona do ćwiczeń. Czwarte piętro bez windy to przywilej!". Ale niechby on tak sobie pochodził z zakupami... Zresztą te schody są przeszkodą dla wszystkich, którzy przychodzą do mamy: dla rehabilitantek, opiekunek, pielęgniarek, które pobierają jej krew czy robią zastrzyki. To też są często starsze już osoby, na emeryturze, pracują na zlecenie – opowiada i prowadzi mnie do pokoju mamy.

Pani Hanna Sent ma 94 lata. Kolana dokuczały jej już od lat, ale jeszcze dwa lata temu wchodziła po schodach na swoje czwarte piętro. Jednak w styczniu 2025 roku zaniemogła i przez kilka miesięcy nie wstawała z łóżka, co wpłynęło na ograniczenie ruchomości jej stawów kolanowych. Od tego czasu nie chodzi. Przez cały rok 2025 ani razu nie opuściła swojego mieszkania.

– Nie było jak. – Rozkłada ręce jej córka.

Dopiero w tym roku jej wnuczka Marta wypożyczyła schodołaz – urządzenie na gąsienicach, którym może zwozić po schodach osobę siedzącą na wózku inwalidzkim. Tylko dzięki niemu pani Hanna może raz na jakiś czas wyjść na świeże powietrze. W podobnej sytuacji jest wiele innych starszych osób, choć wcale niekoniecznie muszą mieszkać na czwartym piętrze.

Według badania Polsenior z 2021 roku tylko w 14 proc. budynków, w których mieszkają seniorzy, są windy, a w jedynie 3,5 proc. takie, które umożliwiają swobodny dostęp osobom na wózkach.

Dopiero w 1995 roku weszły w życie nowe przepisy budowlane uwzględniające potrzeby osób starszych i z niepełnosprawnościami. Tymczasem większość seniorów – w dużych miastach nawet do 87 proc. – mieszka w blokach z wielkiej płyty, które powstały w czasach PRL-u.

Ówczesne przepisy pozwalały na budowanie niższych, czteropiętrowych budynków bez windy. W wysokich blokach windy co prawda są, ale powszechnie stosowano wtedy wysoki parter – żeby dostać się do windy, trzeba pokonać kilka schodów. Sprawny człowiek niemal ich nie zauważa, ale dla osoby starszej – zwłaszcza poruszającej się z balkonikiem, o kulach, o lasce, o wózku inwalidzkim już nie wspominając – są poważną barierą.

– Teściowie mojego syna mieszkają w wieżowcu dziesięciopiętrowym – opowiada pani Stanisława z Koszalina. Winda tam jest, ale żeby do niej dojść, trzeba pokonać kilka schodków na zewnątrz i kilka schodków wewnątrz budynku. Podjazdu nie ma jak zamontować, bo klatka jest zbyt wąska.

W związku z tym teściowa jest w tym wieżowcu po prostu uwięziona, bo odkąd złamała biodro, jeździ na wózku. A on jest uwięziony razem z nią – nie może jej zostawić samej w domu, bo ona jeszcze oprócz tego choruje na alzheimera. Przychodzi do nich pielęgniarka dwa razy w tygodniu, córka wpada wieczorami po pracy, ale zasadniczo całymi dniami są sami.

Według szacunków Departamentu do spraw Polityki Senioralnej takich więźniów czwartego piętra jest w Polsce aż około miliona. Według fundacji Habitat for Humanity Poland może być ich jeszcze więcej.

– Bo jak ich zliczyć? – pyta Magda Koźluk, autorka raportu „Bezpieczny dom prawem seniora" przygotowanego przez Habitat. – Nie są to jedynie osoby starsze z orzeczeniem o niepełnosprawności ruchowej, które łatwo zmapować, ale także ci, którzy technicznie byliby jeszcze w stanie zejść i wejść, ale się boją – bo

eprasa.pl bbdb7a80f8

już się potknęli, bo upadli, bo jest upał, bo słabiej się czują.

Takie osoby mogą być po prostu niewidoczne. Dotarliśmy na przykład do pana na wózku, który nie jest w stanie samodzielnie opuszczać mieszkania, ale trafiliśmy na niego tylko dlatego, że korzystał z pomocy gminy i fachowiec, który przyszedł mu coś naprawić, poinformował gminę o jego sytuacji.

A ilu jest tych, którzy jeszcze wychodzą, jeszcze sobie radzą, ale narasta w nich lęk co do przyszłości?

– W moim bloku jest winda, ale zdarzają się awarie; wtedy jest dramat – opowiada pani Elżbieta Bobrowicz, 86 lat. Mieszka na dziesiątym piętrze w bloku na warszawskim Służewcu.

– Prezes spółdzielni jednego z osiedli na Ursynowie wpadł na pomysł, żeby w wysokich blokach na półpiętrach zamontować krzesełka. W pierwszej chwili pomyślałam, że chłop zwariował, ale jak przyszedł dzień, kiedy moja winda stanęła, zrozumiałam, że to mądry człowiek.

Kiedyś windy psuły się bardzo często, teraz to na szczęście rzadkość, ale ja mam swoje obawy. Urodziłam się w czasie wojny, wychowałam na gruzach Warszawy, chodziłam do spalonych szkół. Całe życie bałam się wojny i teraz też się boję. Co ja zrobię, jeżeli zabraknie prądu? – pyta.

Seniorzy mają sytuację luksusową

Jeżeli spojrzymy na to przez pryzmat problemów mieszkaniowych polskiego społeczeństwa, można by stwierdzić, że osoby starsze są grupą wręcz uprzywilejowaną. Ośmiu na dziesięciu seniorów ma własne mieszkanie. Większość z nich klucze do swojego M3 czy M4 otrzymało jeszcze za czasów rządów Gomułki lub Gierka.

Nie mają kredytów, mają tylko dla siebie ten sam metraż, na którym kiedyś mieszkali całą rodziną.

Na gospodarstwo domowe dwuosobowej rodziny w wieku 65 plus przypada średnio aż 84,5 m², na jedną osobę – 62,9 m².

Z punktu widzenia młodszych Polaków, którzy muszą przez 30 lat spłacać kredyt lub wynajmować mieszkania, seniorzy mają sytuację luksusową.

Ale to tylko jedna strona medalu. Większość seniorów mieszka w blokach z wielkiej płyty. Jak pisze w raporcie Magda Kostrzewska, architektka i ekspertka Habitat for Humanity, większość powstała w latach 60.-80. XX wieku, kiedy budowano szybko i dużo, żeby zaspokoić ogromny głód mieszkaniowy w rozwijających się szybko miastach.

W zasadzie we wszystkich mieszkaniach z tego okresu powtarzają się te same problemy, na przykład maleńkie łazienki. Nie myślano wtedy o tym, jak będzie się tam mieszkało lokatorom za 40 czy 50 lat. Zresztą, oczekiwania były zupełnie inne – naszych rodziców cieszyła jakakolwiek łazienka, bo przecież pokolenie naszych dziadków często w ogóle nie miało jej w domu.

Ale wraz z wiekiem, z pogarszającą się mobilnością, siłą, równowagą niezauważalne dotąd bariery architektoniczne zaczęły być problemem.

Dostanie się do mieszkania to dopiero początek. Kolejne schody zaczynają się w środku. Większość mieszkań, które powstały w PRL-u, ma ciasne pokoje, wąskie korytarze, małe, często ślepe kuchnie i łazienki z wanną.

Jak wynika z danych zebranych przez GUS, 41 proc. seniorów ma problem z wejściem do wanny, 36 proc. brakuje uchwytów w łazience, 27 proc. przeszkadzają zbyt wysoko zawieszone szafki, 20 proc. – zbyt wąskie futryny i za wysokie progi, 16 proc. – śliskie podłogi.

– Najpierw mama przesiada się na wózeczek i wiozę ją do łazienki. Próg jest tak wysoki, że nie mam siły jej przepchnąć; musi się chwycić framugi, unieść lekko do góry, wtedy mogę przejechać – opowiada pani Marlena. – Na wannie kładę deskę, na której mama siada.

W tej chwili dzięki rehabilitacji potrafi przełożyć nogi i wejść do środka przy mojej pomocy, ale to jest ekwilibrystyka. Jestem jedyną osobą w rodzinie, która jest w stanie ją wykąpać; inni się boją. Opiekunka nie może robić niczego, co łączy się z ryzykiem dla pacjenta albo dla niej; mogłaby mi ewentualnie pomóc, ale łazienka jest tak maleńka, że dwie osoby się tu nie mieszczą. Najlepiej by było zamontować prysznic bez brodzika, ale to duży koszt – mówi.



FOT. FUNDACJA HABITAT FOR HUMANI (2)



▲ **Pani Elżbieta: syn zrobił przymiarkę, żeby mnie przesadzić w nowe miejsce, bliżej niego, ale poszliśmy obejrzeć ten apartamentowiec i ja się po prostu przestraszyłam, że tam będą sami młodzi ludzie**

◀ **Marlena Sent z mamą Hanną Sent w jej mieszkaniu na czwartym piętrze bez windy na warszawskiej Pradze**

– Na razie sobie radzę, bo mam uchwyt przy wannie, ale to był błąd, że nie zamontowaliśmy prysznica, kiedy robiliśmy z mężem 20 lat temu remont tego mieszkania – mówi pani Elżbieta. – Ale miałam wtedy sześćdziesiąt parę lat, jeździłam na rowerze, chodziłam na tańce, na basen i na Uniwersytet Trzeciego Wieku. Patrząc na starsze panie, które czekały na autobus, zamiast się przejść przystanek czy dwa na piechotę, myślałam, że są leniwe...

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, co będzie – przyznaje. – Przy okazji remontu nie pomyślałam też, że szafki w kuchni powinny być niżej zamontowane. Potrzebuję drabiny, żeby się do nich dostać. Dzisiaj nie sięgam do najwyższych szafek kuchennych, nie korzystam z pawlaczy, nie myję okien, nie wkręcam żarówek. To wszystko jest dla mnie niedostępne.

Z piekarnika nie korzystam, bo się boję, że zapomnę. Coraz rzadziej używam kuchenki gazowej, częściej airfryera. Wydaje mi się, że jest bezpieczniejszy. Ludziom w moim wieku dzieją się różne rzeczy. Ostatnio koleżanka, rozmawiając przez telefon z synem, zaczęła się dziwnie zachowywać. Okazało się, że dostała udaru! A ona jest ode mnie młodsza i bardzo dba o swoje zdrowie. Więc staram się uważać.

Z tatą 22 lata

Rodzina pani Hanny podzieliła się obowiązkami. Córka mieszka z nią jeden tydzień, syn drugi. Córka zajęła się lekarzami, syn – naprawami i instalacjami, wnuczka – PFRON-em.

– Wie pani, na początku choroby mamy byliśmy zupełnie bezradni. Nie mieliśmy pojęcia, że istnieje coś takiego jak ławeczka wannowa, podwyższająca nakładka toaletowa czy rehabilitacja domowa na NFZ. O wielu rozwiązaniach dowiadywaliśmy się przez przypadek, przeglądając strony internetowe czy w kolejce u lekarza ktoś coś nam podpowiedział.

Trzeba przejść całą drogę prób i błędów, żeby zdobyć wreszcie jakąś wiedzę i żeby życie stało się jako tako możliwe; w urzędach powinna być osoba udzielająca kompleksowych informacji tym, którzy nagle znajdą się w takiej sytuacji...

Przez ten rok, kiedy mama nie mogła wychodzić z domu, straciła też wiele umówionych wizyt i badań lekarskich: okulistę, neurologa, USG brzucha, holtera i wiele innych. Ona jest dzielna i się nie skarży, ale ciężko znosiła to siedzenie w domu.

Zawsze była aktywna. Specjaliści – psychologowie, psychiatrzy, neurolodzy – zawsze mówią, że odizolowanie od środowiska jest bardzo niekorzystne i sprzyja rozwojowi chorób mózgu, pamięci i nastroju. Dlatego za wszelką cenę staraliśmy się, żeby miała jak największy kontakt ze światem.

Odkąd pani Hanna otrzymała znaczny stopień niepełnosprawności, jest trochę łatwiej. PFRON dofinansował jej wózek inwalidzki, a rodzina stara się też o dofinansowanie zakupu schodołaza, bo wypożyczanie go kosztuje 500 zł miesięcznie.

– Dzięki niemu zabraliśmy już mamę do Parku Praskiego, Łazienek, Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Będzie mogła też w końcu zobaczyć się ze swoimi siostrami, które, choć młodsze od niej, też już nie są w stanie wejść na czwarte piętro.

Ale maszyna wszystkiego nie rozwiązuje. Ja też mam już swoje lata, też jestem już seniorką, a nadal wchodzę po tych schodach. Jest mi coraz ciężej. Co tydzień muszę wtaszczyć tu zakupy, swoje walizki i kota. Ktokolwiek się zajmuje mamą, ma ten sam kłopot – mówi.

Pani Stanisława przez 35 lat mieszkała na czwartym piętrze w bloku bez windy.

– Sprowadziliśmy się tu w ’78, jak dzieci były małe – opowiada. – To były nowo oddane, czteropiętrowe bloki, 58 metrów, cztery pokoje. Człowiek się tak cieszył, że ma swoje mieszkanie! Wnosiło się na to czwarte piętro i zakupy, i owoce z działki, i przetwory z piwnicy. Zawsze brało się jak najwięcej naraz, żeby nie wchodzić dwa razy. Jeszcze wnuki na rękach wnosiłam, zanim poszły do przedszkola. Nie wiem, skąd się te siły witalne brały.

Ale kręgosłup bolał mnie od tego dźwigania coraz bardziej. Kiedy zmarła moja mama, wzięłam do siebie ojca. Nie mogłam go zostawić samego, sam by sobie przecież nie ugotował. Jak to mężczyzna – potrafił zrobić wszystko wokół domu, ale domem zajmowała się mama.

Myślałam, że będziemy się nim opiekować razem z mężem, ale mąż niestety szybko zmarł i zostałam z tatą sama na 22 lata.

Bardzo długo wchodził na to nasze czwarte piętro, ale z biegiem lat było mu coraz trudniej. Ostatnie cztery lata nie wychodził już z domu. Przychodziły do domu lekarka i pielęgniarka, ale na co dzień to ja wszystko przy nim robiłam.

Najtrudniej było mi go wkładać do wanny, bo tata mało nie ważył, a jak człowiek bezwładny, to jeszcze cięższy. Kupiłam taką ławeczkę na wannę, podnosiłam mu nogi i myłam prysznicem. Jak sobie teraz o tym myślę, to nie wiem, jak ja to przeżyłam, no ale jak trzeba, to trzeba.

Pamiętam, jak stawałam na działce, zaciskałam pięści i powtarzałam sobie: „Dam radę, dam radę!”. Tata zmarł w wieku 92 lat, a ja niedługo potem złamałam kręgosłup. Od tego dźwigania miałam silne skrzywienie i osteoporozę.

Mamo, zmień mieszkanie!

Pani Stanisława w wieku 67 lat sprzedała swoje mieszkanie na czwartym piętrze bez windy i kupiła nowe.

– To moja Ania zmobilizowała mnie do tych zmian. „Mamo, zmień mieszkanie!”, namawiała mnie. Na początku nie chciałam. To było już po śmierci taty, mieszkałam sama. Miałam koleżanki w okolicy, blisko kino, okna mojego mieszkania wychodziły na las; nie zamierzałam wyprowadzać się do żadnego obcego blokowiska i zaglądać ludziom przez okna do domów. „Nie pójdę!” – mówiłam – opowiada pani Stasia.

Ale miasto się rozrastało i tuż obok niej zaczęto budować trzy nowe bloki według nowych standardów obowiązujących od 1995 roku, kiedy to weszły w życie nowe przepisy uwzględniające potrzeby osób starszych, z niepełnosprawnościami czy rodziców z wózkami.

eprasa.pl bbdb7a80f8

– Zdecydowałam się, bo zdawałam sobie sprawę, że jeśli coś mi się stanie, opieka nade mną spadnie na moje dzieci – mówi. – A dzieci są zapracowane, cały czas w biegu. Córka mieszka w Poznaniu, syn co prawda niedaleko, ale pracuje do 19, a jeszcze trzeba zawieźć dzieci na wszystkie zajęcia.

Chciałabym jak najdłużej być samodzielna, żeby nie być dla nich obciążeniem. I powiem pani, że jestem tu przeszczęśliwa. Ja tutaj mam jak w raju! Wszystkie koleżanki mi tego mieszkania zazdroszczą. Mieszkam na drugim piętrze. Z chodnika wchodzi się prosto do windy, wszędzie płaściutko, żadnych schodków.

Jak objadę wszystkie sklepy z wózkiem na zakupy, to potem wjeżdżam nim aż do samej kuchni, bo po drodze nie ma żadnych progów, żadnych barier.

Moje okna wychodzą na ten sam las. Też mam 55 metrów, tylko tu są dwa pokoje, a tam były cztery, więc mogę mieć na przykład spiżarkę przy kuchni. Balkon mam 15-metrowy, hoduję na nim zioła, kwiaty, pomidory, to prawie jak działka! Gości przyjmuję, siedząc w zieleni.

Po doświadczeniach z tatą wiedziałam dokładnie, jak sobie to mieszkanie urządzić. Oczywiście mam prysznic! Blaty zamówiłam sobie niskie, bo jestem mała, a po złamaniu kręgosłupa jeszcze mi kilka centymetrów ubyło. Szafki kazałam powiesić tak, żeby było mi wygodnie sięgać.

Pół roku po tym, jak się tu wprowadziłam, znowu złamałam kręgosłup przez tę moją osteoporozę, tym razem w odcinku piersiowym. Ale w takich warunkach, z windą, z prysznicem, z tymi wszystkimi wygodami, to można chorować!

Przez cztery lata chodziłam o kulach, taki miałam ból kręgosłupa i biodra, ale w końcu wymieniłam sobie biodro, mam bioprotezę. Ostatnio, na osiemdziesiątkę, zażyczyłam sobie od dzieci w prezencie taki rozkładany fotel na pilota, który stawia człowieka do pionu, bo, po pierwsze, pamiętałam, jak trudno było mi tatę podnieść z krzesła, a po drugie, przez lata miałam tak silne bóle kręgosłupa, że każde wstanie było dla mnie straszne.

Myślałam, że tak już musi być; po operacji biodra nie mogłam uwierzyć we własne szczęście, że po prostu wstaję i idę. Teraz systematycznie chodzę na gimnastykę, codziennie rano robimy z koleżankami pięć kilometrów z kijkami. Jeździmy sobie do kina, do filharmonii, do teatru muzycznego, robimy pikniki w lesie. Marzenia się spełniają, tylko trzeba im trochę dopomóc.

Ale większość ludzi boi się zmian. Teść mojego syna nic nie chce w domu zmienić. Jak w bloku wymieniali gazowe piecyki, wszyscy sobie przy okazji robili remonty w łazienkach. „Tato, zróbcie sobie prysznic zamiast wanny" – namawiała go córka. „Nie potrzeba nam" – mówił. A teraz tak by się im przydał!

To nie jest kwestia pieniędzy, tylko mentalności. Są tacy, którzy naprawdę mają pieniądze niemałe, a i tak nie chcą. Wszystko jest w głowie. I zdrowie, i wygoda... Tylko jedna z moich koleżanek poszła moim śladem. „Jak ty sobie w tym wieku mieszkanie zmieniłaś, to i ja zmienię". I kupiła sobie nowe – mówi.

W badaniu PolSenior 86 proc. osób po 65. roku życia deklaruje, że nie chciałoby zmieniać swojego miejsca zamieszkania.

– Nie myślała pani o zmianie mieszkania? – pytam pani Elżbiety.

– O nie! Przeżyłam tu to, co było dla mnie najpiękniejsze w życiu. Wprowadziliśmy się tu w latach 70. – zaraz po tym, jak powstało osiedle. To mieszkanie było najpiękniejsze, bo wysoko – widać stąd Pałac w Wilanowie, piękne zachody słońca, nikt nad głową nie skakał. Byliśmy tacy szczęśliwi, mimo że wszystko tu było takie byle jakie – krzywe, okna wypadały, wszystko krzywe.

Raz syn zrobił przymiarkę, żeby mnie przesadzić w nowe miejsce, bliżej niego, ale poszliśmy obejrzeć ten apartamentowiec i ja się po prostu przestraszyłam, że tam będą sami młodzi ludzie i wszystko będzie dla mnie obce. Tu wiem, gdzie bazarek, gdzie lekarz, gdzie apteka, do kogo zwrócić się o pomoc.

– Przecież ja tu mieszkam od 70 lat! – mówi pani Hanna zdumiona moim pomysłem. – Wprowadziliśmy się tu po '55. Córka była mała, a syn już tu się urodził. Mąż był inżynierem, pracował w elektrociepłowni na Żeraniu. Mogliśmy wybrać mieszkanie w innej dzielnicy, ale mąż chciał mieć blisko do pracy; ja też miałam dobry dojazd do mojej apteki na Targową. Dużo ludzi z pracy męża tu dostało mieszkania, więc żyliśmy towarzysko.

– Nie przeszkadzało pani wtedy to czwarte piętro? – pytam. – Z dwójką małych dzieci, wózkiem i zakupami też chyba nie było lekko...

– Z wózkiem trudno było wchodzić na górę – przyznaje. – Wózki kiedyś były wielkie, takie – za przeproszeniem – kobyły, nie to, co dzisiaj. Ale się nosiło. Jak człowiek dostał mieszkanie, to nie wybrzydzał! Zresztą, byliśmy młodzi, a jak człowiek młody, to wszystko pokona.

Syn od dawna namawia mnie, żebym zrobiła tu sobie prysznic, ale ja tak lubię kąpiele w wannie

– Mama jest bardzo przywiązana do tego mieszkania – tłumaczy mi pani Marlena. – Wie o nim wszystko. Pakowałyśmy ostatnio prezenty na gwiazdkę, mówię, że przydałaby się taśma. A mama z łóżka: „W kuchni, szafka przy oknie, trzecia półka, z lewej strony, głęboko". Proces zasiedlenia, zagospodarowania przestrzeni domowej według własnej myśli trwa całe lata; przy schorzeniach jej wieku nie ma już tyle energii życiowej, żeby oswajać nowe miejsce, zaprzyjaźniać się z nową przestrzenią, budować swój świat od nowa.

Upadamy we własnym domu

Według raportu „Bezpieczny dom prawem seniora" aż 3 mln polskich seniorów mieszka w domach, które są niedostosowane do ich potrzeb.

– Poraziła nas skala tego problemu – mówi Magdalena Dul-Komosińska, prezeska zarządu Habitat for Humanity Polska.

A problem będzie narastał, bo Polska jest jednym z najszybciej starzejących się społeczeństw Europy; już w tej chwili co czwarty obywatel Polski ma powyżej 60 lat, a w 2050 roku stanowić będą 38 proc. populacji kraju. Nieformalne opiekunki starszych osób, najczęściej córki, same wchodzą już w wiek emerytalny i zaczynają się borykać z podobnymi trudnościami co ich rodzice.

– Jesteśmy na to zupełnie nieprzygotowani. Sytuacja jest dramatyczna – uważa Magdalena Dul-Komosińska. – Brakuje miejsc w DPS-ach, a model komercyjnych osiedli dla seniorów nie jest jeszcze w Polsce rentowny.

Państwo uruchomiło program, dzięki któremu gminy mogą wdrażać najem senioralny:

gmina udostępnia seniorowi lokal dostosowany do jego potrzeb – z windą, łazienką bez progów, dogodnym dostępem do opieki i usług społecznych, a mieszkanie seniora podnajmuje w ramach zasobu komunalnego.

Jednak gminy mają zbyt mało mieszkań dostosowanych do potrzeb seniorów, żeby system działał sprawnie. I tak zresztą większość seniorów po prostu nie chce zmieniać miejsca zamieszkania. Chcą się starzeć u siebie.

W tym kontekście kwestia modernizacji ich mieszkań, żeby mieli w nich warunki, które pozwolą im jak najdłużej zachować sprawność, samodzielność, komfort i poczucie godności, jest problemem palącym – uważa.

Jednocześnie szacuje się, że aż do 60 proc. wszystkich upadków seniorów zdarza się w ich domach; w grupie osób między 85. a 89. rokiem życia odsetek ten może sięgać 80 proc.

– Nic dziwnego – to w domu spędzamy najwięcej czasu, zwłaszcza w podeszłym wieku – mówi Magda Koźluk. – Zdolność do regeneracji z wiekiem maleje; każde potknięcie, poślizgnięcie, upadek może się skończyć złamaniem i unieruchomieniem.

Nawet jeśli nie kończy się urazem fizycznym, może mieć poważne następstwa psychiczne: narastający lęk, stopniowe ograniczanie aktywności ruchowej, rezygnacja z życia towarzyskiego, depresja, utrata niezależności.

To generuje też ogromne koszty systemowe – hospitalizacji, rehabilitacji, ewentualnej przeprowadzki do DPS-u lub ZOL-u – zauważa. W Polsce nie prowadzi się takich szacunków, ale dla przykładu w Wielkiej Brytanii roczny koszt z tego tytułu to około 1,7 mld funtów, w Stanach Zjednoczonych – 18 mld dolarów.

Jednak modernizacja mieszkań kosztuje.

Największym wyzwaniem jest instalacja wind. Koszt waha się od 150 do 400 tys. złotych. To dużo jak na budżet wspólnoty mieszkaniowej, choć są dofinansowania na dostosowanie budynków z PFRON-u oraz środki Banku Gospodarstwa Krajowego, o które może się ubiegać zarządca budynku.

Przy założeniu, że w Polsce znajduje się około 50 tys. czteropiętrowych budynków wybudowanych w latach 1945-1999, z których każdy ma co najmniej dwie klatki schodowe, minimalny koszt dobudowy wind wyniósłby nie mniej niż 15 mld złotych.

Pani Marlena w sierpniu zeszłego roku złożyła pismo do administracji domu z prośbą o zainstalowanie zewnętrznej windy. Jej pismo czekało na przeczytanie siedem miesięcy, bo wspólnota zbiera się tylko raz do roku, na wiosnę.

Na spotkaniu zapadła zgoda, żeby zamówić opinie rzeczoznawcy, który wypowie się na temat możliwych rozwiązań. To jednak dopiero początek drogi: jeśli okaże się, że zewnętrzna winda jest możliwa, trzeba będzie zamówić projekt, który zostanie zatwierdzony bądź nie przez konserwatora zabytków, ponieważ osiedle wybudowane w latach 50. jest w całości wpisane do rejestru zabytków. To może potrwać lata.

Modernizacja samych mieszkań to też spory wydatek. Zamiana wanny na prysznic to od 6 do 15 tys., wanna z drzwiczkami wraz z montażem – od 7 do 11 tys., a montaż drzwiczek w istniejącej wannie – od 2,4 do 4,5 tys. złotych. Wymiana podłogi na antypoślizgową – od 2 do 8 tys. za jedno pomieszczenie, poszerzenie drzwi do łazienki – od 2,5 do 6 tys., usunięcie progów – od 300 złotych do 2 tys.

Osoby posiadające orzeczenie o niepełnosprawności mogą się ubiegać za pośrednictwem MOPS-u lub PCPR-u o dofinansowanie z PFRON-u w ramach programu likwidacji barier architektonicznych, które pokryć może 80-95 proc. kosztów.

Może się o nie starać także spółdzielnia lub wspólnota; niestety, pokrywa wtedy część kosztów. Niektóre gminy, na przykład Wołomin, mają też własne programy wspomagania seniorów w remontach: opłacony jest fachowiec, który dokonuje drobnych napraw albo udogodnień w mieszkaniach.

Poza tym, jak pokazuje raport Habitat for Humanity, modernizacja nie musi zawsze oznaczać wielkich nakładów finansowych. Niektóre rzeczy są właściwie bezkosztowe: usunięcie luźnych dywaników, uporządkowanie kabli, lampka z czujnikiem ruchu, nalepienie kontrastowej taśmy na schodach. Inne wymagają niewielkich nakładów: mata antypoślizgowa do łazienki, uchwyt przy toalecie i pod prysznicem, lepsze oświetlenie, stabilne krzesła, zabezpieczenie ostrych krawędzi mebli.

Remont z widokiem na przyszłość

– Zapewnienie seniorom warunków, które pozwolą im jak najdłużej zachować samodzielność, dotyczy nas wszystkich, a tymczasem temat jest w Polsce przemilczany – mówi Magdalena Dul-Komosińska.

– Zwłaszcza że dochodzą do tego dalsze koszty zupełnie niewidzialne, niebrane pod uwagę: opieką nad seniorem przeważnie zajmuje się wówczas kobieta, która wypada z rynku pracy, co z kolei przekłada się na niższe świadczenia emerytalne, nie wspominając o trudniej mierzalnych kosztach jej obciążenia i wypalenia.

– Deklaratywnie starzenie się społeczeństwa jest jednym z głównych fokusów państwa, ale tak naprawdę obecna polityka mieszkaniowa nakierowana jest na młodych, którzy poszukują swojego pierwszego mieszkania. Głos seniorów jest niesłyszalny – uważa Magda Koźluk.

– W Stanach Zjednoczonych rozwija się ruch, który chętnie przeszczepiłabym do Polski: Age Well in Place – opowiada Dul-Komosińska. – Chodzi właśnie o tworzenie seniorom dobrych warunków życia tam, gdzie mieszkali dotychczas.Ruch ten doprowadził do rozwoju całej branży wokół tego na rynku komercyjnym.

Są wyspecjalizowane ekipy budowlane, które mają specjalne szkolenia i certyfikaty; kiedy wchodzą do mieszkania seniora, sami wiedzą, jakie rozwiązania są niezbędne. Są najróżniejsze konkursy dla architektów na najbardziej atrakcyjne wizualnie dostosowanie mieszkań senioralnych.

Zarówno w Wielkiej Brytanii, Francji, jak i Niemczech są fundusze na adaptację mieszkania do potrzeb wieku. Lekarz orzecznik ocenia potrzeby i dopuszcza finansowanie. W Danii, Szwecji, Holandii, Niemczech, Francji jest mnóstwo mikrograntów na drobne remonty – mówi.

A w Polsce?

– Syn namawia mnie, żebym zrobiła tu sobie prysznic, ale nie wypada mi go tym obciążać. Tak już jestem skonstruowana, że nie lubię być ciężarem – mówi pani Elżbieta. – Poza tym ja już na to nie mam siły, nie chcę mieć tego na głowie. To nie jest wiek na robienie remontów. Wśród moich koleżanek nie ma takiej, która by się w tej chwili do tego brała. Poza tym... zawsze bardzo lubiłam kąpiele w wannie.

Miałam ciężką pracę. Pracowałam jako kierowniczka działu spraw osobowych w olbrzymim przedsiębiorstwie; w samym zarządzie było 7 tys. ludzi. Co ja przeżywałam w tych kadrach! Komitet Centralny dawał nam ciągle jakieś wytyczne, kogo odznaczać, kogo sprawdzać; po prostu tonęłyśmy w papierach. Po pracy byłam nieprzytomna, ale kąpiel w wannie przywracała mnie do życia. Koleżanka zamontowała sobie w wannie drzwiczki i jest z tego bardzo zadowolona; może o tym powinnam pomyśleć? – zastanawia się.

Długie życie jest normą: statystyczna Polka, która ukończyła 65 lat, ma przed sobą jeszcze 22 lata życia, mężczyzn w tym wieku czeka jeszcze średnio 16 lat życia. Ale na pewno coś nam będzie dolegać. Remont robimy w Polsce średnio raz na 13-16 lat. Może więc, odnawiając sobie mieszkanie około 50.-60. roku życia, warto zawczasu o tym pomyśleć?

PS. Krótko po naszym spotkaniu pani Elżbieta złamała bark i kolejne dwa miesiące spędziła u syna. W tym czasie syn zrobił jej niespodziankę. Po powrocie do domu zastała wyremontowaną łazienkę z pięknym, wygodnym prysznicem. ●

1 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

ŚWIAT

Polnische Wirtschaft ist **wunderbar**

Wzrost gospodarczy, bezpieczeństwo, porządek i opór w przyjmowaniu migrantów. **Politycy AfD wskazują nas jako wzór.**



• **Ulrich Siegmund, główny kandydat skrajnie prawicowej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) w czasie zlotu miłośników motocykli marki Simson. AfD zorganizowała to wydarzenia 26 lipca br. w Weissenfels w czasie kampanii przed wyborami krajowymi (6 września br.) w Saksonii-Anhalt.** FOT. JENS SCHLUETER/GETTY IMAGES

Z **DR ANNĄ KWIATKOWSKĄ,** ANALITYCZKĄ ZAJMUJĄCĄ SIĘ PROBLEMATYKĄ NIEMIECKĄ, ROZMAWIA **ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI:**

Niemcy się zbroją, budują największą armię w Europie. Co, jeśli władzę w Berlinie przejmie Alternatywa dla Niemiec? Powinniśmy się bać?

– Nawet nie wiemy, kiedy ta niemiecka armia stanie się naprawdę silna i wielka. Ale przyznam, że nie chciałabym widzieć, w jaki sposób jej potęgę wykorzystują politycy wywodzący się z AFD.

Nawet jeśli to partia pełna sprzeczności: niby izolacjonistyczna, ale z wielkimi ambicjami „odbudowy Niemiec". Czerpiąca wzorce z XIX wieku, zakochana w Ottо von Bismarcku jako bohaterze narodowym, który doprowadził do zjednoczenia Niemiec. Z ideologami uważającymi, że ich kraj nie jest częścią Zachodu, ale ma do odegrania rolę „budowniczego mostów" między Wschodem a Zachodem. Co w kontekście zbrojeń może rzecz jasna niepokoić.

No dobrze, a czy powinniśmy się obawiać, że ta wielka niemiecka armia zaatakuje Polskę, kiedy w Berlinie będzie rządzić AfD?

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Dopóki niemiecka armia będzie częścią NATO, Amerykanie się nie wycofają, a Sojusz będzie się wzmacniał poprzez rozbudowę europejskich zdolności militarnych, w tym naszych, polskich, to nie mamy się czego obawiać.

Jednocześnie rozumiem – z powodów historycznych – te obawy. W przeciwieństwie do Niemców, którzy nie rozumieją, dlaczego tak żywa jest u nas pamięć o drugiej wojnie światowej. Często słyszę pytanie: „dlaczego ciągle rozpamiętujecie, czemu chcecie wciąż być ofiarami? To wam się podoba?".

To zresztą bardzo charakterystyczna perspektywa sprawcy. Mam się czuć winna, że pamiętam i „nie patrzę w przyszłość". Nie czuję się w żadnej mierze ofiarą, ale czy i jak będę pamiętać i ewentualnie wybaczać, to tylko moja decyzja.

Sytuacja geopolityczna jest dynamiczna: jeszcze 20 lat temu nikt nie sądził, że w Europie wybuchnie pełnowymiarowa wojna, a Rosja zajmie z pogwałceniem prawa międzynarodowego część Gruzji i Ukrainy. Czy Niemcy mogą wejść do Wrocławia i powiedzieć, że to miasto należy do nich?

– Proszę nie zapominać, że Polska też się zbroi. Mam duże zaufanie do naszej armii, która unowocześnia wojsko, kupuje sprzęt, szkoli żołnierzy. Mamy ambicje być jedną z kluczowych armii na kontynencie. Dostarczycielem bezpieczeństwa.

To po pierwsze. A po drugie, nie warto porównywać naszych zachodnich sąsiadów do Rosji. W porównaniu z nią niemieckie elity przepracowały historię drugiej wojny światowej.

A społeczeństwo?

– Tu jest gorzej. Badania wskazują, że ta wiedza jest coraz słabsza. Badacze z Uniwersytetu w Bielefeld pokazują w cyklicznych badaniach MEMO, że młodzi Niemcy mają coraz mniejsze pojęcie, czym był Holocaust. A zbrodnie popełnione na Polakach nie istnieją w szerszej pamięci społecznej.

W Ośrodku Studiów Wschodnich powstał cały raport na temat przeobrażeń niemieckiej pamięci. Wiadomo, że AfD zamierza używać polityki historycznej jako narzędzia strategicznego. Będziemy się z tym mierzyć szybciej niż z niemiecką armią.

Kto odpowiada w AfD za armię?

– Nie wiemy do końca, ale w AfD jest kilku byłych wysokich rangą oficerów. W Bundestagu mają wyjątkowo mocno „zmilitaryzowane" zaplecze personalne. Po-

eprasa.pl bbdb7a80f8

dzielone oczywiście, jak cała partia. Charakterystyczny jest los generała Joachima Wundraka, który należał do tej niewielkiej grupy w AfD, która miała wyraźnie bardziej natowskie i mniej prorosyjskie podejście. Kiedy Rosja zaatakowała Ukrainę, stanął po stronie Kijowa, poparł sankcje.

I nie wyszedł z Bundestagu w trakcie przemówienia Wołodomyra Zełenskiego.
– I jeszcze bił brawo. Ale w czasie jego spotkań z wyborcami, tak zresztą, jak i innych byłych wojskowych z ramienia AfD, bywało gorąco, bo ludzie są przeciwko poborowi i zbrojeniom. Zresztą większość nie widzi też w Rosji żadnego zagrożenia. Przynajmniej nie dla Niemiec.

A Wundrak w 2025 roku już nie kandydował. Nie jest już posłem.

AfD nie chce wspierać militarnie Ukrainy?
– To jedna z niewielu spraw programowych, co do której panuje zgoda wewnątrz partii.

AfD jest antyukraińska na wiele sposobów. Na pewno kluczowe znaczenie mają antyimigranckie poglądy jej członków, według nich uchodźcy z Kijowa, tak jak i inni imigranci, „zabierają różne dobra Niemcom". Są konkurencją o zasoby państwa socjalnego, o mieszkania, miejsce w szkołach, o zasiłki.

Swoje zrobiła też rosyjska propaganda, uprawiana przecież od ponad dwudziestu lat. Że Ukraina to nie państwo, a w ogóle to faszyści i jeszcze skorumpowani. Ale chyba najważniejsze jest szczere przywiązanie AfD do Rosji. Na Murze Berlińskim był taki znany mural z całującymi się Breżniewem i Honeckerem. Niewielu zwraca uwagę na towarzyszący mu napis: „Mój Boże, pozwól mi przetrwać tę śmiertelną miłość".

Który jest ironicznym komentarzem do mięty, jaką wielu Niemców czuło do Rosji, kiedy jeszcze nikomu nie śniło się o komunistycznej NRD – za Królestwa Prus, Cesarstwa Niemieckiego czy Republiki Weimarskiej. I nadal czuje – Tino Chrupalla, jeden z liderów AfD, mówi, że Putin nic mu nie zrobił, Rosja nie jest zagrożeniem dla Niemiec, a większym pozostaje tak naprawdę Polska.
– Według niego braliśmy udział w podwodnym ataku na gazociąg Nord Stream, niszcząc infrastrukturę krytyczną sojusznika. A Rosja nigdy czegoś takiego nie zrobiła. W pamięci nie tylko Chrupalli, ale i innych z AfD nie ma miejsca na rosyjskie szantaże gazowe, także te wobec Niemiec. Nie pamięta się o cyberatakach rosyjskich na posłów Bundestagu, o zabójstwach wrogów Kremla na zlecenie w środku Berlina czy o wspieraniu reżimu Asada w wojnie w Syrii, czego konsekwencją był między innymi kryzys migracyjny w 2015 roku.

Dla nich Rosja jest odwiecznym przyjacielem Berlina. Zawsze, kiedy Niemcy zgodnie współdziałały z Rosją, w Europie panowały miłość i pokój, mówią w AfD. Ulrich Siegmund, partyjna gwiazda z Saksonii-Anhalt, uważa, że myślenie o niemieckich czołgach wysłanych przeciwko Rosji jest niedopuszczalne. Przecież ona nie ma zamiaru atakować Republiki Federalnej.

AfD wyłamuje się więc z większości niemieckiej klasy politycznej nie tylko w kwestii stosunku do Putina, ale ma też odmienne zdanie co do współpracy z Rosją w ogóle. Oni uważają, że natychmiast należy naprawić i uruchomić Nord Stream, znieść sankcje i wrócić do handlu, nie tylko węglowodorami, ale wszystkimi innymi produktami czy usługami.

O tym, że są przeciwko powrotowi do powszechnego poboru, zwłaszcza ci na wschodzie, już wspominałam. Są też tacy, którzy uważają, że wzmacnianie armii, zbrojenia i pobór są może i OK, ale powinna to być Bundeswehra bardziej niemiecka niż natowska albo wpływ Niemiec na decyzje NATO powinien być większy.

Na takich nastrojach najlepiej gra Alice Weidel, czyli liderka partii, która uważa, że przyszedł czas, by Niemcy „przestali być wasalem USA". Jednocześnie oczywiście pielęgnuje związki z ruchem MAGA.

Obecnie Niemcy wydają najwięcej spośród państw europejskich na pomoc Ukrainie. AfD chce to zmienić. Ale czy inne partie i instytucje państwa na to pozwolą? Mówiąc inaczej: czy realizacja tego postulatu jest realna?
– Wydają najwięcej nominalnie, ale nie w stosunku do PKB. ale i tak to ogromne sumy. AfD najchętniej zerwałaby wszystkie umowy, ale raczej nie będą mieli takiej władzy, by wycofać się z wieloletnich zobowiązań.

Często słyszę od Niemców pytanie: Dlaczego ciągle rozpamiętujecie wojnę, czemu chcecie wciąż być ofiarami? To wam się podoba?

Dziadkowie Alice Weidel pochodzą z Górnego Śląska. Przodkowie Björna Höcke, najważniejszego ideologa AfD, z byłych Prus Wschodnich. Czy to ma znaczenie, jeśli chodzi o kształtowanie polityki wobec Polski i generalnie stosunek do Polaków? Czy pojawiają się postulaty powrotu ziem utraconych do Niemiec?
– Ma znaczenie. Oboje byli prawdopodobnie wychowywani w silnym resentymencie i poczuciu krzywdy. Ale kluczowe jest coś innego: generalny rewizjonizm historyczny, nie tylko względem Polski, jest głęboko zakorzeniony w AfD. Tam panuje przekonanie, że wszystkie rządy po 1945 roku uprawiały pedagogikę wstydu. Liderzy AfD uważają, że społeczeństwo już się rozliczyło z nazizmu, a teraz młodzi ludzie muszą poznać tysiącletnią historię narodu, który odnosił spektakularne sukcesy. Koniec z „pomnikami hańby" upamiętniającymi niemieckie ofiary wojny i przypominającymi zbrodnie. System edukacji historycznej ma być zmieniony: więcej o niemieckich krzywdach i o „państwach, które wypędzały", „Vertreiberstaaten". Które to mocno pejoratywne sformułowanie odnosi się do Polski i Czech.

Oczywiście AfD uważa, że nie ma mowy o żadnym zadośćuczynieniu dla Polski, a jeśli będziemy kontynuować temat, to porozmawiamy też o zmianie powojennych granic i utraconych przez Niemcy ziemiach wschodnich. Te groźby nie są adresowane do aliantów, nie mówi się o ich decyzjach, tylko o Polsce, która miała dostać za dużo i niezasłużenie.

Rosji w tym nie ma. Ani jako decydenta na konferencjach w Jałcie i Poczdamie, ani w kontekście gwałtów i grabieży Armii Czerwonej zdobywającej Berlin.

W sumie to żadna nowość. Wcześniej politycy prawicy, choćby związani z ziomkostwami zrzeszającymi przesiedleńców i uchodźców z Prus Wschodnich, Czech, Rumunii, Litwy i tak dalej, próbowali grać tymi emocjami.
– Tak, ale jednak w innej formie.

Owszem, te wątki były obecne w polityce i społeczeństwie niemieckim. Pod hasłem: tak jak i inni nie byliśmy tylko zbrodniarzami, ale też ofiarami. Rozliczyliśmy się już i jesteśmy wielkim narodem, mamy osiągnięcia! Już Helmut Kohl prowadził taką politykę wstawania z kolan. Co wywoływało zresztą burzliwe dyskusje w Niemczech, nie spotykało się jedynie z aprobatą, niemniej „ojciec zjednoczenia" był fundatorem dwóch kluczowych przedsięwzięć: Domu Historii RFN w Bonn, który zainicjował zaraz po objęciu funkcji kanclerza w 1985 roku, i założonego w 1987 roku w Berlinie Niemieckiego Muzeum Historycznego.

Ale jego celem była normalizacja Niemiec, by mogły zająć nowe miejsce w polityce międzynarodowej. A AfD idzie dużo dalej. Nie tylko chcą zamknąć okres rozliczeń wojennych, ale też, odnosząc się do nowszej historii, odpowiadają na poczucie krzywdy mieszkańców wschodnich landów, którzy uważają, że są dyskryminowani przez państwo.

I owszem, nadal, po ponad trzydziestu latach od zjednoczenia, Ossi, jak potocznie mówi się o ludziach z terenów NRD, są skrajnie niedoreprezentowani w niemieckiej polityce szczebla federalnego, na uczelniach wyższych, w policji, mediach czy sądownictwie. Sprawdzałam to parę lat temu: stanowią około 20 procent ludności Republiki Federalnej Niemiec, a w mediach mają około 8 procent ścisłego kierownictwa, w kulturze podobnie, w biznesie i stowarzyszeniach pracodawców coś około 4 procent. W sądownictwie ten odsetek był wręcz minimalny: około 2 procent. Podobnie jest wśród kadry w szkolnictwie wyższym. Teraz ma się wszystko zmienić, mają rządzić Niemcy ze wschodu, o których Björn Höcke, główny ideolog partii mówi, że są prawdziwymi Niemcami, nie jak ci z zachodu, reedukowani do tego stopnia, że stali się tak naprawdę „Amerykanami mówiącymi po niemiecku".

AfD chce też zmieniać sposób kształcenia – edukacja ma wielbić naród, środowisko naturalne, historię, zwycięskie armie, poetów. XIX wiek przedstawiany jest w tej wizji jako złote stulecie Niemiec. Bismarck jest bohaterem, bo to on jako „Żelazny Kanclerz" miał prawidłowo zdefiniować historyczne powołanie i właściwą rolę Niemiec na arenie międzynarodowej. Nie muszę chyba przypominać, że to ten sam kanclerz, który w pełni zasłużył na miano polakożercy.

Do AfD należy Erika Steinbach. Wieloletnia szefowa Związku Wypędzonych od lat 90. pełniła w Polsce, zwłaszcza na prawicy rolę dyżurnego stracha, wzorcowej niemieckiej rewizjonistki, ale ostatnio o niej ucichło. Ma silną pozycję w tym środowisku?
– Tak. CDU porzuciła w 2017 roku, a AfD postawiła ją nawet na czele swojej fundacji imienia Erazma z Rotterdamu.

Zresztą Związek Wypędzonych też cały czas prężnie działa. Środowiska wypędzonych mają duże poparcie nie tylko w AfD, ale też w CSU, czyli bawarskiej chadecji. Notabene ta partia-bliźniaczka CDU próbuje zwiększać swój wpływ na skład władz Fundacji „Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie", powstałej w miejsce niesławnego Centrum Przeciwko Wypędzeniom", a nawet koncepcję działania i kształt jej wystawy stałej. Ostatnim takim próbom zapobiegł prawdopodobnie sam kanclerz Friedrich Merz.

Związek Wypędzonych cały czas się reprodukuje. O ile polskie ofiary wymierają, o tyle w Bund der Vertriebenen i w różnych ziomkostwach działają kolejne pokolenia. A to właśnie w BdV gromadzili się najgłośniej postulujący rewizję granic.

Historia ze Steinbach jest symptomatyczna. Przez lata przekonywano nas, że ta urodzona w 1943 i „wypędzona" z okupowanej Rumii jako malutkie dziecko córka stacjonującego tam oficera nie jest nikim ważnym w CDU, a Związek Wypędzonych to marginalna organizacja, więc protestując przeciwko utworzeniu w Berlinie „Centrum przeciwko Wypędzeniom", o które zabiegała, tylko zwracamy na nią uwagę i podgrzewamy atmosferę. A przecież w tamtym czasie Steinbach była ważną figurą w klubie CDU, nadawała ton w wielu kwestiach.

W każdym razie paradoksalnie, dzięki tej awanturze z nią i jej Centrum w pierwszej dekadzie lat 2000, wyszło na jaw i dotarło do szerokiej niemieckiej publiczności mnóstwo informacji na temat nazistowskiej przeszłości kierownictwa Związku, rewizjonistycznych haseł, zawyżania liczby wysiedlonych, gróźb i szantaży pod adresem Czech i Polski, stawiania warunków naszego przystąpienia do Unii Europejskiej. Zadziałali zarówno niemieccy, jak i polscy historycy i eksperci.

Dzisiaj Steinbach świetnie odnalazła się w AfD z jej podejściem do historii Niemiec i antymigracyjnymi hasłami.

Alternatywa dla Niemiec zapowiada reemigrację, czyli wyrzucanie z kraju migrantów i uchodźców. Polaków też?
– Nie sądzę.

To pojęcie, które wzbudziło wiele kontrowersji, pierwszy raz pojawiło się przy okazji tajnej konferencji pod Poczdamem, w której wzięli udział ludzie związani z AfD oraz jej sponsorzy. Omawiano plan pozbycia się imigrantów z Niemiec, łącznie z tymi mającymi obywatelstwo. Zapachniało nazizmem i antysemityzmem lat 30., więc ugrupowanie odcięło się od tych pomysłów, ale po kilku miesiącach wpisało je do programu. Tłumaczą, że chcą sterować migracją i wpuszczać do kraju wykwalifikowanych pracowników, deportować przestępców i tych, którzy się nie przystosowali, również cofając decyzje o przyznaniu obywatelstwa.

A ostatnio w haśle o reemigracji pojawiła się nowa treść. Ulrich Siegmund mówi o powrotach osób mieszkających poza granicami kraju, szczególnie w Szwajcarii i USA, które wyemigrowały, ponieważ Bundesrepublika jakoby je wypchnęła i nie stworzyła im warunków do życia i rozwoju.

W ogóle Niemcy, a zwłaszcza wyborcy AfD, bardzo tęsknią do tej starej, dobrej Bundesrepubliki. Często wyobrażonej, bo duża ich część albo jej nie pamięta, albo żyła w NRD. Mamy ewidentnie do czynienia z czymś, co Zygmunt Bauman nazwał retrotopią, zwrotem ku wyimaginowanej przeszłości w poszukiwaniu azylu i bezpieczeństwa. To główne hasło AfD: w Niemczech ma być tak jak dawniej, bez muzułmanów, z silną gospodarką, stabilnym rynkiem pracy, przewidywalnością, działającym państwem, renomą międzynarodową i powszechnym bogactwem.

wyborcza | MAGAZYN

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie
redakcyjnych
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl bbdb7a80f8

Słowem – AfD chce wrócić do czasów, które wyobraża sobie jako te, kiedy Niemcy byli panami swojego życia, mieli wszystko pod kontrolą. Te dyskusje kojarzą mi się z fabułą „Schronu przeciwczasowego" Georgi Gospodinowa. W tej powieści daje się społeczeństwom możliwość wyboru, na drodze referendum, powrotu do najlepszych czasów w historii. Niemcy – rzecz jasna po długiej dyskusji – głosują za latami 80., a dokładniej za tymi zachodnioniemieckimi latami 80., z podziałem Berlina, czemu nikt się nie sprzeciwia, wręcz tego domaga.

A wracając do rzeczywistości – na wielu wiecach AfD ludzie mówią, że również w NRD było lepiej niż dzisiaj, ponieważ świat był przewidywalny, była praca i osiągnięcia sportowe. Zależność od ZSRR i wszechobecne donosicielstwo i inwigilacja Stasi, czyli służby bezpieczeństwa, są zapomniane.

AfD uważa też, że odpowiedzialność za migrację powinny przejąć kraje tranzytowe, czyli te, przez które do Niemczech docierają uchodźcy – a więc również Polska. Jak to może wyglądać w praktyce?
– Już to widzimy: na wszystkie niemieckie granice wróciły wyrywkowe kontrole – na tej z Austrią trwają od 2015 roku – i osoby bez odpowiednich papierów na wjazd są zawracane. To przynosi efekty. Liczba wniosków azylowych spadła o ponad 50 procent. Tę politykę kontynuuje konsekwentnie rząd Merza i ma szerokie poparcie.

Kluczowe było wysłanie w świat jasnego sygnału: koniec z kulturą gościnności. Zaostrzamy prawo, nie wpuszczamy, jak kiedyś, na samo hasło „azyl". Trwają też prace nad reformą systemu socjalnego, który przyciąga do Berlina setki tysięcy ludzi. Tych potrzebujących, ale też tych cwaniakujących.

Lecz AfD idzie dalej: chce ograniczyć prawo azylowe obejmujące autentycznych uchodźców politycznych czy wojennych. Państwo miałoby działać uznaniowo.

Czyli sympatycy AfD nie boją się energetycznego uzależnienia od Rosji, którą mają za dobrego partnera gospodarczego, natomiast za problem dla ich dobrobytu uważają Ukraińców i generalnie migrantów. A czy w ogóle dostrzegają zagrożenie dla fundamentów niemieckiej prosperity, mianowicie Chiny? Coś, co spędza sen z powiek politykom „starych" partii czy ekspertom, czyli gospodarcza dominacja Pekinu, który już teraz ma sprawniejszy przemysł motoryzacyjny, kiedyś będący chlubą Berlina, zaprząta wyborcę Alternatywy.
– „Dostrzegają" to grube niedopowiedzenie. Są przerażeni, a nawet lekko w histerii. Doszło do nich, że konsekwencje tak zwanego chińskiego szoku 2.0 dotkną w głównej mierze właśnie ich ojczyznę. Nie tylko sektor motoryzacyjny, ale cały wysoko wyspecjalizowany przemysł, ich zaawansowanie technologiczne. Tyle że pytana w wywiadach o recepty Alice Weidel nie potrafi udzielić konkretnej odpowiedzi. Co zrozumiałe, bo obiektywnie sprawa jest bardzo trudna, ale jej partia ma opinię kompetentnej w sprawach gospodarczych, więc doradcy będą musieli coś przygotować przewodniczącej na kolejne wywiady.

A poważnie, to Chińczycy produkują nie tylko szybciej, taniej, ale coraz częściej również lepiej, i jeszcze subwencjonują swoje wyroby na masową skalę. Dlatego do Niemców z opóźnieniem, ale dochodzi, że cała Unia musi zacząć działać wspólnie, bo Pekin bezwzględnie rozgrywa poszczególne państwa i skończy się to deindustrializacją Starego Kontynentu.

AfD chce reformy Unii Europejskiej, może nawet wyjścia ze Wspólnoty. I to się podoba Niemcom? Bo w Polsce ten pomysł wywołuje strach.
– Na samym początku istnienia, czyli 13 lat temu, ludzie AfD mówili o opuszczeniu Unii ze względu na sprzeciw wobec euro, byli też przeciwni ratowaniu państw pogrążonych w kryzysie finansowym. Dzisiaj większość z nich nie mówi już o Deutschxicie czy Gerxicie, ale domagają się ograniczenia kompetencji instytucji unijnych, zmniejszenia biurokracji czy przeregulowania. Na pewno chcieliby też zmniejszenia składki członkowskiej, ponieważ uważają, że ich pieniądze są wydawane na inwestycje wszędzie, tylko nie w Niemczech.

Unia nie powinna również wtrącać się w sprawy ustrojowe, światopoglądowe, politykę zagraniczną czy migracyjną.

Niemcy są antypolscy?
– Nie powiedziałabym. Ale rewizjonizm historyczny AfD uderza w Polskę.

Niemcy radzą sobie gorzej, nie notują rozwoju gospodarczego, ich infrastruktura się sypie, a Polska w tym czasie kwitnie. Czy to wywołuje zawiść?
– Może trochę, ale tak naprawdę Niemcy nie wiedzą za wiele o naszym kraju. Nie znają ani naszej teraźniejszości, ani historii. Nie mają świadomości zbrodni, jakie ich przodkowie dokonali na tych ziemiach, a o bieżącej polityce są informowani nadal dość ogólnikowo.

Co ciekawe, więcej o Polsce wiedzą mieszkańcy wschodnich, graniczących z nami landów i są bardziej skłonni do współpracy mimo panującej tam prorosyjskości.

Ale wypada odnotować, że ostatnio widać rosnącą falę oddolnego zainteresowania Polską. Nasz wzrost gospodarczy, bezpieczeństwo, porządek, kontrolowana migracja – o tym donoszą zwykli Niemcy i celebryci odwiedzający Polskę. Korespondenci niemieckich mediów też zaczynają pisać inaczej o naszym kraju, nie ma już prawie stereotypowych obrazów z babcią w chustce na wozie jadącą na wybory.

Niemcy mówią dziś często: „zróbmy u siebie, tak jak jest w Polsce". Oczywiście są i tacy, którzy dodają: „to wszystko, ten sukces, to za nasze pieniądze", niemniej wiedza, że Warszawa niezwykle skutecznie i przy tym transparentnie potrafiła wykorzystać fundusze europejskie, zaczyna się mocno przebijać. Widać to zwłaszcza na tle regionu.

Politycy niemieccy widzą naszą rosnącą pozycję i to dla nich trudna sytuacja. Nie są przyzwyczajeni do konkurowania z Polską.

Czyli Polska staje się wzorem?
– W jakieś mierze.

I politycy AfD też tak uważają?
– W wielu parlamentach krajów związkowych na wschodzie w czasie debat Polska jest wymieniana jako wzór zwłaszcza przez polityków Alternatywy. Głównie ze względu na opór w przyjmowaniu imigrantów, ale też ze względu na wzrost gospodarczy.

Przyznam, że fascynuje mnie Alice Weidel. Urodziła się na Zachodzie, zrobiła karierę w sektorze bankowym, czyli w kosmopolitycznej, kapitalistycznej elicie, która w narracji jej partii wykorzystała niemiecki wschód i wychowuje dwoje dzieci z żoną pochodzącą ze Sri Lanki. A jednocześnie głosi poglądy, które uderzają w nią samą – uprzywilejowaną mieszkankę zachodnich landów, lesbijkę w oficjalnym związku z osobą o niebiałej skórze. Ten rozdźwięk nie przeszkadza wyborcom AfD?
– Nie, co widać po rankingach zaufania, które wygrywa. Może dlatego, że na pytania o kwestie światopoglądowe Weidel odpowiada, że jest za utrzymaniem linii partii, a więc wspieraniem tradycyjnego modelu rodziny. Ona sama żyje inaczej, a związki homoseksualne po prostu nie powinny być modelem dominującym czy promowanym przez państwo.

Co ona takiego ma w sobie, że to przechodzi?
– Nie można o niej raczej powiedzieć, że jest sympatyczną osobą. To zupełnie inny typ niż obecny lider sondaży kampanii w Saksonii-Anhalt.

Uli – jak go pieszczotliwie zdrabniają fani – Siegmund to taki brat łata: młody, uśmiechnięty, przystojny, mający świetny kontakt z ludźmi, jeżdżący na Simsonie, kultowym enerdowskim motorowerze, z fenomenalną pamięcią do twarzy i nazwisk. Jest emocjonalny, jest „nasz". Weidel nie ma tych wszystkich cech. Owszem, mówi jasno i dobitnie, świetnie przemawia, jest przygotowana. Lecz nawet z wyglądu to businesswoman: nosi marynarki, garnitury, niewiele biżuterii. Ale i ona potrafi wyczuć nastrój sali i emocje społeczne. Bardzo dobrze radzi sobie na wiecach, jej postawa jest niemal agresywna. To nie typ Mutti, jak Merkel, ona nie obieca, że będzie wszystko dobrze i damy radę, raczej będzie krzyczeć: chodźcie za mną! Taki model silnego lidera, przywódcy, żeby nie powiedzieć: führera, działa, partia za nią idzie, co pokazały niedawne wybory liderów: Weidel dostała ponad 80 procent głosów.

Inna rzecz, że ona umiejętnie lawiruje między frakcjami tej mocno niespójnej partii. Bo tam naprawdę jest niewiele spraw, co do których jest jakieś wspólne stanowisko, może z wyjątkiem Rosji. Choć i tu Weidel potrafiła zaskoczyć, bo uznała napaść Rosji na Ukrainę za złamanie prawa międzynarodowego i był moment, w którym krytycznie wypowiadała się o Putinie. Natomiast o całą resztę politycy AfD się kłócą: jedni chcą zbliżenia z ruchem MAGA Donalda Trumpa, drudzy uważają, że Niemcy są niewolnikami Ameryki i trzeba z tym skończyć. Jest grupa nastawiona niemal libertariańsko, jeśli chodzi o ekonomię i są socjaliści. A Weidel stara się spinać całą partię i wycisza spory.

Bo chce rządzić?
– Bardzo. Choć publicznie twierdzi, że tylko samodzielne rządy przyniosą zmianę polityki w Niemczech, a AfD ma zastąpić chadeków – którzy obecnie wykluczają jakiekolwiek relacje z nią – jako prawdziwa partia konserwatywna, z pewnością weszłaby w koalicję z CDU. Bo wie, że samodzielnie rządzić to mogą ewentualnie w jakimś landzie.

Najbliżej są tego w Saksonii-Anhalt. Zobaczymy, jaki będzie wynik tamtejszych wyborów 6 września. Ale na scenie federalnej to na razie niemożliwe. Choć widać już, że idea kordonu sanitarnego wokół tej partii się nie sprawdza. AfD tylko rośnie w sondażach. Na zjeździe pojawiły się hasła o poszukiwaniu umiarkowanych wyborców, a jednocześnie do zarządu weszły osoby z frakcji skrajnych radykałów.

Ich przywódcą jest Höcke. Czy to główny ideolog partii?
– Tak, a jednocześnie ma też realnie ogromny wpływ na AfD.

Höcke głosi, że jeśli Niemcy nie zaczną działać, to grozi im biologiczny i kulturowy koniec. Operuje tym niemal egzystencjalnym lękiem i tłumaczy, że trzeba walczyć z zagrożeniem wynikającym z działania trzech procesów: zapaści demograficznej, masowej migracji z kręgów „obcych kulturowo" oraz erozji „wewnętrznej substancji" narodu. W tym zaniku dumy i etosu pracy. O jego uwielbieniu dla Bismarcka – sam określa się jako neobismarckista – niechęci do USA i mięcie do Rosji już wspominałam. No i podpisuje się pod twierdzeniem innego działacza AfD, że okres nazistowski to tylko „ptasia kupa" w tysiącletnich dziejach Niemiec.

Dlaczego nie jest liderem?
– Ponieważ ma ogromny elektorat negatywny. Na zachodzie Niemiec budzi wręcz przerażenie, podobnie jak u nas. To z jego powodu nie chcą z AfD współpracować ani Giorgia Meloni, ani Marine Le Pen.

Również dlatego Höcke nie jest nawet posłem w Bundestagu. Działa w Turyngii, jest szefem lokalnych struktur partii. Jego radykalizm nie podobał się w samej AfD, były próby jego usunięcia, ale to kosztowałoby partię 7-10 procent, więc trwa. A nawet rośnie w siłę, bo ci, co z się z nim nie zgadzają, i tak głosują na AfD. Mowa o ludziach, którzy przestali ufać innym partiom i wychodzą z założenia, że trudno, Höcke, nie Höcke, coś się musi zmienić, ponieważ „rządzący od zawsze", czyli socjaldemokraci z SPD i chadecy, nie radzą sobie z wyzwaniami współczesnego świata.

Kim są ci ludzie? Lewicowo-liberalny stereotyp wyborcy alt-rightu to głównie mężczyzna z problemami. Albo faszysta, neonazista, wręcz skinhead, albo incel nienawidzący kobiet, niewykształcony przegryw. AfD ich przytula? Uznali ją za swoją reprezentację czy uważają ją za nie dość prawdziwą, za zbyt miękką, zbyt mainstreamową?
– AfD jest już partią masową, to znaczy przyciąga wyborców z wszystkich grup wiekowych, społecznych i zawodowych. Znaleźli w niej schronienie z różnych przyczyn niezadowoleni, ale także ci dotychczas niegłosujący. Nie można natomiast powiedzieć, że jest to tylko partia protestu. To już minęło. Ludzie z rozmysłem głosują na nich i ich program. Ale w ostatnich wyborach w 2025 roku wystartowało około 30 partii, w tym skrajne z obu biegunów, więc Niemcy mają w czym wybierać. Od ortodoksyjnych komunistów po byłą neonazistowską NPD, teraz pod nazwą Heimat.

A co z klasą średnią, tymi wszystkimi właścicielami firm rodzinnych, konserwatywnymi dentystami, sklepikarzami i generalnie mieszczaństwem?
– Oferta programowa tej partii jest dla wszystkich, bez względu na wiek, zawód czy pochodzenie społeczne. Na wschodzie i na zachodzie ludzie głosują na kandydatów z AfD, którzy często wykonują zawody zaufania publicznego, czyli strażaków, lekarzy, nauczycieli. Ale jeśli uwzględnimy, że na zachodzie Niemiec żyje około 80 proc. ludności, to okaże się, że choć na wschodzie AfD jest silniejsza i ma wyższe poparcie, liczbowo przewagę mają struktury w landach zachodnich. Trzy największe, z Nadrenii Północnej-Westfalii, Bawarii i Badenii-Wirtembergii, skupiają około 43 procent członków ugrupowania! Mieszczanie są i wśród działaczy, i wśród wyborców.

I oni, ci z zachodu, też mają osobisty stosunek do Polski? Nie lubią nas? Uważają za problem w relacji z Rosją?
– Naprawdę dominującym odczuciem jest obojętność. Nie jesteśmy żadnym kluczowym czynnikiem czy punktem odniesienia. Owszem, pojawiamy się w dyskusjach, czasem jako przykład rozwoju gospodarczego, kraj szczęśliwy, bo bez nadmiernej liczby migrantów, a czasem jako państwo, który chce wywołać wojnę w Europie, ponieważ za bardzo wspiera Ukrainę i walczy z Rosją. Ale AfD myśli głównie o swoim kraju, zajęta jest marszem po władzę i skupiona na sobie. Potem będą się zajmować sąsiadami. ●



***Dr Anna Kwiatkowska**

• Analityczka, od 2005 roku kierowniczka Zespołu Niemiec w Ośrodku Studiów Wschodnich, wcześniej główna specjalistka w departamencie współpracy Międzynarodowej MSWiA. Współprowadząca – z Markiem Cichockim – podkast „Niemcy w ruinie?". Autorka licznych analiz i komentarzy dotyczących niemieckiej polityki, społeczeństwa i gospodarki. Jej najnowsza publikacja to esej **„Niemcy na kozetce, czyli jak analizować i nie zwariować"** w raporcie **„Uporządkować rzeczywistość. Poradnik analityczny Ośrodka Studiów Wschodnich"**.

eprasa.pl bbdb7a80f8

PUTIN WIE, ŻE NIE BĘDZIEMY STRZELAĆ



• Imigranci od zawsze próbowali dostać się przez Ceutę do Hiszpanii. W 2021 r. 8 tys. ludzi przypłynęło tu w dwa dni. Ale 30-31 lipca br. w ciągu doby na wyspę przypłynęło ich z Maroka 70 tysięcy.

FOT. EUROPA PRESS NEWS/GETTY IMAGES

Jaki znowu kryzys migracyjny. Unia dawno nie miała takiej kontroli nad swoimi granicami.

Z **GERALDEM KNAUSEM*,** AUSTRIACKIM EKSPERTEM ZAJMUJĄCYM SIĘ MIGRACJĄ, ROZMAWIA **MATEUSZ MAZZINI**

Był pan zaskoczony tym, co wydarzyło się kilkanaście dni temu w Ceucie?

– Tam wydarzyły się dwie różne rzeczy. Z jednej strony doszło do próby przekroczenia granicy Unii Europejskiej na bezprecedensową skalę. 70 tysięcy imigrantów w ponad dobę – coś takiego nigdy się nie wydarzyło. Ani w 2015 r. na wyspach Morza Egejskiego, ani później na Lampedusie. W szczycie kryzysu migracyjnego sprzed dekady średnia nielegalnych przekroczeń granicy unijnej na greckich wyspach wynosiła 10 tysięcy miesięcznie. Więc nikt nie mógł się tego spodziewać.

Ale z drugiej strony – jeśli całkowicie oddajemy kontrolę nad zewnętrznymi granicami krajom pozaeuropejskim, nikt nie powinien być zdziwiony takim kryzysem. Mogę pana zapewnić, że czekają nas podobne wydarzenia. Może nie o takiej skali czy przebiegu, ale model został opracowany i będzie powtarzany. Kraje położone na południowych rubieżach Unii, jak Hiszpania, Włochy, Grecja czy Cypr, są bezsilne w takich sytuacjach. Jeśli ich pozaeuropejscy sąsiedzi odblokują granice, niewiele mogą zrobić. W Polsce sytuacja jest łatwiejsza, możecie zbudować mur, zmilitaryzować granicę z Białorusią. Ale na wodzie nikt muru nie postawi.

Śmieszy mnie też, że po Ceucie wróciła retoryka o konieczności zbudowania „Fortecy Europa". Zapraszam do Ceuty, jeśli cokolwiek jest europejską fortecą, to właśnie to miasto. Nie jeden mur, a dwa, w rzędach, oba na wysokość sześciu metrów, do tego wszędzie drut kolczasty. Ludzie przedostali się tam przez morze, płynąc.

To samo można powiedzieć o Wyspach Kanaryjskich, Balearach, Lampedusie, szlaku środkowym na Morzu Śródziemnym – jeśli tylko ludzie będą w stanie wejść na łódkę czy na ponton i odbić od brzegu Afryki, nic ich nie powstrzyma. Z tej perspektywy Ceuta też nie była dla mnie zaskoczeniem.

A reakcja na ten kryzys? Dla mnie narracja medialna po stronie liberalnej była szokująca. 70 tysięcy osób przeszło przez granicę, 65 tysięcy dzień później Hiszpanie odesłali z powrotem. Nawet jeden imigrant nie przedostał się do strefy Schengen, bo Ceuta nie jest jej częścią. To był najlepiej zarządzony i najszybciej rozwiązany kryzys migracyjny w historii Unii, a wszyscy zaczęli trąbić o katastrofie.

– Hiszpanie bardzo szybko uporali się z problemem. A wpiszmy to w szerszy kontekst – według UNHCR, Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do Spraw Uchodźców, całkowita liczba nielegalnych przekroczeń granicy hiszpańskiej na południu wyniosła 14 tysięcy w ciągu całego pierwszego półrocza tego roku. Dane za 2025 rok mówią o mniej więcej 24 tysiącach, przy czym Unia wlicza w to także Wyspy Kanaryjskie. Jak więc na to nie patrzeć, Hiszpania ma kontrolę nad granicami.

Zresztą w całym basenie Morza Śródziemnego jest podobnie. Dane UNHCR za sześć pierwszych miesięcy tego roku odnoszące się do Grecji, Włoch i Hiszpanii razem wziętych mówią o 50 tysiącach nielegalnych imigrantów. A w to wchodzi przecież Libia, od lat gigantyczny szlak centralny. Widać więc gołym okiem, że nie mamy w Europie żadnej masowej imigracji. Nigdzie, znikąd, w żadnym kraju.

Powody tej histerycznej reakcji są dwa.

Po pierwsze, Ceuta jest naprawdę malutkim miejscem. Jeśli mieszkają tam 83 tysiące osób, a w dwa dni przybywa 70 tysięcy, to musi wywołać szok. Mieszkańców tej enklawy odczuli to jako totalną utratę kontroli nad swoim miastem. Nie zapominajmy też, że to była katastrofa humanitarna. Liczby wahają się od 70 do 140 ofiar śmiertelnych.

A po drugie – nasi politycy po prostu po raz kolejny okazali się całkowicie nieprzygotowani. Kiedy kilka lat temu na Lampedusie wylądowało kilka tysięcy imigrantów, Ursula von der Leyen natychmiast tam przyleciała, stanęła przed kamerami, zaprezentowała 10-punktowy plan, po czym natychmiast zaczęliśmy podpisywać umowy relokacyjne z krajami trzecimi.

A teraz? Von der Leyen wychodzi z 5-punktowym planem, ale przekaz jest inny. „Jesteśmy zdziwieni. Daliśmy się zaskoczyć. I w sumie nie jesteśmy w stanie temu zapobiec". Bezradność, bez opowieści, wizji, narracji. Owszem, takie rzeczy będą się dziać – i dlatego w czasach, kiedy ludzie czerpią wiedzę głównie z serwisów społecznościowych zalewanych bzdurami i propagandą, musimy mieć własny sposób tłumaczenia, co się dzieje.

Tymczasem zaraz po wybuchu kryzysu w Ceucie pojawiła się w sieci papka zdjęć mieszających Paryż, imigrantów w Szwecji, północą Hiszpanię, Kolumbię i parę innych miejsc. Wszędzie chaos, zamieszki, dziwne wydarzenia. Nie ma się co dziwić, że ludzie myślą o tym jako o inwazji.

Ale czy z tym da się cokolwiek zrobić? Nikt jeszcze nie znalazł recepty na fejki i wojnę hybrydową w „socjałach".

– Nie chodzi o receptę na TikToka czy Facebooka, bo wbrew pozorom nie wszystko zaczyna się w internecie. Proszę zauważyć, że same zdjęcia czy nagrania wideo nie wywołują u ludzi szoku. On pojawia się nie dlatego, że coś zobaczą w internecie, tylko dlatego, że te obrazy potwierdzają prawdziwość opowieści o migrantach, którą słyszą ze-

eprasa.pl bbdb7a80f8

wsząd. Opowieści, która mówi im, że na granicach krajów europejskich z Afryką jest jakaś gigantyczna presja migracyjna, że niewyobrażalne tłumy tylko czekają, żeby przedostać się na kontynent.

Co gorsza, w ten refren wierzą nie tylko zwykli ludzie. Zaczynają wierzyć także rządy, w tym te liberalne, centrowe, progresywne. Dalszy ciąg jest prosty. Ponieważ ludzie cały czas słyszą, że za granicami Unii są hordy barbarzyńców, zaczyna się oczekiwanie na inwazję. Całkowicie ignorujemy fakt, że przez ostatnie półtora roku w Unii presji na granice nie było żadnej.

A przecież budowanie narracji może działać we wszystkie strony, także te dobre. Jeśli ma się spójną opowieść, podpartą zdjęciami i obrazami, można wiele działać.

We wrześniu 2015 roku cała Europa żyła zdjęciem ciała Alana Kurdiego, chłopczyka, który utopił się w Morzu Egejskim z bratem i matką. Ten obraz stał się szybko symbolem milionów Syryjczyków, którzy musieli uciekać z kraju przed reżimem Asada. Natychmiast wyrósł globalny ruch na rzecz pomocy syryjskim uchodźcom, w ramach którego między innymi Australia, USA, Kanada i Wielka Brytania zaoferowały łącznie 60 tysięcy miejsc dla przesiedleńców stamtąd.

Wszystko dzięki jednemu zdjęciu. Proszę zauważyć, że tym razem nie było zdjęć. Ani jedna fotografia migranta, który utonął u wybrzeży Ceuty, nie przebiła się do mediów. A przecież to też na pewno byli młodzi ludzie.

Obrazki zawsze pokonają statystykę, bo działają na emocje. Dlaczego ich nie wykorzystujemy, oddajemy i je, i statystyki, wrogom Europy, żeby utwierdzali ludzi w fałszywej, budowanej od dwóch dekad opowieści o naszych zewnętrznych granicach?

Dlaczego nikt tej bańki nie przebija, skoro to takie proste?

– Bo politycy uważają, że skoro ludzie już w coś wierzą, to nie zmienią zdania, więc trzeba podążać za trendem. W dobie platform społecznościowych politycy porzucili sprawczość na rzecz reagowania.

W czasie kryzysu w Ceucie rozmawiałem z wieloma europejskimi redakcjami, występowałem w mediach i co chwilę ktoś używał przy mnie słowa „nadzwyczajny". I to prawda, ten kryzys był całkowicie nadzwyczajny – ale dosłownie. Czyli był czymś, co do tej pory się nie zdarzyło. Nie rozumiem, dlaczego odpowiedź europejskich rządów nie skoncentrowała się właśnie na tym. Przecież liderzy mogli wyjść do mediów i powiedzieć, że krajach takich jak Dania czy Szwecja liczba wniosków o azyl jest na najniższym poziomie od wielu lat.

Dlaczego premier Danii albo Szwecji nie zakomunikował swoim wyborcom – a przy okazji reszcie Europejczyków – żeby się nie bali, bo nie ma żadnej fali imigrantów zagrażającej ich krajom? Nie ma nawet takiej, która dotykałaby Niemiec. Dlaczego rządowi spece od komunikacji nie zalali takim komunikatem serwisów społecznościowych?

Znowu wszystkim zabrakło odwagi, żeby mówić, jak jest naprawdę, bo politycy uważają, że albo utwierdzą wyborców w ich przekonaniach, albo przegrają wybory. Więc natychmiast wszyscy mówią o dodatkowych kontrolach na granicach, o większych nakładach na straż graniczną, o nadzorze – i wpadają w pułapkę, bo tylko utwierdzają obywateli, że sytuacja jest naprawdę zła i szowinistyczna alt-prawica słusznie podnosi larum.

Jasne, parę tysięcy imigrantów, głównie nieletnich, nie wróciło do Maroka. Teoretycznie mogą poprosić o azyl. Dodatkowo hiszpańskie prawo stanowi, że po dwóch tygodniach od nielegalnego przekroczenia granicy nieletni są relokowani w różne miejsca kraju, co jest w tym przypadku oczywiste, bo Ceuta nie ma infrastruktury, żeby przetrzymywać kilka tysięcy dodatkowych osób.

Ale Hiszpania nie realizuje tych postanowień, bo wówczas migranci przedostaną się na kontynent, do strefy Schengen, a Madryt już jest pod gigantyczną presją innych państw członkowskich. Lecz skutek jest odwrotny do zamierzonego, bo mamy kompletny chaos i ciągłe podsycanie zainteresowania tematem – tematem kilku tysięcy osób, czyli garstką w skali Hiszpanii, nie mówiąc o Unii. I znowu zyskuje skrajna prawica, bo taki obrót spraw legitymizuje ich opowieść o hordach na granicach.

Stąd właśnie ten paradoks – liczby nielegalnych imigrantów drastycznie spadają, a skrajnej prawicy cały czas rośnie, bo nawet ich przeciwnicy uprawomocniają ich opowieść.

W dodatku rośnie nawet tam, gdzie migracja z Afryki i Azji – czyli tych regionów, których „różnic kulturowych" ludzie najbardziej się boją – jest naprawdę nieznaczna. W Polsce bojówkarze z Ruchu Obrony Granic rozsyłają już newslettery alarmujące, że „imigranci z Ceuty są w drodze do Polski". Tylko nie precyzują, czy płyną przez Morze Śródziemne wpław, czy idą po wodzie.

– A jaka była pierwsza odpowiedź na ten kryzys rządów Danii, Włoch, Francji, Szwecji, Finlandii? Wzmocnione kontrole na granicach, co tylko wzmocniło przekaz „mamy nowy rok 2015, nadciąga migracyjne tsunami".

Dlaczego premier Danii albo Szwecji nie zakomunikował swoim wyborcom – a przy okazji reszcie Europejczyków – żeby się nie bali, bo nie ma żadnej fali imigrantów? Dlaczego rządowi spece od komunikacji nie zalali takim komunikatem?

Pomijam już, że te kontrole, często teatralne, na pokaz, istnieją od lat, a to między Niemcami a Francją, a to między Niemcami a Polską, a to między Francją a Włochami – lecz nielegalnej imigracji wcale nie zatrzymują. Ani Włochom, ani Francuzom statystyki nie spadły dlatego, że wprowadzili sobie nawzajem kontrole na granicach. Chcesz zatrzymać imigrantów, to budujesz mur.

A nigdzie w Europie nie mamy murów pomiędzy krajami członkowskimi.

– Bo ich nie chcemy, bo chcemy, włącznie z wyborcami prawicy, swobody przemieszczania się, chcemy strefy Schengen. Więc trwa ten absurdalny teatr, który tylko wzmacnia prawicowych populistów.

Mamy kryzys na zewnętrznej granicy Unii, na kontynencie afrykańskim, a co robią rządy krajów europejskich? Dyskutują o zwiększonych kontrolach wewnątrz Schengen! Skąd ci imigranci mieliby się tam wziąć?

Skrajna prawica już zaczyna nakręcać opowieść o tych kilku tysiącach ludzi, którzy zostali w Ceucie – że oni się „do nas" przedostaną. Jak? Żeby przepłynąć wpław z Afryki do Hiszpanii właściwej przez Cieśninę Gibraltarską, trzeba być zawodowym pływakiem. Można wsiąść na łódkę, ale to jest taki akwen, że od razu ktoś cię zauważy. Pomijając już fakt, że dla Hiszpanii to kluczowa granica i ma nad nią pełną kontrolę.

Pan mówi o polskiej skrajnej prawicy – a przecież już w pierwszych dniach kryzysu narrację o tym, że imigranci z Ceuty są w drodze na północ, budowały rządy Danii, Szwecji i innych krajów. Rządy! Te same, które usiłują ratować Wspólnotę i zatrzymać alt-prawicę, zwalczają fake newsy, alarmują o propagandowej wojnie hybrydowej.

Na tym polega główny błąd większości centrowych rządów, powtarzany od wielu lat. Zamiast skonfrontować się z opowieścią skrajnej prawicy, powielają ją. Odchodzą od faktów, nie tworzą własnej narracji. Zamiast powiedzieć, że sprawujemy pełną kontrolę nad granicą, że mamy plan, że każdy, kto dostanie się tu nielegalnie, będzie poddany procedurze unijnej, a potem odesłany, na przykład do kraju trzeciego, z którym mamy podpisaną umowę o przesiedleniach – to powtarzamy to, co mówią radykałowie.

Ciągle krążymy wokół tego samego problemu: jak stworzyć własną narrację?

– To naprawdę nie jest takie trudne. Wystarczy wykreować obraz kontroli, podkreślać sprawczość, którą przecież mamy. Komunikat musi być prosty: to jest nasza granica, nie można przekraczać jej nielegalnie, każdy, kto to zrobi, zostanie odesłany poza Unię, ale będziemy was szanować, traktować godnie. Zamiast tego mamy obrazki brutalności celników na granicach Chorwacji z Bośnią, Turcji z Grecją. Ludzie są bici, mamy pushbacki, a w opinii obywateli i tak nie odzyskaliśmy kontroli.

W rezultacie centrowe rządy wychodzą na bandę hipokrytów. Mamy te wszystkie akty prawne, którymi się szczycimy, konwencje na temat uchodźców, prawo unijne, sami to wszystko naruszamy, a efektów nie widać.

To jest dokładnie to samo, co robił Joe Biden przez cztery lata swojej prezydentury. Zamiast budować własne opowieści, powielał i realizował cudze, cały czas podkreślając różnice między cywilizowanymi, szlachetnymi Demokratami a MAGA. Kto na tym zyskał? Trump, którego przekaz był banalnie prosty: słuchajcie, ten rząd jest przepełniony hipokryzją i niekompetencją. Udaje twardziela, mówi, że odzyska kontrolę, a nie umie tego zrobić. Dlatego pozwólcie, że ja przyjdę i to ogarnę.

Jeśli polityczne centrum nie stworzy własnej opowieści, przegra bitwę na obrazy i narracje, a konsekwencje będą dramatyczne. Mimo że azyle czy nielegalna migracja są obecnie marginalnym problemem w Europie, partie, których główne postulaty dotyczą zwalczania imigracji, przodują w sondażach w Niemczech czy w Austrii. Jeśli AfD dojdzie do władzy w Niemczech na szczeblu centralnym, to będzie koniec europejskiego projektu politycznego wykuwanego od końca lat 40. XX wieku.

A lewica głównego nurtu, centryści, liberałowie i konserwatyści ostrzegają przed tym, załamują ręce – ale nie próbują przeciwdziałać, wręcz dostarczają argumentów alt-prawicy.

Co się zmieniło? Przecież kiedy w 2021 r. wybuchał polski kryzys na granicy z Białorusią, Europa odpowiedziała solidarnością. Pięć lat później, w Ceucie, odpowiedź kontynentu polega na biciu Hiszpanów po głowie retoryczną pałką.

– Optyka była inna, bo Polskę atakował nieprzyjazny Zachodowi dyktator z Białorusi. Poza tym od razu pojawiły się podejrzenia, że za wszystkim stoi Putin, a jego łatwo atakować. Nie mówiąc o tym, że dziennikarze szybko odkryli, skąd na białoruskiej granicy pojawili się Irakijczycy, że to była skoordynowana akcja Mińska i Moskwy. Kraje członkowskie zaczęły rozumieć, że ktoś tu instrumentalizuje migrację, więc trzeba coś zrobić, żeby nie wyjść na idiotów.

Problem w tym, że tamta odpowiedź też była błędna, bo zawierała otwartą przemoc. Mur? Proszę bardzo, budowanie murów na granicach nie jest żadnym naruszeniem prawa międzynarodowego, nie łamie praw człowieka, no i nie bulwersuje. Ale pushbacki, bicie, zawieszanie prawa do azylu już tak. I fatalnie wygląda.

To co trzeba było zrobić?

– Coś, co wymagałoby wcześniejszego planowania, złożonej strategii i umiejętności zakulisowego dogadywania się mimo nakręconych emocji elektoratów. Mam na myśli zawieranie porozumień z krajami trzecimi, bezpiecznymi dla imigrantów. Wtedy nie było jeszcze pełnoskalowej wojny w Ukrainie, można to było załatwić z rządami Ukrainy czy Mołdawii.

Akurat w czasie kryzysu w Puszczy Białowieskiej zostałem zaproszony jako ekspert do rozmowy z politykami rodzącej się wtedy niemieckiej koalicji rządzącej. Chwilę później Olaf Scholz został kanclerzem. Próbowałem przekonać wszystkie trzy partie koalicyjne: Zielonych, liberałów i socjaldemokratów, żeby wdrożyli politykę bezpiecznych trzecich państw. Mówiłem im, że muszą wspierać Polskę, ale nie poprzez poparcie dla łamania prawa unijnego i pushbacków, tylko dla rozwiązań systemowych. Komunikat musi być prosty: wejdziesz tu nielegalnie – stracisz czas i pieniądze, bo odeślemy cię za granice Unii, ale nie stanie ci się krzywda.

Zamiast tego mieliśmy hipokryzję i brutalność, która w dodatku została znormalizowana. Ówczesny minister spraw zagranicznych Niemiec, Heiko Maas, powiedział w telewizji, że „nic innego nie da się zrobić". Czyli mówił Niemcom, że kontrolować granice da się tylko przemocą. A to jest samobój dla centrystów, bo komu w dokonywaniu aktów przemocy ufa się bardziej? Kto będzie lepszy, skuteczniejszy w odzyskiwaniu kontroli tą metodą? Wiadomo, że nie partie liberalne czy lewicowe, tylko skrajna prawica.

Ale żeby skomplikować obraz: przemoc to podwójna pułapka. Stosujesz ją – wychodzisz na hipokrytę, ludzie dobrej woli, wrażliwcy, odwracają się od ciebie, masz fatalny piar, a sympatyków prawicy i tak sobie nie zaskarbisz. Nie stosujesz – wychodzisz na słabeusza. Jak teraz w Ceucie, gdzie mundurowi byli wstrzemięźliwi, straż przybrzeżna ani Guardia Civil nie biły imigrantów – i bardzo dobrze, tylko że rząd Sáncheza wyszedł na słaby.

Żyjemy w czasach obrazów i szybkich narracji, więc wszyscy zapomnieli, że wcześniej Hiszpanie wielokrotnie byli brutalni na granicach.

Wspomniałem już Bidena. Dobiło go to samo. Jego administracja całkowicie straciła kontrolę nad południową granicą. Liczba nielegalnych przekroczeń, kontaktów z patrolami celników w każdym roku jego prezydentury była wyższa niż przez cztery lata pierwszej kadencji Trumpa. Oczywiście z kilku różnych, w tym niezależnych od Waszyngtonu powodów, ale obraz poszedł w świat. Więc żeby obniżyć te statystyki, Biden zawiesił prawo do azylu – i liczby rzeczywiście poleciały w dół.

Problem w tym, że to nie jego polityka. Trump od lat mówił o zawieszeniu prawa do azylu za pomocą zwykłego dekretu. W rezultacie Biden liczył, że tuż przed wyborami coś zyska, a wyszedł na nieudacznika, hipokrytę, naśladowcę, stracił kontrolę nad przekazem. Jego porażka to kombinacja braku kontroli, wizerunku niekompetentnego polityka i reputacji kogoś, kto miał zasady, ale z nich zrezygnował dla celów politycznych.

Trudno o lepszą nauczkę. Naprawdę, łamanie prawa to dla centrowych rządów i polityków pocałunek śmierci.

Zmiana zaszła nie tylko w politykach, ale i w nas. W 2015 roku dyskurs publiczny wokół imigracji po stronie liberalnej był budowany w kategoriach humanitarnych. Potem przez chwilę był to temat ekonomiczny, bo zaczęliśmy rozmawiać o starzejących się społeczeństwach. A teraz migracja to dla nas temat bezpieczeństwa narodowego.

– Najlepiej widać to na przykładzie Niemiec. W 2015 roku w Bundestagu były cztery partie. Do tego dochodzi 16 landów. Wszystkie cztery partie i wszystkie landy mówiły jednogłośnie, że kraj musi przyjąć tych bliskowschodnich uchodźców.

Wskutek czego były miesiące, kiedy przyjmowaliśmy nawet 200 tysięcy osób. Jedyny powód, dla którego to nie skończyło się chaosem, zamieszkami czy katastrofą humanitarną, to współpraca państwa ze społeczeństwem obywatelskim. Naprawdę wielu ludzi chciało po-

eprasa.pl bbdb7a80f8

móc uchodźcom. Angażowali się nawet kibice piłkarscy. Na stadionach Borussi Dortmund czy Bayernu Monachium wywieszano transparenty „Refugees welcome".

Napisaliśmy wtedy raport dla władz federalnych z ostrzeżeniem, żeby się w tym wizerunku nie zakochiwać, bo on nie będzie wieczny. Potwierdziło się: empatia była prawdziwa, ale tylko na moment, bo gdy zaczęło dominować przekonanie o braku kontroli nad granicami – czemu trudno się dziwić przy takich rzeszach ludzi – zamieniła się w strach.

Nasz wniosek był odmienny od ówczesnej polityki otwartych drzwi. Sugerowaliśmy, żeby jednak próbować zakończyć nielegalną imigrację, bo ona w gruncie rzeczy jest niemoralna. Przecież podczas nielegalnych przejść przez granicę, zwłaszcza dziką, leśną, górską czy morską, zawsze giną ludzie, więc lepiej robić to w sposób humanitarny – i sześć miesięcy później mieliśmy już bilateralną umowę o ruchu migracyjnym pomiędzy Turcją a Unią Europejską. Niedoskonałą, której zarzucano cynizm, odpychanie potrzebujących – ale ludzie przestali masowo ginąć na morzu.

Europejskie rządy muszą szybko wyciągnąć z tego lekcję w kontekście Ceuty. Na razie większość Hiszpanów popiera Sáncheza, który legalizuje pobyty migrantów, bo rządowi udaje się to bez tarć, wtapia tych ludzi w społeczeństwo – ale prawica już rozkręca narrację o utracie kontroli nad własnym krajem – i zaraz jej urośnie.

Pierwszy zrozumiał ten mechanizm Viktor Orbán. We wrześniu 2015, kiedy świat anglosaski z przejęciem reagował na ciało małego chłopca na greckim wybrzeżu, on wygłosił przemówienie o przyszłości prawicy. Powiedział, że ten kryzys jest olbrzymią szansą, wystarczy tylko zmienić narrację – optykę i pojęcia humanitarne zastąpić opowieścią o inwazji oraz słownictwem militarnym. Jednocześnie Orbán zaczął mówić publicznie – znów jako pierwszy – że ci wszyscy ludzie wcale nie muszą trafić do Europy, przecież jeśli chodzi o bezpieczeństwo, ucieczkę przed wojną, to w Turcji też są bezpieczni.

Kiedyś w Brukseli stwierdził wręcz, że za śmierć Alana Kurdiego odpowiada jego ojciec, bo to on wsadził go na łódkę.

A potem prawica zobaczyła, że to działa, i zintensyfikowała wysiłki. Orbán o wszystko zaczął obwiniać „liberalne elity", bo wysyłały imigrantom złe sygnały, dając do zrozumienia, że na wszystkich czeka azyl. Następnie niemiecka skrajna prawica zaczęła tłumaczyć i lansować obce książki o negatywach masowej imigracji, o wojnie kulturowej, o przestępczości, wówczas dość niszowe. Ponieważ oczy wszystkich były skierowane na Niemcy, te publikacje i wątki zaczęły krążyć po innych krajach europejskich – i proces zmiany opowieści, interpretacji tego, co ludzie widzą, kiedy patrzą na imigrantów, gwałtownie przyspieszył.

Nie ma wątpliwości, że imigranci popełniają przestępstwa, zresztą tak samo, jak obywatele Niemiec, Francji czy Polski. Nie każdy, kto próbuje dostać się do Europy, jest uchodźcą. Ale obraz imigracji z krajów Afryki i Bliskiego Wschodu zmienił się przez ostatnie lata diametralnie na gorsze, a my wciąż nie mamy własnej nowej przekonywującej opowieści o tym, co się dzieje na naszych granicach.

Nadal mówimy o humanitaryzmie, nieustannie gadamy o zachodniej cywilizacji, kim jesteśmy i jakie mamy wartości – a potem podsycamy strach, wprowadzając kontrole w Schengen i wysyłamy ludzi w ręce autokratycznej policji w ciemnym lesie albo z powrotem do libijskich więzień, w których są torturowani.

Strach przed obcym jest naturalny, ale żeby go przezwyciężyć, potrzebujemy przemyślanej, rozważnej i dobrze opowiedzianej polityki migracyjnej. Tymczasem od dekady robimy głupoty, reagując ad hoc i goniąc za dyskursem skrajnej prawicy.

A realia coraz bardziej rozjeżdżają się z przekazem politycznym, obrazkami w mediach i naszymi wyobrażeniami. Spada liczba wniosków o azyl, spadają statystyki migracyjne, a prawica wciąż stawia na lęki migracyjne – na zagrożenie dla naszych wartości, kobiet, miejsc pracy, bezpieczeństwa – i rośnie w sondażach. Co z niego wyniknie?

– Opowiem panu na przykładzie Wielkiej Brytanii. W ostatnich dwóch lata bardzo dużo czasu spędziłem w Londynie, bo dla kogoś zajmującego się migracją to fascynujące miejsce.

Tu role są odwrócone, bo dla Brytyjczyków to Unia Europejska jest tym bytem, który nie umie zatrzymać nielegalnej migracji. Przecież imigranci na Wyspy dostają się z Francji. Z jednej strony narzekamy, że kraje w Afryce, zwłaszcza Maghrebu, nie zatrzymują wszystkich, co przecież powinno być bardzo proste, a z drugiej – co roku dziesiątki tysięcy ludzi trafiają do Wielkiej Brytanii z Francji. Tej samej, która krytykuje rząd w Madrycie i grozi zamknięciem granic z Hiszpanią.

Rząd w Londynie płaci Francji – tak jak Francja z resztą Unii płaci Maroku – setki milionów funtów rocznie w celu zatrzymywania nielegalnej imigracji, po czym ludzie i tak przedostają się przez Kanał La Manche. Część jest oczywiście zatrzymywana, ale przynajmniej 40 tysięcy rocznie trafia do Wielkiej Brytanii.

I znów mamy paradoks, o którym rozmawiamy. Bo 40 tysięcy brzmi groźnie, ale to wcale nie jest wielki kryzys. Liczba wniosków o azyl w Wielkiej Brytanii zawsze była niewielka, teraz jeszcze spadła, od dwóch lat spada też liczba nielegalnych imigrantów. A jednocześnie w przestrzeni publicznej pojawia się coraz więcej obrazów imigrantów wysiadających z łódek, prawie szturmujących kraj – i poparcie dla skrajnej prawicy rośnie. Znowu płacimy za brak własnych opowieści, własnych kadrów.

Można powiedzieć: był Brexit, więc to nie sprawa Brukseli. Ale przecież to jest problem wszystkich w Europie! Sytuacja polityczna w Wielkiej Brytanii bezpośrednio wpływa na bezpieczeństwo Polski, Niemiec, Danii czy Szwecji. Wszyscy potrzebujemy Wielkiej Brytanii, która jest demokratyczna, zaangażowana w pomoc Ukrainie, gotowa bronić Bałtyku. W Estonii stacjonują brytyjscy żołnierze.

Nie chcemy kolejnego wyrobu trumpopodobnego w postaci Nigela Farage'a. Więc dlaczego nie jesteśmy w stanie pomóc Brytyjczykom w zatrzymaniu nielegalnej imigracji z Unii?

No właśnie, dlaczego?

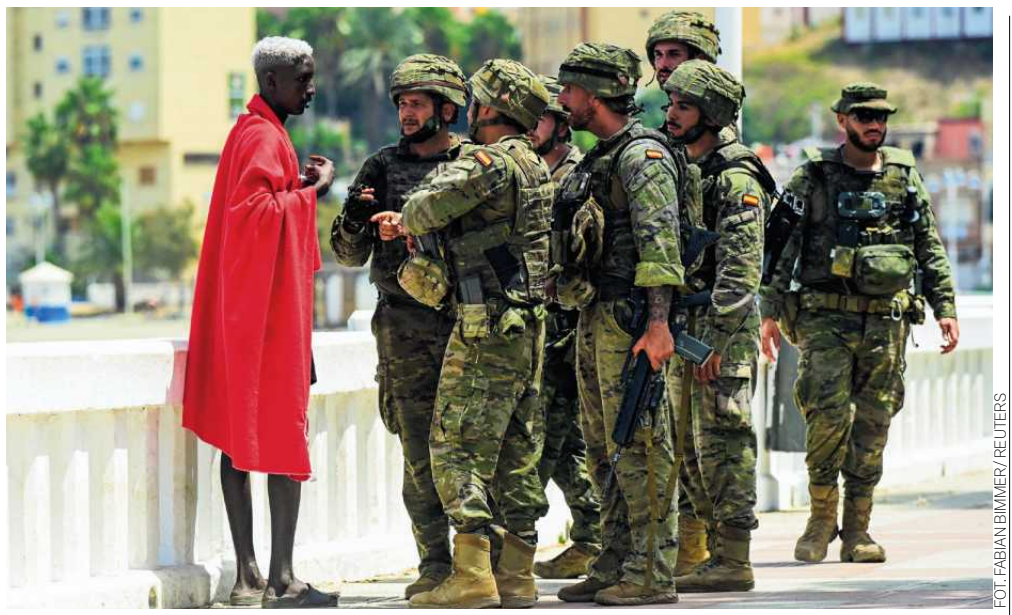
– Bo nie mamy skoordynowanej polityki. Dlaczego rządy Polski, Danii czy Niemiec nie wystosują komunikatu do władz Wielkiej Brytanii z jakąś symboliczną datą: od 1 września każdy, kto nielegalnie trafi na Wyspy Brytyjskie, zostanie odesłany do nas?

Powiedzmy prosto, twardo i uczciwie: skoro przyszli z Unii, zostaną w Unii. U nas są bezpieczni. Nigdzie nie jest zapisane, że każdy człowiek ma prawo żyć w kraju, który sobie wybrał. To nie jest część katalogu praw człowieka. Jeśli ktoś chce aplikować o azyl, niech robi to u nas. A jak i u nas znalazł się nielegalnie, to go odsyłamy do innego, bezpiecznego kraju, z którym mamy umowę.

Wie pan, co by się stało, gdybyśmy to zrobili? Łódki przemytników na Kanale La Manche zniknęłyby w dwa tygodnie. Nie rozumiem, dlaczego europejskie rządy nie udzielą wsparcia Brytyjczykom. To jest naprawdę proste, niskokosztowe rozwiązanie – a imigracja to temat, który zdecyduje o wynikach wyborów.

Tylko mając wspólną politykę koordynowaną na szczeblach ponadnarodowych, będziemy w stanie skupić wszystkie zasoby na zewnętrznych granicach Unii, jeszcze bardziej ograniczyć nieregularną i nielegalną imigrację, jednocześnie zachowując naszą tożsamość, broniąc konwencji i dokumentów, które mamy.

Oraz unikniemy modelu Trumpa, który opiera się na otwartej brutalności. Amerykanie uszczelnili południową granicę, ale za cenę od-



FOT. FABIAN BIMMER/ REUTERS

• **Ceuta, 1 sierpnia br. Po masowej próbie przekroczenia granic przez imigrantów, Hiszpania skierowała na wyspę ok. 2 tys. żołnierzy i specjalne odziały policji**

Szlaki przez Morze Śródziemne: gdzie w 2026 roku docierają migranci

Od początku roku dotarło do Europy 60 028 osób. Najwięcej do Grecji, ale to Hiszpania ma dwie osobne drogi: przez zachodnie Śródziemnomorze, z Maroka i Algierii, i przez otwarty ocean na Wyspy Kanaryjskie – łodzie wypływają tam z wybrzeża Senegalu i Mauretanii. Dane UNHCR, stan na 16 sierpnia 2026.

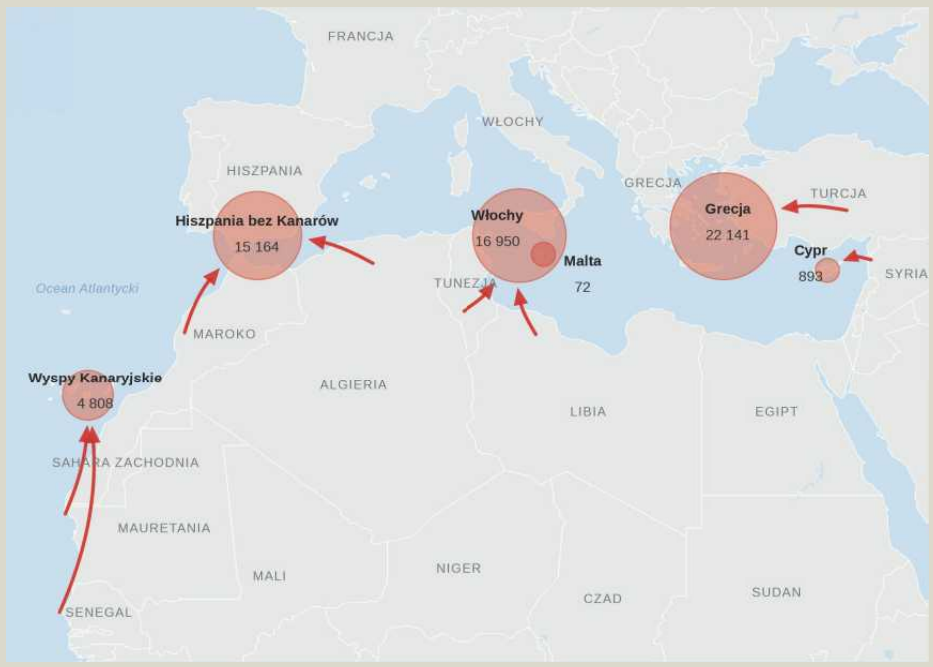
Ilu ludzi dotarło do Europy w 2026 roku

60 028
wszyscy, którzy dotarli do Europy
stan na 16 sierpnia 2026

22 141
najwięcej – Grecja
37 proc. wszystkich

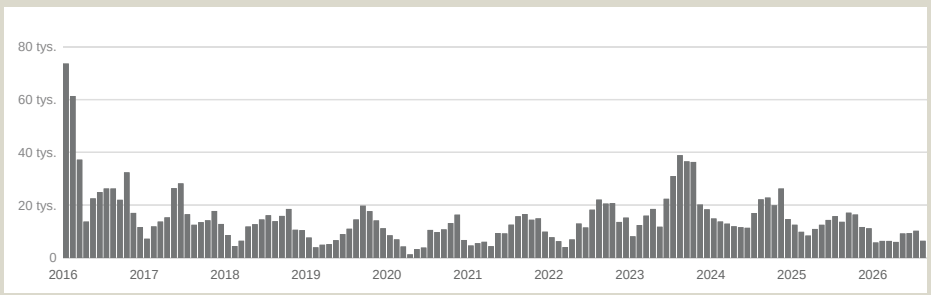
19 972
Hiszpania razem z Wyspami Kanaryjskimi
33 proc. wszystkich

Gdzie docierają i skąd wypływają



Wielkość kółka odpowiada liczbie osób, które dotarły w 2026 roku. Kółka stoją tam, gdzie ludzie schodzą na ląd, a nie w środku kraju; Wyspy Kanaryjskie są w danych UNHCR osobną lokalizacją, więc kółko Hiszpanii ich nie obejmuje. Strzałki pokazują kierunek przepraw, nie konkretne trasy łodzi. Kliknij kółko, żeby zobaczyć liczby.

Miesiąc po miesiącu, od stycznia 2016 roku



Suma przypłynięć morzem i przejść lądowych do wszystkich krajów na mapie. Ostatni słupek to niepełny miesiąc – dane do 16 sierpnia 2026. Najedź na wykres, żeby odczytać wartość.

Liczby zbiera UNHCR na podstawie danych FRONTEX-u i władz krajowych; to przypłynięcia i przejścia zarejestrowane, a nie szacunek wszystkich przepraw. Daty ostatniej aktualizacji różnią się między krajami – od 12 lipca 2026 (Malta) do 16 sierpnia 2026 – więc 60 028 to suma liczb z różnych dni granicznych.

INFOGRAFIKA © TOMASZ LEBIODA, WYBORCZA.PL/BIQDATA, 20.08.2026 • ŹRÓDŁO: UNHCR, OPERATIONAL DATA PORTAL

eprasa.pl bbdb7a80f8

syłania ludzi na tortury do więzień w Salwadorze i łamania życia całym rodzinom. Cały czas mówimy, że my w Europie jesteśmy inni, mamy łzy w oczach, oglądając i czytając o wyczynach agentów ICE – więc zacznijmy wreszcie robić coś dobrego, a nie tylko reagować na wydarzenia, udając Trumpa soft, bo inaczej nigdy nie wyrwiemy inicjatywy z rąk AfD czy waszego Grzegorza Brauna.

Tylko jak to zrobić, mając dwie wojny na swoich obrzeżach?

– Dobrze, że pan poruszył ten temat. Dwie największe fale migrantów do Unii są dziełem Władimira Putina – bo jego dziełem są dwie największe wojny ostatnich lat.

Wróćmy do 2015 roku. Syryjskie rodziny z dziećmi, które uciekają przed torturami i bombami Asada, nie mogą zostać w kraju nie tylko z powodu reżimu czy barbarzyńskiego kalifatu Państwa Islamskiego szalejącego na części terytorium. Przecież to rosyjskie lotnictwo bombarduje cywilne dzielnice Aleppo. A kiedy ruch migracyjny do Europy gwałtownie się zwiększa? Kiedy Putin wspiera Asada i zaczyna naloty w północnej Syrii. Nie mówiąc o tym, że wcześniej to Rosjanie utrzymywali go latami przy władzy i już wtedy tysiące prześladowanych ludzi trafiają do Austrii czy do Niemiec – ale i wtedy, i teraz nikt nie przypisuje winy Putinowi.

Ukraińcy na szczęście nie muszą przekraczać naszych granic z przemytnikami, ryzykując życie, bo daliśmy im prawo do ruchu bezwizowego, mogą legalizować pobyt dość łatwo. Ale gdybyśmy nie dali im tej szansy, oglądalibyśmy naprawdę brutalne, okropne sceny na wschodniej granicy Unii.

Powtórzę: źródłem bezprecedensowej nielegalnej imigracji na terytorium Unii Europejskiej jest Władimir Putin. To nie jest przesada.

Kiedy w 2015 roku zaczynał się kryzys migracyjny, byłem w Moskwie na stypendium badawczym Carnegie Europe. Obok mnie byli rosyjscy urzędnicy, funkcjonariusze, działacze polityczni, doradcy Kremla, którzy aż zacierali ręce, patrząc na obrazki z Morza Egejskiego. Oni od razu zrozumieli, że imigracją mogą rozwalić Unię od środka. Nie tylko na poziomie propagandy czy siania fermentu – że mogą tym dosłownie sterować. Starczy bombardować miasta w Syrii i uchodźcy sami się pojawią. A my na Zachodzie nie będziemy do nich strzelać na granicach, bo to nie jest częścią naszej tożsamości.

Kryzysu migracyjnego w Europie nie wywołała kolejna wojna domowa w Sudanie, konflikt w Etiopii czy zmiany klimatyczne. Wywołała go wojna w Syrii podgrzana przez Putina. Musimy to jasno i zwięźle komunikować, bo wtedy widać, na czym stoi choćby AfD. Wtedy do ludzi może dotrzeć, że to partia otwarcie prorosyjska i antymigracyjna – a tymczasem człowiek, którego oni podziwiają, czyli Putin, jest źródłem tych wszystkich problemów, którym niby chcą zaradzić.

Gdy liberalny minister mówi, że kontrolować granice da się tylko przemocą, to jest samobój. Bo komu w dokonywaniu aktów przemocy ufa się bardziej? Kto będzie lepszy, skuteczniejszy w odzyskiwaniu kontroli tą metodą? Wiadomo, że nie partie liberalne czy lewicowe, tylko skrajna prawica

Tak łatwo pokazać, że to się nie spina – a my nie umiemy, od dekady.

To byłaby dobra, mocna puenta na koniec, ale chyba zbyt łatwa. Bo problem leży też w tym, że z wygody pozbawiliśmy się sprawczości, stawiając na graniczny outsorcing. Kraje europejskie de facto oddały kontrolę nad swoimi zewnętrznymi granicami państwom trzecim. Maroko może pociągnąć za spust w dowolnym momencie i Hiszpania znów znajdzie się w kryzysie. Da się ten model odwrócić?

– W środowiskach akademickich i eksperckich dużo miejsca poświęca się pojęciu eksternalizacji, na przykład kontroli nad imigracją. Delegujemy zadania na inne kraje, wysyłamy tam aplikantów starających się o azyl – i w opinii wielu ludzi to jest bardzo złe, bo doraźnie mamy problem z głowy, ale na dłuższą metę oddajemy kontrolę nad własną granicą.

Tyle tylko, że w kwestii imigracji zawsze zależymy od innych, zawsze z kimś musimy współpracować. Jedyny wariant, w którym możemy całkowicie ignorować stanowisko sąsiadów, to gotowość na użycie całkowitej przemocy. Po wybuchu wojny domowej w Syrii jedynym krajem regionu, w którym nie pojawili się uchodźcy, był Izrael. Przez Wzgórza Golan nie przedostał się nikt. Wie pan dlaczego?

Ze strachu?

– Z pewności śmierci. Wszyscy wiedzieli, że Izraelczycy przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy zaczną do nich strzelać.

Dlatego musimy sami odpowiedzieć sobie na pytanie, jak i z jakimi krajami chcemy współpracować, żeby nielegalnych imigrantów odsyłać w sposób humanitarny. Wiadomo, że z Białorusią nie będziemy, ale możemy mieć umowę z jakimś innym bezpiecznym państwem trzecim. Wtedy taka Hiszpania nie będzie całkowicie zdana na łaskę Maroka, a Grecja na kaprysy Turków.

Wyobraźmy sobie, że jutro hiszpański rząd podpisuje umowę bilateralną z jakimś krajem w Afryce Zachodniej – a najlepiej kilka umów z kilkoma krajami, żeby uniknąć uzależnienia. Ze strony Madrytu są gwarancje inwestycji rozwojowych. Stypendia dla studentów, wizyty naukowe, wizy dla przedstawicieli biznesu – a w zamian te kraje przyjmą i zadbają o migrantów, którzy nielegalnie przekroczą granicę w Ceucie. Nagle nie trzeba będzie już instalować kolejnych szeregów drutu kolczastego, bo zlikwidujemy zachęty do nielegalnych podróży. Jeśli imigrant wie, że zostanie złapany i odesłany, nie będzie skakał przez skały ani płynął przez morze.

Ale – powtarzam – musimy też rozmawiać między sobą. Brytyjczycy sami nie powstrzymają nielegalnej imigracji. Muszą z tym pójść do Francuzów, Polaków, Niemców czy Duńczyków i powiedzieć, że to jest w naszym wspólnym interesie. Londyn ich odeśle na kontynent, a kraje członkowskie sobie poradzą z tym problemem w sposób humanitarny, bez przemocy.

Wierzy pan, że to możliwe? Przy obecnym układzie sił w europejskiej polityce, kiedy „kosmopolityzm" jest passe, w modzie mamy „zdrowy narodowy egoizm" i wszystkie liberalne rządy usiłują zaprezentować się w oczach wyborców jako „my country first"?

– Moja pierwsza książka o migracji zaczyna się od historii austriackich Żydów w przededniu drugiej wojny światowej. Zaraz po wcieleniu Austrii do Trzeciej Rzeszy, jeszcze przed wybuchem wojny, nazistowskie władze urządziły im piekło. Tam było dużo gorzej niż w Niemczech, fala całkowitej, brutalnej przemocy. Austriaccy naziści byli straszni, więc 200 tysięcy ludzi w samym Wiedniu z dnia na dzień znalazło się w koszmarze. Nie byli bierni, chcieli uciekać, ale prawie nikt nie przedostał się do Szwajcarii. Dlaczego? Bo Szwajcarzy zamknęli granice i zaczęli pushbacki. A potem szwajcarscy politycy chwalili się, że nie mają żadnych uchodźców w kraju.

I dopiero kilka lat po wojnie spisaliśmy – o ironio, właśnie w Szwajcarii, w Genewie – prawa uchodźców w jednej konwencji, formułując zakaz odsyłania ludzi do krajów, w których mogą umrzeć albo stracić zdrowie. Nie możemy z tego zrezygnować, bo to jeden z wyznaczników naszej cywilizacji.

Podsumujmy: potrzeba nam współpracy, inteligentnych porozumień z państwami trzecimi oraz własnej opowieści. Niestety mamy na to kilka miesięcy, nie więcej. Niebawem w Niemczech może dojść do zmiany rządu, AfD ma szansę udział we władzy. Jeśli w największych krajach europejskich rządy zrezygnują z prawa do azylu – to koniec Europy, jaką znamy po 1945 roku.

Przez ostatnie 10 lat wydarzyło się wiele bezprecedensowych rzeczy, porzuciliśmy część idealizmu, zaczęliśmy się bać. Niemniej mimo zaostrzenia podejścia czy przypadków brutalności Niemcy, Austria, Francja i inne państwa europejskie traktowały imigrantów w sposób humanitarny. Jeśli my postawimy na przemoc, prawa uchodźców przejdą do historii na całym świecie. ●



***Gerald Knaus**

• Ur. w 1970 r., austriacki ekspert zajmujący się migracją, założyciel i przewodniczący European Stability Initiative (ESI), współzałożyciel European Council on Foreign Relations (ECFR). Laureat Nagrody im. Karla Carstensa przyznawanej przez niemiecką Federalną Akademię Polityki Bezpieczeństwa. Związany z Carr Center na Uniwersytecie Harvarda. Wykładał ekonomię na uczelniach w Ukrainie, pracował dla organizacji pozarządowych na Bałkanach. Pisze w międzynarodowej prasie i na blogu **Rumeliobserver.eu** o migracji, praworządności i korupcji.

REKLAMA
Kraj/34423010



1 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

MUMIA.
AUTENTYK, CZY PODRÓBKA?

Po napompowaniu środkiem konserwującym ciało Mao Zedonga zaczęło się rozpadać. Kierownictwo partii pilnie poleciło wykonanie woskowej kopii Przewodniczącego.

Robert Stefanicki

Umierający przywódcy niemal nigdy nie marzą o tym, by ich ciało zostało zakonserwowane i wystawione na pokaz. Lenin chciał spocząć obok matki w Piotrogrodzie, Ho Chi Minh żądał kremacji, bo „jest dobra nie tylko z punktu widzenia higieny, ale też oszczędza ziemię uprawną". Również Mao Zedong sporządził pisemną wolę bycia skremowanym.

Mumia jest potrzebna politycznym spadkobiercom. W systemach autorytarnych śmierć dyktatora to moment skrajnie niebezpieczny – grozi walką o władzę, chaosem i utratą kontroli nad społeczeństwem. Wystawienie ciała w szklanej trumnie wysyła podświadomy sygnał, że wódz jest dalej obecny, wcielony w swoich pozostałych przy życiu towarzyszy, na których w naturalny sposób spłynęła moc zmarłego. Radzieckie hasło „Lenin żył, Lenin żyje, Lenin będzie żyć" nie było tylko metaforą.

Również dla mas obecność fizycznego ciała była gwarantem stabilności systemu. Wietnamski czy północnokoreański aparat władzy legitymizowały się w ten sposób przez dekady, rządząc zza pleców spoczywającego w szkle założyciela. W Korei Północnej najbardziej dosłownie: Kim Ir Sen formalnie pozostaje głową państwa, ogłoszony w konstytucji Wiecznym Prezydentem.

Podobnie było – i jest – w Chinach, gdzie mimo fundamentalnych zmian, które przed półwieczem wywołała śmierć Mao, jego kult jest wciąż obowiązujący.

Uszy Mao również były spuchnięte

Gdy 10 minut po północy 9 września 1976 roku Przewodniczący wydał ostatnie tchnienie, Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Chin (KPCh) z wdową Jiang Qing oraz wyznaczonym na następcę premierem Hua Guofengiem na czele natychmiast odrzuciło jego wolę. Uznano, że ciało Wielkiego Sternika musi zostać zachowane dla narodu na wzór Lenina.

Pierwotnie kierownictwo partii nakazało zabezpieczenie ciała jedynie na dwa tygodnie, aby umożliwić ludziom oddanie hołdu. Jednakże ku przerażeniu nadwornych lekarzy krótko potem zapadła decyzja o trwałym zachowaniu zwłok.

Problemem był brak wiedzy i doświadczenia chińskich naukowców w zakresie balsamowania. W 1976 roku relacje między Pekinem a Moskwą były wrogie, Chińczycy nie mogli zwrócić się o pomoc do moskiewskiego Laboratorium Lenina, które było jedyną instytucją z praktycznym doświadczeniem w tym temacie.

Pekin poprosił o pomoc Wietnam, który kilka lat wcześniej zabalsamował Ho Chi Minha z pomocą Sowietów, jednak Hanoi również odmówiło. Chińscy lekarze i naukowcy musieli opracować metodę sami, ze świadomością, że za niepowodzenie mogą zapłacić własnym życiem.

Szczegółowy opis wydarzeń znamy ze wspomnień osobistego lekarza chińskiego przywódcy, dr. Li Zhisui, pod tytułem „Prywatne życie przewodniczącego Mao". Li podkreśla, że było to wyzwanie nie tylko medyczne, ale i polityczne. Gdy dyktator jeszcze żył, członkowie jego zespołu byli w ciągłym strachu, że zostaną oskarżeni o doprowadzenie go do choroby i zgonu. Teraz obawiali się zarzutu znieważenia zwłok.

Lekarze znaleźli w pekińskiej bibliotece medycznej zachodni artykuł naukowy dotyczący długoterminowej konserwacji zwłok. Instrukcja zalecała wstrzyknięcie od 12 do 16 litrów formaldehydu w ciągu pierwszych 4-8 godzin od zgonu. Zespół dr. Li, chcąc mieć dodatkową gwarancję, wstrzyknął 22 litry.

„Skończyliśmy dopiero o dziesiątej rano. Rezultaty były szokujące. Twarz Mao była opuchnięta, okrągła jak piłka, a jego szyja miała teraz szerokość głowy. Jego skóra błyszczała, a formaldehyd sączył się z porów niczym pot. Uszy również były spuchnięte, odstające od głowy pod kątem prostym. Ciało wyglądało groteskowo. Strażnicy i inni asystenci byli przerażeni" – notował Li.

„Musieliśmy jakoś przywrócić Mao jego pierwotny wygląd, ale nie było sposobu na usunięcie formaldehydu. – Nie szkodzi, jeśli ciało nadal będzie wzdęte – powiedziałem. – Ubranie to zakryje. Ale lepiej spróbujmy naprawić mu twarz i szyję".

Przez kolejne godziny medycy gorączkowo masowali twarz dyktatora, próbując przemieścić nadmiar płynów do tułowia. Kiedy jeden z nich nacisnął trochę za mocno, kawałek skóry na prawej stronie odpadł. Ubytek musiał być maskowany wazeliną i barwnikami.

Do czasu publicznego wystawienia zwłok w Wielkiej Hali Ludowej udało się przywrócić twarzy Mao naturalniejsze rysy za pomocą grubych warstw makijażu. Klatka piersiowa była tak wzdęta, że nie można było zapiąć guzika munduru; lekarze musieli przeciąć marynarkę i spodnie z tyłu, aby ubrać zwłoki.

Gdy po tygodniu zakończyło się oficjalne pożegnanie z udziałem setek tysięcy obywateli, w nocy 17 września ciało zostało po cichu przewiezione do szpitala wojskowego w Pekinie.

Tam przeprowadzono kluczową fazę konserwacji. Usunięto wnętrzności, które zakonserwowano osobno w słojach z formaldehydem. Jamę brzuszną wypełniono bawełną nasączoną konserwantem.



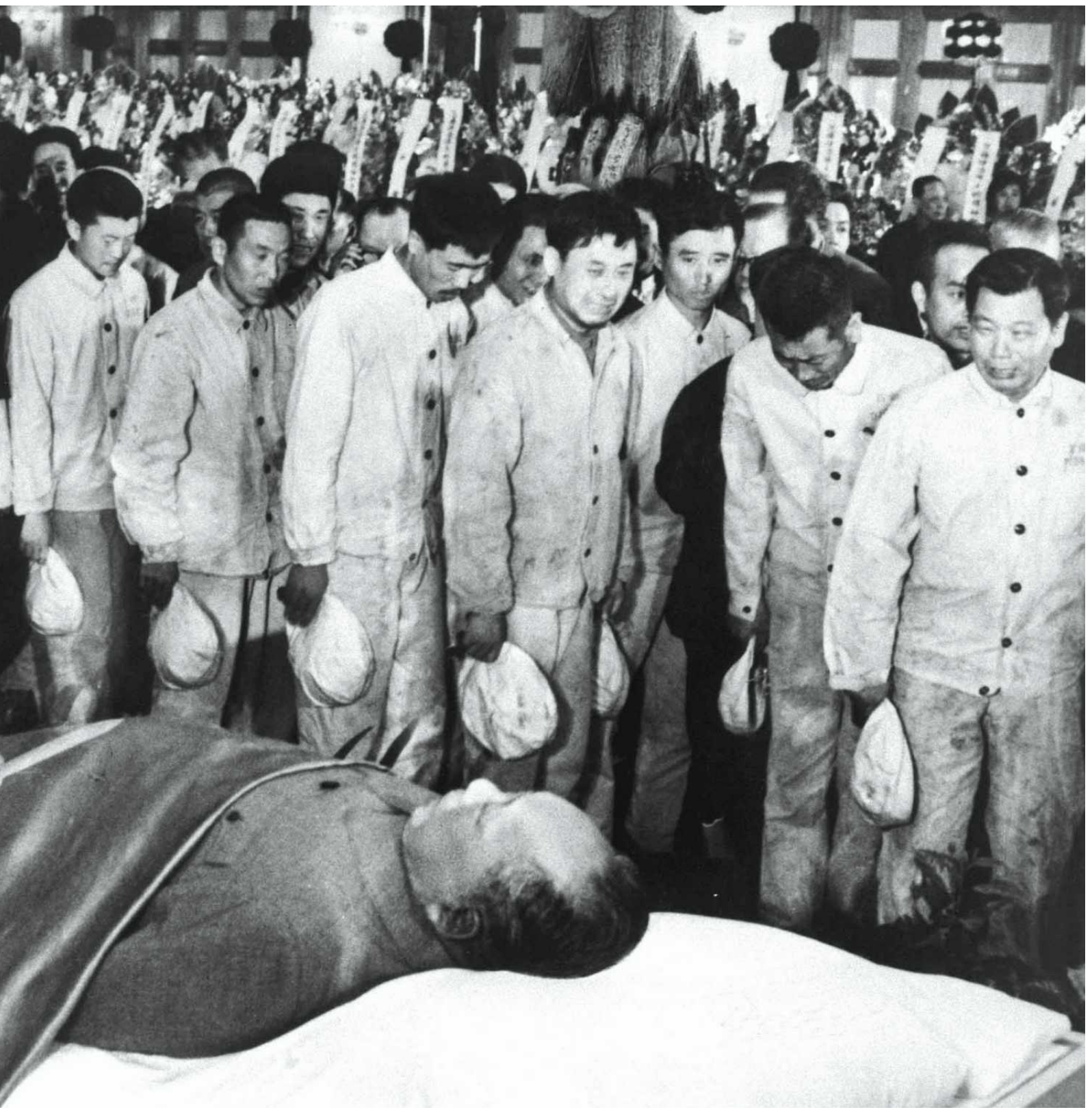
FOT. BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES

• Robotnicy oddają hołd Przewodniczącemu KPCh, który zmarł w Pekinie 9 września 1976 r. w wieku 82 lat. Zabalsamowany Mao Zedong (zdjęcie dolne) spoczął w kryształowej trumnie w Mauzoleum na środku pekińskiego placu Tian'anmen. Zbudowano je w latach 1976-77. Można je zwiedzać bezpłatnie. Kolejki są długie, a kontrole przed wejściem, jak na lotniskach



FOT. PHOTOSHOT/EAST NEWS

eprasa.pl bbdb7a80f8



W szyję Mao wmontowano na stałe rurkę, co pozwalało ekipie medycznej na regularne dolewanie świeżego formaldehydu w kolejnych miesiącach.

Równolegle działał zespół inżynierów pod wodzą Xie Piao, który odpowiadał za chłodzenie. Lekarze zabronili całkowitego zamrożenia zwłok, obawiając się pękania tkanek. Ponieważ chińska technologia chłodnicza była wtedy mało rozwinięta, zastosowano eksperymentalny system oparty na azocie w stanie gazowym, by utrzymać wokół ciała stałą temperaturę 4-8 st. C.

Niewidzialna trumna

Kolejnym potężnym wyzwaniem było wyprodukowanie trumny. Zajęło to wiele miesięcy. Należało stworzyć szklaną konstrukcję odporną na trzęsienia ziemi, bombardowania, filtrującą szkodliwe światło, a przede wszystkim idealnie przezroczystą.

Zadanie opracowania sarkofagu otrzymało Ministerstwo Przemysłu Lekkiego. Powstała tam tajna komórka o kryptonimie „Projekt 608". Do rywalizacji i współpracy zaprzęgnięto dwa największe zakłady optyczne: Pekińską Fabrykę Szkła oraz Fabrykę Szkła Kwarcowego w Jinzhou.

Inżynierowie szybko się zorientowali, że zwykłe szkło nie wchodzi w grę – ma zielonkawy odcień pod pewnymi kątami, łatwo pęka i przepuszcza ciepło. Wybór padł na czysty kwarc. Ma on jednak wysoką temperaturę topnienia (ponad 1700 st. C), a Chiny nie dysponowały wtedy piecami hutniczymi zdolnymi do odlania tak ogromnych, jednolitych płyt.

Wobec czego zlepiono je z małych kawałków. Metoda ta przypominała ręczne spawanie stali, tyle że materiałem był płynny kwarc.

Robotnicy pracowali w specjalnych kombinezonach azbestowych przypominających skafandry kosmiczne, które chłodzono wodą pompowaną przez rury. Na głowach mieli potrójne maski spawalnicze, by chronić wzrok przed oślepiającym blaskiem wodorowo-tlenowych palników. Kawałek po kawałku stapiano kwarcowe płytki o rozmiarze kafelków łazienkowych, tworząc większe arkusze.

Warunki były nieludzkie – temperatura w halach fabrycznych przekraczała 50 st. C. Ponieważ brakowało zaawansowanych maszyn szlifierskich, finalne wygładzanie i polerowanie płyt do idealnej przezroczystości wykonywano w dużej mierze ręcznie. Ostatecznie powstała trumna o długości 2,4 metra, szerokości 1 metra i trzycentymetrowych ściankach.

Kolejnym problemem było oświetlenie. Trup Mao oświetlony prostopadle z góry wyglądałby makabrycznie. Co gorsza, tradycyjne żarówki emitowały ciepło i promieniowanie ultrafioletowe, które przyspieszały rozkład tkanek. Chińscy fizycy optyczni opracowali zaawansowany system luster i filtrów. Lampy umieszczono na zewnątrz trumny, w suficie mauzoleum. Światło przechodziło przez filtry, które całkowicie odcinały pasmo podczerwone (ciepło) i UV.

Aby nadać twarzy dyktatora „zdrowy, rewolucyjny" koloryt, w systemie oświetlenia zastosowano subtelne, różowo-brzoskwiniowe filtry. Ściany trumny ustawiono pod ściśle wyliczonym kątem (kąt Brewstera), co eliminowało jakiekolwiek refleksy i odbicia w stronę odwiedzających. Dla widza trumna wydawała się wręcz niewidzialna.

Ponieważ Mao miał spocząć w strefie sejsmicznej – w lipcu 1976 roku potężne trzęsienie ziemi w Tangshan, 145 km od Pekinu, zabiło setki tysięcy ludzi – trumna musiała być niezniszczalna. Zanim umieszczono w niej zwłoki, gotowy prototyp poddano ekstremalnym testom.

Sarkofag zamontowano na specjalnej platformie wstrząsowej, która symulowała trzęsienie ziemi o sile od 8 do 9 stopni w skali Richtera. Konstrukcja wytrzymała wstrząsy bez najmniejszego pęknięcia.

Następnie przeprowadzono test uderzeniowy. Aby sprawdzić odporność na potencjalny zamach lub zawalenie się stropu mauzoleum, na repliki płyt kwarcowych zrzucano ciężkie stalowe bloki. Zastosowana technologia laminowania sprawiła, że szkło było bardzo odporne, także kuloodporne. Trumnę wypełniono helem, co było odejściem od przepisu towarzyszy radzieckich, którzy używali azotu. Miało to lepiej zapobiegać utlenianiu i wysuszaniu tkanek.

Prace nad ostateczną wersją trumny trwały do maja 1977 roku. W tym samym miesiącu ukończono budowę mauzoleum na Placu Tiananmen. Obiekt uroczyście otwarto dla zwiedzających we wrześniu, w pierwszą rocznicę śmierci dyktatora.

Mimo starań ciało Mao sprawiało problemy. Już w pierwszych tygodniach skóra zaczęła wiotczeć i się marszczyć. Z tego powodu pekińskie zakłady rzemieślnicze otrzymały od marszałka Ye Jianyinga zadanie stworzenia idealnej woskowej kopii Mao Zedonga. Miała posłużyć jako substytut, gdyby prawdziwe ciało uległo zniszczeniu.

Replikę ukończono w pierwszej połowie 1977 roku. Do czasu otwarcia mauzoleum oba ciała były przechowywane w podziemnym szpitalu wojskowym pod Pekinem.

Do dziś trumna z Mao codziennie po godzinach zwiedzania jest opuszczana windą do podziemnego laboratorium, gdzie ciało przechodzi nocną konserwację. Wśród historyków i ekspertów medycznych toczy się debata, czy w mauzoleum spoczywają autentyczne szczątki przywódcy czy też ze względu na postępującą degradację w gablocie wystawiono jego woskową wersję.

Polityka szkalnej trumny

Śmierć i rozkład biologiczny to jedyne rzeczy, które zrównują władcę absolutnego z jego poddanymi. Balsamowanie zwłok wbrew woli zmarłego jest próbą zakłamania tej prawdy. Skoro wódz był nadludzki za życia, jego ciało nie może zgnić jak ciało zwykłego robotnika czy chłopa. Staje się państwowym monumentem niepodlegającym prawom natury. Szklana trumna nie służy upamiętnieniu człowieka, lecz jest narzędziem aparatu przemocy i propagandy.

Najstarsze znane mumie pochodzą z pustyni Atacama, gdzie ok. 5000-3000 p.n.e. lud Chinchorro opracował niezwykle skomplikowaną technikę mumifikacji. Z ciała usuwano narządy wewnętrzne i mięśnie, a szkielet wzmacniano kijami. Następnie ciało wypełniano gliną, piórami i trawą, na wierzch nakładano skórę oraz maskę z gliny z wymalowaną twarzą. Traktowano tak wszystkich zmarłych.

Starożytni Egipcjanie proces mumifikacji rozwinęli w sztukę przysługującą faraonowi, a później też innym wysokim urzędnikom. Wierzono, że zachowanie ciała boskiego władcy było warunkiem koniecznym, aby jego dusza mogła przetrwać w zaświatach. Bez tego kosmiczny porządek zostałby zachwiany, co sprowadziłoby katastrofę na cały Egipt.

Aby zapobiec gniciu, usuwano mózg przez nos oraz organy wewnętrzne z jamy brzusznej. Wnętrzności następnie płukano i umieszczano w specjalnych naczyniach. Ciało zasuszano za pomocą naturalnego minerału – natronu – przez 40-70 dni. Ostatecznie truchło nacierano olejkami, żywicami i owijano lnianymi bandażami, po czym wkładano do sarkofagu.

Mumifikację władców stosowali Inkowie, Scytowie, chińska dynastia Han. W chrześcijaństwie pojawiła się ona wraz ze średniowiecznym kultem relikwii. Ciała świętych, które nie ulegały rozkładowi, używano za dowód, że są wybrańcami Boga.

23 procent Lenina

Komunistyczne reżimy zwalczały religię, ale potrzeba sacrum nie zniknęła. Władza musiała dać masom coś w zamian, skanalizować tradycyjne emocje religijne. Nowo powstałe państwo radzieckie przejęło kult relikwii i zaadaptowało go do celów propagandy, tworząc w 1924 roku mumię Lenina. Zabalsamowany przywódca stawał się świeckim świętym, a jego mauzoleum – nową katedrą, do której pielgrzymowały miliony.

Lenin spoczywa w szklanej trumnie w stałej temperaturze 16 st. C i wilgotności 80-90 procent. Dwa razy w tygodniu ciało jest

eprasa.pl bbdb7a80f8

kontrolowane i smarowane specjalnymi preparatami, a co 12-18 miesięcy mauzoleum jest zamykane. Zwłoki są wtedy zanurzane na kilka tygodni w chemicznej kąpieli.

Według szacunków badaczy z oryginalnego ciała wodza rewolucji październikowej pozostało do dzisiaj jakieś 10-23 proc. tkanek. Z biegiem czasu rzęsy, brwi i fragmenty skóry zastąpiono sztucznymi materiałami, a zepsute tkanki – plastycznymi masami. Stąd krytycy moskiewskiego mauzoleum żartobliwie określają ciało Lenina jako „statek Tezeusza" – od filozoficznego zagadnienia, czy obiekt, w którym wymieniono wszystkie części składowe na nowe, wciąż pozostaje tym samym obiektem.

Józef Stalin w latach 1953-1961 leżał obok Lenina zabalsamowany przez tych samych naukowców. W 1961 roku w ramach destalinizacji przeprowadzonej przez Nikitę Chruszczowa podjęto decyzję o usunięciu zwłok. Stalin został pochowany w zwykłym grobie pod murem Kremla, gdzie spoczywa do dziś.

Przywódca komunistycznego Wietnamu Ho Chi Minh zmarł w 1969 roku w trakcie wojny z USA. Aby uchronić ciało, radzieccy i wietnamscy lekarze ukryli je w jaskini w dżungli na północ od Hanoi. Zbudowano tam sterylne, podziemne laboratorium. Dopiero po zakończeniu wojny w 1975 roku zabalsamowanego „wujka Ho" przeniesiono do oficjalnego mauzoleum w stolicy.

Codziennie do rozległego kompleksu ustawiają się ogromne kolejki Wietnamczyków; kiedy byłem tam dwa lata temu, czekałem ponad dwie godziny, by móc obrzucić krótkim spojrzeniem słabo oświetlone dzieło rosyjskich konserwatorów. Wietnamczycy do dziś ściśle współpracują z Rosjanami, a mauzoleum jest co roku zamykane na dwa miesiące w celu przeprowadzenia kapitalnego remontu jego lokatora.

Założyciel Korei Północnej Kim Ir Sen (zmarły w 1994 roku) i jego syn Kim Dżong Il (2011) spoczywają w Pałacu Słońca Kumsusan w Pjongjangu w monumentalnych salach oświetlonych delikatnym, czerwonym światłem. Odwiedzający muszą przejść przez specjalne kurtyny powietrzne zdmuchujące pył oraz zdezynfekować obuwie.

Również ten reżim wynajął ekspertów z Moskwy za niebagatelną kwotę szacowaną na miliony dolarów za samą procedurę i setki tysięcy rocznie za utrzymanie ciał. Rosyjscy specjaliści regularnie latają do Pjongjangu, aby przeprowadzać identyczne zabiegi konserwacyjne jak u Lenina.

W Chinach, gdzie mimo fundamentalnych zmian, które przed półwieczem wywołała śmierć Mao, jego kult jest wciąż obowiązujący.

Evita Perón – relikwia doskonała

Ferdinanda Marcosa zabalsamowano z innego powodu: aby przeczekać niekorzystny klimat polityczny. Dyktator Filipin zmarł na wygnaniu na Hawajach w 1989 roku. Kiedy w 1993 roku jego żona Imelda uzyskała zgodę na sprowadzenie zwłok do kraju, porewolucyjny rząd odmówił mu pochówku na Cmentarzu Bohaterów. Imelda zleciła zabalsamowanie męża znanemu filipińskiemu tanatopraktykowi. Ciało zostało umieszczone w prywatnym, klimatyzowanym mauzoleum w miasteczku Batac jego rodzinnej prowincji Ilocos Norte.

Byłem tam w 2000 roku, gdy zbierałem materiały do reportażu o kulcie Marcosa. „Trzeba przejechać obok szpitala im. Dony Josefy Eraldin Marcos, matki Ferdinanda, i zatrzymać się przy skrzyżowaniu ulicy Marcosa z aleją Marcosa. Tu w klimatyzowanej krypcie leży filipiński Lenin. Ale Batac to nie Moskwa. Nie ma kolejki pątników, nawet gdzieś się zapodział cieć z kluczami.

Koniec przerwy obiadowej. Dozorca oblizuje resztki ryżu z wąsów i otwiera wrota. Krypta mała, zimna, ciemna. W podświetlonym akwarium na tle filipińskiej flagi leży sztywna postać w ciemnym garniturze. Wygląda jak manekin, jeden z tych, co w muzeum piętro wyżej prezentują zjedzone przez mole i czas, bliźniaczo podobne koszule prezydenta. Figura woskowa robiłaby bardziej ludzkie wrażenie. W końcu nie wiem – on czy nie on? Autentyk czy podróbka?".

Podobnie jak w przypadku Mao powszechnie podejrzewano, że z powodu awarii chłodzenia zwłoki z czasem zastąpiono figurą woskową. W 2016 roku, po dojściu do władzy sprzyjającego Marcosom prezydenta Rodriga Dutertego, ciało zostało włożone do „najdroższej amerykańskiej trumny" i pochowane na Cmentarzu Bohaterów – z wojskowymi honorami, ale bez wielkiej ceremonii, żeby uniknąć protestów.

Przypadek Hugo Cháveza, przywódcy Wenezueli zmarłego w 2013 roku, był porażką. Jego następca Nicolás Maduro, chcąc zbić kapitał polityczny przed wyborami, ogłosił światu, że Chávez zostanie zabalsamowany „na wieczność" jak Lenin i wystawiony w Muzeum Wojskowym.

Do Caracas sprowadzono najlepszych ekspertów z Rosji oraz Niemiec. Po zbadaniu zwłok naukowcy stwierdzili, że na zabieg jest za późno – procedury należało wdrożyć w ciągu pierwszych kilku godzin po zgonie. Ciało Cháveza przez wiele dni leżało zaś na widoku publicznym, podróżowało w procesjach w tropikalnym klimacie i procesy rozkładu były już zbyt zaawansowane. Pomysł porzucono i Chávez spoczął w tradycyjnym, marmurowym grobowcu.

Pomysł, by zabalsamować Evitę Perón – otoczoną kultem żonę lewicowego prezydenta Argentyny Juana Peróna, pochodził od jej męża. Chciał stworzyć wieczny symbol ruchu peronistowskiego i wybudować dla niej gigantyczny pomnik, większy od Statuy Wolności. Nigdy nie powstał.

Ciało Evity po śmierci w 1952 roku zostało zabalsamowane metodą „wymiany płynów na wosk i plastiki" przez hiszpańskiego profesora Pedro Arę. Wyglądało idealnie. Po obaleniu Juana Peróna wojskowa junta bała się, że zwłoki Evity staną się relikwią rewolucjonistów. Ciało potajemnie wywieziono do Włoch i pochowano pod fałszywym nazwiskiem, potem trafiło do Hiszpanii, by ostatecznie wrócić do Argentyny. Dziś spoczywa w rodzinnym grobowcu na cmentarzu Recoleta – pod potężnymi, betonowymi płytami mającymi zapobiec porwaniu.

Komunistyczni władcy Czechosłowacji i Bułgarii: Klement Gottwald i Georgi Dymitrow, też zostali zabalsamowani przez radzieckich specjalistów. Zwłoki Gottwalda, zmarłego w 1953 roku tuż po powrocie z pogrzebu Stalina, zaczęły gnić już na początku lat 60. W 1962 roku podjęto decyzję o ich potajemnej kremacji. Mauzoleum z Dymitrowem wyburzono w 1990 roku po upadku komunizmu.

Wielki Sternik czy makabryczny kult zwłok

Oficjalnych prób usunięcia ciała Mao Zedonga z centralnego placu Pekinu nie było, bo Chiny nigdy nie rozliczyły maoizmu. Jednak gdy Deng Xiaoping przejął władzę pod koniec lat 70., zastosował fortel, żeby osłabić kult Mao i wbrew forsowanej przez poprzednie trzy dekady ideologii otworzyć Chiny na reformy rynkowe.

W 1983 roku Biuro Polityczne zdecydowało, że mauzoleum przestaje być poświęcone wyłącznie Mao. Przekształcono je w Izbę Pamięci. Na piętrze dodano ekspozycje i pomniki poświęcone trzem innym założycielom Chińskiej Republiki Ludowej: szefowi dyplomacji Zhou Enlai, prezydentowi Liu Shaoqi i marszałkowi Zhu De.

Potem dołożono dwóch kolejnych: samego Denga i jego czołowego planistę gospodarczego Chen Yuna. Wszyscy poza Zhou padli ofiarami czystek podczas rewolucji kulturalnej rozpętanej przez Mao, więc był to też poniekąd hołd dla ofiar maoizmu. Chociaż tysiące Chińczyków i turystów, którzy co dzień ustawiają się w kolejce do mauzoleum, nie mają o tym pojęcia, bo otwarty dla nich jest tylko parter poświęcony Mao.

Przed igrzyskami olimpijskimi w Pekinie w 2008 roku grupa chińskich intelektualistów opublikowała manifest w mediach z Hongkongu. Postulowali usunięcie „makabrycznego kultu zwłok" z centrum stolicy, argumentując, że trzymanie niepochowanego ciała przeczy chińskiej tradycji i konfucjanizmowi. Żądali przeniesienia i pochowania Mao w jego rodzinnej wiosce. Władze zignorowały petycję, autorzy spotkali się z potępieniem.

Dla obecnego przywódcy Chin Xi Jinpinga postać Mao jest użytecznym wzorem do naśladowania w zakresie silnej władzy centralnej i dyscypliny partyjnej. To „wielki rewolucjonista i strateg", któremu Chiny zawdzięczają wielkość, nawet jeśli zdarzało mu się popełniać błędy.

Kult Wielkiego Sternika powraca już nie tylko oddolnie, w środowiskach skrajnie lewicowych, ale jest też wspierany przez państwo. Usunięcie truchła Mao z mauzoleum w obecnej rzeczywistości politycznej jest niemożliwe. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414014

W SPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:

ROZSTANIE TO NIE KONIEC ŚWIATA

PSYCHOLOGIA: Jak rozpada się przyjaźń
RELACJE: Seks to nie nagroda
URODA: Reanimacja po lecie
ZDROWIE: Cytologia po nowemu

wysokieobcasy extra



1 RP

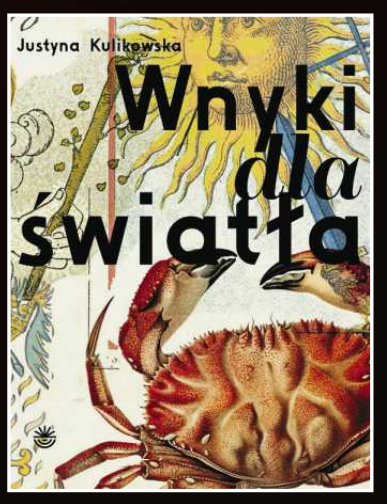
eprasa.pl bbdb7a80f8

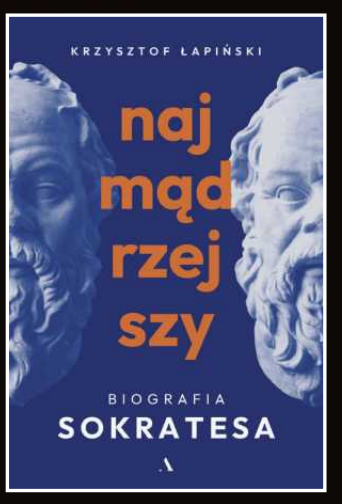
OGŁOSZENIE

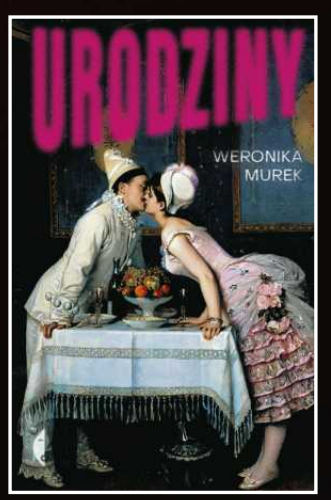
Plebiscyt Nike Czytelników

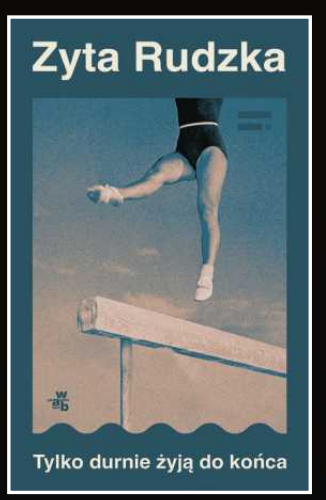
30 lat Nike
Nagroda Literacka

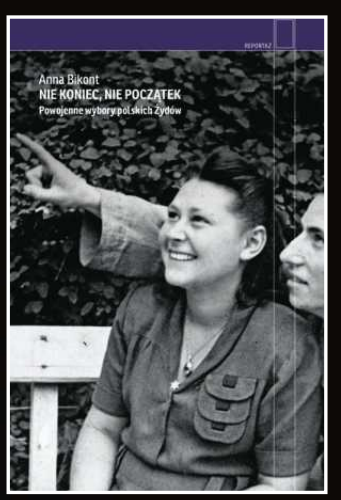














Na Wasze głosy i recenzje czekamy do 27 września

Do zdobycia nagroda pieniężna o wartości 10 000 zł.

Zagłosuj na: wyborcza.pl/plebiscytnike

REKLAMA

MECENASI STRATEGICZNI: ROBERT DOBRZYCKI foundation, PANATTONI

MECENASI: ORLEN, KRUK

PARTNER GŁÓWNY FUNDATOR NAGRODY PLEBISCYTU: TOTALIZATOR SPORTOWY, 7 LAT

WSPÓŁORGANIZATOR GALI: TVP

eprasa.pl bbdb7a80f8

KULTURA OBYCZAJE



Z **OLGIERDEM ŁUKASZEWICZEM**
ROZMAWIA **ARTUR NOWAK**
ZDJĘCIE
MICHAL BOROWCZYK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Olo, nabzdyczyłeś się już?

eprasa.pl bbdb7a80f8

Pisano: **„Łukaszewicz umiera albo się rozbiera”.** Moja mama, bardzo religijna, także miała z tym trudność.

Kończysz osiemdziesiąt lat. Co to dla ciebie znaczy?
Trzeba ćwiczyć mózg. Czytać, powtarzać angielski i niemiecki... Ale aktor ma jeszcze oprócz mózgu warsztat emocji. Gimnastyka tych emocji jest jak bieganie po boisku. To odmładza i ożywia. Czasem, gdy na scenie szlochasz prawdziwymi łzami, masz diabelską satysfakcję, że żyjesz, że potrafisz uruchomić te emocje do końca. Chodzi o to, żeby one nie zasnęły.

Niedawno obejrzałem siebie jako dwudziestodwulatka w „Soli ziemi czarnej” Kazimierza Kutza. Od tego wszystko się zaczęło. Na planie tego filmu nauczyłem się te emocje uruchamiać.

Kutz przed włączeniem kamery pytał: „Olo, nabzdyczyłeś się już?”. To znaczy: uruchomiłeś w sobie to, co za chwilę ma zostać sfotografowane? Bo kamera rejestruje nie tylko twarz, ale przede wszystkim to, co dzieje się w człowieku.

Ten instrument jest we mnie nadal rozwibrowany, to dla mnie dowód na to, że żyję. Potrafię go bardzo szybko obudzić. Czasem wystarczy sekunda.

A co cię dziś wzrusza?
– Wiele rzeczy. Pamiętam przedstawienie „Antygony” w reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Grała Anna Chodakowska. Na widowni siedział Jarosław Iwaszkiewicz. Patrzyłem na niego i widziałem, jak po policzkach płyną mu łzy nad losem Antygony. To był niezwykły widok.

Ja też tak mam. Bardzo łatwo współodczuwam z tym, co dzieje się na scenie. Kiedy opowieść jest prawdziwa emocjonalnie, nie potrafię zachować dystansu.

A w takim normalnym życiu to co cię wzrusza?
– Krzywda dzieci. To coś, czego właściwie nie potrafię znieść. Kiedy słyszę o takich historiach w telewizji, odruchowo zatykam uszy, zasłaniam oczy. Reaguję wręcz histerycznie. Żona czasem się z tego pobłażliwie śmieje, ale to zostaje we mnie na długo.

Mówisz czasem, że z wiekiem coraz bardziej czujesz, iż „lot jest już krótszy”. Co masz na myśli?
– Niedawno pochowałem brata. Był ode mnie starszy o trzy lata. Doktor inżynier. Pod koniec życia przyszły bardzo trudne chwile. Leżał w łóżku, mówił już od rzeczy. Chwytałem go za rękę – była zimna. Pomyślałem, że może będzie mu miło, jeśli go dotknę, potrzymam za łydkę, ogrzeję swoją dłonią jego zimną nogę. Do dziś nie wiem, czy to czuł.

Pytałem opiekunów w domu, w którym miał naprawdę świetną opiekę, jak długo taki stan może trwać. Usłyszałem, że nawet siedem lat. Trwało zaledwie dwa i pół miesiąca.

Przez wiele lat widywaliśmy się rzadko, bo mieszkał w Katowicach. Jak rozbiegliśmy się z domu, nie było czasu na to, żeby czasem posiedzieć, pogadać.

Z drugim bratem, bliźniakiem – operatorem filmowym – byłeś bliżej?
– Tak. Jest operatorem, profesorem, doktorem habilitowanym od filmu. Autor zdjęć do „Vabanku”, „Seksmisji” czy „Doliny Issy”.

Dziś widzę wyraźniej, że bardzo się różnimy. Gdy patrzę na siebie i bliźniaka, mam wrażenie, że wszystko bierze się z dzieciństwa. Mama opowiadała, że kiedy chłopcy grali na placu, ja potrafiłem zabrać im piłkę, a mój brat chował się za mamą. Śmieję się: „Widzisz, zostało ci to do dziś. Ty chowasz się za kamerą, a ja przed kamerą lubię się popisywać”.

Rozmawiacie o sztuce, filmie?
– Właściwie nigdy. Może przy okazji jakichś wspólnych planów filmowych. Każdy miał swój świat. On w Łodzi żył środowiskiem filmowców, teatr niespecjalnie go pociągał. Dziś pisze. Jedna z jego książek dotyczy estetyki obrazu filmowego.

Powiedział, że jestem w stanie ją zrozumieć. A ja odpowiedziałem: „Dałeś świadectwo epoce, której już właściwie nie ma, która odchodzi”.

Jak zmieniło ci się czucie świata, czucie ludzi?
– Kiedy zaczynałem, pracowałem z reżyserami znacznie starszymi ode mnie. Później przyszło pokolenie moich rówieśników – Filip Bajon, Agnieszka Holland, Janusz

- **Albercik, „Seksmisja” Juliusza Machulskiego, (1984)**
- **Jaś, „Perła w koronie” Kazimierza Kutza (1971)**
- **Stanisław, „Brzezina” Andrzeja Wajdy według opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza (1970)**







FOT. POLFILM/EAST NEWS (2), JERZY TROSZCZYNSKI/FILMOTEKA NARODOWA

Olgierd Łukaszewicz

- Urodził się 7 września 1946 r. w Chorzowie. Wybitny aktor teatralny, filmowy i telewizyjny oraz działacz kulturalny. Absolwent PWST w Krakowie. Występował na scenach m.in. Teatru Dramatycznego, Powszechnego, Narodowego i Polskiego w Warszawie. Znany m.in z ról w filmach „Brzezina”,„Noce i dnie”,„Perła w koronie”,„Katyń” , „Seksmisja” i „Generał Nil”. W latach 2002-05 oraz 2011-18 był prezesem Związku Artystów Scen Polskich (ZASP). Jest laureatem wielu nagród i odznaczeń za zasługi dla polskiej kultury.

Kijowski, trochę starszy Ryszard Bugajski. Z każdą z tych osób rodziła się szczególna relacja.

Praca nad filmem często prowadziła do głębszych więzi niż teatr. Przynajmniej ja tak to przeżywałem. Z takich spotkań rodziły się przyjaźnie.

Ciekawe, bo rzadko słyszy się o wielkich przyjaźniach między aktorami. To jak u adwokatów, lekarzy. Może dlatego, że jednak ze sobą konkurujemy?
– Trafiłeś w sedno. Trochę żałuję, że takich przyjaźni między aktorami było tak niewiele. Oczywiście zdarzają się – choćby Wojciech Malajkat i Zbigniew Zamachowski, którzy znali się jeszcze ze studiów.

Dla mnie kimś naprawdę bliskim był Wojciech Pszoniak, choć starszy. Siedzieliśmy w jednej ławce w szkole teatralnej, ale poznaliśmy się jeszcze wcześniej. To było dość zabawne. Przed maturą leżałem w szpitalu po operacji. Byłem w piżamie, z nosa zwisał mi zakrwawiony bandaż. Poprosiłem Wojtka, żeby zrobił mi egzamin ze zdolności aktorskich. On potraktował sprawę całkiem serio.

Jak wyglądał ten egzamin?
– Trzymając się łóżka, żeby się nie przewrócić, wyrecytowałem z pełnym zaangażowaniem „Słowo o Jakubie Szeli” Brunona Jasieńskiego. A Wojtek oceniał, czy nadaję się do zawodu aktora. Tak zaczęła się znajomość, która później przerodziła się w przyjaźń.

Teraz szukam przyjaźni z ludźmi zdecydowanie młodszymi ode mnie. To oni są w stanie podtrzymywać moją witalność.

Tak było choćby przy filmie Oskara Sadowskiego „Pieśń o nocy”.

Nie bałeś się tej roli? Grasz tam mężczyznę, który w podeszłym wieku przeżywa homoseksualną inicjację.
– Bałem się. Ale z drugiej strony – nie ma już na co czekać. Albo to, co fascynuje młodego reżysera, stanie się również moim światem i moją wyobraźnią, albo człowiek zacznie się bać. A ja nie chciałem nigdy być tchórzem.

Kiedyś starsi aktorzy uważali, że należy grać wyłącznie postaci pozytywne. Potem okazało się, że najbardziej fascynujący bywają bohaterowie niejednoznaczni.

Mnie od zawsze interesowali ludzie wrażliwi, empatyczni, rozwibrowani. Tacy, którzy mają kłopot sami ze sobą, z emocjami i intymnością. Tak było w „Locie nad kukułczym gniazdem”, w „Kapeluszu pełnym deszczu”, przede wszystkim w „Brzezinie”, później w „Lekcji martwego języka”.

Ja po prostu próbuję zawłaszczyć wnętrze człowieka, którego gram. Najpierw trzeba uruchomić w sobie ten wewnętrzny ogień. Tę gorączkę. To jednocześnie przekleństwo i największa radość tego zawodu.

Wtedy zaczynasz szukać prawdy swojego bohatera. W jednej scenie jesteś bardzo męski, twardy i dynamiczny, a w następnej delikatny, nadwrażliwy, niemal kruchy. Często ta warstwa emocjonalna nie jest zapisana w tekście. Trzeba ją dopiero stworzyć.

Każda rola przynosi mi jakieś zdumienie nad samym sobą. Dowiaduję się, na co jeszcze mnie stać.

Czytałem wywiad z tobą w „Replice”. Utyskiwałeś, mówiąc o swoich rolach: „Kościół ma od dawien dawna jakąś straszliwą fobię na temat seksualności człowieka”.
– Żyjemy w czasie, w którym na nowo definiowane są role społeczne i płciowe. Kościół od wieków patrzył na te zmiany z dużą rezerwą. Mam czasem wrażenie, że źródła tego myślenia sięgają bardzo daleko – choćby soboru trydenckiego, po którym zasłonięto nagość na fresku Michała Anioła „Sąd Ostateczny”. A przecież niemal sto lat wcześniej Hans Memling w swoim „Sądzie Ostatecznym” pokazał ludzi nagich, takich, jak – zgodnie z biblijną opowieścią – zostali stworzeni.

Myślisz, że do dziś nie umiemy spokojnie rozmawiać o ciele?
– Niedawno w Krakowie spotkałem przedstawicieli Forum Mężczyzn. Zachęcali do badań profilaktycznych – do USG jąder czy oznaczania PSA. Pomyślałem wtedy, że to jest w gruncie rzeczy próba oswojenia własnego ciała, zdjęcia z niego niepotrzebnego wstydu.

Sam miałem zabawną sytuację. Na USG jąder badała mnie piękna pani doktor. I uświadomiłem sobie, że przyzwyczailiśmy się do tego, iż kobiety są badane przez ginekologów. Tymczasem kiedy role się odwracają, pojawia się zakłopotanie.

Żyjemy w czasie ogromnych zmian. Kobiety są dziś lepiej wykształcone niż mężczyźni, pełnią funkcje, które dawniej były zarezerwowane dla mężczyzn. Zmienia się język, zmieniają się relacje między płciami. Ja, w moim wieku, zastanawiam się, co mogę jeszcze sensownego w tej sprawie powiedzieć.

Bliska jest mi postawa Czesława Miłosza, który także po osiemdziesiątce pisał o pragnieniach, cielesności i erotycznej wyobraźni. Nie udawał, że starość odbiera człowiekowi wewnętrzne życie. Jeżeli dziś pracuję z młodymi reżyserami i próbuję zrozumieć ich sposób opowiadania o świecie, to dlatego, że chcę pozostać w dialogu z tym, co naprawdę dzieje się wokół nas.

Zastanawiałeś się kiedyś, skąd bierze się u ciebie takie spokojne, pozbawione pruderii zainteresowanie erotyką?
– Nie wiem. Niedawno czytałem książkę Roberta Kowalczyka „Rzecz męska”. Znalazłem tam wiele ciekawych rzeczy, ale zabrakło mi refleksji o świecie wyobraźni – o tym, co dzieje się z naszymi fantazjami, z pragnieniami, z tym wszystkim, co porusza umysł.

Jest za to piękne zdanie u Juliana Stryjkowskiego w opowieści o Michale Aniele: „Mieczem ducha zabijamy tkwiące w umyśle pragnienia cielesne”. Często do niego wracam.

Mam wrażenie, że ten temat dopiero zaczyna wypływać na powierzchnię. Parady Równości są jednym

eprasa.pl bbdb7a80f8

z przejawów tej zmiany, ale to dopiero początek rozmowy o tym, kim jesteśmy jako kobiety i mężczyźni, jak przeżywamy własną cielesność i jak uwalniamy się od dawnych schematów.

Cieszę się, że polskie prawo coraz lepiej chroni kobiety – choćby poprzez zmianę definicji gwałtu opartej na braku zgody. To bardzo ważny krok.

Ale mówisz, że to dopiero początek.
– Tak. Nie chodzi o to, żeby Sejm rozwiązał wszystkie problemy. Od tego jest przede wszystkim debata społeczna. Chodzi mi raczej o to, żebyśmy zaczęli rozmawiać też o mężczyznach – o ich emocjach, cielesności, lękach, samotności, seksualności. To jedna z najciekawszych dyskusji, jakie toczą się dziś w naszej kulturze.

A kiedy kręciliście „Brzezinę", rozmawialiście z Andrzejem Wajdą o homoseksualności Iwaszkiewicza albo o takim kluczu interpretacyjnym?
– W ogóle nie. Andrzej Wajda miał bardzo prostą zasadę: „Zagrajcie to, co zostało napisane. Nie dopowiadajcie znaczeń, których nie ma w scenariuszu".

Grało się sytuację, relacje między bohaterami, emocje. Dopiero później krytycy zaczęli odkrywać kolejne warstwy tej historii.

Podobnie było z „Lekcją martwego języka" i „Straconą nocą". Interpretacje dojrzewają razem z widzami.

Miałeś natomiast problem z reakcjami części publiczności na sceny nagości. Pisano: „Łukaszewicz umiera albo się rozbiera".
– Dostawałem listy od osób, które uważały, że aktor nie powinien pokazywać ciała. Moja mama, bardzo religijna, także miała z tym trudność.

Ja patrzyłem na to inaczej. Gram człowieka. Jeśli prawda o tej postaci wymaga nagości, nie widzę w tym nic niestosownego. Na przykład w „Dziejach grzechu". Sztuka od zawsze próbowała opisywać człowieka w całej jego złożoności, a nie tylko w tej części, którą łatwo zaakceptować.

Ale warsztat aktora, reżysera się zmienia.
– Żyjemy w czasach towarów i usług. Filozofii obcej Europie. Nie wszystko da się do niej sprowadzić. Spójrz na festiwal w Cannes – wciąż jest bardzo europejski, bo ceni indywidualnego twórcę i jego autorską wypowiedź.

Często słyszę: „Kiedyś polskie filmy były lepsze". Nie zgadzam się z tym. Dziś jest po prostu inna wrażliwość. My tkwiliśmy mocno w literaturze, w określonych strukturach i konwencjach.

Mam szacunek dla twórców, którzy próbują opowiedzieć w filmie własny los, własne ciało, własne doświadczenie. Interesuje mnie ich osobista wypowiedź, a niekoniecznie wielka historia czy procesy polityczne.

Odchodzimy od wielkiej literatury, wielkiej historii i wielkiej polityki?
– Nie powiedziałbym, że odchodzimy. Raczej zmieniają się akcenty. Kiedyś oczekiwano od artysty, że opowie się po którejś stronie, że jego dzieło będzie uczestniczyć w przemianach społecznych.

A nie masz wrażenia, że współcześni twórcy coraz częściej wracają do literatury? Powstają nowe ekranizacje „Lalki", „Trędowatej"...
– To już jest przede wszystkim myślenie produktem. Towar, który ma się sprzedać. Producent wynajmuje artystę po to, żeby było odpowiednio artystycznie, ale przede wszystkim atrakcyjnie dla rynku.

Mówię o tym bez żalu. Takie są realia. W mojej młodości żyliśmy bez nadmiaru mediów, który mamy dziś. O widza było znacznie łatwiej. O nowych filmach dowiadywano się z tygodników, z zapowiedzi, z wywiadów z twórcami. To były wydarzenia.


FOT. ARCHIWUM ARTURA NOWAKA

• **Artur Nowak i Olgierd Łukaszewicz, wywiadowca i wywiadowany, przyjaźnią się od lat**

Dopieszczony aktor naprawdę potrafi więcej

Szefowie zespołów filmowych byli partnerami twórców. Pomagali reżyserowi lepiej zrozumieć, co naprawdę chce opowiedzieć i jakich środków używa. Film żył aż do ostatniego momentu, do włączenia kamery. Można było zmieniać dialogi, szukać lepszego rozwiązania.

Dziś nie można?
– Przekonałem się o tym, pracując przy pewnej niemiecko-brytyjsko-włosko-hiszpańskiej koprodukcji. Powiedziałem reżyserowi: „Przecież to twój film. Ten dialog nie brzmi prawdziwie, zmieńmy go". Raz przyznał mi rację. Ale zaraz okazywało się, że trzeba uzyskać zgodę producenta, koproducentów z kolejnych krajów, wszystkich uczestników projektu. Zaczynały się telefony i uzgodnienia.

Kiedy słucham niektórych współczesnych polityków, zwłaszcza Mentzena, który wyśmiewa artystów, a teatr traktuje jak zbędny wydatek, zastanawiam się, skąd bierze się taka pogarda dla świata kultury?
– On nie rozumie tego, co dla Europejczyka jest abecadłem. Kultura poszerza horyzonty. Uczy patrzeć na świat oczami drugiego człowieka. Buduje empatię i wrażliwość przyszłego wyborcy.

Tego nauczyłem się również w Niemczech. Tam usłyszałem: „Przygotowujemy wrażliwego obywatela dla demokratycznego społeczeństwa". Bardzo mi się to spodobało.

Najlepsza sztuka nie prowokuje dla efektu. Ona odsłania to, co istnieje, ale bywa przemilczane.

Mentzen jaką tradycję za sobą niesie?
– Myślę, że nasze warcholstwo mamy gdzieś głęboko zapisane – może jeszcze w tej sarmackiej tradycji. Z jednej strony bunt bywał w Polsce piękną postawą patriotyczną, ale z drugiej zostawił nam coś bardzo niebezpiecznego: brak szacunku dla prawa i instytucji.

Nie umiemy budować wspólnoty w oparciu o reguły. Zachód wypracował logikę państwa prawa i odpowiedzialności obywatelskiej, a my ciągle się między tym a własnymi przyzwyczajeniami miotamy. Dziś weto prezydenta jest jak weto pojedynczego posła, który kiedyś zrywał sejmy.

Trzeba też spojrzeć na to, co przez ostatnie lata działo się z Trybunałem Konstytucyjnym. To pokazuje skalę problemu. Nie ma dziś autorytetu, który potrafiłby odbudować szacunek dla prawa. Kiedyś na autorytet trzeba było zapracować, coś osiągnąć.

Dziś wystarczy kogoś obrażać, oskarżać, na podziale budowane są zasięgi. W latach osiemdziesiątych autorytetem był Kościół. To tam odbywały się spektakle, spotkania, Dni Kultury Chrześcijańskiej. Dla wielu ludzi Kościół był przestrzenią wolności.
– Tak, ale to był krótki moment. Sam brałem w tym udział – choćby podczas wystawiania „Wieczernika" Andrzeja Wajdy czy wyjazdów do parafii. Wydawało się, że Kościół daje ludziom oddech. Wajda myślał nawet o stworzeniu teatru pod patronatem Kościoła. Dobrze się stało, że do tego nie doszło.

Bo kiedy przyszła wolność, Kościół szybko zaczął domagać się nie tylko miejsca w życiu publicznym, ale również rządu nad sumieniami. Jak sam wielokrotnie pisałeś, uznał, że to on powinien mieć decydujący głos w sprawach państwa.

Dziś widzę wyraźnie, jak silnie moje pokolenie zostało ukształtowane przez taki model wychowania. Pokolenie Jana Pawła II najpierw widziało w Kościele wyzwoliciela z komunizmu, a później musiało zmierzyć się z tym, że Kościół zaczął rościć sobie prawo do kierowania ludzkimi sumieniami. I właśnie dlatego ten model dzisiaj się rozpada – nie tylko w Polsce, ale w całej Europie.

Dopiero po siedmiu latach pracy w Niemczech zrozumiałem, kim naprawdę jestem. Chciałem własnym językiem teatru opowiadać o Polsce, o wolności i o odpowiedzialności. Myślę, że właśnie wtedy naprawdę dojrzałem jako artysta. Zrealizowałem to w spektaklach w Teatrze Narodowym.

Mam wrażenie, że teatr był kiedyś światem wyraźnej hierarchii. Miał swój porządek, swoje rytuały. Słyszałem o zwyczaju całowania starszych aktorów w rękę.
– Kiedy przychodziłeś do teatru, nic jeszcze nie umiałeś. Starsi aktorzy byli mistrzami zawodu i to było oczywiste. Jeśli kiedyś Ludwik Solski pozwalał całować się po rękach, to znaczy, że taka forma była przez środowisko akceptowana. Zresztą nie dotyczyło to tylko teatru. Pamiętam, jaj mama kazała mi pocałować w rękę biskupa, który odwiedził nas w domu. Takie gesty były po prostu elementem obyczaju.

Ja trafiłem już do innej epoki. Miałem szczęście pracować z Gustawem Holoubkiem, Andrzejem Łapickim, Tadeuszem Łomnickim i wieloma aktorami, którzy ukształtowali się tuż po wojnie. To nie były już relacje oparte na takim ceremonialnym dystansie. Oczywiście między młodymi a starszymi istniał ogromny szacunek. Koleżeństwo nie przychodziło od razu. Zaufanie zdobywało się latami.

Myślę, że pewnym przełomem był rok 1968. Studenci pokazali wtedy, że są samodzielną siłą – nie tylko artystyczną, ale i obywatelską. Przecież wszystko zaczęło się od „Dziadów" i protestów studentów warszawskich uczelni. To był moment, kiedy młode pokolenie zaczęto traktować bardziej po partnersku.

Starsi aktorzy najczęściej odnosili się do nas z życzliwością. Jak mistrz do czeladnika. Uczyli warsztatu, pomagali zrozumieć zawód. Natomiast rzadko rozmawiało się, po co właściwie gramy, jaki sens niesie spektakl, co chcemy powiedzieć światu. Rozmowy dotyczyły raczej środków wyrazu – jak zbudować postać, jak dobrać ton, gest, barwę. Za całą myśl przedstawienia odpowiadał reżyser. To on był w teatrze kimś, kto nadawał całości sens i kierunek.

A da się jeszcze dzisiaj rozróżnić, co jest sztuką, a co tylko sprawnie zrobionym produktem? Po czym to poznajesz?
– Nigdy nie powiedziałbym tego z całą pewnością. Można przecież bardzo rzemieślniczo skonstruować film, a efekt okaże się wybitnie artystyczny.

Weźmy Wojciecha Jerzego Hasa. Jego filmy były rozpisane z niezwykłą precyzją, storyboard po storyboardzie. Podobnie u Kazimierza Kutza przy „Perle w koronie" czy „Soli ziemi czarnej". Tam właściwie nie było miejsca na improwizację. Z kolei Andrzej Wajda mówił: „Ustawię kamerę dopiero wtedy, kiedy zobaczę, co mi zagrasz".

To są po prostu różne metody twórcze.

A ty miałeś poczucie, że uczestnicząc w tych filmach, bierzesz udział w wydarzeniach artystycznych?
– Tak. Świadomie unikałem ról w filmach czysto popularnych.

Mogłeś sobie na to pozwolić?
– Raczej się obawiałem. Gdybym zaczął grać głównie w kinie popularnym, mógłbym przestać interesować reżyserów, którzy tworzyli kino autorskie. Bałem się, że przestaną mnie do niego zapraszać.

Pamiętasz jakąś popularną rolę, którą odrzuciłeś?
– Tak. Odmówiłem udziału w „Rodzinie Połanieckich".

Jest jakiś film, który jest najbliżej jakiejś prawdy o twojej wrażliwości?
– Uważaj z tym słowem. „Wrażliwy" powie o sobie prawie każdy. Ono samo niewiele znaczy. Trzeba jeszcze dopowiedzieć, na czym ta wrażliwość polega. A najlepiej mówią o tym rzeczywiście moje role.

Najwyraźniej było to chyba w „Brzezinie", gdzie zderzenie mojej postaci z bohaterem granym przez Daniela Olbrychskiego pokazywało dwa zupełnie różne sposoby przeżywania świata.

Pamiętam też rozmowę z dziennikarzem „Repliki", który zapytał mnie o gejowskie wątki w moich rolach. Byłem zaskoczony. Nigdy tak o nich nie myślałem. Ale kiedy zacząłem analizować „Lekcję martwego języka" czy „Straconą noc", doszedłem do wniosku, że rzeczywiście pewna homoerotyczna warstwa tych tekstów pobudzała moją wyobraźnię.

Przypomina mi się jeszcze jedna historia. Pracowaliśmy z Andrzejem Wajdą nad „Spra-

eprasa.pl bbdb7a80f8

wą Dantona". Grałem Camille'a Desmoulinsa, a Robespierre'a – Wojtek Pszoniak.

Wajda uznał podczas jednej z prób, że scena między nami nie działa. Powiedział: „Nie wiadomo, co dzieje się między tymi ludźmi". Po chwili dodał: „Jeśli się rozbierzesz, uratujesz tę scenę. Jeśli nie, skrócimy ją, bo jest nudna". Miał rację. Pod powierzchnią dialogu była intymność, napięcie, którego nie było widać. O to chodziło autorce – Anieli Przybyszewskiej.

Nie odważyłem się.

A gdybyś miał powiedzieć coś o sobie? Nie jako o Alberciku czy bohaterze filmów Wajdy, ale o Olgierdzie Łukaszewiczu. Jaki jesteś?
– Mam jedną cechę, która towarzyszy mi przez całe życie – umiem porządkować chaos.

Nawet podczas zebrań wspólnoty mieszkaniowej, kiedy emocje biorą górę i każdy mówi jednocześnie, potrafię to wszystko uporządkować. Dlatego mieszkańcy zawsze proszą, żebym to ja prowadził zebrania.

Żartujesz. Masz na to czas?
– To mój dar i nie ma znaczenia, czy to teatr, czy sprawy sąsiedzkie. Myślę, że właśnie dlatego byłem skutecznym prezesem Związku Artystów Scen Polskich. Z jednej strony odziedziczyłem po Gustawie Holoubku przekonanie, że trzeba rozumieć miejsce sztuki w państwie i umieć jej bronić w dialogu z władzą.

Z drugiej – musiałem nauczyć się zarządzania i bycia menedżerem. Kiedyś byłem przewodniczącym samorządu szkolnego. Ale harcerstwo nauczyło mnie chyba najwięcej – że w grupie zawsze istnieją różne racje i że trzeba umieć je pogodzić.

Prowadziłem nawet kursy dla drużynowych, choć wielu uczestników było ode mnie starszych. Może wtedy odkryłem w sobie organizatora. Z jednej strony jestem człowiekiem bardzo emocjonalnym, ale z drugiej potrafię wszystko sprowadzić do konkretu.

Z aktorami wiąże się stereotyp bon vivanta – człowieka, który lubi życie, zabawę, nocne spotkania. Ty się wybawiłeś?
– Nie. Nigdy nie byłem typem bywalca. Nie ciągnęło mnie ani do alkoholu, ani do nocnego życia, choć później odpowiadałem za legendarny klub SPATiF.

Już na studiach, zamiast bawić się po nocach, wybierałem koło naukowe i dodatkowe zajęcia. Taki już byłem.

Czasem zdarza się, że jakaś pani mówi: „Wie pan, kiedyś byłam w panu zakochana". A ja odpowiadam z uśmiechem: „Szkoda, że nie powiedziała mi pani tego wtedy".

Dostawałeś listy od wielbicielek?
– Po jednej z audycji do telewizji przyszło około sześciu tysięcy listów. Wśród nich losowano później fotografie z moim autografem. To był 1970 albo 1971 rok. W tamtym czasie czytelnicy „Magazynu Filmowego" uznali mnie za najpopularniejszego aktora i dostałem Złote Grono. Później już się to nie powtórzyło.

Jak wtedy wyglądała taka popularność? Dzisiaj kojarzy się z mediami społecznościowymi, a wtedy?
– Pamiętam, jak z żoną, Grażyną Marzec, poszliśmy do sklepu w Łodzi kupić kurtkę. Pierwszego dnia usłyszeliśmy, że nie ma odpowiedniego rozmiaru. Następnego dnia ekspedientka spojrzała na mnie i powiedziała: „A, to pan był wczoraj z panią Grażyną. Proszę bardzo, kurtka już jest". To raczej w ten sposób objawiała się rozpoznawalność.

Bywały też zabawne sytuacje. Kiedyś na wsi podszedł do mnie mężczyzna i poprosił o autograf. Podpisałem się, on po chwili zawrócił i zapytał z pełną powagą: „A pieczątkę pan ma?".

Ale chyba największą popularność przeżyłeś jednak w Moskwie?
– Na festiwalu, na którym pokazano „Brzezinę", Daniel Olbrychski dostał nagrodę, ale mnie najbardziej ucieszyły reakcje zwykłych ludzi. Zdarzało się, że w metrze rozpoznawały mnie młode dziewczyny i wręczały mi... pierścionki. To były naprawdę niezwykłe sytuacje.

To wtedy poznałeś Siergieja Bondarczuka?
– Nie, Bondarczuka poznałem później, w Warszawie. Zaangażował mnie do niewielkiej roli księdza w swoim „Borysie Godunowie". Kręciliśmy między innymi w kościele mariackim.

Później przyszedł jeszcze na mój spektakl „Psalmy Dawida" w Piwnicy na Wójtowskiej.

Po jakimś czasie wezwano mnie do Moskwy na udźwiękowienie „Godunowa". Dowiedziałem się, że w Polsce sugerowano Bondarczukowi, iż jestem aktorem opozycyjnym i powinien znaleźć kogoś innego. Chcieli, żeby on wrócił do mariackiego i nagrał tę scenę z innym aktorem. Odpowiedział, że nie zamierza mnie wymieniać.

W 1980 roku podobne historie słyszałem także w NRD. Krążyły rozmaite plotki, że jestem jakimś opozycjonistą czy autorem podziemnych publikacji. Takie opinie potrafiły utrudniać pracę.

A jak doszło do angażu w Bonn?
– Jerzy Jarocki został zaproszony do Bonn z „Pułapką" Franza Kafki, a główny aktor zrezygnował. Wcześniej grałem Kafkę w „Pułapce" Tadeusza Różewicza – najpierw w Teatrze Telewizji, później na scenie. Zaproponowano więc tę rolę mnie. Przyjąłem ją także dlatego, że chciałem po latach spotkać się z Jarockim, którego jako student bardzo się bałem.

Przed spektaklem wszędzie wisiały jeszcze fotografie mojego poprzednika Włodka Pressa. Byłem zły, że nigdzie mnie nie ma. A potem wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Nie minęło nawet pół godziny od zakończenia przedstawienia, gdy otrzymałem propozycję czteroletniego angażu w teatrze w Bonn.

Kiedyś powiedziałeś mi, że aktor – i mówisz to też o sobie – potrzebuje akceptacji. Potrzebuje usłyszeć, że to, co robi, ma sens.
– To prawda. Chyba każdy aktor tego potrzebuje. Mistrzem w wydobywaniu z aktorów tego, co najlepsze, był Jerzy Antczak. Miał niezwykły dar sprawiania, że człowiek chciał dla niego zagrać jeszcze lepiej.

Co takiego robił?
– Był entuzjastą. Natychmiast wyłapywał to, co było dobre, i potrafił się tym autentycznie zachwycić. Tym swoim entuzjazmem dodawał aktorowi energii i odwagi. Nagle wszystko wydawało się możliwe. Dopieszczony aktor naprawdę potrafi więcej.

Niedawno brałem udział w programie poświęconym Jerzemu Antczakowi. On mieszka w USA. Były fragmenty „Nocy i dni", wspomnienia, archiwalne materiały. Kamera pokazała moją twarz i chyba było widać, jak bardzo mnie to poruszyło.

Antczak obejrzał ten program już w Stanach Zjednoczonych i zaraz potem przysłał mi niezwykle serdeczną wiadomość. Napisał, że zobaczył we mnie prawdziwe emocje aktora.

To był właśnie cały on – nawet po latach potrafił dostrzec coś dobrego i powiedzieć ci o tym.

W teatrze jest inaczej?
– Pamiętam pracę nad wspomnianą „Pułapką". Jerzy Grzegorzewski powiedział mi: „Inspiruj się ostatnią fotografią Franza Kafki. Tą, na której patrzy gdzieś w dal".

Zacząłem budować postać, myśląc również o rysunkach Kafki – tych wydłużonych, delikatnych sylwetkach. Wprowadzałem to do ruchu, do gestów. Przez jakiś czas działało. Aż w pewnym momencie Grzegorzewski powiedział: „Nie. To już jest przestylizowane. Tędy nie idziemy".

Potem do tego spektaklu zaangażował mnie Stanisław Różewicz i powiedział coś zupełnie odwrotnego: „Dlaczego pan gra takiego Kafkę? Niech pan przypomni sobie zdjęcie, na którym uśmiecha się z siostrami w górach".

Przeszkadza ci, kiedy ludzie wołają za tobą: „Albercik"?
– Nie. Przeciwnie, to bardzo miłe. Aktor jest po to, żeby zostawiać po sobie ślad w pamięci widzów. Jeśli ktoś pamięta mnie właśnie z Albercika, to znaczy, że ta rola do niego dotarła.

Każdy widz ma własny klucz. Na szczęście nie miałem doświadczeń, jakie spotykały niektórych kolegów. Pamiętam tłumy otaczające Stanisława Mikulskiego po sukcesie „Stawki większej niż życie" czy Daniela Olbrychskiego, którego ludzie zaczepiali w bardzo gwałtowny sposób. Mnie takie sytuacje omijały.

Jeździsz teraz po Polsce, po powiatach, małych wsiach z misją europejską. Wojciech Jastrzębowski, którego popularyzujesz, autor projektu konstytucji dla Europy, wielu ministrom jest zupełnie obcy. Zabiegasz o edukację europejską.
– Odbyłem ponad dwieście spotkań, rozmawiałem z ludźmi i zachęcałem ich do obywatelskiego dialogu o Unii Europejskiej. Otaczali mnie znakomici eksperci: profesor Roman Kuźniar, przewodniczący rady mojej fundacji, Jan Truszczyński – główny negocjator wejścia Polski do Unii Europejskiej, Jerzy Stępień i wielu innych. Pisali artykuły, jeździli ze mną na spotkania.

Problem polega na tym, że władza wciąż nie rozumie, iż organizacje obywatelskie działają głównie w dużych miastach. Tymczasem trzeba jechać tam, gdzie mieszkają ludzie decydujący o wyniku wyborów. Trzeba z nimi rozmawiać.

Chyba Donald Tusk to rozumiał. Wiedział, że same media społecznościowe nie wystarczą. Trzeba się z ludźmi spotkać, podać im rękę, wytrzymać czasem trudną dyskusję i usłyszeć gorzką prawdę.
– Tak, ale bywa też odwrotnie. Czasami proeuropejscy politycy zachowują się tak, jakby pozjadali wszystkie rozumy. Nie rozmawiają z ludźmi.

Nasze społeczeństwo przez lata nauczyło się lekceważyć prawo. W PRL-u prawo niewiele znaczyło. Dziś wielu ludzi równie lekko traktuje państwo prawa.

Jeżeli publiczne pieniądze są wydawane niezgodnie z prawem, to trzeba to jasno nazwać i rozliczyć. To nie jest sprawa polityczna, ale księgowa. Tymczasem na przykład publicysta PiS Rafał Ziemkiewicz mówi: Bierzemy, co Unia dała, i spieprzamy.

Tylko dokąd mamy spieprzyć? Na Kreml?

Czemu ludzie się na to nabierają?
– Jeżdżę w teren. Widzę ludzi wychowanych na patriotyzmie opartym głównie na pamięci powstań, klęsk i przekonaniu, że Polska jest wieczną ofiarą, a świat nieustannie działa przeciwko niej. W takim obrazie rzeczy także Unia Europejska musi jawić się jako wróg.

Oczywiście inaczej rozmawia się na Śląsku, gdzie tradycja powstań śląskich jest czymś wyniesionym ze szkoły i z domu. Ale warto pamiętać, że po trzecim powstaniu śląskim, po przegranym plebiscycie, Polska otrzymała trzy czwarte Górnego Śląska dzięki wsparciu Francji.

Po II wojnie światowej otrzymała dwie piąte dawnych ziem niemieckich. Kiedy o tym mówię, zwolennicy PiS wzruszają ramionami i odpowiadają: „Ale to Stalin nam dał".

Tylko z czyjej kieszeni? To brak wiedzy i ignorancja. Nie znamy swojej historii.
– Dlatego rozmowa z Niemcami nie może uruchamiać wyłącznie emocji, którymi następnie karmi się AfD. Tym bardziej że niemiecka skrajna prawica łatwo przejęła hasła polskich polityków domagających się reparacji. Odpowiadają dziś: oddajcie nam wysoko rozwinięte tereny, które dostaliście po wojnie.

Mam też żal za sposób, w jaki obchodzi się dziś rocznicę powstania warszawskiego. Powstanie było nieracjonalne i nieodpowiedzialne pod względem wojskowym. Mówił o tym ostatnio bardzo wyraźnie Marek Migalski.

Generał Fieldorf, którego grałem w „Nilu", także był przeciwny wybuchowi powstania. Był oficerem odpowiedzialnym.

Tymczasem nasza duma narodowa puchnie, choć powinniśmy odczuwać i ogromny smutek. Mój wuj, gdy miał czternaście lat, pierwszego dnia powstania obserwował ruchy niemieckich samochodów. Opowiadał później o ataku powstańców na teren dzisiejszych akademików przy Placu Narutowicza. Młodzi chłopcy szli właściwie bezbronni, a z budynków strzelały do nich karabiny maszynowe.

My nie umiemy obchodzić się z własną historią. Nie chodzi o to, żeby odbierać bohaterstwo ludziom, którzy byli wtedy często dziećmi, a dzisiaj są czczeni jako powstańcy. Trzeba jednak racjonalnie oceniać samą decyzję o rozpoczęciu walki.

Przecież katastrofa smoleńska także wiązała się z nieodpowiedzialnością. Kto zdecydował o próbie lądowania mimo mgły i mimo sygnałów ostrzegawczych? Kto wydał rozkaz? Nadal tego uczciwie nie przepracowaliśmy.

Ciągle odbywają się miesięcznice i kolejne obchody.
– Dziwię się ludziom, którzy się tam gromadzą, bo gromadzą się w imię mgły, niewiedzy i nieprzepracowanych emocji.

Dlatego jeżdżę po całej Polsce na zaproszenie organizacji społecznych, z których wiele powstało po rozpadzie Komitetu Obrony Demokracji. Staram się znajdować sposoby na racjonalizowanie tego, co powinno stać się dla nas nauką.

Kiedy młody człowiek pyta mnie: „Pan jest za Unią Europejską, ale przecież Unia zabiera nam suwerenność", odpowiadam najprościej: „A kiedy pan się ożeni, to pozostaje pan całkowicie suwerenny w swoich decyzjach? Czy musi je pan konsultować z żoną? A jeżeli zechce się rozwieść, czy nie musi zrobić tego zgodnie z prawem i pójść do sądu?".

Wstępując do Unii, zgodziliśmy się na wspólne zasady.

Nasi politycy zapomnieli jednak wyraźnie zagwarantować, że z Unii Europejskiej moglibyśmy wystąpić wyłącznie w drodze referendum. Istnieje niebezpieczeństwo, że można byłoby to zrobić zwykłą ustawą sejmową zatwierdzoną przez prezydenta. Dlatego drżę o to, co młodzi ludzie mają w głowach.

Osiemdziesiąta rocznica urodzin daje mi czasem poczucie rozpaczy, że nie zdążę ze wszystkimi porozmawiać. Nie zdążę powiedzieć: mówmy do siebie, próbujmy być mądrzejsi. ●

Czy bałem się zagrać mężczyznę, który w podeszłym wieku przeżywa homoseksualną inicjację? Bałem się. Ale nie ma już na co czekać.

eprasa.pl bbdb7a80f8

OSMAŃSKA WRAŻLIWOŚĆ



– To już nie jest Schengen? – pytam kobietę w budce przed granicą. – Jest, ale trzeba zapłacić za most. Płacę więc 6 euro, przekraczam Dunaj, wjeżdżam do Bułgarii. Pierwszy raz w życiu i będę nią jechać przez kilka dni nad Morze Czarne.

Tekst i zdjęcia **Anna Wyrwik**

1 NA POCZATKU WIDYŃ. Centrum, park, hotel wyglądający jak dom kultury zamknięty w 1983 roku, ale wchodzę do środka, gdzie sztuczna trawa na ścianie i antygrawitacyjny nawilżacz powietrza gonią Zachód, a recepcjonista mówi: – Don't worry, it's old on the outside, but new on the inside.

Widyń jest stolicą obwodu Widyń, mieszka w nim ok. 33 tys. ludzi jest old on the outside, a inside jeszcze nie wiem. Na razie, chodząc po mieście, mijam rozwalone domy, rozwalone śmieci, rozwaloną huśtawkę i parę, która idzie po tym rozwaleniu. On ubrany jest w jeansy, a reszta w sportowym duchu. Ona w obcisłą, błękitną sukienkę i na szpilkach, którymi jakimś cudem lawiruje wśród dziur. Na ich tle powiewa wypłowiała bułgarska flaga, a ja na to patrzę i myślę, że to creepy kraj.

Nie pozbędę się tej myśli do końca podróży.

W Widyniu jest dużo starych budynków, jak Cerkiew św. Petki z XVII wieku, przed którą chłopaki na stoliku siłują się na ręce. Są marzenia o Ameryce, jak szkolne autobusy, które pod napisem po bułgarsku mają napis „school bus" i są żółte. Jest sport, jak na parkingu marketu Billa, gdzie chłopaki po zmroku robią bramki z wiat na wózki. Są też piekarnie, dużo piekarni, w dziuplach, w ścianach budynków. Niektóre przypominają mi piekarnie w Hawanie. „Czy Bułgaria jest Kubą Europy?" i znajduję, że obwód Widyń jest jednym z najbardziej zacofanych w kraju i w Unii Europejskiej.

Wśród biedniejszych są też obwody Montana, Łowicz czy Jamboł. Będę przez nie jechać.

W Widyniu jest sztuka. Galeria Sztuki Nikoli Pietrowa działa od lat 60. XX w., a imię bułgarskiego impresjonisty nosi od lat 70. Szczyci się pracami Vladimira Dimitrova, nazywanego tu „Master". Choć ja bardziej zwracam uwagę na prace współczesnej Anety Dragusanu, Rumunki mieszkającej w Widyniu, które przypominają mi Bułgarię, jaką widzę tego pierwszego dnia. Trochę nowoczesności, ale wciąż socjalizm, trochę nowego, ale bardziej starego. Przekonam się, że Bułgaria to opowieść o czasie.

Dalej, przed Dunajem, jest zadbany park, po którym chodzą ludzie albo siedzą na ławkach, albo w kawiarniach, dziewczyny kręcą filmiki, chłopaki trenują jazdę na góralach na jednym kole, dmuchańce w smerfy i sezon letni.

W Widyniu są też patrioci. „Ani kroku w tył, Bułgaria za nami!" – krzyczy naklejka na zderzaku nissana. Z tym zdaniem w sercu i na ustach Bułgarzy walczyli o wolność. Kiedyś praktykowali ją, broniąc miast przed obcymi, co w Widyniu udało się dzięki zbudowanej w XVII wieku twierdzy Kaleto, której mury do dziś ciągną się wzdłuż Dunaju i od lądu.

Dziś wolność praktykują na drogach za kierownicami samochodów, wieszając billboardy z reklamami papierosów i na widyńskim Pomniku Wolności, wysprejowanym antyfaszystowskimi i antykomunistycznymi hasłami.

– Jeśli chcesz być artystą, lepiej tu nie zostawać, tylko wyjechać do Sofii lub Bukaresztu – mówi pracowniczka galerii Pietrowa. – Choć właściwie to możesz jechać, gdzie chcesz, ale życie i tak postawi cię tam, gdzie musisz być.

2 W DRODZE DO MONTANY jadę przez kolejne wsie wśród wysuszonych traw i zardzewiałych ogrodzeń, za którymi rozklekotane auta stoją przy niedokończonych domach. Jadę przez krainę permanentnego rozkładu, jakby wszystko, co mijam nigdy nie było nowe, jakby odkąd jest, odpadał z tego tynk, jakby ten kosz obok drogi, od zawsze się nie domykał, jakby od zawsze wszystko to było niezrobione, zawsze gdzieś trochę wygięte, trochę zepsute.

Za półtora tygodnia w sofijskiej galerii sztuki obejrzę wystawę bułgarskiego malarza Petera Dachewa, na której przeczytam słowa kuratora Iva Mileva o tym, że Dacheva pociągało to, co przemijające. „Przemijalność, zmienność świata – to, co czyni go światem ludzkim – ma korzenie w kulturze osmańskiej" – pisze Milev. – „W zachodniej nowoczesności nietrwałość i rozpad są często postrzegane jako porażka lub niedobór, (...) to, co zepsute, musi zostać naprawione, odnowione lub wymienione. W osmańskiej wrażliwości, przeciwnie, czas ma tendencję do «zmiękczania» świata. Patyna, blaknięcie i starzenie się dodają wartości. Stare drewno, spękane ściany, wyblakłe odcienie dywanu – wszystko to nosi ślady czasu".

Wprawdzie odnosi się to do stambulskiego okresu z życia Dacheva, a przecież Bułgarzy szczycą się wykopaniem Turków ze swych ziem – ale daje do myślenia. „Ruina, która nie jest zniszczeniem, spustoszenie, które nie jest zaniedbaniem, spokój w obliczu zmiany, który nie jest apatią, dynamika i witalność, które są preludium do ciszy – i cisza, która nie jest ani zmęczeniem, ani bezradnością" – pisze Milev. Może na siłę szukam w krajobrazie jakiegoś stadium melancholii?.

Prędzej znajdę creepy kraj, w którym na poboczu nagle wyrasta czarny budynek z napisem King Bet, skład opon przykryty płachtą z informacją o dotacjach unijnych. Drogą jedzie TIR z wielką głową Che Guevary na masce i żółty seat leon z napisem „Chicho Richo", na czyimś płocie dyndają głowy od lalek, przed czyimś domem stoi samolot wojskowy, jadę i wiem, że tu wszystko jest możliwe.

Nawet Montana.

Jest stolicą obwodu Montana, ma 34 tys. mieszkańców i jest zanurzona w latach 90. jak cała Bułgaria. Przy tamie na rzece Ogosta jadę dziurawym asfaltem, który przechodzi w żwir prosto do wody pełnej śmieci i mułu. Lata 90. rozpoznaję w składanym stoliku turystycznym z aluminium, na którym para z pieskiem kładzie jedzenie. Druga para leży w słońcu na kocu na tym dziurawym asfalcie przed otwartym bagażnikiem starej CRV. Piesek chlupie się w wodzie, słońce grzeje, wakacje w Bułgarii.

A potem przejeżdżam przez miasto Wraca i wracam do teraźniejszości, pijąc ice coffee w hipsterskiej kawiarni. A potem połataną drogą, z przerwami na przejście krów, jadę w góry.

3 KOPRIWSZTICA. „O mój Boże, wioska mała jak pudełko, gdzie rośnie tylko żyto, gdzie zima trwa 9 miesięcy w roku, gdzie najczęściej uczęszczane drogi mają tylko dwa przęsła szerokości, gdzie zacni goście są przyjmowani jak hadżi (...) i spójrz, ilu aktywistów i pa-

eprasa.pl bbdb7a80f8



Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę”

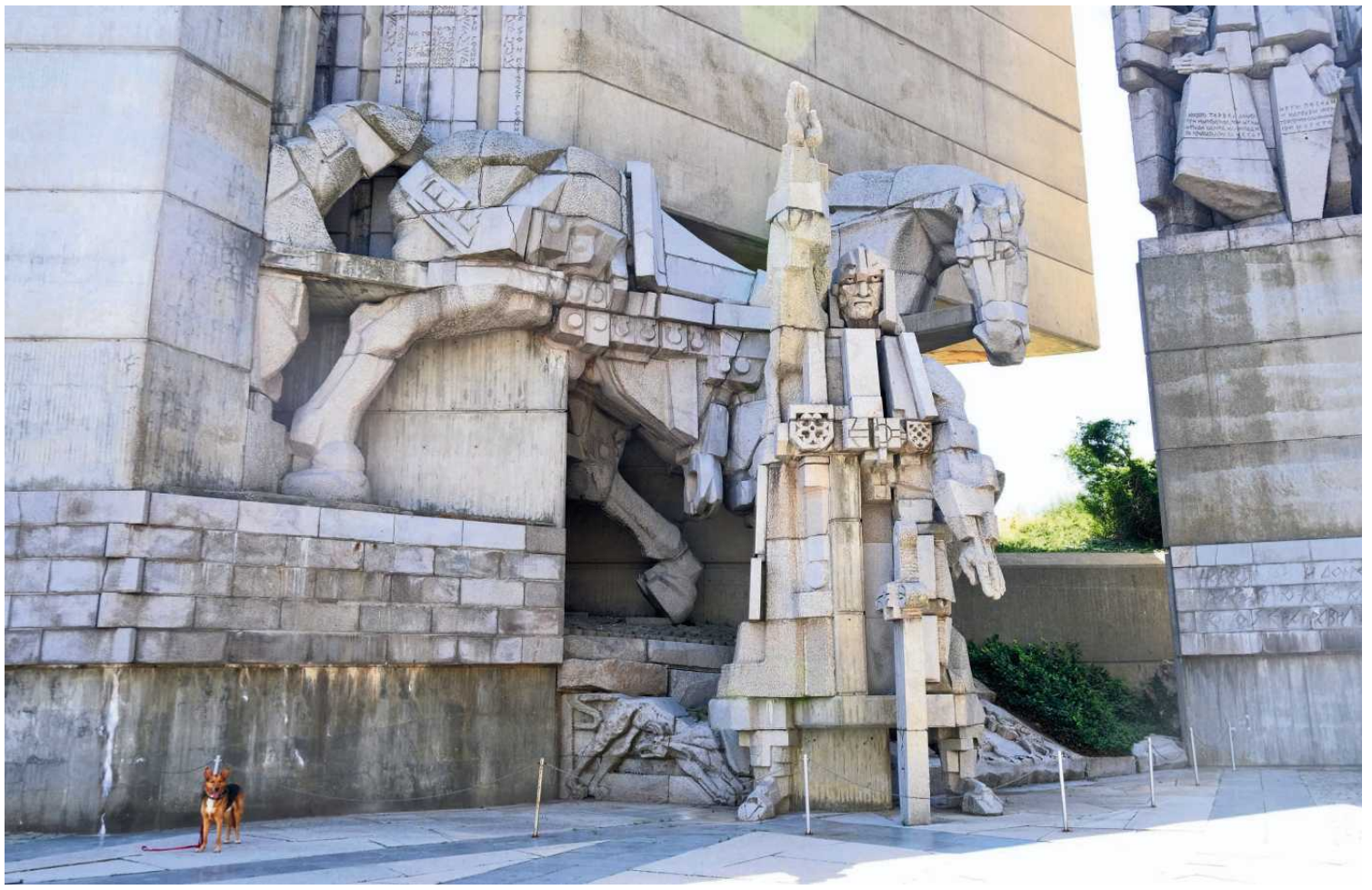
• **Bułgaria w zapachu róż.** Alicja Dąbrowska rozmawia z **Magdaleną Genow**, bułgarystką, politolożką, dziennikarką; urodzoną w Bułgarii, wychowaną i mieszkającą w Polsce; autorką książki **„Bułgaria. Złoto i rakija”**.



◄ **Gdzieś w drodze nad Morze Czarne... „Na chodniku stoi koń, obok siedzi zmęczony facet i uśmiecha się, gdy robię mu zdjęcie”.**

▼ **Szumen. Pomnik Twórców Państwa Bułgarskiego. Powstał w 1981 r. z okazji 1300-lecia państwa bułgarskiego, którego początki datuje się na rok 681. Przedstawia najważniejszych władców pierwszego państwa, chanów: Asparucha, Terwela, Kruma, Omurtaga oraz cara Symeona Wielkiego. Monument ma ok. 70 m wysokości i 140 m długości i widać go z odległości 30 km.**

▼ **Bałczik, miasto nad Morzem Czarnym, 40 km od Warny. Ma ponad 2 tysiące lat historii. W starożytności było grecką osadą Dionizopolis, później należało m.in. do Bułgarii, Imperium Osmańskiego i Rumunii. Do Bułgarii wróciło w 1940 roku.**





triotów wydało to miejsce” – pisał rewolucjonista, pisarz i historyk, Zahari Stoyanov

Kopriwsztica wyglada jak plan filmu historycznego. Bruk pod stopami i stare domy, które się zwiedza, i w których się nocuje. Czuję się, jakbym spała w skansenie. W podwórku są stare narzędzia i młode kotki, w pokoju jest niski sufit, podtrzymywany przez drewniane belki, i chłód mimo braku klimatyzacji.

Kopriwsztica leży w obwodzie sofijskim, na wysokości 1060 m w środkowej części Srednej Gory. Nazywana jest „buntowniczą stolicą bułgarskiego odrodzenia”, bo w XIX w. powstał tu Gjurgowski Komitet Rewolucyjny, który w 1876 roku wywołał powstanie przeciwko Imperium Osmańskiemu. Nie udało się, ale wieść o walczących o wolność Bułgarach poszła w świat.

Dziś pamiątki po nich są np. w domu powstańca Todora Kableszkowa. Jak większość, pochodzi on z XIX w. z okresu odrodzania się bułgarskiej tożsamości narodowej – ściślej mówiąc miało to miejsce od połowy XVIII w. do odzyskania niepodległości po wojnie bułgarsko-tureckiej 100 lat później. Domy te mają masywne fundamenty, dwa piętra, pomalowane na jaskrawo elewacje z ornamentami i czerwoną dachówkę. W środku wystrojem nawiązują do tradycji Imperium Osmańskiego. Takich domów jest w miasteczku ponad 300, osiem można zwiedzać. Patrzę, jak zwiedzają, i ja też zwiedzam. Patrzę, jak kupują pamiątki, i ja też kupuję, a gdy pytam o płatność kartą, słyszę, że „da” i widzę, jak kobieta kręci głową. Patrzę, jak jedzą w restauracjach, i ja też idę do restauracji, gdzie kelner, który nie mówi po angielsku, poleca mi „french fries”.

– French fries to lokalne danie? – pytam.

Ale on nie rozumie i mówi, że z serem. Przy wszystkich stolikach ludzie do dań głównych jedzą frytki z serem. W całej Bułgarii ludzie jedzą frytki z serem.

– Mieszkam tu od urodzenia i wszystkich znam, bo Kopriwsztica jest jak jedna wielka rodzina. Jeśli coś jest nie tak, każdy ci pomoże – mówi Ioana, która przed jednym ze starych domów sprzedaje pamiątki i wpuszcza do środka.

W Kopriwszticy mieszka około 1,8 tys. osób.

– Trudno byłoby mi w dużym mieście, bo tam nie czuję tej samej energii, co tutaj – dodaje Ioana. – Swoją przyszłość widzę tutaj w pracy w turystyce.

– Nie boisz się, że wam turyści, jak wszystko na świecie, to miasteczko zadepczą? – pytam.

– Nie. Mam nadzieję, że im się spodoba i będą tu przyjeżdżać, bo to jedyna praca, jaką można wykonywać w tym mieście.

Na ręce Ioana ma tatuaż z napisem: „Feel heal live explore love change”.

eprasa.pl bbdb7a80f8

4 **Z MOSTU NAD RZEKĄ STRJAMA**, na trasie E871 ludzie skaczą na bungee. Trasa jest piękna, widać z niej góry, widać zieleń. Bułgaria najbardziej wygrywa przyrodą.

Wcześniej droga do i z Kopriwszticy to serpentyny po górach wśród drzew. Rośliny wchodzą na jezdnię, znaki się z tych roślin wyłaniają. Potem jest E871 i widoki dla najlepszych aparatów fotograficznych. Zapomina się, gdzie się jest, bo to nie ma znaczenia.

To tylko wstęp do tego, co się dzieje za chwilę, bo za chwilę wjeżdżam na trasę przez przełęcz Beklemeto, Trojan Pass albo Trojanski prochod, jak ją zwą. Wznosi się na wysokości 1520 m w łańcuchu górskim Stara Płanina. Droga ciągnie się przez 50 km, jest pełna zakrętów, serpentyn, widoków bez trzymanki.

Łączy Bułgarię południową z Bułgarią północną. Zaraz przy niej położony jest szczyt Goraltepe (1595 m), na którym stoi Łuk Wolności.

Czyli znowu wolność. A ja tylko przeszłość widzę wszędzie.

5 **TROJAN.** „Ślady osadnictwa na tym obszarze sięgają czasów prehistorycznych” – czytamy w opisach większości miast i wiosek Bułgarii, a w każdej jest muzeum archeologii, etnografii, historii i prehistorii.

W Trojanie (16 tys. mieszkańców) w obwodzie Łowecz, w jest Muzeum Rzemiosła.

– To jedyne tego typu muzeum w Bułgarii – mówi kuratorka Nina Dimitrova, specjalistka od ceramiki i archeologii. Ma co robić. Ślady osadnictwa sięgają tutaj VIII wieku p.n.e.

– Najbardziej rozwiniętym rzemiosłem jest tu ceramika. Popatrz na mapę. – Patrzę i widzę wiele kropek na terenie całego kraju. – Ale duże szkoły ceramiczne były tylko trzy. Na mapie zaznaczone jest Wielkie Tyrnawo, 100 km na wschód stąd, oraz Busintsi, przy granicy z Serbią. – Pierwszą szkołę ceramiki w Trojanie założono w 1911 roku. Mieszkańcy Trojanu ocalili to rzemiosło. Nasi rzemieślnicy wciąż wytwarzają typową, trojańską ceramikę.

Nina Dimitrova pokazuje mi eksponaty z charakterystycznymi pawimi okami. Rzemieślnicy stosowali technikę sgraffito (bogactwo elementów dekoracyjnych i kompozycji). Ceramika trojańska wykona jest z typowej dla okolicy, wysokojakościowej, czerwonej gliny.

W muzeum są wyroby sprzed wieków, z czasów trackich, greckich, rzymskich, jest też biżuteria, monety, tkaniny, stolarka, makieta trojańskiego bazaru rzemieślniczego czy zakład ceramiczny odtworzony jeden do jeden.

– Nawet fartuch jest oryginalny – podkreśla Nina Dimitrova.

Są też współczesne wyroby ceramiczne uczniów tutejszej szkoły.

6 **WJAZDOM DO MIAST** towarzyszy wyblakła szyldoza, bo tu wszystko jest wyblakłe, nawet pasy na jezdni. Wiszące wszędzie bułgarskie flagi są potargane przez wiatr i też wyblakłe.

Przeszłość. Wszędzie wiszą klepsydry. Na słupach i tablicach ogłoszeniowych, na przystankach, wszędzie ludzie wieszają klepsydry i można przeczytać te z 2025, 2024... Też są wyblakłe, chyba że zalaminowane.

Przeszłość.

W każdej wiosce i miasteczku jest pomnik albo choć popiersie ważnego dla tego miejsca mężczyzny, i każde wygląda jak wyjęte z muzeum socjalizmu, a twarz na każdym, jakby za tego socjalizmu w Bułgarii był jeden dla pomników model, ten sam, co pozował do pomników żołnierzy Armii Czerwonej.

Znajduję też przyszłość, a raczej ona znajduje mnie nagle w środku niczego.

Jeśli ktoś zastanawia się, gdzie w Bułgarii mieszkają bogaci, to np. w Gesha Hill Park w miejscowości Geza, w obwodzie Gabrowo, na wschód od Trojana. Apartamentowiec jest nowy, ma szlaban i billboard z napisem „Live embraced by nature”. Patrzę na niego trochę w szoku, jakby mnie ktoś nagle z Flinstonów wrzucił do Jetsonów. W okolicy jest sporo dla bogatych – residence, baseny, SPA and Wine, relax. Tu wszystko jest możliwe.

7 **W TRJAWNIE**, 20 km na południe od Geszy, w niedzielę wieczór większość knajp jest zamknięta, ale otwarte są sklepy z ubraniami. I z pamiątkami. W jednym można kupić kubki z Putinem i premierem Bułgarii Rumenem Radewem, a na magnesach jest Stalin, bułgarski wieszcz Christo Botew, bohater narodowy Kapitan Petko Wojewoda i Wasyl Lewski. Na jednym z magnesów lew, symbol Bułgarii, przytula się z rosyjskim niedźwiedziem.

W Trjawnie mieszka blisko 7 tys. ludzi, ale na ulicach pusto. O godz. 22. rozbrzmiewają dzwony kościoła i śpiew z głośników.

Mieszkam w domu wielorodzinnym. Właścicielka jest chuda, ruda i chodzi po ogrodzie, paląc papierosy. Wita mnie zachrypniętym „Heeellooo”. Gdy ją wołam, odpowiada przeciągłym „Yeees?”. Więcej po angielsku nie umie, ale po bułgarsku tłumaczy mi, żeby nie zostawiać za długo włączonej klimatyzacji, bo kapie. Przy domu jest wielka kałuża wody. I jest dużo kotów. Siedzą i chodzą wszędzie.

Mam wrażenie, że Bułgarzy dopiero uczą się turystyki. Tutejszy kelner poleca mi jedno wino, bo jedno jest. Jak to jakie? Bułgarskie. A do jedzenia french fries. Najlepsze z serem.

– Nie jesteśmy dobrzy w marketingu. W dbaniu o nasze naturalne i historyczne dziedzictwo, które moglibyśmy pokazać światu. Mamy bogatą kulturę muzyczną, taneczną, rękodzieło i rzemiosło, ale nie umiemy tego promować. A to dlatego, że nie wiemy, kim jesteśmy – usłyszę w Sofii od prawniczki, specjalistki od internetu i aktywistki, Mimi Sziszkowej.

Choć są tacy, którzy próbują coś zrobić. Poranną kawę piję w In the Flow.

– Zawsze marzyłem o tym, by zamieszkać za miastem, gdzieś blisko natury i tak się stało – opowiada Emiliyan. Pochodzi z dużego miasta, mieszka w Trjawnie i prowadzi tu kawiarnię. Za nim przyjechało kilkoro jego przyjaciół i znajomych. Pomagają mu, prowadzą swoje, ktoś próbuje z wegetariańskim jedzeniem.

– Czy Bułgaria patrzy w przeszłość, czy w przyszłość? – pytam

– Wszystko zależy od indywidualnego postrzegania. Ja widzę dobrą przyszłość, ponieważ wielu młodych ludzi wraca do kraju. Wielu przeprowadza się na wieś. Myślę, że tutaj jest coś, czego nie mogli znaleźć nigdzie indziej. Wolność, przestrzeń, w Bułgarii można bardziej zbliżyć się do natury i duchowości.

8 **JAMBOŁ.** Z tą myślą jadę poszukać bułgarskiej teraźniejszości, która jakoś mi umyka. Sprawdzam dane i faktycznie młodzi wracają, a rok 2026 ma być pod tym względem wyjątkowy. Skoro zaś teraźniejszość, to może Jamboł, gdzie urodził się najbardziej znany żyjący bułgarski pisarz Georgi Gospodinow.

– Czy wiecie, gdzie znajdę dom Gospodinowa? – pytam dziewczyny w centrum miasta.

– Kogo?

– Gospodinowa, tego pisarza.

– Ale jak dom?

– On się tu urodził.

– Coo?

Dziewczyny chwytają za smartfony.

– Niesamowite, że 7 stycznia 1968 roku Gospodinow urodził się właśnie tu, w Jambole! – mówi jedna z nich. – Zdecydowanie miasto nie jest z tego znane.

Jamboł, w obwodzie Jamboł, ma blisko 60 tys. mieszkańców. Znany jest głównie z bazy wojskowej Jamboł-Bezmer, gdzie kiedyś stacjonowały wojska radzieckie, a dziś wojska NATO. Kilka kilometrów od miasta, w pobliżu wioski Kabile powstaje kluczowa baza NATO. W Kabile, kiedyś znaczącym ośrodku trackim, greckim i rzymskim, znajdują się ruiny miasta trackiego i jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych w kraju.

Do miasta Jamboł wjeżdża się przez romskie getto, gdzie na krawężnikach siedzą dzieci i leżą śmieci, przed domami stoją zdezelowane czarne auta, a domy wyglądają jak posypane mury z oknami. Studzienka wybiła, woda się leje, a sprawą zajmują się fachowcy z nówki ciężarówki z wodociągów, którzy wyglądają w tym krajobrazie jak przybysze z kosmosu. I dalej też trochę kosmo, bo w centrum miasta jest buble tea, burger, coffee, a przed nimi na socjalistycznych ławkach siedzą emeryci. W środku miasta zaś stoi Eski Dżamija, drugi co do wielkości, zbudowany w XIV w. meczet.

Dla kontrastu apartament, w którym mieszkam mieści się w budynku wyglądającym, jak pierwszy projekt w latach 90. zerwanego z socjalistycznej smyczy architekta. Nie tylko na drogach i reklamach Marlboro Bułgarzy demonstrują swoją wolność.

– Czy wiecie, gdzie znajdę dom Gospodinowa? – pytam parę na moście prowadzącym do parku miejskiego.

– To nie ten Jamboł – mówi ona.

– Ten – mówi on.

I opowiada, że znał Gospodinowa w dzieciństwie, gdy mieszkał on w komunistycznym bloku, ale w którym dokładnie, nie pamięta.

– Ludzie mało go tu kojarzą – stwierdza.

Ludzie chyba wszyscy dziś wylegli na zewnątrz, Ja idę siąść w Trattorii & Pizzerii.

– Jamboł to piękne miasto. Jest niewielkie, takie piętnastominutowe. To typowa Europa – mówi Milen, właściciel lokalu.

Ma ręce w tatuażach i hipstersko podkręcone wąsy. Wcześniej pracował w wojsku, a potem przez 10 lat a Majorce, gdzie nauczył się, jak działa restauracja. Teraz ma swoją.

– Typowa Europa? – dopytuję.

– Cieszę się, że jesteśmy częścią Europy, ale nie chcę, by ktoś nam coś narzucał. Wolę, byśmy sami cierpliwie doszli do niektórych rzeczy i zrobili je prawdziwie. I chcę zmian. Założyłem fundację, by wspierać młodych. Wiesz, mój dziadek przez całe życie nie widział ani jednego remontu w tym mieście, mój ojciec widział jeden, ja chcę zobaczyć więcej niż trzy.

Na koniec Milen mówi: – Byłem w wielu krajach, na czterech kontynentach, poznałem inne kultury i cieszę się, że jestem tutaj, ponieważ w Bułgarii mamy coś wyjątkowego.

– Ale co to jest?

– Nie wiem, jak to opisać, to trzeba poczuć!

9 **SZUMEN**. Emiliyan powiedział mi, że Bułgarzy wierzą, iż pewnego dnia staną się duchowym centrum Europy. Dużo mówił o duchowości. A Milen mówi, że to trzeba poczuć.

Jadę więc tam, gdzie to wszystko się zaczęło i obserwuję Bułgarów w kolejnych miejscowościach, jak siedzą i palą, bo w Bułgarii każdy wydaje się mieć krzesło i papierosy. Przed sklepami siedzą i palą, a gdy zjawiają się klienci, dopalają, powoli wstają i obsługują. Nie ma pośpiechu, jest gorąco i słońce. Siedzą i palą, i patrzą, i coś piszą na telefonach, a czasem tylko patrzą przed siebie. Jakby byli zmęczenie już tą długą i bogatą historią swojego kraju.

W drodze do Szumenu jest Pliska, od VII w. pierwsza stolica Pierwszego Państwa Bułgarskiego, i Wielki Preslaw, stolica od końca IX w., i jest w końcu Szumen (66 tys. mieszkańców) ośrodek administracyjny obwodu Szumen, na który z wysokości 450 m patrzą Twórcy Państwa Bułgarskiego.

– Każdy powinien odwiedzić to miejsce, bo to najważniejszy bułgarski pomnik – mówi Melin, pracownik kasy. – Został wzniesiony w Szumen, bo to miasto znajduje się między naszymi starymi stolicami. Przyjeżdżają tu turyści z całego świata.

„Tu zaczyna się Bułgaria!” – czytam na stronie internetowej pomnika. Został otwarty w 1981 roku z okazji 1300. rocznicy powstania Pierwszego Państwa Bułgarskiego. Składa się z betonowych korpusów, postaci, rzeźb, można chodzić pod nimi i między nimi, jest ogromny. Jeśli socjalistyczny brutalizm mógł gdzieś rozpędzić się ponad skalę, to właśnie tutaj.

– To trochę narodowa propaganda, ale też każdy powinien dowiedzieć to miejsce – mówi chłopak. – Pomnik oddaje hołd twórcom naszego państwa i dlatego myślę, że jest piękny – dodaje jego dziewczyna.

Para jest z Warny i jest tu po raz pierwszy. Chyba czują potrzebę zaprezentowania mi Twórców, bo czytają inskrypcje i opisują postacie, grzebiąc w pamięci danych z lekcji historii.

„Człowiek żyje dobrze, umiera i rodzi się inny. Niech ten, który urodzi się później, patrząc na ten napis, pamięta o tym, kto go stworzył” – głosi jedna z nich. To słowa Omurtaga, chana bułgarskiego z IX wieku.

Historia dzieje się nie tylko na górze, ale i na dole. Na stacji benzynowej obsługuje mnie mężczyzna z wytatuowanym na ramieniu Wasylem Lewskim, przywódcą walk o wyzwolenie spod panowania Imperium Osmańskiego, do którego dziś nawiązują bułgarscy politycy, w tym ci ze skraju prawej strony.

– Kto jest na twoim tatuażu? – pytam.

– Wasyl Lewski, wielki patriota.

10 **BUŁGARIA JEST CREEPY**. Na chodniku stoi koń, obok siedzi zmęczony facet i uśmiecha się, gdy robię mu zdjęcie, ludzie siedzą w słońcu przed nieotynkowanymi, jakby przerwanymi w budowie domami, za wielkimi czarno-złotymi ogrodzeniami. W kiblu na stacji benzynowej odrapane ściany ozdabiają obrazki z wychodzącymi z nich żywymi kwiatkami. Creepy jest też to, że im dalej jadę na wschód, tym jest więcej Zachodu. Im bliżej morza, tym lepsze auta, gładsza autostrada i więcej billboardów, nawet nowych, winnica, SPA.

I tak dojeżdżam nad Morze Czarne, które w Bułgarii też jest creepy.

W północnej części wybrzeża, bliżej Rumunii, jest spokojniej, letnicy mieszają się z lokalsami w t-shirtach brudnych od smaru rybackich kutrów. Są tu wielkie plaże i hippisowskie campingi. Na tle morza pracują kombajny marki John Deere, a między snopami stoją cysterny z namalowanymi grafitti. Im bardziej na południe, tym więcej hoteli, restauracji, turystów, souvenirów i wyższe ceny.

Woda wszędzie jest ciepła, jak z kranu, tam gdzie dziko, pełna pięknych, zielonych glonów.

Nazwy miejscowości brzmią bajkowo. Kamen Bryag, Byłgarewo, Kawarna, Topola, Bałczik. Wygrywają Złote Piaski. W dzieciństwie myślałam, że to polska ksywka na jakieś miejsce w tej mitycznej Bułgarii. Ale jeśli ktoś miał tak nazwać miasteczko nad morzem, to tylko oni. Tym bardziej, że daleko mu do bajki.

Wjeżdża się przez las, więc jest zielono, a nie złoto, a potem jest betonowo, bo wszędzie stoją socjalistyczne bloki-hotele. Tysiące okien i balkonów. Na wjeździe do miasta i na parkingach stoją setki autokarów. A tysiące ludzi chodzą ulicami między Nirvaną i Kubą, Black Pearl i The Old House, Gibraltarem i Wieżą Eiffla.

Bułgaria jest creepy. Sofia to historia na osobne opowiadanie, bo stolice zawsze są historiami na osobne opowiadania, ale to tam wspomniana już prawniczka Mimi Sziszkowa mówi mi: – To wszystko dlatego, że nie wiemy, kim jesteśmy. ●

1 RP

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl bbdb7a80f8

MACIEJ SIEMBIEDA
Gustaw

ODCINEK 5



FOT. GETTY IMAGES

Wystarczył rzut oka, aby zauważyć, że wypiękniała jeszcze bardziej. Niebieska bluzka, która miała rozpięty o jeden guzik za dużo, i krótka spódniczka podkreślały jej kobiece kształty zdolne wywołać zawrót głowy. Makijaż uwydatniał ciemną oprawę oczu, co dawało oszołamiający efekt w połączeniu z burzą jasnych włosów, o wiele dłuższych niż nosiła w podstawówce.

Krystian poczuł przyśpieszone bicie serca.

Dziewczyna weszła do gabinetu kierownika Ośrodka Wczasowego „Barbórka" i uśmiechnęła się promiennie.

– Witaj, Krystianie – powiedziała tonem, jakiego wypadało użyć, podkreślając prywatną znajomość, ale służbowy charakter relacji. – Cieszę się, że będziemy razem pracować.

Chłopak zdobył się na uprzejmą minę, która nie była jednak w stanie zamaskować jego zakłopotania.

– Ja też się cieszę – bąknął.

– Nie ma to jak współpraca kolegów ze szkolnej ławy – przypieczętował temat kierownik, wyraźnie zadowolony z niespodzianki, jaką sprawił Krystianowi. – Nie zatrzymuję was, kochani. Pani Dorota Sikora wspomniała, że nie widzieliście się kilka lat. Pewnie chcecie pogadać.

Sikora? – zaniepokoił się Krystian. – To już nie Kawecka? Skąd ja znam nazwisko Sikora? – myślał gorączkowo i spojrzał na prawą dłoń Doroty. Na jej serdecznym palcu lśniła złota obrączka. Mirek. Przecież Mirek nazywa się Sikora – przypomniał sobie.

Wyszli z biura na alejkę prowadzącą na plażę ośrodka.

– Co u ciebie, Krystian? – zagadnęła dziewczyna. – Ostatni raz widziałam cię z okna autobusu, gdy jeszcze byliśmy w szkołach średnich. Mieszkasz w Kolonii? My z Mirkiem też chcemy się tu pobudować, wiesz?

Szedł w milczeniu, dopóki delikatnie nie przytrzymała go za rękaw.

– Krystian, czy coś się stało? Masz do mnie jakiś żal?

– Nie – skłamał. – Wróciłem z długiej trasy. Jestem zmęczony.

– A ja cię tu zasypuję pytaniami – zreflektowała się. – Przepraszam. Będzie jeszcze sto okazji, żeby pogadać. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że będziemy razem pracować. Czuję się, jakby miały wrócić beztroskie szkolne czasy.

Pokiwał głową.

– Muszę już iść. Auto trzeba rozładować.

– Jasne. Nie chcę cię odrywać od pracy. – Wyciągnęła rękę, którą anemicznie uścisnął.

Popatrzyła za nim, gdy wracał w stronę ośrodka. Nic się nie zmienił. Nieostrzyżone włosy, brudne paznokcie, rozdeptane buty. Fatalne, mocno podniszczone ubranie, choć pewnie jako zaopatrzeniowiec źle nie zarabiał i stać go było na ekstraciuchy nawet w Pewexie. Ale zawsze był skąpy i chorobliwie oszczędny. Koleżanki miały rację, że w wieku piętnastu lat wyglądał jak zaniedbany stary kawaler. Już wtedy trzeba było postępować z nim ostrożnie jak ze zgniłym jajem, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy i za co się obrazi.

Mógłby się chociaż uśmiechnąć po tylu latach – pomyślała, wzruszając ramionami. I po co kłamał, że musi rozładować auto, skoro widziała przez okna sali konferencyjnej, że zanim przyszedł do biura, wyniósł z Żuka cały towar, a nawet zamiótł podłogę.

●

– Coś ty taki struty? – spytał ojciec, smarując masłem grubą kromkę, którą przed chwilą ukroił z bochenka. W poprzednim wcieleniu starszy Poliwoda musiał być piekarzem, bo jadł chleb do wszystkiego, nawet do rosołu z kluskami. A może był myszą? One brały się za pieczywo równie chętnie.

– Zmęczony jestem – odparł Krystian, pochylając głowę nad talerzem. – Dużo roboty.

– Przecież to lubisz – stwierdził ojciec. – Zawsze powtarzasz, że jak się zdrowo natyrasz, to lepiej śpisz.

– No tak – potwierdził. – Ale jak tyrać, to za dobry grosz. A czasy, gdy w ośrodku szło zarobić, minęły. Razem z Gierkiem. Dostaję już tylko gołą wypłatę, bez Karty górnika.

– Przecież dorabiasz na wczasowiczach. Mama mówi, że moglibyśmy od ciebie pożyczać pieniądze.

– Co to za dorabianie – skrzywił się Krystian. – Niczego nie idzie dostać, w sklepach pustki, a ekspedientki sprzedadzą spod lady tylko wtedy, gdy dostaną w łapę. Sam tato wie.

Ojciec pokręcił głową.

– Jeszcze parę dni temu twierdziłeś, że jesteś zadowolony z roboty w ośrodku. Co się nagle stało?

– Mówiłem tak – Krystian uciekł wzrokiem – żeby mamy nie martwić. Ale od jakiegoś czasu zastanawiam się, czy stamtąd nie odejść.

– Od jakiego czasu? – uniósł się ojciec. – Od wczoraj? A może od godziny?

– Czego się tato denerwuje?

– Bo masz dobrą pracę, a szukasz guza. Przypomnij sobie, co kierownik dla ciebie zrobił. Dzięki jego znajomościom dostałeś na komisji wojskowej kategorię niezdolnego do służby. Gdyby nie on, leżałbyś teraz w błocie na poligonie w Żaganiu albo Biedrusku. Tak mu się chcesz odwdzięczyć? Pokazując mu w zamian wypięty tyłek?

– Mam mu teraz poświęcić życie? Tato, w ośrodku robi się naprawdę nieciekawa atmosfera.

– Atmosfera? – powtórzył ojciec, jakby nigdy nie słyszał tego słowa. – Aaaa... skoro atmosfera, to rozumiem – stwierdził szyderczo. – To jest argument.

Krystian się zaczerwienił.

Przez kilka minut jedli w milczeniu.

– Co zamierzasz? – przerwał je ojciec.

– Zadzwonię do ciotki.

– Do Wiesbaden?

Potwierdził.

Ojciec popukał się w czoło.

– Wolisz być gastarbeiterem w Reichu niż tu, u siebie, szefem zaopatrzenia porządnego ośrodka wczasowego? Gdzie ty masz rozum? Chcesz być traktowany jak Turek, jeść psie żarcie i żyć jak szczur? Ja posmakowałem tego miodu. Dlatego wróciłem.

– Ciotka mówiła, jak była u nas ostatnio, że może mi załatwić pracę w tej sieci marketów, w której pracuje. Potrzebują kierowców do wożenia towarów po całym RFN-ie. Mogę pracować całkowicie legalnie. Jestem ze Śląska, urodziłem się na ziemiach, które oni uznają za niemieckie. Bez trudu dostanę pozwolenie na pracę i ubezpieczenie. W tydzień zarobię więcej niż tu za parę miesięcy.

Starszy Poliwoda zmarkotniał.

– Po co ci to, Krystian? – spytał łagodniej. – Jesteś w domu, wśród swoich. Wolisz żyć na obczyźnie?

– Przecież ciocia to twoja rodzona siostra, tato – odparł. – Poza tym nie chcę wyjeżdżać na zawsze. Popracuję, upatrzę sobie jakieś okazyjne auto po wypadku i wrócę. Tak ja ty.

Ojciec nie odpowiedział.

●

Firanka lekkiej mżawki, która od rana zasłaniała jezioro, zachęciła Joachima Szymurę do wyprawy nad Weissdorf.

Sum, którego nazywał Gustawem, lubił taką pogodę. Zdarzało się, że widząc jego łódź stojącą godzinami przy wieży zatopionego kościoła, zbliżał się do powierzchni wody i sprawdzał, czy Achim nie przywiózł mu ulubionej wątróbki.

W takich momentach Szymura wstrzymywał oddech z emocji.

Gustaw był olbrzymem. Na oko miał już dwa metry długości i sto dwadzieścia kilogramów wagi. Może i więcej. Achim obliczał jego wiek na pięćdziesiąt trzy lata. Złowił suma w wodach Wstęgi i wpuścił do jeziora tuż przed wojną, gdy ryba była jeszcze bardzo młoda. Od tamtej pory upłynęło ponad pół wieku.

Samotnik ze wzgórza uważał suma za swojego jedynego przyjaciela. Kiedy tylko udało mu się zdobyć wątróbkę, pozwalał jej się trochę zepsuć na słońcu, a potem wywoził łódką nad Weissdorf i wyrzucał koło wieży kościelnej. Czekał, aż utonie i opadnie na dziedziniec przed kruchtą, pobudzając zmysły Gustawa.

Niestety, od czasu, gdy odszedł Krystian, zdobycie wątróbki graniczyło z cudem. W sklepach mięsnych była prawie niedostępna, a prywatne ubojnie sprzedawały wszystko na pniu. Szymura najczęściej przypływał nad Weissdorf z pustymi rękami. Rzucał kotwicę i opowiadał sumowi o dawnych czasach, ludziach i ptakach, które wydawały się nieśmiertelne, bo zawsze wyglądały tak samo. Mówił szeptem, pochylony nad lustrem wody jak przed kratką konfesjonału.

Którejś wiosny tuż przed wieczorem wyspowiadał się z Krystiana, który przemknął przez jego życie jak kometa. Pojawił się i zniknął.

– Może i źle z nim postąpiłem – wyznał. – Ale mówię ci, Gustaw, taka mnie złość wzięła na ten ośrodek dla górników, że nie umiałem się pohamować. Może i źle, Gustaw. Może i źle. Całe nerwy ciepnąłem na tego synka. Długo mnie trzymało. Ale bałem się, Gustaw. O ciebie też. Czułem, że zjadą tu te cholerne kopidoły ze swoimi wrzeszczącymi bajtlami, tranzystorami i całym tym larmem. Że zaczną łupić jezioro z ryb. Że, nie daj Bóg, dotrą i nad Weissdorf. Zerwą dużo żyłek, ale wreszcie nauczą się, gdzie rzucać przynętę, i zapolują, Gustaw. Na ciebie. Ale to nie było potrzebne, ta moja złość. Chłopak zmarkotniał, przestał przychodzić, a jak raz zajrzał, to mnie zeźlił i kazałem mu iść furt. Poszedł, Gustaw. Poszedł. Jakiś czas potem przyszło na mnie opamiętanie. Chciałem iść do Poliwodów, nawet węgorza im uwędziłem. Myślałem: gadać za dużo nie będę, powiem tylko: przyjdź, Krystian, jutro rano na pomost, na ryby popłyniemy. – Westchnął. – Szedłem, a ludzie z Kolonii pytali: gdzie ty tak kuśtykasz, Achim, na tej swojej krótszej nodze? Do Poliwodów, mówię. Do Krystiana. A ludzie, że Krystian do pracy poszedł do ośrodka. Tego już nie zdzierżyłem, Gustaw. Przez rok się do niego nie odzywałem, że przyłożył rękę do psucia naszego jeziora. A teraz go nie ma. Do Niemiec wyjechał i nie wróci. Drugi Poliwoda nie powtórzy tego samego, co pierwszy. Szkoda chłopaka, Gustaw. Szkoda. Dobry był synek, a mój gniew na niego zdał się psu na budę. Komuna padła, a ośrodek górniczy razem z nią – splunął za burtę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w toń, ale Gustaw nie odniósł się do jego zwierzeń.

Sięgnął po wiosła i ruszył w stronę wzgórza, krzywiąc się z wysiłku. Wczoraj skończył sześćdziesiąt cztery lata, ale nigdy nie pamiętał daty swoich urodzin.

●

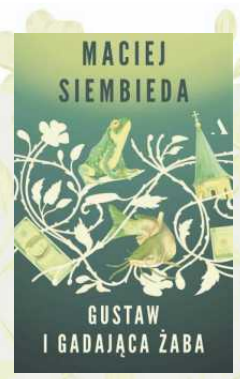
Prezes Wrocławskich Zakładów Wędliniarskich przejrzał specyfikacje towarowe i wypowiedział w duchu kilka słów, które potocznie – choć nie

OGŁOSZENIE
Kraj/34446209

PREMIERA Gazeta wyborcza wyborcza.pl

GUSTAW
nowela z nowej książki
MACIEJA SIEMBIEDY

KOLEJNE ODCINKI:
• 09.09 ŚRODA
• 12.09 SOBOTA



eprasa.pl bbdb7a80f8

wiadomo dlaczego – określa się jako rzucanie mięsem.

Wolny rynek, który panoszył się w Polsce od roku, był tak chciwy, brutalny i pozbawiony skrupułów, że prezes zupełnie sobie z nim nie radził. Do niedawna wszystko regulowały rozdzielniki i chociaż notorycznie brakowało surowca, to przynajmniej wiadomo było, o co chodzi. Teraz prezes mógł mieć mięsa pod dostatkiem, ale ceny zmieniały się nawet z dnia na dzień, a w przedsiębiorstwie nie rządzili już ludzie, lecz tabelki z wynikami rentowności.

Prezes otarł pot z czoła, rzucił mięsem pod adresem kapitalizmu i trzasnął papierami o blat biurka.

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza – poinformował sekretarkę i wyszedł na dziedziniec zakładu, gdzie akurat podjechał dostawczy Mercedes chłodnia rozwożący wędliny po sklepach.

– Dzień dobry, panie prezesie – pozdrowił go kierowca, trzydziestoletni, piegowaty blondyn, który niedawno wrócił z RFN-u i założył prywatną firmę transportową złożoną z siebie i Mercedesa. Od miesiąca pracował na wyłączność Wrocławskich Zakładów Wędliniarskich.

– Dobry, dobry, panie Poliwoda – odparł kwaśno prezes. – Jak tam dzisiaj?

Krystian podrapał się w głowę.

– Towaru brakuje – oświadczył. – Sklepy wzięłyby trzy razy tyle.

– Wiem – posmutniał prezes. – Ale co zrobić? Surowiec drogi, produkcja w tak dużym zakładzie jak nasz nieopłacalna, a pieprzona konkurencja robi kiełbasy po garażach i zaniża ceny. Nic nie poradzę, panie Poliwoda. Wkrótce sami pójdziemy do rzeźni.

– Nie rozumiem.

– No, chodzi o to, że bank, który kupił firmę, nas zamknie. Albo, jak to się mówi? Zre... coś tam.

– Zrestrukturyzuje – podpowiedział Krystian.

– No właśnie. Zwolnią połowę ludzi, a resztę każą robić więcej, niż robiła dotychczasowa załoga, tyle że za mniejsze pieniądze. A jak się nie podoba, to na bruk. Bezrobocie jest w Polsce coraz bardziej popularne.

– To co robić? – zmartwił się właściciel jednoosobowej firmy przewozowej.

– Na pana miejscu, panie Poliwoda, zakładałbym hurtownię. Wszyscy to teraz robią.

– Hurtownię? – przestraszył się Krystian. Sama nazwa miała za duży jak na niego rozmach.

– Tak jest. Mam na mieście wolny magazyn. W dobrym punkcie. Jest dojazd, duży plac do parkowania i rampa. Tanio panu puszczę w dzierżawę.

– I co miałbym tam robić?

Prezes wzruszył ramionami.

– To, co teraz, tylko na odwrót. Co tydzień sprzedam panu parę pojemników wędlin. Do tego, mając chłodnię, objedzie pan sobie inne zakłady mięsne i od każdego też weźmie trochę towaru. Da pan ogłoszenia do gazet, postawi tablicę i sklepy same będą do pana przyjeżdżać. Zobaczy pan.

Krystian nie wydawał się przekonany, ale wieczorem w mieszkaniu, które wynajmował niedaleko Placu Grunwaldzkiego, zaparzył herbatę, ukroił chleba i solidny kawałek wątrobianki. Jedzenie zawsze ułatwiało mu rozważania.

Jak zwykle walczyły w nim dwie obawy.

Ta ostrzegająca przed ryzykiem i ta druga, która szeptała, że przez tę pierwszą zmarnuje szansę – nie dorobi się i nie zostanie kimś. A przecież po to wrócił. Przez cztery lata jeździł ciężarówką niemieckiej sieci handlowej Rewe, rozwożąc towar do ich sklepów firmowych w całej Hesji. Tyrał po szesnaście godzin na dobę, a i tak znaczną część zarobku pochłaniał czynsz za wynajem mieszkania. Odłożył trochę marek tylko dzięki chronicznej oszczędności: kąpał się w wodzie, która ledwo zakrywała dno wanny, jadł rzeczy, którym upływał termin ważności i Rewe sprzedawało je za bezcen, zrezygnował z jakichkolwiek rozrywek.

Po upadku muru, gdy dowiedział się, że teraz w Polsce pieniądze leżą na ulicy, odkupił od firmy Mercedesa z chłodnią, który szedł do kasacji. Zrobił remont silnika, poprawił i odmalował blacharkę, naprawił agregat.

W Polsce pieniądze rzeczywiście leżały na ulicy, trzeba było tylko wiedzieć, na której. Przez pierwszy miesiąc stracił dwa baki paliwa na pościg za zleceniami, ale dostawał tylko ochłapy w postaci transportu dwóch worków kartofli. Traf chciał, że przewoził je od sąsiada w Kolonii do jego syna w mieście, który był kierownikiem fermy drobiu. Znali się ze szkoły.

– Krystian – powiedział tamten, gdy wyładowali worki z ziemniakami i przenieśli je do piwnicy. – Masz chłodnię, tak? – I nie czekając na odpowiedź, dodał: – Dam ci całego Mercedesa jajek, tak? Pojedziesz z nimi do Wrocławia na halę targową i sprzedasz od ręki. Podzielimy się po połowie, tak? Przebitka jest taka, że łeb urywa.

– A jak nie sprzedam? – odezwała się natura Krystiana. – To co? Ile to potrwa? Mam stać na stoisku czy handlować z samochodu?

Syn sąsiada się roześmiał.

– Chłopie, nawet wjechać nie zdążysz. Rozdrapią ci towar w mgnieniu oka. Od miesiąca po hali chodzi plotka, że skądś tam płynie statek z tanimi jajami. Wszyscy handlarze na niego czekali i nie kupowali jaj od rolników. Ale okazało się, że statek to lipa. No i od wczoraj rzucają się na jajka jak szczerbaty na suchary. Biorą każdą ilość, tak?

Tego samego dnia wieczorem Krystian przywiózł dwa plastikowe worki banknotów. Głównie niskich nominałów, jak to z hali targowej. Syn sąsiada wysypał je na podłogę w swoim mieszkaniu i brodzili w papierkach po kostki.

Przy którymś kursie do Wrocławia przed halą targową zaczepił go poważny jegomość z jeszcze poważniejszym brzuchem, który mógł sugerować zakłady wędliniarskie. Potrzebował samochodu chłodni i w ten sposób młodszy Poliwoda rozpoczął kolejny rozdział życia zawodowego.

Który trwał aż do teraz.

Kończąc wątrobiankę, postanowił, że jutro obejrzy magazyn i jeśli cena wynajmu nie będzie wygórowana, otworzy hurtownię wędlin.

Trzy miesiące później uznał decyzję podjętą przy wątrobiance za najtrafniejszą w życiu. Wędliny zjeżdżały Mercedesem z całej Polski, a Krystian zatrudniał troje pracowników i liczył tłuste zyski.

W którąś niedzielę wybrał się do Kolonii odwiedzić rodziców. Wieś od roku była gminą. Miała własny urząd i fakt, że stała się podstawową jednostką samorządu terytorialnego, napawał ją dumą. Na tym lista walorów się kończyła.

W Kolonii psy nadal szczekały nie tą częścią ciała, co trzeba, a świeża gmina tonęła w beznadziei niczym Weissdorf w odmętach Wstęgi. Tartak kupiony przez jakiegoś hochsztaplera został obklejony białymi paskami z czerwonymi pieczęciami komornika, a dawny ośrodek górniczy zwolnił nawet stróża, który przez kilka miesięcy pilnował martwego obiektu.

Krystian zaparkował chłodnię przed sklepem. Chciał kupić butelkę porządnego alkoholu do obiadu, ale było tylko jabłkowe wino, którego zamaszysta nazwa na etykiecie sprawiła, że powszechnie określano je jako „patykiem pisane". Miało tyle siarki, że mogło być nadwornym trunkiem w piekle.

Zatrzymał się na chodniku urozmaiconym kałużami i zastanawiał, co zrobić w tej sytuacji, gdy nagle wyrosła przed nim kobieta holująca dwójkę dzieci. Mimo widocznej różnicy wieku były niemal identyczne.

– Krystian? – spytała z niedowierzaniem.

Potwierdził, choć nie rozpoznawał twarzy. Po chwili sobie przypomniał. Koleżanka z podstawówki.

Zamienili kilka zdań, na co chętnie przystały dzieci. Znieruchomiały na chodniku jak mechaniczne zabawki, które ktoś zapomniał nakręcić. Trzymając matkę za ręce, patrzyły na jezioro.

– Fajny się z ciebie facet zrobił – oświadczyła koleżanka. – Zresztą ja zawsze uważałam, że byłeś fajny. Nawet się w tobie kochałam – stwierdziła bez żenady. – Ale ty nie byłeś zainteresowany. Tylko Dorota Kawecka ci była w głowie. Oczu od niej nie umiałeś oderwać.

Krystian popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Przesadzasz – powiedział.

– Ani trochę. – Koleżanka stanowczo pokręciła głową. – Cała szkoła wiedziała. A ona, głupia, wolała tego Mirka. Księciunia – dodała z pogardą. – O tobie zawsze mówiła, że nie masz fantazji i straszne z ciebie skąpiradło.

Rozżarzony żelazny pręt ugodził Krystiana w samą duszę, a on zachwiał się i zaczerwienił.

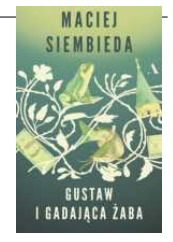
– Stare dzieje – bąknął. – Było, minęło.

Maciej Siembieda



• dziennikarz i pisarz. Autor m.in. cyklu kryminalnego, którego bohaterem jest Jakub Kania, oraz sagi sensacyjnej „Katharsis", „Nemezis", „Kairos". Trzykrotny laureat Nagrody Wielkiego Kalibru i sześciokrotny finalista plebiscytu Książka Roku portalu lubimyczytac.pl. Powieść „Gołoborze" została nominowana w 2026 roku do Nagrody Literackiej „Nike".

wyborcza.pl



• **Nowela Macieja Siembiedy „Gustaw" w odcinkach w „Gazecie Wyborczej" i na wyborcza.pl!** To część najnowszej książki pisarza pt. **„Gustaw i Gadająca żaba"** (Wydawnictwo Agora).

• **Premiera książki 23 września.** Też w formie e-booka i audiobooka (czyta Mariusz Bonaszewski) od **12 września na Publio.pl.**

Kolejne 2 odcinki w Wyborczej i na wyborcza.pl

• 09.09 środa • 12.09 sobota

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34450639



W sprzedaży, również z dostawą do paczkomatu

KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA
o tym, jak wojna zostaje w kolejnych pokoleniach. Czy można przepracować traumę, jeśli przez lata brakowało nam nawet słów, żeby ją nazwać?





Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

1 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

– Pewnie, że tak – zgodziła się koleżanka. – Ale Mireczek nie wyszedł Dorocie na dobre.

Nadstawił uszu, choć udawał, że niewiele go to obchodzi.

– Zaginął – szepnęła. – Nie słyszałeś?

– Rzadko tu bywam.

– Plakaty nawet wisiały, że ktokolwiek coś wie, rozumiesz...

– Co się stało?

– Mirek Sikora, jak tylko zaczęły się w Polsce możliwości, otworzył z ojcem wielki biznes. Import–eksport. Handlowali, z kim się dało i czym się dało. Głównie elektroniką, bo stary jeszcze za komuny miał wytwórnię lamp. Pamiętasz?

Skinął głową.

– Zarobili kupę szmalu, ale Mireczek wszystko przepuszczał. Więc stary się wnerwił i sprzedał firmę. Kupił hotel koło Szczyrku, rozwiódł się z matką Mirka i przygruchał sobie jakąś lalę, która mogłaby być jego córką. A Mireczek, proszę ciebie, wziął swoją część, ale pracować już mu się nie chciało. Zaczął grać w kasynie, wierząc, że pomnoży majątek. Zawsze uważał się za dziecko szczęścia. Ale gówno z tego wyszło. Wszystko przerąbał. Nawet dom, który zbudował dla Doroty i ich córeczki w Kolonii Willowej. Teraz mieszka tam ktoś zupełnie inny.

– A Dorota?

– U rodziców. Jak wtedy, gdyśmy chodzili do podstawówki. Bezrobotna jest. Jak upadł ośrodek wczasowy dla górników, została na lodzie, a teraz jeszcze ten ciul wpakował ją w bagno i zwiał.

– Naprawdę uciekł?

– Diabli wiedzą. Po mojemu tak. Żeby nie płacić na żonę i dziecko. No i nie znosić wstydu, bo jakby on teraz, panek pieprzony, ludziom w oczy spojrzał?

Myśli w głowie Krystiana przybrały rozmiar tornada, które wywołuje gwałtowna różnica temperatur. Najpierw ogarnęła go zimna fala satysfakcji, ale potem przyszło opamiętanie, że nigdy nie trzeba się cieszyć z czyjegoś nieszczęścia, bo można w ten sposób sprowadzić je na siebie. Poza tym zło dotknęło Dorotę, którą kiedyś kochał. Kiedyś? Na pewno było to tylko kiedyś? Czy nie przez nią odszedł z ośrodka górniczego i uciekł do Reichu? Nie o niej myślał na każdej drodze Hesji?

Przepędził te myśli.

– To rzeczywiście kiepsko – skwitował i spojrzał na zegarek. – Muszę lecieć. Matka czeka z obiadem.

– Daj znać, jak będziesz się tu wybierał następnym razem. Miło się gadało. – Koleżanka spojrzała na niego z jakimś nieoczekiwanym sentymentem.

– Dam. Jasne, że dam – zapewnił, choć nie znał ani jej adresu, ani telefonu, ani nawet nazwiska po mężu. To nic – pomyślał. – W Kolonii nietrudno było znaleźć człowieka.

Może poza Mirkiem Sikorą.

●

– Wie ojciec, co się mogło stać z mężem Doroty Kaweckiej, tej mojej koleżanki ze szkoły, co potem pracowała w „Barbórce"? – spytał przy obiedzie.

– A co się miało stać? – wzruszył ramionami starszy Poliwoda. – Łeb mu ukręcili i tyle.

– Kto?

– Mafia. Gangsterzy. Jak ruszyło pierwsze legalne kasyno w Krakowie, Mirek oszalał. Siedział tam całe dnie. Przegwizdał majątek, co mu ojciec zostawił, Mercedesa, dom w Kolonii, nawet złoty zegarek, którym się przechwalał. Zaczął pożyczać pieniądze od ludzi, od których pożyczać nie powinien. Wierzył, że się odkuje, ale się nie odkuł. Któregoś dnia po prostu nie wrócił z Krakowa i tyle. To co mu się mogło stać? Utopił się w Wiśle? Nie. – Ojciec pokręcił głową. – Za bardzo kochał życie. Zaczął gdzieś od początku? Też nie. Bo niby jak? Z gołym tyłkiem, bez grosza? Słyszałem, że tego dnia, gdy widziano go po raz ostatni, zgrał się co do złotówki.

Krystian słuchał w milczeniu.

– Powiedz lepiej, jak tobie idzie? – zmienił temat ojciec. – Biznes się kręci?

– Na razie tak. – Krystian trzy razy odpukał w blat stołu. – Z miesiąca na miesiąc coraz większe zyski. Sklepy wykupują towar na pniu i ciągle chcą więcej.

– Może warto dokupić drugiego dostawczaka?

– Mam inny pomysł. Kiedy pracowałem w Niemczech, w sklepach Rewe najlepiej szły wędliny konfekcjonowane.

– Jakie?

– Krojone na plasterki i pakowane próżniowo w folię. Jest taka maszyna, która to wszystko robi. Kroi, układa, pakuje do przezroczystej torebki, wysysa powietrze, waży, drukuje i nakleja metkę. Myślę, czy by takiej nie kupić. W żadnym sklepie we Wrocławiu nie ma wędlin pakowanych próżniowo, a wiesz, jak ludzie w Polsce rzucają się na nowości z Zachodu. Poza tym produkt ma dłuższy termin przydatności do spożycia, no i kroić nie trzeba. Otwierasz opakowanie i od razu kładziesz plaster na kanapkę.

Ojciec gwizdnął z podziwem.

– Odważny się zrobiłeś. Kapitalista pełną gębą.

– To nie jest droga maszyna. Dzwoniłem już do Rewe, mogliby mi sprzedać używaną.

– Brawo, synu! – Poliwoda senior się rozpromienił. – Masz głowę na karku.

Dwa tygodnie później Krystian podpisał dokumenty w Wiesbaden i firma spedycyjna zabrała się do demontażu linii do konfekcjonowania wędlin, która miała być przeniesiona do Wrocławia.

Tam okazała się hitem.

Cały Dolny Śląsk jeździł do sklepów na Krzykach, aby kupić pakowane próżniowo plasterki. Gdy pojawiły się na lokalnym rynku, odnotowała to nawet prasa, choć niekoniecznie tak, jak życzyłby sobie właściciel maszyny. Otóż, gdy Krystian dostał partię wędlin z zakładów mięsnych w Pabianicach, pracownica wprowadziła nazwę na klawiaturze drukarki produkującej metki i z „szynki łódzkiej" zrobiła się „szynka ludzka". Wystarczyła jedna literówka i fakt, że niemiecka maszyna nie miała polskich znaków. Ale klienci i tak wykupili całą partię, nie przejmując się zarzutami o kanibalizm.

Po trzech miesiącach Wrocław znał dobrze nazwisko Poliwoda.

– Fartownemu to i kogut jajko zniesie – oświadczył prezes zakładów wędliniarskich, który jakiś czas później złożył oficjalną wizytę w firmie Krystiana. Przechadzał się po magazynie z miną inspektora Najwyższej Izby Kontroli i cmokał z uznaniem. Nie wiadomo, czy z powodu rozkwitu przedsiębiorstwa, czy smaku wędlin, które co chwila testował, wyławiając plasterki sunące na taśmie i pakując je do ust. A te w pewnym sensie można było uznać za próżnię.

Krystian miał na końcu języka protest, że to, co stworzył, nie jest rezultatem fartu, tylko ciężkiej pracy i znajomości rynku, ale się w ten język ugryzł. W końcu to prezes podpowiedział mu pomysł założenia hurtowni.

– Pięknie, panie Krystianie, pięknie. – Gdy usiedli w niewielkim kantorku służącym za biuro, były szef omiótł wnętrze szerokim gestem. – A mnie bank sprzedaje... – Rozłożył ręce bezradnie. – Zakłady będą teraz własnością dużego koncernu mięsnego. I to jest właściwie powód moich odwiedzin. – Wbił wzrok w Poliwodę.

Krystian drgnął. Przyszedł, żebym go zatrudnił – przestraszył się. Doradził mi własny biznes i wie, że jeśli mu odmówię, wyjdę na niewdzięcznika. Jednego z tych kapitalistycznych łobuzów, których tak nie znosi. Ale jak mam go zatrudnić, skoro on tylko umie narzekać? Przecież to patentowany leń. Lepiej byłoby płacić mu co miesiąc skromną pensję, pod warunkiem że nie będzie przychodził do pracy i nie dawał złego przykładu.

– Rzecz w tym – odezwał się prezes – że nowi szefowie zakładów chcieliby się z panem spotkać.

– Ze mną? – zdziwił się Krystian. – Po co?

– Tego to ja nie wiem. – Gość znów uniósł ręce. – To już rozmowa między właścicielami – podkreślił ostatnie słowo z sarkazmem. – Nie mój poziom. Ja mam was tylko umówić.

●

Przyjechali we dwóch. Wyglądali tak samo i trudno ich było odróżnić. Jak aniołów z tych malowideł, na których przedstawiani są wysłannicy siły wyższej mający coś ulepszyć na ziemi. Sprytne oczy, garnitury błyszczące, jakby je polakierowali, lśniące czarne mokasyny i białe skarpetki.

Ich jednolitość podkreślało również to, że każdy mówił w pierwszej osobie liczby mnogiej.

– Przywozimy panu ofertę kupna pańskiej firmy – powiedział ten z lewej.

– Nie jest na sprzedaż – odparł Krystian.

Ten z prawej wymownie się uśmiechnął.

– Wszystko jest na sprzedaż.

– Cena jest atrakcyjna – zapewnił ten z lewej.

– Dlaczego chcecie kupić moją hurtownię?

– Bo bardzo dobrze prosperuje i jest nowoczesna. – Ten z prawej wskazał dłonią maszynę do próżniowego pakowania wędlin. – Nasz koncern też prężnie się rozwija. Ale żeby utrzymać korzystną linię kredytową, musimy inwestować.

– Niech pan zrozumie – uzupełnił ten z lewej. – Jeśli pan odmówi, to my też umiemy pojechać do Niemiec i kupić taką samą maszynę. Albo i kilka. Ale wtedy i pan straci, i my stracimy, bo będziemy musieli ścigać się na ceny i je obniżać. Po co to komu? Pan nam sprzeda całą swoją firmę, a przez ten czas, kiedy będziemy działać jako monopolista w konfekcjonowaniu wędlin, czyli zanim pojawi się konkurencja, zarobimy mnóstwo pieniędzy. Pan może zarobić je w tej chwili.

– Nie jestem zainteresowany, ale z ciekawości spytam: ile jesteście skłonni zapłacić?

Ten z prawej podał sumę. Krystiana zamurowało. Tamci to zauważyli i wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie musi pan odpowiadać teraz – stwierdził ten z lewej. – Wrócimy jutro rano.

Tej nocy nie mógł zasnąć.

Liczył, kładł się, wstawał, liczył. Wychodziło, że grzech nie sprzedać. Tylko co dalej? Żyć z tego, co dostanie, przez dziesięć–dwanaście lat? Może i dłużej. Był przecież oszczędny. Ale jak żyć bez pracy? Ma zostać trutniem jak zaginiony Mirek Sikora?

To może zainwestować w nowy biznes? Tylko jaki?

Gdy aniołowie w błyszczących garniturach objawili się nazajutrz, Krystian miał podpuchnięte oczy, na twarzy promienny uśmiech, a w głowie najbardziej szalony plan w swoim skąpym życiu. ●

• **Odcinek 6 – w środę 9 września**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34450640



W sprzedaży, również z dostawą do paczkomatu

ARTUR DOMOSŁAWSKI
o legendarnym reporterze i „Operacji Masakra". Pióro, pistolet i srebrnolistne topole, czyli o tym, dlaczego niektóre reportaże stają się legendami



Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl** Więcej na: **Wyborcza.pl/ksiazki**

1 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

DEPRESJA LEMURA

Poziom testosteronu u 20-latków jest porównywalny z tym, który w poprzednich pokoleniach obserwowano u 70-latków.

Z **DR N. MED. ROBERTEM JAREMĄ*** ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**



FOT. GETTY IMAGES

Gdybyśmy porównali poziom testosteronu w naszych organizmach z tym, jaki mieli nasi dziadkowie, jak byśmy wypadli?

– Mało optymistycznie. Mamy do czynienia z epidemią spadku poziomu testosteronu u mężczyzn. Kolejne dekady pokazują wyraźnie dwa niepokojące zjawiska – mężczyźni rodzą się z coraz niższym poziomem testosteronu, a do tego w ciągu ich życia spada on znacznie szybciej niż kiedyś.

Jeszcze w 1973 roku 35-latek miał średnio 650 ng/dl testosteronu, dziś mężczyzna w tym samym wieku ma go już tylko 450 ng/dl – to spadek o ponad 30 proc. w ciągu 50 lat.

Wiele mówią wyniki olbrzymiego badania przeprowadzonego w Izraelu, w którym przez 20 lat monitorowano grupę ponad 100 tys. mężczyzn. Wykazano, że poziom testosteronu u 20-latków jest porównywalny z tym, który u poprzednich pokoleń obserwowano u... 70-latków.

Na pewno nie pomaga epidemia otyłości, która w pewnym stopniu wpływa na kolejne zjawisko – niski poziom testosteronu u chłopców przy narodzinach.

Istnieje nawet teoria, według której kluczowe dla poziomu testosteronu jest życie płodowe. Jeśli matka ma nadwagę lub otyłość, a ojciec prowadzi niezdrowy tryb życia, dziecko z założenia rodzi się słabsze hormonalnie.

Tkanka tłuszczowa szkodzi oczywiście również mężczyznom w ciągu dalszego życia, zwłaszcza ta zgromadzona w brzuchu, czyli trzewna. Zawiera enzym aromatazę, który przekształca testosteron w estradiol, hormon wciąż mylnie określany jako kobiecy.

Dodajmy do tego fakt, że testosteron produkowany jest głównie w nocy. Już tydzień spania poniżej 5 godzin na dobę obniża poziom hormonu o 10-15 proc. nawet u młodych, zdrowych mężczyzn.

Mamy więc do czynienia z epidemią wynikającą ze stylu życia i czynników, które dziedziczymy?

– Zdecydowanie tak. Za błędy ojców odpowiadają ich dzieci. Chciałbym jednak, abyśmy unikali skrajności. Z jednej strony mamy obraz testosteronu jako paliwa dla „agresywnych mięśniaków", a z drugiej – traktowanie go jako złotej tabletki na wszystko.

Prawda jest taka, że to po prostu bardzo dobry lek, który ma fundamentalne znaczenie dla funkcjonowania organizmu, a zjawisko niskiego testosteronu stanowi problem społeczny. Odbija się on w zasadzie na wszystkim: na zdrowiu, związkach, partnerstwie i wydajności w pracy.

Co nas czeka za kilka dekad, jeśli ten trend się utrzyma?

– Nasze wnuki mogą mieć o połowę mniej testosteronu niż ich dziadkowie. Testosteron jest jak paliwo. Jeśli wlejemy benzynę do sprawnego silnika, samochód pojedzie świetnie, ale jeśli silnik jest uszkodzony, wlewanie paliwa może go tylko zalać.

Żyjemy w środowisku pełnym pestycydów i mikroplastiku, jemy niezdrowe jedzenie i pijemy wodę pełną substancji estrogenopodobnych, które niestety zaburzają działanie komórek odpowiedzialnych za produkcję hormonów.

Jeśli mężczyźni będą coraz słabsi, przestaną być dobrymi partnerami i pracownikami.

Do mojego gabinetu trafia coraz więcej młodych ludzi, którzy mówią: „Doktorze, gorzej myślę, nie mam siły ćwiczyć, nie mam porannych wzwodów ani tej przebojowości co kiedyś".

Dlaczego twierdzi pan, że nie powinniśmy mówić o hormonach żeńskich u mężczyzn?

– Ponieważ nie ma oddzielnych hormonów męskich i żeńskich. Różnimy się tylko ich stężeniem. Zresztą to z testosteronu powstaje wspomniany estradiol, który jest dla mężczyzn bardzo ważny. Odpowiada za nawodnienie stawów, ścięgien, a nawet za reakcje emocjonalne.

Znam mężczyzn, którzy przy wysokim poziomie estradiolu niemal płakali na reklamach, ale bez niego lub przy zbyt niskim poziomie czuli się fatalnie i łapali kontuzje.

Sam mam 56 lat, mój poziom testosteronu to 608 przy normie do 830 i nic nie biorę – po prostu dobrze poukładałem tę układankę: rozsądne odżywianie (żadna dieta!), trochę aktywności fizycznej, dobry sen i szczypta suplementów. Tylko tyle i aż tyle.

Skoro nie ma hormonów męskich i żeńskich, to jak testosteron wpływa na kobiety?

– W jednym z badań uczestniczkom podano testosteron w żelu lub placebo i kazano im wspólnie z partnerami podejmować decyzje dotyczące niejasnych wzorów na ekranie komputera.

Kobiety, które otrzymały testosteron, znacznie częściej przeceniały własną opinię, ignorując zdanie partnerów.

Testosteron powodował bardziej egocentryczne wybory, co pogarszało wyniki pracy zespołowej. Badanie to pokazało, że wpływ hormonu na pewność siebie i skłonność do dominacji występuje niezależnie od płci. Jest też kwestia libido – testosteron podobnie jak u mężczyzn znacznie zwiększa potrzeby seksualne u kobiet.

A jak jego niedobór wpływa na nastrój mężczyzn?

– Niski poziom testosteronu u mężczyzn często objawia się stanami, które pacjenci w moim gabinecie opisują jako „permanentny PMS" czy bycie „lemurem w depresji". Mają obniżony nastrój

eprasa.pl bbdb7a80f8

i są apatyczni, wspominają o chronicznym zmęczeniu. Często stają się nadmiernie emocjonalni.

Niski testosteron pogarsza także zdolność organizmu do radzenia sobie ze stresem, co tworzy błędne koło, gdyż stres dodatkowo obniża poziom hormonu. Z tymi lemurami to nie przesada – mężczyźnie z niskim poziomem testosteronu brakuje chęci do ćwiczeń, a gdy już się zmusi, następnego dnia umiera – bolą go stawy i nie może się zregenerować. No i zero seksu.

W internecie obserwujemy zalew treści od influencerów, którzy polecają suplementować testosteron niezależnie od wieku i jego poziomu. Jak zweryfikować takie informacje, nie mając wiedzy medycznej?
– To trudne, dlatego napisałem tę książkę, nie naukowym, ale prostym językiem dla każdego. Jedyną szansą jest rzetelność. Dobra, sprawdzona wiedza podana w przystępny sposób. Jako lekarz nie przebiję zasięgami kogoś, kto obiecuje cuda, często myląc badania na zwierzętach z badaniami na ludziach. Nie mam również szans z poradami kulturystów, którzy biorą ogromne dawki sterydów.

Które mity związane z testosteronem są według pana najgroźniejsze?
– Traktowanie go jak cudownego środka na wszystkie dolegliwości. Zapominamy, że testosteron to lek, hormonalny, ale jednak lek – taki sam jak np. hormony tarczycy. Swoją drogą niedobór hormonów tarczycy daje bardzo podobne objawy do niedoboru testosteronu.

Nikt po zażyciu hormonu tarczycy nie przeżywa euforii. Jeśli ktoś oczekuje niesamowitych przyrostów mięśni, to idzie w sterydy anaboliczne.

Kolejny mit to przekonanie, że testosteron wspiera płodność. Jest przeciwnie – działa jak środek antykoncepcyjny. Podanie go z zewnątrz sprawia, że przysadka mózgowa blokuje pracę jąder, co zatrzymuje produkcję plemników.

Robert Kennedy Jr. i inni przyznają się publicznie do terapii testosteronem. To niebezpieczna moda?
– Terapia testosteronem to żadna nowość. Już sportowcy na greckich igrzyskach olimpijskich spożywali surowe jądra baranów, wierząc, że poprawi to ich wyniki w rywalizacji.

Pod koniec XIX wieku 72-letni profesor Harvardu wstrzykiwał sobie podskórnie wyciąg ze zmiażdżonych jąder psów i świnek morskich zmieszany z nasieniem i krwią z żył jądrowych.

Donosił nawet w czasopiśmie „Lancet", że odzyskał siły witalne, mógł wbiegać po schodach i pracować przez wiele godzin, choć efekty te okazały się przejściowe. Te „sukcesy" doprowadziły do masowego wykupywania świnek morskich przez lekarzy.

Oczywiście te próby nie obyły się bez groźnych sytuacji. Jeden z domorosłych naukowców, Henry Reseding, w pogoni za eliksirem młodości wstrzyknął nieznaną substancję starszemu mężczyźnie, co doprowadziło do jego śmierci w strasznych bólach.

Współcześnie moda na zwiększanie poziomu testosteronu istnieje, ale jestem optymistą. Dostrzegam, że mężczyźni po 35. roku życia powoli zmieniają nastawienie. Pacjenci stają się coraz bardziej świadomi. Kończą się czasy, kiedy jedyne, czego chcieli od lekarza, to recepta.

Coraz częściej pacjenci chcą się kompleksowo przebadać, zrozumieć swój organizm i najpierw spróbować innych metod. Dużą rolę odegrały tu biohacking i ruch longevity. Dały ludziom świadomość, jak duży wpływ na ich zdrowie mogą mieć mechanizmy ich własnego organizmu.

Co by pan odpowiedział mężczyźnie, który w gabinecie oświadczyłby: „Nie mam czasu na zmianę stylu życia, proszę o receptę"?
– Lekarz musi się dopasować do pacjenta, a nie odwrotnie. Jeśli narzucę komuś coś wbrew jego naturze i nawykom, wytrzyma może miesiąc i porzuci terapię. Muszę poznać cel konkretnego człowieka. Jeśli ma 38 lat i chce ostatni raz zrobić coś dla swojej sylwetki, nie mówię „nie", ale staram się, żeby zrobił to mądrze.

Szanuję i rozumiem pacjentów, którzy mówią: „Tu są moje wyniki, zrób coś z tym, żebym ja nie musiał się tym zajmować". Właśnie od tego jestem specjalistą.

Testosteron to wciąż synonim agresji. Słusznie?
– Absolutnie nie. Testosteron to nie sprawca, ale wspólnik. Nasila to, co już mamy w głowie i jacy jesteśmy. Jeśli ktoś jest agresywny z natury, będzie po prostu jeszcze agresywniejszy. Problemem jest to, że testosteron sprawia, iż podejmujemy decyzje szybciej, ale one niekoniecznie są lepsze. Stąd bierze się teoria młodego idioty.

Uważam jednak, że taka męska nieprzewidywalność stanowi również zaletę – pozwala nam robić rzeczy przebojowe. Współczesny mężczyzna jest kastrowany społecznie przez system edukacji i wychowania zdominowany przez kobiety (przedszkola, szkoły, uczelnie), więc brawura bywa jego jedynym wentylem bezpieczeństwa.

Poza tym nie bez znaczenia jest wątek kulturowy. W słynnym eksperymencie psychologicznym Richarda E. Nisbetta i Dova Cohena z lat 90. zbadano różnice w reakcjach mężczyzn wychowanych w różnych regionach Stanów Zjednoczonych.

Ochotnik „przypadkowo" wpadał na badanego i go obrażał. Mężczyźni z Południa reagowali nie tylko większą agresją niż ich koledzy z Północy, ale też odnotowano u nich wyraźny wzrost poziomu testosteronu w odpowiedzi na tę konfrontację.

Spadek poziomu testosteronu to przyczyna, dla której porównuje pan współczesnego mężczyznę do przylądka Horn?
– Tak. Przylądek Horn to miejsce, gdzie spotykają się dwa oceany – Atlantyk i Pacyfik. Panują tam jedne z najtrudniejszych warunków żeglugowych na świecie – porywiste wiatry, potężne prądy morskie i fale sięgające 25 metrów wysokości.

Współczesny mężczyzna jest trochę jak skała tego przylądka. Trwa niezachwianie, mimo że targają nim liczne gigantyczne fale i sztormy fizjologiczne.

Z jednej strony już rodzimy się z niskim poziomem testosteronu, do tego dokłada się tryb życia – nigdy w historii ludzkości tyle nie siedzieliśmy, a ruch naturalnie zwiększa poziom testosteronu, szczególnie u mężczyzn. Mamy też spore nadwyżki kaloryczne i całą masę chemii w jedzeniu.

Trzeba też wziąć pod uwagę normy kulturowe, które starają się nas ugrzecznić. Ale my trwamy – jak przylądek Horn. I szybko się adaptujemy.

Coraz więcej słyszymy o kryzysie męskości? To realne zjawisko?
– Moim zdaniem tak. Nie chodzi tylko o problemy zdrowotne jak spadek poziomu testosteronu. Przemawia do mnie koncepcja psychologiczna, według której męskość jest statusem, który – w przeciwieństwie do kobiecości – nie jest dany raz na zawsze.

Trzeba na niego zapracować i nieustannie go potwierdzać. Przez rywalizację, dominację czy akty odwagi. Gdy mężczyzna nie jest w stanie sprostać tym wyzwaniom np. z powodu braku energii czy niskiego libido, pojawia się poczucie utraty męskości. Często również depresja czy stany lękowe.

Jedynym pocieszeniem jest to, że mężczyźni coraz bardziej dbają o swoje zdrowie. Również psychiczne.

Wróćmy do teorii męskiego idioty. Nie brzmi miło.
– Teoria męskiego idioty (z ang. male idiot theory) to koncepcja sugerująca, że testosteron ma silny i bezpośredni wpływ na procesy poznawcze, jak np. podejmowanie decyzji. W określonych sytuacjach może to prowadzić do zachowań nieracjonalnych.

W jednym z badań mężczyźni, którym podano jednorazową dawkę testosteronu w żelu, radzili sobie gorzej z testem refleksji poznawczej – uzyskiwali o 20 proc. mniej prawidłowych odpowiedzi niż grupa placebo.

Testosteron zdaje się hamować proces namysłu i weryfikowania własnej pracy, nasilając jednocześnie intuicyjne, ale często błędne przekonanie o własnej racji.

Spójrzmy na popularne internetowe Nagrody Darwina przyznawane osobom, które zginęły lub zostały wysterylizowane w wyniku wyjątkowo głupich, autodestrukcyjnych działań doprowadzających do wyeliminowania ich genów z ogólnej puli gatunku.

Zdobywcą jednej z nich został np. terrorysta, który wysłał list z bombą, jednak nakleił na kopertę znaczek o zbyt niskiej wartości. Poczta zwróciła przesyłkę do nadawcy, a on ją... otworzył.

Inny laureat używał szlifierki taśmowej jako autoerotycznego gadżetu, co doprowadziło do drastycznego uszkodzenia jąder. Jedno jądro usunięto już w szpitalu, natomiast drugie pacjent próbował wcześniej ratować samodzielnie przy użyciu zszywacza biurowego.

Aż 88,7 proc. laureatów tej nagrody to mężczyźni. Szybkie podejmowanie decyzji pod wpływem testosteronu miało uzasadnienie w ewolucyjnej przeszłości, gdy człowiek musiał błyskawicznie reagować na zagrożenie ze strony drapieżników. Zamiast rozważać różne możliwości, jedyną słuszną decyzją była ucieczka lub walka. Jednak we współczesnym świecie taka strategia rzadko się sprawdza.

Wpływ testosteronu jest jednak znacznie szerszy i nie dotyczy tylko podejmowania decyzji czy agresji.
– Tak, testosteron wpływa nawet na decyzje moralne. Słynny eksperyment myślowy „dylemat wagonika" polega na wyobrażeniu sobie wagonika pędzącego po torach wprost na pięcioro nieświadomych niebezpieczeństwa ludzi.

Osoba biorąca udział w teście ma możliwość przestawienia zwrotnicy i skierowania pojazdu na inny tor, na którym jednak pracuje jeden człowiek. Zadaniem uczestnika jest podjęcie błyskawicznej decyzji: kogo zabić, a kogo uratować.

Wbrew oczekiwaniom podanie testosteronu zwiększało wrażliwość mężczyzn na normy moralne. Częściej wybierali oni opcję uratowania większej grupy ludzi (pięciu osób) i byli gotowi poświęcić życie jednostki.

Eksperymenty z rzutem kostką wykazały, że mężczyźni z wyższym poziomem testosteronu rzadziej kłamali, aby uzyskać nagrodę finansową. Hormon ten bardziej więc promuje zachowania podnoszące status, do którego kłamstwo jako strategia słabych często nie pasuje.

Określa pan testosteron mianem „dyrygenta orkiestry". Dlaczego?
– Często spotykam się z określeniem, że testosteron jest najważniejszym hormonem. To oczywiście nieprawda. W naszym organizmie jest około 50 substancji hormonalnych i hormonopodobnych i wszystkie są równie ważne.

Ale to właśnie testosteron spina je wszystkie we właściwym działaniu. Jest jak dyrygent orkiestry. Jeśli masz orkiestrę złożoną z najlepszych muzyków (narządów), ale nie masz dyrygenta, każdy zacznie grać po swojemu i powstanie kakofonia – w organizmie nazywa się to zespołem metabolicznym: nadciśnienie, hipercholesterolemia, otyłość, insulinooporność, brain fog.

A jak zadbać o jego poziom w sposób naturalny?
– Sen. Na początku wspominałem, że to właśnie w nocy produkujemy testosteron, a wydzielamy go między 5 a 7 rano, dlatego mamy wtedy niższy głos i poranne wzwody. Zaburzona architektura snu niszczy ten proces i podnosi poziom kortyzolu.

Nasz zegar biologiczny jest niesamowicie dokładny. Dlatego tak ważne jest spersonalizowane podejście do każdego pacjenta. Weźmy na przykład świadome osoby uprawiające sport. Jeśli ktoś taki biega wieczorami, najczęściej daje organizmowi sygnał „uciekaj", co stawia ciało w stanie alertu i uniemożliwia nocną regenerację. Podobnie zresztą działa słynny jeden mały drink wieczorem czy lampka wina do kolacji.

Jakie jest pana największe marzenie po niemal 30 latach praktyki i dbania o zdrowie mężczyzn?
– Chciałbym odczarować medycynę. Pokazać, że to nie jest tajemna wiedza, a lekarz nie musi być Panem Bogiem w białym fartuchu nad leżącym przed nim pacjentem.

Chciałbym, aby ludzie potrafili oddzielić prawdę od pseudonaukowych i groźnych bzdur.

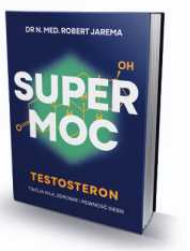
Marzy mi się też bardziej demokratyczny system ochrony zdrowia – taki, w którym osoby dbające o siebie, mające obiektywnie dobre wyniki badań, jak np. prawidłowa waga, morfologia czy parametry zapalne, płaciłyby niższą składkę zdrowotną. To byłaby realna promocja zdrowia. ●

> Słyszę w gabinecie: „Doktorze, gorzej myślę, nie mam siły ćwiczyć, nie mam porannych wzwodów ani tej przebojowości co kiedyś"



Dr n. med. Robert Jarema

• Lekarz z niemal 30-letnim stażem pracy; chirurg, urolog, androlog, specjalista od męskich hormonów; założyciel kliniki Moc zajmującej się zdrowiem mężczyzn oraz Novacell specjalizującej się w najnowszych terapiach komórkami macierzystymi. Mówca Impact'26. Autor książki **„Super moc. Testosteron. Twoja siła, zdrowie i pewność siebie"** (dostępna w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl).



eprasa.pl bbdb7a80f8

POLECA MICHNIK ADAM

Znak zapytania wisi nad Europą



• **Katedra w Chartres (80 km na południowy zachód od Paryża) to jedna z najsłynniejszych i najlepiej zachowanych katedr gotyckich na świecie. Od 1979 r. znajduje się na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. Budowana w latach 1194-1220 jest znana m.in. z dobrze zachowanych witraży z XII i XIII wieku** FOT. SHUTTERSTOCK

Europejskie nacjonalizmy, zmiażdżone przez upadek III Rzeszy i włoskiego faszyzmu, wydawały się pozbawione znaczenia. W ostatnich 20 latach odzyskały dawną jadowitość.

Krzysztof Pomian*

Pojęcie „dziedzictwo europejskie" weszło do obiegu publicznego dopiero niedawno dzięki instytucjom i dokumentom Unii Europejskiej (UE). Kiedy? Są trzy konkurujące ze sobą daty.

W 2002 r. Komisja Europejska ustanowiła Nagrodę Dziedzictwa Kulturowego, przyznawaną przez organizację pozarządową Europa Nostra. Każdego roku otrzymuje ją ok. 30 inicjatyw w dziedzinie ochrony, ulepszania i adaptacji do nowych zastosowań dziedzictwa kulturowego, a także w dziedzinie badań nad nim, edukacji, szkoleń i podnoszenia świadomości jego roli. Chociaż termin „dziedzictwo europejskie" nie został użyty, chodzi tu wyraźnie o dziedzictwo kulturowe Europy.

W 2005 r. sześć krajów należących do Unii postanowiło, z inicjatywy Francji, utworzyć znak „Dziedzictwo europejskie". Po raz pierwszy został przyznany 19 marca 2007 r., z okazji 50. rocznicy podpisania traktatu rzymskiego. Cztery lata później otrzymało go 68 obiektów w 19 krajach.

W 2013 r., w ramach programu „Kreatywna Europa", Komisja Europejska sama zaczęła przyznawać znak „Dziedzictwo europejskie". Wydaje się, że jej kryteria są bardziej restrykcyjne. Lista oznakowanych obiektów liczy zaledwie 29 pozycji (tylko kilka znajdowało się na poprzedniej liście). Można jednak powiedzieć, że termin „dziedzictwo europejskie" wszedł odtąd do słownictwa organów UE i że samo dziedzictwo zostało przez nią oficjalnie zaakceptowane.

Uznanie to nastąpiło zatem ok. 50 lat po przyjętej w Hadze 14 maja 1954 r. z inicjatywy UNESCO „Konwencji o ochronie dóbr kultury w razie konfliktu zbrojnego", która wprowadziła do prawa międzynarodowego pojęcie „dziedzictwo ludzkości". I tyleż lat po zawartej w Paryżu 19 grudnia 1954 r., z inicjatywy Rady Europy, Europejskiej Konwencji Kulturalnej. Artykuł 5 tej Konwencji jest dla nas szczególnie ważny:

„Każda z umawiających się stron uzna znajdujące się pod jej kontrolą dobra o europejskiej wartości kulturowej za stanowiące integralną część wspólnego dziedzictwa kulturowego Europy, podejmie niezbędne środki w celu ich ochrony i ułatwi do nich dostęp".

To właśnie w tym dokumencie pojęcie „wspólne dziedzictwo kulturowe Europy" weszło do języka prawa. Działo się to dziewięć lat po zakończeniu II wojny światowej, w Europie podzielonej żelazną kurtyną, gdzie po śmierci Stalina rozpoczynała się nieśmiała odwilż.

Rada Europy zrzeszała tylko kraje zachodnie. Przemawiała jednak w imieniu całego kontynentu, stawiając na jego przyszłe zjednoczenie, które wtedy wydawało się niewyobrażalne.

Również w 1954 r., który był punktem zwrotnym w historii idei i praktyk dotyczących dziedzictwa kulturowego z perspektywy międzypaństwowej, Rada Europy uruchomiła program mający na celu uwidocznienie różnych składników i wymiarów europejskiego dziedzictwa kulturowego, w tym przypadku – artystycznego.

Zapoczątkowany wystawą „L'Europe humaniste", która odbywała się w Brukseli od grudnia 1954 do lutego 1955 r., i kontynuowany do dziś, program ten objął łącznie ok. 30 wystaw prezentujących różne okresy i style sztuki europejskiej; niektóre z nich pozostały na trwałe w pamięci. Wystarczy wspomnieć „Les sources du XXe siècle" (Paryż, listopad 1960 - styczeń 1961), „The Age of Neoclassicism" (Londyn, wrzesień-listopad 1972) i „Kunst und Macht: Europa unter den Diktatoren (1930-1945)" (Berlin. czerwiec-sierpień 1996). 30. wystawa z tego cyklu, „Thirst for Freedom: Art in Europe since 1945", została otwarta w Berlinie w październiku 2012 r., a następnie podróżowała przez dwa lata między Mediolanem, Tallinem i Krakowem.

Aby w pełni docenić znaczenie tego programu, musimy przenieść się w ideologiczny klimat lat 50., kiedy Zachód i Wschód miały dwa różne, jeśli nie wręcz przeciwstawne podejścia do kultury – a do sztuki w szczególności. I kiedy dopiero zaczynano nieśmiało przywracać komunikację między dwiema częściami Europy po czasach podziału spowodowanego wojną, a następnie, po krótkiej przerwie, stalinowskim uwięzieniem prawie wszystkich krajów Europy Środkowej i Wschodniej – latach poprzedzonych nadto długim okresem, w którym kraje tego regionu były mało znane na Zachodzie, jeśli nie wręcz przezeń ignorowane.

Jednak od samego początku wystawy Rady Europy nie uwzględniały istniejących podziałów i skłaniały do współpracy instytucje kultury, zwłaszcza muzea, po obu stronach żelaznej kurtyny. W tym sensie każda z tych wystaw była, na własną skalę i we własnym zakresie, próbą integracji europejskiej. Choć do 1989 r. odbywały się one wyłącznie w zachodniej części Europy, udostępniały zwiedzającym idealną wizję kulturowej jedności kontynentu.

W stopniu trudnym do ocenienia, ale który jest prawdopodobnie znaczny, przyczyniły się one przeto do rozpowszechnienia wśród zachodnich elit poczucia, że zsowietyzowane kraje Europy Środkowej i Wschodniej stanowią integralną część Europy jako indywidualności historycznej i kulturowej. A tym samym do odrodzenia tego, co można nazwać, używając tytułu pierwszych międzynarodowych spotkań w Genewie w 1946 r., „duchem europejskim".

Historyk przychodzi jako ostatni

Zaczynamy od powyższego przypomnienia z powodów, które staną się jaśniejsze później, a także z zamiarem podniesienia problemu „dziedzictwa" w znacze-

eprasa.pl bbdb7a80f8

niu „dziedzictwa kulturowego". Jest ono zazwyczaj utożsamiane z tymi dobrami kultury, którym przypisuje się „wartość patrymonialną", co znaczy, że uważa się za niezbędne przekazanie ich potomnym, choćby najbardziej odległym.

Dla pojęcia „dziedzictwo kulturowe" wymóg przekazania go przyszłym pokoleniom jest kluczowy. To on bowiem sprawia, że nowoczesne praktyki zarządzania dziedzictwem są zorientowane nie na życie pozagrobowe lub przeszłość, ale na przyszłość. Dziedzictwo to dobra kultury, które pochodząc z przeszłości, muszą koniecznie zostać przekazane w przyszłość, nawet najbardziej oddaloną, pokoleniom naszych następców, których ledwo potrafimy sobie wyobrazić. Z tego powodu dobra te muszą być bezwzględnie zabezpieczone: poddane specjalnej ochronie przed zniszczeniami, które mogą spowodować czynniki naturalne, i przed złupieniem przez ludzi. W przeciwnym razie prędzej czy później będą skazane na zniknięcie.

Należy jednak zauważyć, że jest to definicja dziedzictwa z perspektywy kuratora, który otrzymuje kolekcję dóbr kultury już posiadających wartość patrymonialną, aby skutecznie zająć się ich zabezpieczeniem. By wykonywać swe obowiązki, kurator nie musi jednak filozofować o dziedzictwie. Musi oddziaływać na przedmioty, które je tworzą, aby pozostały w stanie, w jakim przypuszczalnie były pierwotnie, lub przynajmniej w takim, w jakim do nas dotarły, by móc przekazać je w tej formie swoim następcom, którzy przekażą je swoim następcom i tak dalej. Musi również pokazać te przedmioty swoim współczesnym.

Te dwa imperatywy nie są łatwe do pogodzenia, więc należy znaleźć kompromis, aby w miarę możliwości zaspokoić oba. Wymaga to dogłębnych studiów nad tymi przedmiotami: ich historią, materialnością, wrażliwością na warunki środowiskowe.

Nie trzeba dodawać, że rola kuratorów jest kluczowa. Są oni, by tak rzec, subiektywnym dopełnieniem dziedzictwa, z którym są nierozerwalnie związani jak dwie strony tej samej kartki papieru.

Ale spojrzenie kuratora na dziedzictwo, choć ważne, nie jest jedyne. I nie wystarcza. Kurator, jak powiedzieliśmy, otrzymuje dobra kultury, którym już przyznano wartość patrymonialną. Jednakże to nie kuratorzy przyznają ją przedmiotom, które wcześniej jej nie posiadały. To artyści, pisarze, historycy, naukowcy – krótko mówiąc intelektualiści – zwracają na nie uwagę i upowszechniają przekonanie, że należy je przekazać potomnym.

Dopiero gdy takie przekonanie zakorzeni się w opinii publicznej i zostanie zaakceptowane przez zainteresowane instytucje, przedmioty zaliczane odtąd do dziedzictwa zostają powierzone opiece kuratorów przez umieszczenie ich w muzeach lub na listach zabytków chronionych. Przykłady wyniesienia dóbr kultury do godności dziedzictwa zostaną przytoczone dalej.

Między perspektywą intelektualisty a perspektywą kuratora znajduje się normatywna perspektywa prawnika; definiuje on treść i zakres dziedzictwa, formułuje przepisy, które mają stosować instytucje odpowiedzialne za zarządzanie nim, wyznacza granice między tym, co w tej dziedzinie dozwolone, a tym, co zabronione, oraz, w stosownych przypadkach, granice praw własności prywatnej w odniesieniu do przedmiotów o wartości patrymonialnej i wyraźnie określa konsekwencje ich naruszenia. Dziedzictwo nie może istnieć bez świadomości dziedzictwa wpajanej przez intelektualistów i bez prawa dziedzictwa opracowanego przez prawników.

Dlatego też historyk, podejmując kwestię dziedzictwa, nie może zadowolić się historią przedmiotów, które je tworzą. Musi ujmować je w związku z ideami, które doprowadziły do przypisania im wartości patrymonialnej, i kontrowersjami, jakie wywołały, a także w związku z tworzeniem norm przez prawników i instytucjami powołanymi, by zapewnić przestrzeganie ich.

Innymi słowy perspektywa historyka nie jest ani perspektywą kuratora zajmującego się ochroną elementów dziedzictwa, ani perspektywą intelektualisty zaangażowanego w przypisywanie wartości patrymonialnej określonym dobrom kultury, ani perspektywą prawnika opracowującego przepisy i regulacje tych dóbr dotyczące.

Historyk przychodzi jako ostatni, a jego obowiązkiem jest zrozumienie pierwszego, drugiego i trzeciego oraz odtworzenie drogi, która doprowadziła do sytuacji obecnej.

Nasze podejście do dziedzictwa europejskiego będzie próbą zastosowania takiego programu; postępujemy niczym archeolog, który zaczyna od warstwy najnowszej, najbliższej powierzchni rozkopywanego terenu, a następnie krok po kroku przesuwa się w głąb przeszłości.

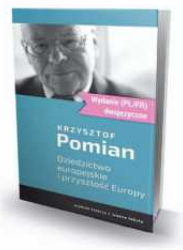


***Krzysztof Pomian**

• **Pierwszy laureat Międzynarodowej Nagrody im. Czesława Miłosza, przyznawanej przez Bibliotekę Narodową. Odbierze ją w czasie Festiwalu Morze Literatury, który odbędzie się w dniach 19-21 września w Darłowie.**

• Ur. w 1934 r., profesor nauk humanistycznych, filozof, historyk, eseista. W 2001 r. dyrektor naukowy Muzeum Europy w Brukseli. Członek Komitetu Doradczego Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność. Ostatnio ukazała się jego praca „Muzeum. Historia światowa" (słowo/obraz terytoria 2023).

• Jego tekst za polsko-francuskim wydaniem: Pomian, **„Dziedzictwo europejskie i przyszłość Europy",** Pracownia Badań nad Instytutem Literackim w Paryżu UMCS, Wyd. UMCS, Lublin 2024. Tytuł i śródtytuły - „Wyborcza".



Pomniki Sztuki, te Modele Smaku

Zaezęliśmy od decyzji Unii Europejskiej poprzedzonych decyzjami Rady Europy. Ale te ostatnie, a w szczególności konwencja z 1954 r. i wystawy sztuki, o których wspomnieliśmy, odsyłają z kolei do głębszych warstw.

Konwencja – do całego procesu ustanawiania norm prawa międzynarodowego w XIX, pierwszej połowie XX wieku, a przedtem do określania szczególnego statusu dóbr kultury zainicjowanego przez teoretyków prawa narodów.

Nie sposób w tym miejscu wdawać się w szczegóły, wystarczy zacytować krótki fragment bardzo ważnego traktatu [filozofa] Emmericha de Vattela opublikowanego w 1758 r., który pośrednio zawiera ideę wspólnego dziedzictwa europejskiego, a nawet – wspólnego dziedzictwa ludzkości:

„Z jakiegokolwiek powodu kraj jest pustoszony, należy oszczędzać budowle, które przynoszą zaszczyt ludzkości i które nie przyczyniają się do zwiększenia potęgi wroga: świątynie, grobowce, budynki publiczne, wszystkie dzieła godne szacunku ze względu na ich piękno. Co zyskamy, niszcząc je? Pozbawić się tych Pomników Sztuki, tych Modeli Smaku (...) to ogłosić się wrogiem rodzaju ludzkiego" („Droit des gens").

Konwencja z 1954 r. odnosi się również, acz ich nie wymienia, do przepisów ustawowych i wykonawczych przyjętych przez różne państwa co najmniej od lat 30. XIX wieku, które dotyczą nie tyle dziedzictwa – chociaż słowo to w obecnym znaczeniu figuruje w języku francuskim od 1790 r. – ile, używając terminów francuskiej ustawy z 1913 r., zabytków i miejsc o znaczeniu artystycznym, historycznym lub naukowym, których ochrona musi być zapewniona.

Dziedzictwo nie może istnieć bez jego świadomości wpajanej przez intelektualistów i bez prawa dziedzictwa opracowanego przez prawników

A co do wystaw sztuki organizowanych pod auspicjami Rady Europy, to nie byłyby one możliwe, gdyby dzieła nie były przechowywane przez kolekcjonerów i muzea, i gdyby tradycja wystaw międzynarodowych nie zaczęła się kształtować przed I wojną światową, ze wszystkimi zastrzeżeniami w zakresie uzgodnień dotyczących warunków wystawiania dzieł, zasad wypożyczania, ubezpieczenia i transportu. Mogę tu jedynie przypomnieć prace [historyka sztuki] Francisa Haskella.

Jak z tego widać, europejskie dziedzictwo kulturowe obejmuje nie tylko przedmioty, ale także normy, procedury i zwyczaje – całe „dziedzictwo niematerialne: praktyki, reprezentacje, wyrażenia, wiedzę i umiejętności (...), które społeczności, grupy i, w stosownych przypadkach, jednostki uznają za część swojego dziedzictwa", zgodnie z konwencją UNESCO z 17 października 2003 r.

Działania poprzedzające inicjatywy kulturalne Rady Europy, ponawiane z czasem przez poczynania Unii Europejskiej, nie znaczą bynajmniej, że w naszej dziedzinie, jak i w innych, istniała prosta ciągłość między okresami przedwojennym i powojennym.

By przekonać się, że tak nie jest, wystarczy przypomnieć, że Rada Europy powstała w 1949 r., a Unia Europejska, pierwotnie Europejska Wspólnota Gospodarcza, w 1957, w odpowiedzi na II wojnę światową i rozdarcie Europy, które ta wojna dramatycznie pogłębiła.

Ale żadna z tych instytucji nie zrodziła się w próżni. Przygotowały je przemówienia Churchilla, konferencja europejska w Hadze w maju 1948 r., która zapoczątkowała Ruch Europejski, a wcześniej – walka o ideę Europy między, z jednej strony, nazistami i kolaborantami, którzy próbowali oddać ją w służbę Hitlera, a z drugiej strony ruchami oporu, które marzyły o Europie odrodzonej i zjednoczonej.

Na jeszcze głębszym poziomie, w okresie międzywojennym, poprzedziły je paneuropejski ruch Richarda Coudenhove-Kalergiego, który zdołał zmobilizować liberalną, antytotalitarną frakcję europejskich elit, oraz poroniona próba utworzenia Europejskiej Unii Federalnej podjęta przez Aristide'a Brianda.

Inicjatywy kulturalne Rady Europy, choć pod wieloma względami nowatorskie, opierały się na dziedzictwie tej niedawnej przeszłości: ludziach, których ukształtowała, i ideach, których byli jeśli nie autorami, to przynajmniej nosicielami, a zwłaszcza na planach kulturowej integracji Europy.

Uderza to również w przypadku UNESCO, utworzonej w 1946 r. w ślad za Organizacją Narodów Zjednoczonych, ale opartej na doświadczeniach Międzynarodowej Komisji Współpracy Intelektualnej, organu Ligi Narodów, powołanej w styczniu 1922 r.

Spośród jej wielostronnych działań wspomnimy tylko o bezpośrednio związanych z dziedzictwem, czyli o Międzynarodowym Biurze Muzeów, którego początki sięgają 1926 r. Promowało ono wystawy międzynarodowe, ułatwiało wypożyczanie dzieł i organizowało wymianę między kuratorami i administratorami muzeów, zarówno w formie spotkań i seminariów, jak i za pośrednictwem czasopisma „Mouseion", wydawanego od 1927 r.

Teoretycznie nie było w tym nic swoiście europejskiego. Jednak duża część świata była nadal zdominowana przez potęgi kolonialne, Stany Zjednoczone nie uczestniczyły w Lidze Narodów, Związek Radziecki był do niej przez długi czas wrogo nastawiony, a Chiny rozdzierała wojna domowa, zaostrzona przez japońską agresję, która doprowadziła do wycofania się z Ligi Japonii, a następnie nazistowskich Niemiec i faszystowskich Włoch.

W rezultacie w latach 20. i 30. XX wieku większość współpracy intelektualnej, a w szczególności współpraca między muzeami, odbywała się w ramach europejskich, które sporadycznie rozszerzano o Stany Zjednoczone, Amerykę Łacińską i Indie, a ostatecznie ograniczono do krajów nietotalitarnych.

Organy Ligi Narodów, Ruch Paneuropejski czy plan Brianda – wszystkie wspomniane tu pokrótce instytucje i inicjatywy okresu międzywojennego były odpowiedzią na sytuację, w jakiej znalazła się Europa pod koniec I wojny światowej, innymi słowy na upadek tego „wczorajszego świata", którego niezapomniany i wzruszający portret pozostawił Stefan Zweig.

Był to jednak portret wyidealizowany do granic fikcji. Jedność Europy, która według Zweiga charakteryzowała ten świat, w rzeczywistości dotyczyła tylko stosunkowo niewielkiej elity materialnie zamożnej, kulturalnej i zaangażowanej w międzynarodową wymianę handlową, naukową i artystyczną. Stanowiła ona mniejszość wśród elit różnych krajów, które w większości, jak większość mas, pozostawały pod wpływem nacjonalizmów i wyznawały głoszoną przez nie wizję Europy i świata.

Wbrew temu, co się często mówi, nacjonalizm nie jest nadmiernym przywiązaniem do własnego narodu. Jest emocją potężną i w samej swej zasadzie negatywną: nienawiścią do innych, a zwłaszcza do każdej ludzkiej zbiorowości, która rości sobie pretensję do wyższości nad grupą, do której sama należy, w tym sensie, że postrzega siebie jako nadrzędną wobec niej i uprawnioną do dyktowania jej postępowania w pewnych obszarach.

W średniowieczu nacjonalizmy były skierowane przeciw Cesarstwu. Od czasów Wielkiej Schizmy Zachodu (1378-1417), a jeszcze wyraźniej od reformacji, były skierowane przeciw Kościołowi rzymskiemu. W XIX wieku, w wielonarodowych lub kolonialnych imperiach - przeciw narodom hegemonicznym. I zazwyczaj przeciw Żydom oskarżanym o dążenie do panowania nad światem.

Wraz z jego wrogiem, kosmopolityzmem lub europeizmem, również nacjonalizm w swych różnych formach jest niestety częścią dziedzictwa kulturowego Europy, ponieważ z pokolenia na pokolenie zawsze znajdą się ludzie zdecydowani na przekazywanie go swoim następcom.

Odwrotnością „wczorajszego świata" było rozpętanie nacjonalizmów w XIX wieku, zwłaszcza w jego ostatnich dziesięcioleciach. Pierwsza wojna światowa doprowadziła je do paroksyzmu; po zakończeniu działań wojennych zachowały swą zjadliwość. Europa okresu międzywojennego składała się z krajów owładniętych nacjonalizmem; niektóre, napędzane chęcią odwetu i ekspansji, planowały nie tylko wojnę, ale także ludobójstwo; dotyczyło to zwłaszcza narodowego socjalizmu Hitlera.

W tym klimacie projekty integracji europejskiej nie miały żadnych szans. A działania instytucji powołanych, by promowały pokojową współpracę między narodami, począwszy od Ligi Narodów, utrudniała polityka państw inspirowana nieufnością i nacjonalizmem.

Jest to zasadnicza różnica między tym okresem a czasami po II wojnie światowej, kiedy nacjonalizmy w Europie, zmiażdżone przez upadek III Rzeszy i włoskiego faszyzmu, wydawały się pozbawione znaczenia, choć w różnym stopniu w różnych krajach.

Dopiero w ciągu ostatnich 20 lat odzyskały one dawną, silną jadowitość i znalazły nowych wyznawców. Ale przez około pół wieku instytucje odpowiedzialne za wdrażanie integracji europejskiej, począwszy od Wspól-

eprasa.pl bbdb7a80f8

nego Rynku, mogły działać w sprzyjających warunkach, a inicjatywy współpracy kulturalnej spotykały się z aprobatą większości.

To nie ciekawostki, to dzieła sztuki

XIX wiek nie uznawał otwarcie dziedzictwa europejskiego. To, co my za takowe uważamy, uchodziło za dziedzictwo wyłącznie narodowe. Najlepszym tego dowodem jest kontrowersja wokół stylu gotyckiego, dla nas wzorca stylu międzynarodowego, ale który Anglicy uważali za angielski, Francuzi za francuski, a Niemcy za kwintesencję niemieckości. Wprawdzie Anglicy dość szybko porzucili swoje roszczenia, ale Francuzi i Niemcy ścierali się o pierwotną narodowość gotyku przez cały XIX wiek do I wojny światowej włącznie.

Ówczesna mentalność nie znała innego dziedzictwa niż narodowe, jak nie znała innej niż narodowa kultury. Widać to w nacjonalizacji sztuki i zabytków, w poszukiwaniu „stylu narodowego" w powstającej sztuce, architekturze, malarstwie czy muzyce oraz w przypisywaniu narodowości zabytkom, choćby pochodziły z paleolitu.

Miewało to reperkusje pozytywne. To właśnie jako ucieleśnienie narodowości – a dla niektórych również religii, dla innych ludu - wytwory średniowieczne podniesiono z rangi ciekawostek do rangi dzieł sztuki, co stanowi najlepszy przykład przypisania wartości patrymonialnej obiektom, które początkowo jej nie posiadały.

Właśnie w ramach rywalizacji między narodami w jednym kraju po drugim mnożyła się liczba muzeów i wprowadzano ochronę zabytków, których liczba i różnorodność rosły w miarę, jak przestawały one być wyłącznie wytworami artystycznymi i stawały się naukowymi, technicznymi, legendarnymi, folklorystycznymi... W tychże ramach zaczęły kształtować się idee i kodyfikować umiejętności, zasady i procedury, które można było zastosować znacznie później w skali europejskiej lub globalnej.

Ale chociaż dziedzictwo europejskie nie zostało otwarcie uznane jako takie w XIX wieku, pozostało, bez nazywania go, obecne i czynne w edukacji i działaniach elit. Jakoż szkolnictwo średnie stawiało w centrum łacinę i grekę wraz z literaturą w tych językach oraz historię starożytnej Grecji i Rzymu, podczas gdy sztuka starożytna nadal miała dostarczać uniwersalnych wzorców piękna. Tak było we wszystkich krajach europejskich, które kształtowały przeto swe elity, korzystając z tej samej matrycy kulturowej, wpajając im te same odniesienia literackie i artystyczne oraz te same przykłady dobrego smaku.

Na innym poziomie systemy prawne różnych krajów były silnie przesiąknięte prawem rzymskim, podobnie jak prawo międzynarodowe wyłaniające się z prawa narodów. Wszystko to należało do wspólnego zasobu gromadzonego od dawna, od czasów wojen religijnych, kiedy rozdarte chrześcijaństwo znalazło w pogańskiej starożytności, której bogactwa humaniści od XIV wieku ponownie wydobyli na światło dzienne, teren pokojowo dzielony przez skłócone wyznania.

Umieszczony w centrum programów nauczania protestanckich gimnazjów i katolickich kolegiów Rzym – jego język, historia i literatura – umożliwił katolickim i protestanckim uczonym zjednoczenie się we wspólnym, świeckim kulcie, który dawał się uzgodnić, mimo okazjonalnych trudności, z wierzeniami chrześcijańskimi.

Wiek XVIII dodał do literatury pięknej sztuki piękne i uzupełnił Rzym o Grecję, przekształcając zarazem postawę kultową wobec Greków i Rzymian w antropocentryczną religijność praktykowaną zwłaszcza przez masonerię.

Prawo narodów, które kształtowało się jako przedłużenie tego systemu edukacyjnego, opartego na długotrwałym poddawaniu wychowawczemu wpływowi starożytnych, również czerpało z historii pogańskiej, uzupełnionej Starym Testamentem, aby wyprowadzić z precedensów tam znalezionych normy prawne, które miały regulować stosunki państw w czasach pokoju i w stanie wojny – normy, które nie zależały od dogmatów żadnego wyznania chrześcijańskiego, a zatem były do przyjęcia dla wszystkich i mogły służyć do uspokojenia inaczej nieuleczalnych konfliktów.

Pogańska starożytność, natura poprzedzająca objawienie, pozwoliła chrześcijańskim uczonym, rozdzielonym przez niedające się pogodzić odczytania objawienia, znaleźć wspólny język i razem należeć do wspólnoty kultury, *respublica litteraria*, Rzeczypospolitej Piśmiennictwa.

Nie tylko ona odgrywała tę rolę. Sekundowała jej natura przejawiająca się w tym, co widzialne, którą coraz częściej uważano nie za ciąg osobliwości, lecz za rządzoną przez niezmienne prawa, i przeto niepodatną na czas, oraz za domenę rozumu w przeciwieństwie do świata ludzi powodowanych namiętnościami. Odkrywana dzięki instrumentom obserwacyjnym i pomiarowym, które pozwalają wykraczać poza to, co widzialne, i odsłaniać regularności dzięki eksperymentom, taka natura może być opisana tylko w języku matematyki.

Z tego powodu matematyka stała się drugim wspólnym językiem Rzeczypospolitej Piśmiennictwa, czekając na zajęcie pierwszego miejsca po wyniesieniu nauk przyrodniczych, których najlepszym przykładem była wtedy mechanika niebieska, do godności szczytowego osiągnięcia intelektu ludzkiego.

Obok starożytniczej erudycji, którą ostatecznie miała zmarginalizować, i prawa, którego znaczenie nie przestawało rosnąć, nowa nauka stała się począwszy od XVII wieku istotną częścią europejskiego dziedzictwa i pozostaje nią do dziś.

Oprócz klasycznej edukacji i nowej nauki okres wojen religijnych, od lat 20. XVI wieku do traktatu w Utrechcie w 1713 r., wniósł do dziedzictwa Europy również inne składniki: mity i tematy, które podróżowały między językami i literaturami i niekiedy inspirowały artystów (Don Juan i Sganarelle [u Moliera], Faust, Don Kichot i Sancho Pansa, Robinson Crusoe, Guliwer), petrarkizm w poezji, teatr Szekspira, Lope de Vegi i Moliera, włoską operę, muzykę orkiestrową (oratorium, concerto grosso, symfonię), wzorcowe dzieła malarstwa i rzeźby pochodzące z Włoch i Holandii; ta lista może być znacznie dłuższa.

Przyniósł ze sobą również wspomniane już prawo narodów, które w znacznym stopniu przyczyniło się do przekształcenia skłóconych ludów w elementy systemu państw – „koncertu europejskiego". Rządzony przez równowagę sił i uznający wojnę i podbój za uprawnione narzędzia polityki był on jednak łagodzony przestrzeganiem norm uzgodnionych przez dyplomatów.

Wraz ze swoim wrogiem, kosmopolityzmem lub europeizmem, również nacjonalizm jest niestety częścią dziedzictwa kulturowego Europy

Wreszcie, okres, o którym mówimy, dostarczył jeszcze czegoś, bez czego wspólne dziedzictwo krajów o różnych językach, historiach i wyznaniach nie mogłoby być uznane za „europejskie".

Słowo „Europa", nie jako termin geograficzny, ale nazwa wspólnoty historii i wiary, pojawiło się jak meteor w epoce Karolingów, by natychmiast wyparować. Jego nowa kariera rozpoczęła się w XIV wieku, kiedy odkrycie pogańskiej starożytności jako takiej zrodziło potrzebę nazwania wyobrażeniowej zbiorowości złożonej ze starożytnych Rzymian i ich współczesnych naśladowców.

Ponieważ Rzymianie byli poganami, taką zbiorowość mogły jednoczyć jedynie *bonae litterae* i sztuki piękne, słowem – kultura. Literaci, którzy byli głęboko przekonani, że są częścią *christianitas* czy *Respublica Christiana* – dwie nazwy zbiorowości zintegrowanej na wiele sposobów przez Rzym – musieli zatem wymyślić inne terminy na określenie tej nowej zbiorowości, a zarazem wspólnoty kulturowej.

Jednym z nich była *respublica litteraria*, jak już widzieliśmy. Innym – „Europa". Odniesienie do wspólnoty kulturowej zostało w ten sposób nałożone na tradycyjne, antyczne użycie tego słowa jako nazwy kontynentu. W rezultacie, w przeciwieństwie do *respublica litteraria*, która jest nazwą idealnego bytu bez konkretnej lokalizacji, „Europa" oznacza określoną przestrzeń, choć jej wschodnia granica pozostaje kontrowersyjna. Dlatego nazwa ta może być używana w odniesieniu do grupy państw położonych na kontynencie o tej samej nazwie.

Jednak dopóki chrześcijaństwo łacińskie pozostawało zjednoczone wokół papiestwa, terminy *christianitas* i *Respublica Christiana* zachowywały swoją ważność i nie musiano ich zastępować przez „Europa". Straciły tę ważność po reformacji, kiedy protestanci i katolicy odmówili sobie nawzajem prawa do miana „chrześcijanin".

Obóz kontrreformacji zarezerwował termin „chrześcijaństwo" dla siebie. Protestanci przedstawiali się jako „zreformowani", to znaczy zreformowani chrześcijanie, ci, którzy powrócili do pierwotnej czystości swojej wiary.

We Francji, lojalnej wobec Kościoła rzymskiego, ale sprzymierzonej z protestantami, a nawet muzułmanami, słowo „Europa" zaczęło być coraz częściej używane do określenia wszystkich państw dawnego chrześcijaństwa łacińskiego, zjednoczonych nie przez religię, ale przez historię i kulturę, a w perspektywie przez prawo.

A kiedy po Chwalebnej Rewolucji wAnglii Francja Ludwika XIV podjęła pochodnię kontrreformacji i stanęła na czele chrześcijaństwa sprowadzonego do katolicyzmu, obóz Wilhelma Orańskiego odwołał się do Europy. W rezultacie wojny z końca XVII i początku XVIII wieku między koalicją zorganizowaną przez Francję a sojusznikami Anglii - następnie Wielkiej Brytanii - sprawiły, że „chrześcijaństwo" i „Europa" stanęły naprzeciw siebie. „Europa" zwyciężyła jako nazwa grupy narodów, które różniły się pod wieloma względami, ale były zjednoczone wspólną przeszłością i wspólną kulturą, i które musiały współistnieć na kontynencie o tej samej nazwie.

Tak oto powstał dwubiegunowy system zorganizowany wokół Europy po jednej stronie, a narodów po drugiej, wokół ideału przeciwstawionego rzeczywistości, kultury przeciwstawionej polityce, jak to, co ma jednoczyć, przeciwstawia się temu, co dzieli.

Ale te dwa bieguny nie pozostają w równowadze. Niekiedy dominują siły integrujące, jednoczące i europejskie. Tak było w długim XVIII wieku, od Chwalebnej Rewolucji w Anglii do rewolucji francuskiej, a w szczątkowej formie - do Wiosny Ludów. Miało to miejsce po raz drugi w ciągu 70 lat po II wojnie światowej.

Niekiedy przeciwnie, na pierwszy plan wysuwają się siły odśrodkowe, różnicujące, narodowościowe, a nawet nacjonalistyczne. Było tak wyraźnie między Wiosną Ludów a końcem II wojny światowej, z nasileniem między dwiema wojnami światowymi, jeśli nie od lat 70. XIX wieku.

Były też okresy, w których te dwa bieguny zdawały się wzajemnie równoważyć. Widzimy to wyraźnie między rewolucją francuską a latami 30. XIX wieku, kiedy to tendencje europeistyczne pozornie utrzymywały przewagę, ale

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34414015

W sprzedaży!



SPONSOR WYDANIA
MÖLLER'S OMEGA-3

TEMAT NUMERU:

JAK SIĘ DOGADAĆ Z DORASTAJĄCYM DZIECKIEM

oraz:
- Agresja nastolatka. Co za nią stoi
- Matki z ADHD
- Orzeczenia i opinie. Sprawdź, co należy się w szkole
- Fakty i mity o diecie dziecka

żyć lepiej psychologia codziennie
Więcej o psychologii czytaj na wysokieobcasy.pl/zyclepiej

2 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

w rzeczywistości powoli traciły grunt pod nogami na rzecz nacjonalizmu. Być może zaczynamy przeżywać coś podobnego.

Tak mówi Kościół

Co pozwoliło temu dwubiegunowemu systemowi utrzymać się i odtworzyć nawet po niezwykle gwałtownych konfliktach I, a przede wszystkim II wojny światowej? Co sprawiło, że integracja europejska pozostała na horyzoncie jako cel i zmobilizowała siły zdecydowane wcielić ją w życie, nawet za cenę konfrontacji z tymi, które działały w przeciwnym kierunku, i zneutralizowania ich? Co pozwoliło tendencjom integracyjnym, w ich irenicznych [pokojowych] lub politycznych formach, przetrwać jeszcze przed zaistnieniem bieguna europejskiego wśród ruin chrześcijaństwa łacińskiego pustoszonego przez wojny religijne i rozdartego w sposób na pozór niemożliwy do pogodzenia między obóz kontrreformacji a obóz protestantyzmu, podzielony z kolei na wielość wyznań?

Aby zrozumieć tę enigmatyczną sytuację, musimy zejść do najgłębszej warstwy tego, co jest dla nas europejskim dziedzictwem kulturowym, ale co, jak widzieliśmy, stało się nim stosunkowo niedawno.

Początkowo kształtowana przez wspólną religię, chrześcijaństwo w jego katolickiej, rzymskiej i łacińskiej odmianie, i stopniowo zeświecczana od XIV wieku, warstwa ta powstawała ponad tysiąc lat, jeśli za datę początkową przyjmiemy uznanie chrześcijaństwa za oficjalną religię Cesarstwa Rzymskiego, a za datę końcową wybuch reformacji.

W ciągu tego długiego okresu nawarstwiały się budynki i przedmioty, ale przede wszystkim sposoby zachowywania się wobec siebie i innych, życia, odczuwania, myślenia i wyobrażania sobie natury, przeszłości i przyszłości, widzialnego i niewidzialnego.

Kościół, ze swoim aparatem i liturgią – wszędzie taką samą, choć z lokalnymi różnicami – narzucił wszystkim swoim wiernym, od jednego krańca kontynentu po drugi, te same wierzenia w rzeczywistość transcendentną i ten sam podział życia jednostkowego na etapy znaczone sakramentami.

Narzucił również tę samą organizację czasu: czas długi, od początku świata, i czas krótki - rok, miesiąc, tydzień. I tę samą organizację przestrzeni podzielonej na parafie i diecezje ze wspólną stolicą, Rzymem, i duchowym centrum, Jerozolimą; te same zakazy seksualne i dietetyczne, często egzekwowane siłą; tę samą hierarchię społeczną, z uprzywilejowanym miejscem kleru na czele z biskupem Rzymu; łacinę jako wspólny język elit duchownych, a wraz z nią literaturę rzymską od Wergiliusza do św. Augustyna; modele sztuki zapożyczone wpierw z późnej starożytności, a później z cesarskiego, a nawet republikańskiego Rzymu; Księgę, Księgę par excellence, czyli Stary i NowyTestament, nieodłączny od decyzji soborów, pism patrystycznych i komentarzy uznanych teologów.

Kościół był również organizatorem systemu edukacyjnego, który w swej w pełni rozwiniętej formie sięgał od szkół parafialnych po uniwersytety i stosował na wszystkich poziomach programy nauczania, które były jeśli nie identyczne, to przynajmniej zgodne ze sobą - i promotorem systemu prawnego opartego na prawie rzymskim.

Wspomagany przez władze świeckie, którym oferował swoje wsparcie pod warunkiem zapewnienia mu w zamian uprzywilejowanej pozycji, Kościół przekształcił, za pomocą wszystkich tych środków, mnogość różnorodnych plemion w zespół narodów zjednoczonych tą samą wiarą i tym samym systemem instytucji.

To również Kościół, przez kazania, rytuały, święta, pielgrzymki, ceremonie i przymus, niestrudzenie wpajał przez wieki, pokolenie po pokoleniu, poczucie uczestnictwa w całości większej niż jakakolwiek lokalna społeczność – całości, której nadawał postać widzialną, w *christianitas*, w *Respublica Christiana*, uważanej za obejmującą wirtualnie wszystkie ludy Ziemi, nim jeszcze nawrócą się na prawdziwą wiarę.

Poczucie przynależności, które współistniało, nie bez konfliktów, z lojalnością wobec plemienia, później wobec grupy poddanych jednego władcy, a następnie wobec narodu, zostało osłabione lub nawet całkowicie wytarte podczas wojen religijnych. Zawsze znajdowało jednak wpływowych rzeczników, a pustkę, którą pozostawiło, wypełniło ostatecznie poczucie przynależności do Europy rozprzestrzenione i zakorzenione wraz z drugą warstwą europejskiego dziedzictwa.

Mówiliśmy już o tym bardzo obszernie. Tu wystarczy jeszcze raz podkreślić, że w przeciwieństwie do warstwy średniowiecznej integrowała ona nie przez narzucenie wspólnej religii, ale przez nałożenie tego samego prawa na różnorodność państw i tej samej kultury na różnorodność kultur narodowych.

Europa została zbudowana na fundamencie założonym przez chrześcijaństwo, ale jako byt świecki, wspólnota kultury i prawa, w której religię, teraz czynnik dzielący, regulowała w każdym kraju władza państwowa w założeniu neutralna wobec wierzeń. Właśnie o taką Europę można się było obawiać, że utonie ostatecznie w wirze dwóch wojen światowych.

Byle nie konflikt ani wojna

Przetrwała jednak, a ocaleni z katastrofy podjęli działania, by tchnąć w nią nowe życie i nadać jej nowy kształt. Jak widzieliśmy na początku tego wywodu, wspólne dziedzictwo kulturowe zapewniło im istotne wsparcie w tej pracy. Ale integracja Europy przybrała teraz inny obrót niż te, które ją poprzedzały.

Zwróciła się nie do elit, ale do mas, skupiła nie na tym, co odświętne, ale na tym, co codzienne: na gospodarce i regulacjach prawnych niezbędnych do funkcjonowania wspólnego rynku. Europę zrodzoną z traktatu rzymskiego i rozszerzenia z 2004 r. ucieleśnia teraz Unia Europejska i jej instytucje, w których zasada międzypaństwowa współistnieje, nie bez trudności, z zasadą ponadnarodową.

Taką Europę chcą zniszczyć nacjonaliści w imię powrotu do Europy państw suwerennych. Powrotu, który, jak twierdzą, można osiągnąć pokojowo i który przyniesie korzyści wszystkim Europejczykom. Nic bardziej fałszywego.

Doświadczenie historyczne pokazało już dwukrotnie, że rozpad formy, jaką w danym czasie przybrała jedność, jeśli nie całego kontynentu, to przynajmniej jego zachodniej części, szybko doprowadza do konfliktu i wojny, w wyniku czego rozpętuje się barbarzyństwo.

Tak było po rozpadzie chrześcijaństwa. Podobnie było z rozpadem Europy kultury. Nie ma powodu przypuszczać, że następnym razem będzie inaczej.

Wraz z przyszłością Unii Europejskiej znak zapytania zawisł nad przyszłością Europy. Na wyzwanie, przed którym stoją jej obrońcy, nie można odpowiedzieć tylko przedstawieniem racjonalnych argumentów przeciwstawiających zalety Unii katastrofie, którą spowodowałoby jej zniknięcie.

Znane od dawna te argumenty są nadal aktualne. Ale nie przemawiają one do umysłów opętanych negatywnymi emocjami wzbudzanymi i podtrzymywanymi przez nacjonalizm, jak okazało się ostatnio w Anglii. Jeśli mamy im skutecznie przeciwdziałać, musimy zatem przeciwstawić im nie tylko racjonalne argumenty, ale także silne pozytywne emocje – silniejsze, jeśli to możliwe, niż te, które zdołały zmobilizować one.

Musimy przeciwstawić im nie namiastkę patriotyzmu europejskiego reprezentowaną przez tzw. patriotyzm konstytucyjny, ale prawdziwy patriotyzm europejski oparty na solidnej więzi emocjonalnej z Europą jako wspólnym dziedzictwem, a zatem wspólną przyszłością, przy uznaniu całej jej przeszłości, wspaniałej i okropnej, i w przekonaniu, że reprezentuje ona wartości, które zasługują na krzewienie i obronę. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Serhij Żadan*

Teraz ja będę twoimi oczyma

Z wypalonymi oczyma i tkwiącym w ramieniu żelastwem,
żeby żyć dalej, potrzebna jest ważna przyczyna.
A ona mówi do niego, patrząc w oczodoły wygasłe:
nie martw się – teraz ja będę twoimi oczyma.

Zawsze będę mogła udzielić ci jakiejś porady.
Będę opowiadać, jaka właśnie jest aura.
Za bardzo cię kocham, żeby nie mówić prawdy.
Twoja niechęć do życia to po prostu pogarda.

A on czuje, że w jego ciele jest za dużo złomu,
A on wie, jak po kres mroczne będzie jego życie kaleki.
A on słyszy głosy tych, którzy wychodzą z peronu.
A on znajduje łzę, dotykając martwej powieki.

I mówi: to powiedz mi, czego nie widzę? Śmiało!
Z czego teraz się składa niebo ponad nami?
Powiedz, jak przekonasz moją duszę ociemniałą?
Powiedz, jak dogadasz się z moimi snami?

Nie widzisz – mówi ona – jak nam brak szczęścia doskwiera,
jak poranne tramwaje uparcie wydeptują ścieżki,
nie widzisz, jak ci, których widziałeś, postarzeli się teraz,
i jak zapominają o tych, których już odeszli.

Będę mogła – mówi ona – być jak wydech lekka,
być jak zwierzę, które nikomu nie wyrządzi krzywdy.
Jedyne, czego nie zdołam –
to sprawić, byś zapomniał o swoich poległych kolegach,
by nie śnili ci się ci, którzy nie przyjdą nigdy.

...I nawet jeśli ta zima będzie trwała latami,
nawet jeśli świat będzie cierpiał z każdym wdechem –
bądź jego oddechem i jego rękami,
bądź jego głosem, bądź jego śmiechem.

Masz teraz widzieć za tych, którzy są niewidomi,
Masz teraz kochać za tych, w których się miłość nie budzi,
Tej zimy nawet drzewa stoją nieruchome,
jakby też się zmęczyły, one też, jak ludzie.

Bądź przedłużeniem jego palców poobijanych,
bądź zakończeniem jego zawiłych sformułowań.
O poranku zimowe niebo nad wami
składa się z dowodów i negowań.

przeł. Zbigniew Dmitroca



***Serhij Żadan** - ur. w 1974 r., ukraiński poeta, pisarz i muzyk, m.in. członek zespołu Sobaki. Mieszka w Charkowie, gdzie od początku wojny wspiera walczące na froncie oddziały ukraińskie, zbierając dla nich sprzęt, organizuje także transporty leków czy żywności dla ludności cywilnej. Autor m.in. „Woroszyłowgradu", „Mezopotamii", „Internatu", „Anarchy in the UKR".
Laureat Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus", Człowiek Roku 2022 „Wyborczej".

eprasa.pl bbdb7a80f8

ALE HISTORIA

Pierwszy raz zobaczył ją na przyjęciu w ambasadzie w Londynie. On ją zapamiętał, ona jego nie.

Z **WERONIKĄ KOSTYRKO** ROZMAWIA **WALDEMAR KUMÓR**

Pola, TANIEC, ZAGŁADA *i Jan*



• Pola Nireńska podczas tańca „Krzyk", za który przyznano jej drugą nagrodę w Międzynarodowym Konkursie Artystycznego Tańca Solowego, który odbył się w Warszawie w 1933 roku

FOT. AUTOR NIEZNANY, ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

eprasa.pl bbdb7a80f8

WALDEMAR KUMÓR: Czy w ciągu siedmiu lat, które minęły od pierwszego wydania „Tancerki i Zagłady”, dowiedziałaś się czegoś nowego o Poli Nireńskiej?
WERONIKA KOSTYRKO: Wreszcie zobaczyłam, jak ona tańczyła! Bo miałam problem: piszę o tancerce i nie widziałam, jak tańczy. Mogłam to sobie tylko wyobrażać na podstawie recenzji i zdjęć. Jakieś echo znajdowałam w opowieściach jej żyjących uczennic – bo one, mówiąc o Poli, spontanicznie pokazywały jej ruch, choćby jeden gest, charakterystyczny układ rąk.

Gdy już się ukazała książka, dowiedziałam się, że zachował się zapis tańca Poli. Jest na internetowej stronie Imperial War Museum w Londynie.

To film propagandowy nakręcony w czasie II wojny z udziałem chóru polskiej armii w Wielkiej Brytanii. Żołnierze w mundurach śpiewają polskie pieśni, ludowe i wojskowe. Do jednej z tych pieśni tańczy Pola i promiennie uśmiecha się do kamery. Tańczy specyficznie; niby to taniec ludowy, ale ruch rąk jest nowoczesny, ekspresyjny. Pola wyłania z ciemności, tańczy, potem niknie w mroku. Przejmujący widok.

Jest w tym obrazie jakieś pęknięcie... Niby to polski taniec ludowy, ale nie wiemy, czy ona się uważała jeszcze wtedy za Polkę? Może raczej za Żydówkę? A może czuła się już Angielką, bo spędziła w Londynie wiele lat? Jej tożsamość jest zmienna, migotliwa. Wydaje mi się, że po wojnie ona została Amerykanką, a przez całe życie była przede wszystkim artystką.

A dowiedziałaś się czegoś nowego o France, jej młodszej siostrze?
– Nigdy jej nie przestałam szukać, bo Franka Szwarcwald, o której niemal nic nie wiemy, jest paradoksalnie centralną postacią tej opowieści. Bez Franki nie zrozumiemy Poli. Wiadomo tylko, że zginęła w getcie warszawskim. Nie wiemy, jak i kiedy. Może w 1941, może w 1942 roku?

Jan Karski w jednym z wywiadów opowiadał, że to była ukochana siostra Poli. Bardzo piękna. Przed wojną miała tłumy adoratorów, także wśród Polaków. Wielu chciało się z nią spotykać, bywać, romansować.

W czasie wojny Franka uciekła z getta. To było dość łatwe, trudniej, znacznie trudniej było ukryć się po aryjskiej stronie. Według Karskiego zwróciła się o pomoc do Polaka, adoratora, który przed wojną chciał się z nią ożenić. Odmówił. Ze strachu? Może z innego powodu? Nie wiemy. Obiecał tylko, że gdzieś pod schodami w kamienicy będzie jej zostawiał jedzenie. Franka wróciła do getta i tam zginęła.

Pola wojnę przeżyła w Londynie. Po wojnie odwiedziła w Izraelu przyjaciółkę, która jej opowiedziała losy Franki. Nireńska była w szoku, od tamtej pory przestała mówić po polsku. Nawet ze swoim mężem Janem Karskim się umówili, że nie będą rozmawiali o przeszłości. I że będą rozmawiali tylko po angielsku.

Wiedziałaś o tym, gdy zaczęłaś pisać?
– Wiedziałam tylko, że wkraczam na teren pogmatwanej i skomplikowanej relacji Polaków i Żydów. Miałam świadomość, że Karski to jest wzór Polaka-bohatera, symbol szlachetnej postawy pomagania Żydom. Takimi chcieliśmy się widzieć. O Poli, jego żonie, której niemal cała rodzina zginęła w Zagładzie, nie wiedzieliśmy prawie nic. Tylko tyle, że była tancerką i że popełniła samobójstwo.

Pola nie zapomniała, że nacjonalistyczna prasa przed wojną, recenzując jej występy, pisała: „Żydówka nie będzie nas uczyła i pokazywała, jak się wykonuje polskie tańce”?
– Wydaje mi się, że występy w polskich strojach ludowych to była raczej konieczność. Pola była bowiem tancerką awangardową – wtedy to się nazywało taniec wyrazisty, taki ekspresjonizm taneczny. Nauczyła się tego w szkole w Dreźnie, w Niemczech. To taniec, który był najbliższy jej ekspresji artystycznej. Ale w czasie wojny znalazła się w Anglii i tam po prostu, żeby się utrzymać, często tańczyła polskie tańce ludowe, głównie dla polskich żołnierzy.

Nie wiadomo, jakie tak naprawdę miała poglądy polityczne.
– Pod koniec życia w USA głosowała na Demokratów, a Karski na Republikanów. Nie była zaangażowana politycznie, ale poglądy miała na pewno liberalne. Była nieheteronormatywna, nie wiem, czy homoseksualna czy biseksualna. Wiem, że się wiązała i z kobietami, i z mężczyznami. Żyła w środowisku artystycznym, a ono było i jest otwarte, tolerancyjne.



Tancerka i Zagłada. Historia Poli Nireńskiej

Weronika Kostyrko

Marginesy 2026

Bardzo szybko opuściła Polskę, dom w Warszawie.
– Ona uciekła, bo najbardziej na świecie chciała tańczyć.

Ojciec i matka wiedzieli, zgodzili się?
– Prawda jest taka, że ona musiała to pozwolenie wywalczyć. Całymi dniami nie odzywała się do rodziców, zamykała w pokoju, urządziła nawet strajk głodowy. Pochodziła ze spolonizowanej, żydowskiej rodziny kupieckiej, dość zamożnej – ojciec produkował krawaty. Nie byli religijni, ale byli konserwatywni, mieszczańscy. Krzywo patrzyli na zainteresowania artystyczne córki.

Ona w kuchni sadzała na taborecie młodszą Frankę i kazała się podziwiać.
– Tańczyła do muzyki z patefonu. Potem znalazła w Warszawie szkołę tańca nowoczesnego, uczyła się w tajemnicy przed rodzicami i lekcje sama opłacała. Kiedy matka odkryła w jej torbie tunikę do tańca i wszystko wyszło na jaw, Pola zagroziła, że jeżeli rodzice zabronią nauki, to ona wyskoczy przez okno. Ustąpili. Po paru latach zgodzili się na jej wyjazd do Drezna, do najważniejszej wtedy szkoły tańca nowoczesnego, którą prowadziła słynna w Europie i Ameryce Mary Wigman.

Tak po prostu się zgodzili?
– Pola znów zamknęła się w pokoju. Oświadczyła rodzicom, że na opłacenie szkoły przeznaczy swój posag. Po trzech dniach głodówki ojciec wsunął przez drzwi jej paszport. Miała siedemnaście i pół roku. Nie znała słowa po niemiecku.

Była wybitną uczennicą?
– Na początku nie, bo nie rozumiała poleceń. Ale szkołę skończyła z wyróżnieniem, miała ogromny talent, nawet większy muzyczny niż taneczny. Ostatecznie wielkiej kariery nie zrobiła, bo przez całą młodość przenosiła się z kraju do kraju, w Europie zagarnianej przez faszyzm. W hitlerowskich Niemczech, w Austrii i we Włoszech była przecież potrójnie dyskryminowana: jako kobieta, lesbijka i Żydówka.

Jej mistrzyni Mary Wigman stała się wyznawczynią nazizmu.
– Wigman była szalenie nowatorską, wręcz rewolucyjną tancerką. Ale gdy Hitler doszedł do władzy, to ona się całkowicie podporządkowała dyrektywom Goebbelsa, które były kompletnie sprzeczne z jej poglądami na taniec i na sztukę.

Zrobiła tak, żeby przeżyć? Dlatego że się bała, bo była homoseksualna? Prawdopodobnie była pierwszą wielką miłością Poli?
– Prawdopodobnie. Wynika to z listów Mary do Poli, które znalazłam w Nowym Jorku. Czy się bała? Na pewno chciała, by przetrwała szkoła. Z drugiej strony ona była strasznie ambitna i lubiła być w centrum uwagi. A III Rzesza jej to zapewniła, gdy podporządkowała się nazistowskim wytycznym wobec tańca. Mary Wigman przygotowała choreografię na otwarcie olimpiady w Berlinie i solowo tańczyła przed Hitlerem. Była najważniejszą tancerką III Rzeszy.

Wojnę przeżyła i jeszcze długo uczyła tańca w Berlinie.
– Ciążyło na niej odium współpracy z nazistami. Ale Pola Nireńska nigdy jej nie potępiła, wciąż z nią korespondowała. Nireńska skończyła jej szkołę przed dojściem Hitlera do władzy i wróciła do Polski na rok. Potem odbyła roczne tournée z Mary Wigman i jej grupą w Stanach Zjednoczonych.

Odwiedziła ją nawet w czasach nazistowskich. Widziała, że na szkole wisi flaga ze swastyką, a na kąpielisku w pobliżu mogła zobaczyć tablicę: „Żydom wstęp wzbroniony”. Wiedziała, że program szkoły się zmienił, że nie ma już uczennic Żydówek. Była świadoma faszyzacji szkoły i uległości Wigman wobec nazistów. A jednak po wojnie przysyłała swojej mistrzyni paczki z Londynu, chociaż sama nie miała lekko.

W latach 80. w Nowym Jorku odbywała się konferencja naukowa na temat tańca. Kiedy ktoś głośno powiedział o zaangażowaniu Mary Wigman w nazizm, Nireńska wstała i powiedziała, że to nieprawda.

Dlaczego?
– Myślę, że chciała w to wierzyć, bo Mary Wigman nauczyła ją kochać i tańczyć. Podobnie tłumaczyła swoją więź z Martinem Heideggerem długo po wojnie Hannah Arendt – że on nauczył ją myśleć i kochać. To były dla niej dwie najważniejsze w życiu rzeczy.

Czy Nireńska w latach 50. wiedziała, kim jest Jan Karski?
– Najpierw zobaczyli się w ambasadzie polskiej w Londynie w 1936 roku, 23-letni Jan był tam na stażu, a 27-letnią Polę ambasador poprosił, by zatańczyła na przyjęciu. On ją zapamiętał, ona jego nie. Jan później opowiadał, że nie śmiał podejść do tak wybitnej artystki. Odważył się dopiero w latach 50., kiedy w Waszyngtonie zobaczył zapowiedź jej występu. Poszedł, a potem listownie zaprosił na kolację.

Pola nie wiedziała wtedy o jego wojennej misji ratowania Żydów. Karski był dla niej wykładowcą wiedzy o komunizmie na katolickim uniwersytecie Georgetown. Oboje nie chcieli mówić o wojnie.

Wiedział, że ona jest Żydówką?
– Tak, to wiedział. Bo występ miał się odbyć w reformowanej synagodze.

W książce zwróciłaś na to uwagę, że oni przez pięć lat mieszkali razem, choć nie wzięli formalnie ślubu. Czy to miało związek z jego katolicyzmem? A może z uprzedzeniami jego starszego brata Mariana Kozielewskiego?
– Tak mi się wydaje. Ten brat był niesłychanie wymagający, raczej autorytarny. Był legionistą zaprzyjaźnionym z Piłsudskim, bardzo pomagał w życiu młodszemu rodzeństwu, wspierał w karierze zawodowej. A możliwości miał duże, bo przed wojną kierował policją najpierw we Lwowie, potem w Warszawie. Przez jakiś czas był także współpracującym z podziemiem szefem granatowej policji. Trudno określić jego stosunek do Żydów, ale jest faktem, że Karski formalnie ożenił się z Polą dopiero po śmierci brata.

Jan Karski w tygodniu wykładał na uniwersytecie, a w weekendy remontował i malował mieszkania.
– Robił to po to, by pomagać finansowo Marianowi, który pod koniec życia został nocnym stróżem w nowojorskiej galerii sztuki. Był tak sfrustrowany życiem na emigracji, że w połowie lat 60. popełnił samobójstwo.

Jana Karskiego odkrył dla świata dopiero Claude Lanzmann, gdy kręcił w latach 80. słynny film dokumentalny „Shoah”. Zdaje się, że w czasie kręcenia rozmów z Karskim Pola ostentacyjnie wychodziła z domu.
– Ona nie chciała mieć z przeszłością nic wspólnego, nigdy po wojnie nie pojechała do Polski. Ale po sukcesie tego filmu, chcąc nie chcąc, została wciągnięta w świat Jana – zaczęła mu towarzyszyć w konferencjach naukowych, podróżować do Izraela. Wróciła do niej pamięć o utracie rodziny. Pod koniec lat 80. stworzyła choreografię do monumentalnego czteroczęściowego przedstawienia o Zagładzie. W czasie tworzenia ostatniej części spektaklu – sceny deportacji do obozu – przeżyła załamanie nerwowe. Opowiedziała mi o tym artystka, która tańczyła w spektaklu główną rolę. Pola w trakcie pracy oglądała albumy o Zagładzie. Myślę, że to było jednym z powodów tego, że Pola podjęła decyzję o samobójstwie.

Żeby wyskoczyć z balkonu, kupiła sobie stołeczek...
– Bo ona była bardzo drobna, miała niewiele ponad 150 cm wzrostu. Stołeczek kupiła dzień przed tym, jak wyskoczyła z 11. piętra. Wykorzystała moment, kiedy Jan wyszedł na chwilę, by kupić papierosy.

Wiedział o jej depresji?
– Musiał wiedzieć, bo ona w trakcie małżeństwa kilkakrotnie podejmowała próby samobójcze, była też hospitalizowana. Jan wiedział też o jej związkach z kobietami.

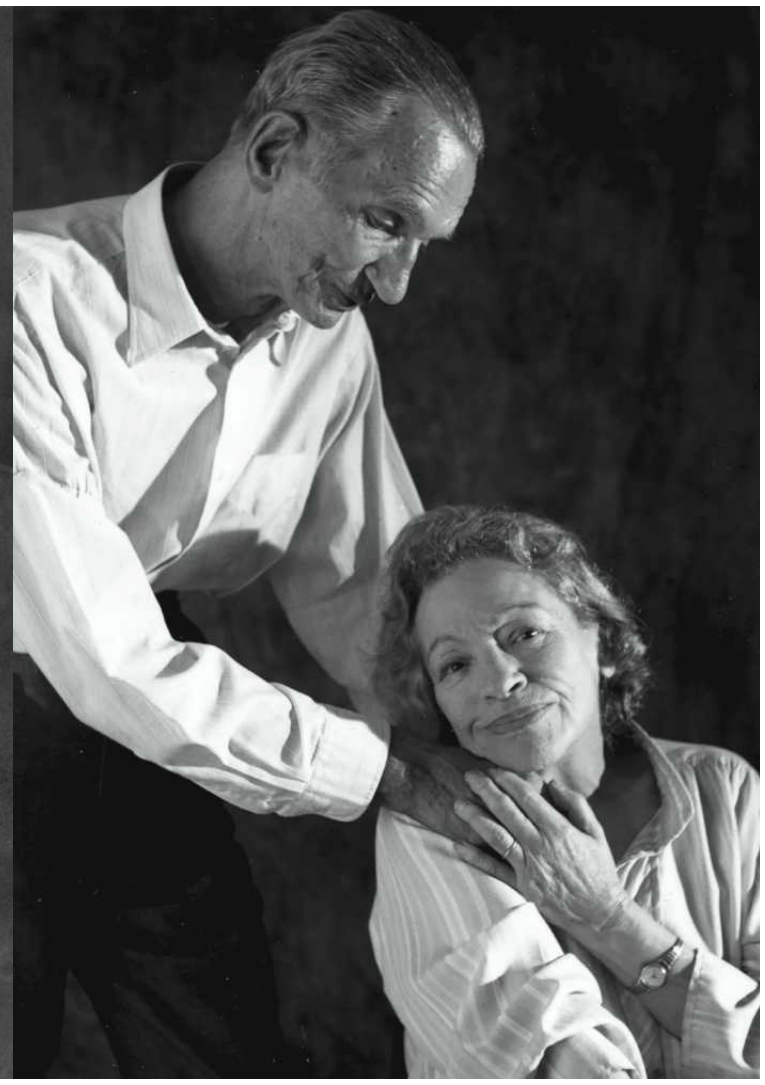
Miałaś wątpliwości, czy pisać o jej orientacji seksualnej?
– Miałam świadomość, że nikt przede mną nie napisał po polsku otwarcie lesbijskiej książki bio-

Weronika Kostyrko

• wieloletnia dziennikarka „Gazety Wyborczej” (od 1991 roku), pierwsza naczelna „Wysokich Obcasów” (1999-2005); w latach 2012-16 kierowała serwisem Culture.pl; jest także autorką książki „Róża Luksemburg. Domem moim jest cały świat” (2024).

eprasa.pl bbdb7a80f8





• **Paula Nireńska podczas tańca, prawdopodobnie w 1934 roku, oraz z Janem Karskim w ostatnich latach życia**

FOT. ZYGMUNT SZAJER, ZBIORY NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO; ARCHIWUM PRYWATNE RAY SCHANDELMEIER

Nacjonalistyczna prasa przed wojną, recenzując jej występy, pisała: „Żydówka nie będzie nas uczyła i pokazywała, jak się wykonuje polskie tańce”

graficznej. Ale nie da się napisać biografii osoby nieheteronormatywnej, która żyła w czasach systemowej dyskryminacji homoseksualizmu, przemilczając ten fakt. To przecież musiało determinować mnóstwo życiowych wyborów.

Zaczynając pracę nad książką, nie miałam pojęcia o tej sferze jej życia, bo ona ją ukrywała. Także Jan Karski po jej samobójczej śmierci starannie pozacierał ślady, selekcjonując i czyszcząc papiery Poli oddane do biblioteki Kongresu. Ja jednak w kilku zagranicznych archiwach znalazłam jej namiętne listy do sławnych artystek, z którymi romansowała. O tym, że Karski o tym wiedział, powiedział mi ostatecznie ich waszyngtoński przyjaciel George Jackson.

Jan – powtarzam – bardzo kochał Polę, ale nie do końca chyba rozumiał. Oni mieli zupełnie różne charaktery. Ona była bardzo spontaniczna, emocjonalna i bezpośrednia. On był urodzonym dyplomatą, dyskretnym, zamkniętym w sobie, powściągliwym.

Wiele razy w ich wspólnym życiu były takie momenty, że on chciał dla niej dobrze, ale decyzje, które podejmował, obracały się przeciwko niej. Pierwszą taką decyzją było to, kiedy po ślubie ją poprosił, żeby zamknęła swoją szkołę taneczną, żeby odpoczęła, „a on będzie mieć żonę”. Wtedy zaczęły się jej depresja, próby samobójcze, hospitalizacje. Pomógł dopiero powrót do tańca po 10 latach. Jedna z jej uczennic tłumaczyła mi: jak ktoś wiele przemilcza, próbuje wymazać, to potrzebuje innego języka, w którym może się komunikować. Dla Poli takim naturalnym językiem był taniec.

Karski tego nie czuł?
– Chciał dla niej dobrze – jak to ujął jeden z przyjaciół – na swój konserwatywny, republikański sposób. Kilka miesięcy przed śmiercią namówił ją, by sprzedali dom z ogrodem, oddali psa i kota i przeprowadzili się do wieżowca w Waszyngtonie. Dla wygody – oboje byli już mocno starszymi ludźmi. Do sklepu wystarczy zjechać windą na parter, a nie jeździć autem. Faktycznie życie stało się łatwiejsze, ale ona się tam nigdy nie poczuła u siebie. Nawet nie rozpakowała swoich ukochanych książek. Myślę, że w wielu momentach oni się mijali, chociaż byli ze sobą bardzo mocno związani.

Dopiero po przeczytaniu twojej książki zrozumiałem tak naprawdę, dlaczego Karski w filmie Lanzmanna nie mógł powstrzymać łez.
– Zdaje się, że my wszyscy tego nie rozumieliśmy. Karski o swoim przedwojennym życiu mówił Maciejowi Wierzyńskiemu: „Byłem młody, ambitny i bardzo, bardzo głupi”, ale nikt nie dopytał, o co tak naprawdę chodzi. Jestem pewna, że by opowiedział, bo wszyscy, którzy poznali go bliżej, są zgodni, że był prawdomównym i szlachetnym człowiekiem.

O Janie Karskim powstało kilka książek biograficznych, ale nikt przede mną nie sprawdził, na czym polegała jego praca w przedwojennym MSZ. A ja w Archiwum Akt Nowych znalazłam dokument z 1939 roku podpisany przez Jana Kozielewskiego – on tak się naprawdę nazywał, Karski to był wojenny pseudonim. Otóż pod koniec lat 30. w MSZ około 20 osób pracowało pod kierownictwem dyrektora Wiktora Drymmera nad planem przymusowej emigracji Żydów na Madagaskar. Minister Józef Beck rozmawiał z Francuzami, by w tym celu udostępnili swoją kolonię. Kiedy Francuzi się wycofali, młody Kozielewski zaproponował: weźmy Mozambik. Bo Jan był członkiem tego niewielkiego zespołu.

Kolonia Portugalii. Łatwiej przekonać Portugalczyków niż Francję, bo przecież Polska ma ambicje i jest mocarstwem w przeciwieństwie do Portugalii?
– Tak, mocarstwowe mrzonki. Nic z tego nie wyszło, był już rok 1939, wojna za pasem. Ciekawe, że polskim projektem „Żydzi na Madagaskar” zainteresowali się potem Niemcy. Gdy w 1940 zajęli Paryż, szukali dokumentów na ten temat w archiwach francuskich.

Karski był wtedy bardzo młodym człowiekiem. W rozmowie z Maciejem Wierzyńskim kilkakrotnie powtarza, że bardzo nie chciał zawieść brata, który przyjaźnił się z Drymmerem i osobiście pilotował jego karierę dyplomatyczną. Myślę, że potem się tego bardzo wstydził.

We wrześniu 1939 roku przyszło otrzeźwienie. Karski zobaczył na własne oczy, jak „mocarstwo” łatwo straciło niepodległość. Był wstrząśnięty klęską.
– Dziwi mnie, że ten opisany przeze mnie fragment życia Karskiego w przedwojennym MSZ przez siedem lat nie przebił się do szerokiej publiczności. Dalej się pisze i mówi tak, jakby ten rozdział w jego życiu nie istniał. A przecież chodzi nie o żadne potępianie, ale o to, by pokazać, że ten szlachetny, odważny człowiek w młodości też błądził. Dzięki temu jest prawdziwy, ludzki, a nie tylko pomnikowy. Jestem pewna, że gdy zrozumiał swój błąd, tym bardziej zaangażował się w ratowanie Żydów.

Przestał być „ambitny i bardzo głupi”...
–...a stał się odważny i zdeterminowany, by świat się dowiedział o zagładzie Żydów. Sądzę, że dlatego ożenił się z Żydówką – tak mi powiedziała bliska znajoma Karskiego Kaja Mirecka-Ploss. Chciał otoczyć Polę opieką, bo nosił w sobie kompleks, że „nie udało mu się uratować ani jednego Żyda”. Mimo że ze swoją relacją z warszawskiego getta i deportacji do obozów zagłady dotarł aż do prezydenta Roosevelta. Żydzi amerykańscy też mu nie dowierzali. Uznali, że jego relacja jest nieprawdopodobna.

Jest przed Muzeum „Polin” w Warszawie ławeczka, na której siedzi Jan Karski. Odkąd poznałem historię Poli, myślę, że powinna usiąść obok niego. Symbolicznie.
– To byłoby piękne! Nie pomyślałam o tym...

Nie jest za późno, by tak uczcić Polę Nireńską.
– Nie wiem, czy to byłoby możliwie. Historia tego małżeństwa, które z ważnych powodów nie mówiło po polsku, nie jest pomnikowa. Za trudna.

A wiesz, że na tej ławeczce w Krakowie obok Karskiego usiadł z rodziną kuzyn Poli? Odnalazłam go w Izraelu. Szukałam tam jej prywatnej korespondencji. Bo Karski po śmierci żony oddał do Biblioteki Kongresu 30 pudeł z jej papierami, ale tam w ogóle nie było korespondencji rodzinnej, tam była tylko dokumentacja jej kariery tanecznej. A ja wiedziałam, że rodzice i brat Poli przeżyli wojnę w Palestynie. Pola z nimi korespondowała, także w czasie wojny, bo mieszkała w Londynie, a Palestyna była pod protektoratem Brytyjczyków.

Szukałam potomków tej rodziny na wiele sposobów, bez skutku. Wreszcie udało mi się przy pomocy izraelskiego detektywa znaleźć dwóch synów kuzyna Poli. Dobrze trafiłam, bo oni byli bardzo zainteresowani swoją rodzinną historią. Ale mało wiedzieli, prawie nic, bo ich ojciec milczał, gdy go pytano o Polskę i wojnę. Płakał i milczał.

Oni dopiero ode mnie się dowiedzieli, że ich kuzynka była żoną słynnego Jana Karskiego z filmu Lanzmanna. Po naszym spotkaniu w Izraelu jeden z tych kuzynów z żoną i wnukiem po raz pierwszy w życiu przyjechał do Polski. Spacerowaliśmy razem po Krakowie, kiedy oni na Kazimierzu natknęli się na ławeczkę Karskiego – ja nie wiedziałam wtedy nawet o jej istnieniu. Usiedli z wnukiem obok Karskiego, a ja zrobiłam im wspólne zdjęcie. Byli tak szczęśliwi, jakby w obcym kraju nieoczekiwanie odnaleźli rodzinę. ●

Rozmawiał Waldemar Kumór

eprasa.pl bbdb7a80f8

OPERACJA „KAMIEŃ”

Na granicy nic nie wzbudzało podejrzeń, były flaga Stanów Zjednoczonych i oficer w amerykańskim mundurze, a na ścianie portret Trumana. Odetchnęli z ulgą: ucieczka się udała. Nie wiedzieli, że to teatr.

Lidia Raś



• **Wnętrze fałszywego niemiecko-czechosłowackiego posterunku granicznego zrobione w nocy z 9 na 10 września 1951 r. w budynku zwanym Zámeček niedaleko Tachova. Na ścianie amerykańska flaga i portret prezydenta Harrego Trumana. Przy stole, podszywający się pod amerykańskiego żołnierza współpracownik bezpieki Otto Jireček (z lewej) i uciekinier Jaroslav Hakra, który nie podejrzewa, że wpadł w pułapkę**

FOT. ARCHIWUM SŁUŻB BEZPIECZEŃSTWA CZECH (ABS)

Ostatni etap pokonali w kompletnej ciemności. Była noc z 23 na 24 kwietnia 1948 roku. Przy stawie, za którym miała już być Bawaria, przewodnik się pożegnał. Dalej musieli sobie radzić sami. Po chwili usłyszeli wyczekiwane: „Halt, wer da”. Dwaj mężczyźni w niemieckich mundurach zaprowadzili ich do kancelarii CIC (Counter Intelligence Corps). Jan Prošvic omiótł spojrzeniem wnętrze: flaga USA, portret prezydenta Trumana, oficer w amerykańskim mundurze. Na szafce butelka whisky. Poczuł ulgę, są bezpieczni… Za kilka tygodni usłyszy wyrok: obóz pracy.

FAŁSZYWA GRANICA

Właściwie Jan Prošvic, twórca znanej czechosłowackiej marki ESA (Elektrotechnická společnost akciová) produkującej sprzęt AGD, nie chciał wyjeżdżać z Czechosłowacji. Wprawdzie po przewrocie komunistycznym 25 lutego 1948 roku odebrano mu firmę, ale dostał w niej stanowisko dyrektora, więc przekonywał siebie i innych, że jak na okoliczności nie jest źle. Ucieczka z kraju wiązała się z ryzykiem, a on miał rodzinę – żonę i czworo dzieci. Wkrótce jednak został aresztowany i kilka tygodni spędził w więzieniu na Pankrácu. Był torturowany, uznano go za wyzyskiwacza i kolaboranta, ponieważ podczas wojny jego zakłady zlokalizowane na terenie Protektoratu Czech i Moraw produkowały głównie na potrzeby III Rzeszy. Z więzienia wyszedł kompletnie rozbity.

Gdy zwierzył się swojemu byłemu pracownikowi, że zaczyna myśleć o wyjeździe z kraju, jak na zawołanie około 14 kwietnia 1948 roku do jego mieszkania zapukali dwaj mężczyźni. Jednym z nich był Josef Janoušek, przewodnik przez zieloną granicę, nieświadomy, że został zinfiltrowany przez służby. Drugim – jego „opiekun”, agent František Hejný – „Jonny”. Zaoferowali pomoc. Prošvic dwukrotnie odrzucał propozycję. Żona nie chciała słyszeć o ucieczce, także dlatego, że za granicę nie mogliby zabrać dwójki najmłodszych dzieci. Atmosfera jednak gęstniała – zaczęły się głuche telefony, a „Jonny” uprzejmie donosił, że jest na listach StB (Státní bezpečnost, odpowiednika polskiego Urzędu Bezpieczeństwa) i ponowne aresztowanie to tylko kwestia czasu.

W końcu Prošvic dał się przekonać. Dwoje najmłodszych dzieci zostało pod opieką dziadków na Słowacji; miały dołączyć później, a on wraz z żoną i dwiema starszymi córkami oraz z Janouškiem i „Jonnym” wyruszyli 23 kwietnia 1948 roku w stronę granicy. Ani przez moment nie przyszło mu do głowy, że właśnie stał się aktorem w przedstawieniu, które reżyserują tajne służby.

Rola Josefa Janouška zakończyła się w Kdyňi, małym miasteczku na granicy czechosłowacko-niemieckiej, około 7 kilometrów od miejscowości Všeruby, gdzie znajdowała się fałszywa granica, i około 150 kilometrów od Pragi. W miejscowym hotelu Modra Hvezda Prošvicovie spotkali się z przewodnikiem – tak naprawdę funkcjonariuszem StB – który dowiózł ich w pobliże „posterunku granicznego”. Ostatni odcinek mieli przejść sami. Prawdziwa granica biegła niecałe 200 metrów od fałszywej. Ale o tym nie wiedzieli.

TERROR I MASOWE UCIECZKI

Po II wojnie światowej Czechosłowacja trafiła do radzieckiej strefy wpływów. Wybory parlamentarne w 1946 roku legalnie wygrała Komunistyczna Partia Czechosłowacji (KSČ). „Czechosłowacka droga do socjalizmu”, którą obiecywał lider Komunistycznej Partii Czechosłowacji i premier Klement Gottwald, miała gwarantować demokratyczne zmiany, które popierała większość społeczeństwa. Tyle że Stalin nie zamierzał się na nią zgadzać. W ministerstwach opanowanych przez komunistów, m.in. w MSW, postępowała – na razie zawoalowana – sowietyzacja.

W lipcu 1947 roku w odpowiedzi na wymuszone przez Stalina odrzucenie planu Marshalla opozycyjni ministrowie podali się do dymisji, licząc na rozpisanie nowych wyborów. Jednak Gottwald wykorzystał sytuację i szantażem (ludowe milicje na ulicach, a może i bratnia pomoc ZSRR) 25 lutego 1948 roku przejął władzę. Zaczęły się masowe czystki, aresztowania i ucieczki na Zachód. Początkowo komunistycznemu premierowi było to nawet na rękę, więc mówił: „niech jadą”. Zmienił zdanie pod naciskiem Stalina, zaskoczyła go też skala ucieczek. Wyjeżdżali właściciele znacjonalizowanych majątków, urzędnicy, których wysłano na przymusowy urlop, żołnierze walczący podczas II wojny światowej na Zachodzie, księża…

– Do października 1948 roku nielegalne przekroczenie granicy było wykroczeniem, które podlegało karze grzywny – mówi mi dr Prokop Tomek z Historycznego Instytutu Wojskowego w Pradze. – Dopiero ustawa 231/1948 nadała temu czynowi status przestępstwa zagrożonego karą pięciu lat więzienia – tłumaczy. Ale od razu dodaje, że i przed 1948 rokiem kary mogły być wysokie. – Wystarczyło, by sąd wyciągnął wniosek, że ktoś, kto przekraczał granicę, miał zamiar przyłączyć się do wroga, zdradzić, zaszkodzić republice. Przepisy były na papierze, moż-

eprasa.pl bbdb7a80f8

na było z nimi zrobić wszystko, bo nie było niezależnej kontroli – podkreśla dr Tomek.

Jak wynika z wewnętrznych raportów służb, w drugiej połowie 1948 roku z kraju uciekło od 10 do 20 tys. ludzi. Władza postanowiła ten exodus nie tylko ukrócić, ale i wykorzystać dla swoich celów. Wymyśliła akcję „Kamień", która nazwę otrzymała od kamieni granicznych oddzielających granicę Czechosłowacji od Niemiec.

WROGA WYKREOWAĆ, POTEM WYELIMINOWAĆ

– To niezwykły rozdział w historii służb bezpieczeństwa Czechosłowacji – mówi dr Tomek. – Zdumiewające, że jej autorom udało się zorganizować tak bezczelną i skuteczną prowokację, a co więcej, wielokrotnie ją powtarzać. W przypadku akcji „Kamień" tylko w pewnym stopniu chodziło o tych przeciwników reżimu, którzy sami chcieli się wydostać za granicę. Najważniejsza była prowokacja, w której StB stosowało sowiecką metodę: wykreować wroga, a następnie go wyeliminować. To pozwalało służbom zdobywać informacje o antykomunistycznym ruchu oporu, a także tworzyć obraz nieprzekraczalnej granicy i zastraszyć społeczeństwo – wyjaśnia Tomek.

Drzwi do takiej nieskrępowanej akcji wobec przeciwników komunizmu otworzyły się szeroko po przewrocie w lutym 1948 roku. Jej inicjatorem był kontrwywiad nadzorowany przez Jindricha Veselého (jednocześnie szefa StB) i jego zastępcę, majora Bedricha Pokorného, którzy do współpracy zaprosili swoich podwładnych: Evžena Abrahamoviča i Emila Orovana.

Między 1948 a 1951 rokiem czechosłowacka służba bezpieczeństwa stworzyła blisko amerykańskiej strefy okupacyjnej Niemiec fałszywe posterunki graniczne. Ulokowano je między Szumawą a Lasem Czeskim, w okolicach miejscowości: Cheb, Aš, Mariańskie Łaźnie, Chodský Újezd, Domažlice, Kdyne i Všeruby koło Kdyni. Nie ma konkretnych danych, ile ich było, bo większość materiałów na ten temat zniszczono.

– Wiem na pewno o czterech lokalizacjach, ale nie ograniczałbym ich tylko do budynku, ponieważ istniało kilka wariantów przechwycenia uciekinierów – mówi dr Tomek. – Nie zawsze budynek był konieczny. Głównym elementem gry było doprowadzenie ludzi do nieistniejącej granicy, aby następnie odegrać przed nimi teatrzyk z „przypadkowym" aresztowaniem – wyjaśnia historyk. Dodaje, że wyłapywanie przeciwników reżimu z wykorzystaniem fałszywej granicy było na tyle wymagające pod względem wykonania, że można je było realizować tylko przez krótki czas.

Mózgiem operacji został Evžen Abrahamovič, który osobiście pofatygował się do Všerub, wybrał funkcjonariusza z miejscowego posterunku, by zgodnie z jego wytycznymi przygotował scenografię tej diabelskiej gry oraz wystąpił w roli przewodnika.

Schemat operacji był zawsze taki sam: wpierw StB wskazywała ofiarę, następnie wystawiano człowieka, który był potencjalnemu uciekinierowi znany, a przez to wiarygodny. W kolejnym kroku fałszywi przewodnicy sprowadzali ludzi na fałszywą granicę, gdzie czechosłowaccy tajniacy przebrani za urzędników CIC prowadzili przesłuchanie. Uchodźcy byli przekonani, że od jego wyniku zależy, czy otworzą się dla nich drzwi na Zachód, więc zdeterminowani opowiadali wszystko o swojej działalności antykomunistycznej, a czasem jeszcze więcej, by zasłużyć na przepustkę do wolności.

BOHATER TRAGICZNY

Dzięki odpowiednio zaaranżowanemu wnętrzu „posterunku" Prošvicowie byli pewni, że znaleźli się w amerykańskiej placówce. Wybrany przez Abrahamoviča do wykonania tego odpowiedzialnego zadania Stanislav Liška z SNB (Korpusu Bezpieczeństwa Narodowego) pełniącego wtedy funkcję policji wynajął opuszczony budynek koło Všerub i stworzył w nim fikcyjny posterunek CIC. Miał też zagrać rolę przewodnika. Absurd sytuacji polegał na tym, że Liška naprawdę był przewodnikiem. Przez zieloną granicę przeprowadził ok. 100 osób, ale jednocześnie był wzorowym policjantem, który nie wzbudzał podejrzeń. – To była tragiczna postać. Z jednej strony pomagał uchodźcom, a z drugiej im szkodził, bo musiał ratować samego siebie i nie zdradzić, że pracował jako przewodnik – tłumaczy dr Prokop Tomek.

Liška wiedział, czym skończyłaby się odmowa, starał się mimo wszystko jakoś pomóc. Do „posterunku" zwiózł meble, przygotował cały sztafaż. Kiedy poproszono go, by na drzwiach do pokoi umieścił ich nazwy: „Wachzimmer" i „Kommandant", napisał je z błędami: „Wachzimer" i „Komandant". „Tylko człowiek zaślepiony szczęściem mógł to wszystko przeoczyć" – napisze Liška w 1959 roku w raporcie „Falesné hranice" (Fałszywe granice), który przeleżał w rodzinnych szufladach w Kanadzie aż do 2013 roku. Wtedy dotarła do niego Vaclava Jandečková, badaczka, autorka książek, dzięki której akcja „Kamień" stała się znana.

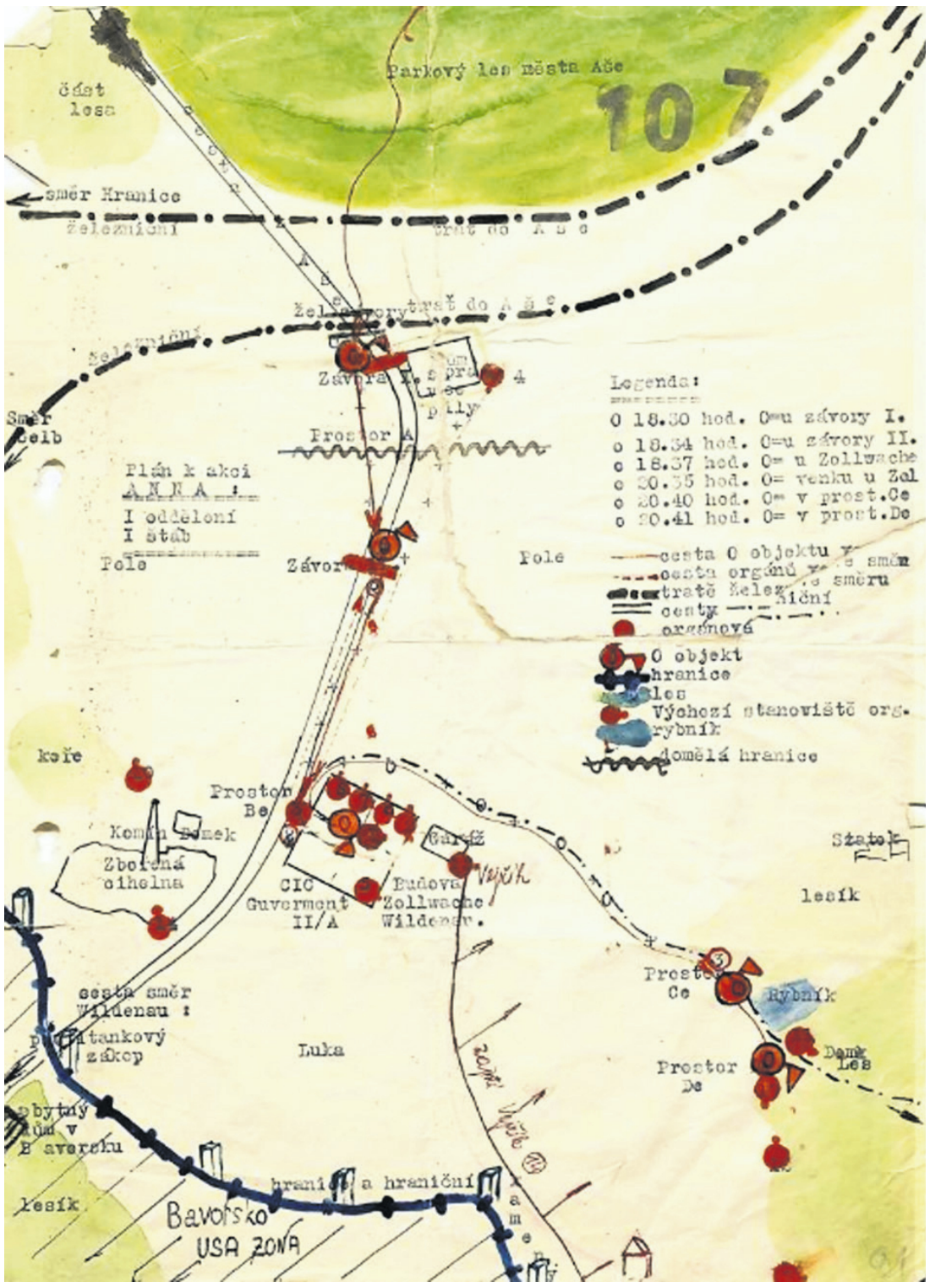
Pomiędzy 23 kwietnia a 1 maja 1948 roku Liška przeprowadził rodzinę Prošvicóv, dwóch mechaników z lotniska Kbely oraz małżeństwo Maláčów, ale jednocześnie to on poinformował Amerykanów o fałszywych posterunkach. W efekcie w oficjalnym piśmie ambasada amerykańska w Pradze wysłała w 1948 roku do czechosłowackiego MSZ dwie noty protestacyjne przeciwko używaniu symboli amerykańskich. Nigdy nie dostała odpowiedzi. Tymczasem Liška w tym samym roku został aresztowany. Niczego mu nie udowodniono, więc został zwolniony po sześciu miesiącach. Dłużej jednak nie chciał ryzykować. Uciekł przez zieloną granicę i po wielu perypetiach on i jego rodzina otrzymali azyl w Kanadzie.

Budynek grający placówkę graniczną w pobliżu Všerub nie został przygotowany idealnie, ale umęczeni drogą uciekinierzy widzieli to, co chcieli: flagę USA, ludzi w amerykańskich mundurach (wypożyczonych ze studia filmowego Barrandov), urzędników mówiących po angielsku i niemiecku (niekiedy słabo). To wystarczyło, by zbudować poczucie bezpieczeństwa i wydobyć z uchodźców jak najwięcej informacji.

Prošvicovie odpowiadali drobiazgowo na pytania, a na stole leżały pieniądze i biżuteria, którą zabrali ze sobą na start. Nigdy nie znalazły się na żadnej liście zarekwirowanych przedmiotów. Kosztowności nierzadko trafiały do kieszeni tajniaków i dobrze, jeśli ich właścicielom udało się ujść z życiem.

AGENT OD SAMEGO DIABŁA

Przesłuchanie po niemiecku prowadził urzędnik w amerykańskim mundurze.



• Szkic sytuacyjny czechosłowackiej StB – Státní bezpečnosti, pokazujący, gdzie znajdowały się fałszywe posterunki graniczne niedaleko czesko-niemieckiej granicy

FOT. ARCHIWUM SŁUŻB BEZPIECZEŃSTWA CZECH (ABS)

W rzeczywistości był to Amon Tomašoff, gorliwy, kreatywny i piekielnie inteligentny agent czechosłowackich służb. Tomašoff umiejętnie osaczał ofiarę, by potem prowadzić osobliwą grę psychologiczną: wzbudzić zaufanie, przestraszyć, uspokoić, a w końcu pogrzebać wszelkie nadzieje.

Urodził się w 1922 roku w Bratysławie, znał kilkanaście języków, w tym polski. Miał wyjątkową zdolność przenikania do różnych środowisk i manipulowania ludźmi. W jego biografii jest sporo dziur, ale krążyły o nim legendy. Podobno pewnego dnia w 1944 roku pojawił się w radzieckim konsulacie w Nowym Jorku i zaoferował usługi szpiegowskie. Odrzucono je, ale na jego drodze wyrósł agent NKWD, z którym pracował do końca sierpnia 1945 roku. Potem wrócił do Czechosłowacji. Sam utrzymywał, że podczas II wojny światowej służył w amerykańskiej marynarce wojennej.

Rolę amerykańskiego urzędnika na granicy grał pierwszorzędnie. Bawiło go to, co robił, choć chyba wcale nie był zagorzałym komunistą, a raczej miłośnikiem ryzyka z dużą dozą szaleństwa i dezynwoltury. – Był postacią wyjątkową – mówi dr Tomek, który napisał o Tomašoffie artykuł. – Wśród współpracowników służb bezpieczeństwa bywają ludzie pochodzący – powiedziałbym – od samego diabła: źli i niezwykle utalentowani. Kimś takim był właśnie Tomašoff. Ponieważ jednak trudno go było kontrolować i miał niejasną przeszłość, jego wpływy skończyły się w roku 1949. StB po umocnieniu władzy komunistycznej wolało bardziej przewidywalnych ludzi – mówi Prokop Tomek. Kilka lat później Tomašoff zmarł na raka mózgu w wieku 30 lat.

Po spisaniu zeznań Prošviców poinformował ich, że Zachód nie potrzebuje ludzi ich pokroju i odrzuca wniosek o azyl. Zostaną deportowani do Czechosłowacji (z której nigdy nie wyjechali). Kolejne dwa tygodnie małżonkowie wraz ze starszą, szesnastoletnią, córką spędzili w areszcie, młodszą zaopiekowali się krewni. 7 maja 1948 roku cała trójka została przewieziona do Pragi na polecenie ministerstwa spraw wewnętrznych. Wyrok: dwa lata w obozie pracy Kladno-Dríň, gdzie Jan Prošvic miał zostać poddany „resocjalizacji i reedukacji przez pracę". Jego żona została uniewinniona, ponieważ uznano, że zmuszono ją do wyjazdu. Przez lata żyła w nędzy, bez mieszkania, bez pracy, wychowując samotnie dzieci. Prošvic uciekł z obozu w kwietniu 1949 roku do Niemiec i po latach sprowadził rodzinę do Wielkiej Brytanii, gdzie znowu założył firmę AGD.

W porównaniu z późniejszymi wieloletnimi wyrokami dwa lata wydają się łagodnym wymiarem kary. Może to tłumaczyć fakt, że była to premierowa akcja, a przede wszystkim to, że w przypadku Prošvica chodziło głównie o jego majątek. Cały, łącznie z dwie-

eprasa.pl bbdb7a80f8





Schemat operacji był zawsze taki sam: wpierw StB wskazywała ofiarę, następnie wystawiano człowieka, który był potencjalnemu uciekinierowi znany, a przez to wiarygodny. W kolejnym kroku fałszywi przewodnicy sprowadzali ludzi na fałszywą granicę

ma luksusowymi willami, przejęło państwo. Jedną z nich dostał premier Antonín Zápotocki.

GRUBE RYBY W SIECI

Prošvic był pierwszy, ale w sieć StB miały wpadać naprawdę grube ryby – politycy, urzędnicy wysokiego szczebla wyrzuceni po lutym 1948 roku, właściciele prywatnych firm, żołnierze, którzy podczas II wojny walczyli w zachodnich armiach.

Do kategorii grubych ryb idealnie pasowali: Oldrich Maláč, do niedawna urzędnik MSW z przedwojennym doświadczeniem wywiadowczym w kraju i za granicą, oraz Karel Zavadil – przedwojenny oficer wywiadu, który II wojnę światową spędził w Londynie, a po niej, do 1948 roku, pracował w czechosłowackim MSW. Obaj nie byli do zaakceptowania przez władzę komunistyczną.

Po przewrocie Oldrich Maláč został wysłany na przymusowy urlop, czyli de facto zwolniony, bo znalezienie nowej pracy w jego sytuacji było niemożliwe. Był na skraju załamania nerwowego, docierały do niego sygnały, że może zostać aresztowany. Wtedy skontaktował się z nim Karel Zavadil z prośbą o spotkanie. Był zdecydowany uciekać z kraju, zaproponował to rozwiązanie także Maláčowi. Nie było podstaw, by mu nie ufać. W 1939 roku pomógł Maláčowi przekroczyć granicę z Polską. W spotkaniu uczestniczyli jednak także Josef Janoušek i... agent „Jonny”.

30 kwietnia 1948 roku, po wielu rozterkach, pod presją żony, która groziła mu rozwodem, jeśli nie zdecyduje się na wyjazd, Maláčovie opuścili Pragę. Dojechali do Kdyni, gdzie wszystko miało się odbyć według scenariusza z Prošvicami. Tyle że Maláč, chyba jako jedyny w historii akcji „Kamień”, dość szybko się zorientował, że jest ofiarą prowokacji. Jego uwagę zwrócił dziwny akcent amerykańskiego oficera, a podejrzenie ustąpiło pewności, gdy spostrzegł, że maszyna do pisania, na której mężczyzna w cywilu pisał raport, miała czeskie czcionki. Protokół spisano po angielsku. Co ciekawe, nawet gdy już wiedział, że to prowokacja, mówił prawdę. I tak obie strony grały w swoją grę. Dopiero kiedy poproszono go o uzupełnienie dokumentu, wprowadził w nim małe zmiany – zataił kluczowe nazwiska i zniekształcił pewne informacje.

Sąd skazał go na 15 lat więzienia, a karę odbywał m.in. w kopalni uranu w Jáchymowie. Ostatecznie odsiedział 8,5 roku i na mocy amnestii został zwolniony. Żonę skazano na rok więzienia.

PRZESTĘPSTWO, KTÓREGO NIE BYŁO

W przeciwieństwie do Prošviców po spisaniu raportu Maláčowie nie usłyszeli „nie”. Zapowiedziano im, że zostaną przewiezieni do Monachium. Mogli odnieść wrażenie, że jednak udało im się wyjść cało z opresji. Chwilę później zostali zatrzymani przez patrol SNB i poinformowani, że nadal znajdują się na terytorium Czechosłowacji.

Sposoby na przekazanie ostatecznej decyzji były różne. Niekiedy ludzi aresztowano podczas przesłuchania, innym po spisaniu raportu kazano iść jeszcze kilkaset metrów w głąb lasu, gdzie zamiast na niemieckich żołnierzy trafiali na czechosłowackie służby. Bywało i tak, że przesłuchania w ogóle nie było, bo tuż przed nim dochodziło do sfingowanej strzelaniny, podczas której podstawieni przewodnicy „uciekali”, a tajniacy wyłapywali uchodźców.

Eleonora Holešovská, której mąż był pilotem walczącym na Zachodzie, a ona jako jedyna z rodziny przeżyła Auschwitz, wspominała w 2013 roku w filmie dla Czeskiej Telewizji, że gdy w maju 1948 roku wraz z mężem dotarli do wsi Kamanec, gdzie mieli przekroczyć granicę, czekali już na nich „Amerykanie”. „Pytali, kogo znamy, kto był tak miły i dał nam cynk, że powinniśmy jechać do Niemiec. Ale nie wymieniliśmy żadnych nazwisk” – wspominała. Potem po panią Holešovską i jej męża przyjechał jeep z innymi „Amerykanami”, którzy mieli ich rzekomo przetransportować do obozu dla uchodźców w Niemczech zachodnich. „Siedziałam z przodu, mąż z tyłu, a obok niego siedział facet, który wyglądał na Amerykanina. Jechaliśmy i zauważyłam, że nie jesteśmy w Niemczech – jechaliśmy po naszym kraju, bo widać było ślady wiosek. Ja dostałam rok, mąż dwa i pół” – opowiadała 90-letnia wtedy pani Eleonora. Holešovscy zostali skazani za nielegalne przekroczenie granicy, której nigdy nie przekroczyli.

WIERZYLI DO KOŃCA ŻYCIA

Jeszcze inaczej rzecz się miała z Marie Šterbovą i jej córką Vlastą. Przed 1947 rokiem Šterbova prowadziła restaurację, którą przejęła po zmarłym mężu. Odebrano jej ją w lutym 1948 roku. Nie tylko imała się różnych zajęć, ale i angażowała się w podziemną antykomunistyczną działalność. W końcu poznała pewną kobietę, która obiecała jej „pomóc” w opuszczeniu kraju. Matka i córka przekraczały granicę w okolicy Chebu 24 czerwca 1950 roku. Do końca życia były przekonane, że opuściły Czechosłowację, lecz zostały porwane z Niemiec przez komunistycznych agentów i przetransportowane do kraju.

Šterbová zmarła w więzieniu półtora roku później, jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Pochowano ją potajemnie w masowym grobie na praskim cmentarzu Dáblice. Przed śmiercią prosiła o możliwość pożegnania z córką, ale zgody nie dostała. Vlasta została skazana na 7 lat ciężkiego więzienia i zwolniona w 1955 roku. Do końca życia zmagała się z chorobą psychiczną.

Nie wiadomo, nie ma żadnych statystyk dotyczących skali akcji „Kamień”. Autorka książek o niej Vaclava Jandečková mówi o 40 osobach, ale dr Tomek ma inne zdanie. – 40 osób to prawdopodobnie wynik pracy pani Jandečkovej. Nie znam dokładnej liczby, ale moim zdaniem można ją szacować na dziesiątki. Archiwa mogą ukrywać inne przypadki – uważa.

Evžen Abrahamovič zmarł w wieku 92 lat w 2014 roku. Przed śmiercią został oskarżony o nadużycie władzy „w związku z organizacją i kierowaniem zbrodniczą operacją komunistycznej bezpieki (StB) o kryptonimie »Kamień«”, ale ze względu na podeszły wiek i poważny stan zdrowia wyrok miał znaczenie symboliczne. Emil Orovan był poszukiwany przez Interpol, prawdopodobnie nie żyje od 2012 roku. W roku 2014 Prokuratura Krajowa w Czechach umorzyła postępowanie w tej sprawie. ●

• Jan Prošvic (1907-89), ten znany inżynier, twórca marki sprzętu gospodarstwa domowego ESA, został zwabiony wraz z rodziną w pułapkę graniczną w kwietniu1948 roku. Stanislav Liška (1911-80), oficer Korpusu Bezpieczeństwa Narodowego, który stworzył fałszywy posterunek w miejscowości Všeruby, do którego doprowadził Prošvica i jego bliskich, rzekomo umożliwiając im ucieczkę na Zachód

FOT. ARCHIWUM SŁUŻB BEZPIECZEŃSTWA CZECH (ABS) (2)

Korzystałam z: Václava Jandečková, „Falešné hranice Akce »Kámen«. Obeti a strujci nejutajovanejších zločinu StB 1948-1951”, Argo 2018; Václava Jandečková, „Kámen. Svedectví hlavního aktéra akce »falešné hranice« u Všerub na Domažlicku”, Pro Václavu Jandečkovou vydalo v r. 2022 Nakladatelství Českého lesa v Domažlicích jako svoji 249. publikaci 2. upravené a rozšírené vydání; „Jedna z nejzákernejších akcí StB s názvem Kámen zustane bez trestu”, CT, 2014; https://ct24.ceskatelevize.cz/clanek/domaci/jedna-z-nejzakernejsich-akci-stb-s-nazvem-kamen-zustane-bez-trestu-327457; StB: Prísne tajné! Akce Kámen, dokument ČR 2021 https://www.youtube.com/watch? v=7CmVMj1p7NM

eprasa.pl bbdb7a80f8

Behemot wraca do Moskwy

Niedawno Synod Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej wystosował prośbę do Bogurodzicy o zesłanie Rosji zwycięstwa, ale na razie skutek jest taki, że w całym kraju płoną rafinerie.

Grzegorz Przebinda

Ostatnią deską ratunku dla śmiertelnie rannego kota – oznajmił Behemot – jest łyczek benzyny. – Wykorzystując zamieszanie, przyssał się do prymusa i zatankował". To przywołane tankowanie działo się w Moskwie w pierwszej połowie lat trzydziestych, gdy podobne „prymusy" – przenośne kuchenki naftowe – służyły do gotowania i podgrzewania jedzenia, nie tylko wody, bo w radzieckich komunałkach bynajmniej nie każde mieszkanie miało dostęp do gazu czy elektryczności. Dziś już niejeden młody mieszkaniec Moskwy pewnie nie wie, co to takiego, ale kto lubi „Mistrza i Małgorzatę", ten wczytuje się dalej w awanturnicze przypadki Behemota w feralnym mieszkaniu na Sadowej 10, gdzie zaraz odnajduje już benzynowy finał:

„Proszę wybaczyć, ale muszę kończyć – oznajmił kot z wysokości lustra. – Na mnie czas. Grzmotnął browningiem w okno, wybijając obydwie szyby, i chlusnął na podłogę benzyną. A benzyna sama z siebie buchnęła płomieniami i jęzory ognia wystrzeliły pod sufit. Ogień rozprzestrzeniał się zadziwiająco szybko – żadna benzyna nie pali się tak gwałtownie. W mgnieniu oka płomienie objęły tapety, zerwana stora na podłodze zapłonęła jak pochodnia, a ramy w wybitych oknach zaczęły dymić. Behemot wyprężył grzbiet, miauknął, przeskoczył z lustra na parapet i zniknął za oknem wraz ze swoim prymusem".

•

Aż dziw bierze, że nikt dotąd nie zestawił tego proroczego obrazu Bułhakowa z tym, co dzieje się dziś – z infrastrukturą naftową i wojskową Rosji prowadzącej od ponad czterech lat krwawą wojnę przeciwko Ukrainie. Najbardziej spektakularne są dzisiaj oczywiście uderzenia w rosyjskie rafinerie, które płoną niczym owo mieszkanie Wolanda. Najpierw rafineria w Omsku, prawie 2,5 tysiąca kilometrów od granicy, największa w całej Rosji, produkująca ponad 21 milionów ton rocznie, a potem Tiumeń, leżący w tym samym regionie, 2 tysiące kilometrów od Ukrainy, gdzie drony dosięgły jednego z najnowocześniejszych zakładów w kraju. Bliżej Moskwy płonął Jarosław nad górną Wołgą, zaledwie 250 kilometrów od stolicy, a nad Bałtykiem, niedaleko Petersburga – porty w Wysocku i Ust-Łudze, kluczowe z kolei dla eksportu rosyjskiej ropy. Wcześniej płonęła ogniem sama moskiewska rafineria w dzielnicy Kapotnia, na południowo-wschodnich obrzeżach Moskwy, zaledwie 15 kilometrów od Kremla – najbliższa geograficznie mieszkaniu na Sadowej. Ukraińcy uderzyli w nią dwukrotnie w odstępie kilku dni: 16 czerwca, a potem ponownie w nocy i nad ranem 18 czerwca – jakby chcieli się upewnić, że pożar, tak jak u Behemota, na pewno strawi wszystko aż do końca.

O tych uderzeniach w Kapotnię dowiedziałem się w Paryżu z wiadomości od żony Anny, piszącej z Krakowa – i to dokładnie w chwili, gdy spotykałem się, po 34 latach, w kawiarni stolicy Francji ze starymi przyjaciółmi z dawnego propolskiego tygodnika „Russkaja Mysl":



• **Moskwa, 27 sierpnia 2026 roku, kierowcy stoją w kolejkach po benzynę, której dostawy od wielu miesięcy są nieregularne, ponieważ rosyjskie rafinerie są niszczone przez ukraińskie drony** FOT. YULIA MOROZOVA/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

poetą i dziennikarzem Anatolijem Kopiejkinem oraz malarzem Jarosławem Gorbaniewskim, starszym synem Natalii Gorbaniewskiej. Obaj są – mało powiedziane – nieprzyjaciółmi Putina oraz wojny, zastanawialiśmy się więc wspólnie, jaką tragedią byłoby to wszystko, co się dziś dzieje, dla Nataszy, spoczywającej od grudnia 2013 roku na cmentarzu Père-Lachaise. Tragedia tym większą, że tak wiele nadziei pokładała ona jeszcze za Jelcyna w odrodzenie Rosji, ale w ostatnich kilkunastu latach życia niejednokrotnie potępiała obecnego władcę Spec-Federacji.

•

„Rosja ma ropę, ale brakuje jej benzyny" – to idealnie oddaje sens obecnych dni wojennych. To kryzys na potworną skalę, zwłaszcza gdy słyszymy, że Rosja importuje benzynę z Białorusi, a nawet drogą morską z Indii. Wielu ludzi dziwi się: jak to możliwe, żeby kraj z tak ogromnymi złożami ropy musiał sprowadzać benzynę? Tym bardziej że rurociąg „Przyjaźń" przesyłający rosyjską ropę do Białorusi działa bez zakłóceń, biegnie głęboko pod ziemią, a zniszczyć go jest trudniej niż naziemną rafinerię. Problem leży w silnie strzeżonych zakładach przetwarzających ropę na benzynę, czyli właśnie w rafineriach całej Rosji, które Ukraina konsekwentnie i celnie razi dronami. W efekcie Rosja, wysyłając ropę do Białorusi, oczekuje w zamian dostaw gotowej benzyny – jako rekompensaty za to, czego sama, z powodu zniszczonych rafinerii, nie jest już w stanie wyprodukować, i dodatkowo sięga po import morski z Indii, żeby złagodzić rosnące braki.

Potwierdzenie tego przychodzi za pośrednictwem Rosyjskiej Służby BBC: „Białoruś wyeksportowała do Rosji rekordową ilość benzyny w czerwcu". A dalej jeszcze czytamy, że w czerwcu Białoruś sprzedała Rosji 141 tysięcy ton benzyny. To niemal połowa całej benzyny, jaką Białoruś produkuje w ciągu miesiąca, tyle że dla samej Rosji ilość ta wystarczy zaledwie na dzień z kawałkiem: według bowiem danych agencji Reuters, w letnim szczycie średniodobowe zużycie benzyny w tym gigantycznym kraju wynosi około 110–115 tys. ton.

A jeszcze dopełnijmy, że taki haracz dla Putina ze strony Łukaszenki jest nie tylko zapłatą za otrzymywanie rosyjskiej ropy po cenach znacznie zaniżonych względem światowych, ale także jednym ze sposobów wymigania się od bezpośredniego udziału w obecnej wojnie, na co Putin najwyraźniej wciąż nalega.

•

W nieśmiertelnym „Mistrzu i Małgorzacie" kryzysu benzynowego – jak wiemy – nie było, bo ZSRR, jeśli przeniesiemy się z rzeczywistości fantastycznej do realiów, czerpał wtedy ropę naftową głównie z Azerbejdżanu i nikt jego rafinerii nie bombardował. Ale powieściowy Stiopa Lichodiejew i tak został wyekspediowany z Moskwy do Jałty na Krymie zupełnie „bezpaliwowo" – Azazello po prostu zaproponował Wolandowi, by wyrzucić dyrektora ze stolicy, a kot tylko miauknął na pożegnanie „A kysz!", przepędzając natręta. Po czym dyrektor artystyczny Variétés tracąc przytomność, uderzył głową o futrynę, aby ocknąć się dopiero na kamiennym molo w Jałcie, wśród szumu Morza Czarnego. Wracał stamtąd jednak po paru dniach już samolotem:

„Na moskiewskim lotnisku wylądował mały samolot prosto z Krymu – w gronie sześciu pasażerów wysiadł z niego pewien dziwny obywatel. Był to młody mężczyzna z przerażonymi, rozpalonymi oczami, dziko zarośnięty, ze trzy dni niekąpany. Żadnego bagażu nie posiadał, za to był dziwacznie wystrojony – kaukaska peleryna narzucona na nocną koszulę, na głowie kozacka czapa, a do tego nowiutkie, dopiero co kupione, skórzane pantofle w kolorze ciemnoniebieskim".

Samolot, mówiąc nawiasem, przyleciał do Moskwy z Sewastopola, jako że Jałta nie miała najwyraźniej wtedy – w pierwszej połowie lat 30., gdy toczy się akcja powieści – swojego lotniska. Dzisiaj już je posiada – a właściwie ma pod bokiem lotnisko w pobliskim Symferopolu, zbudowane w 1936 roku i rozbudowane po rosyjskiej aneksji Krymu w 2014 – ale co z tego, skoro od roku 2022, z powodu wojny, wszystkie pasażerskie połączenia lotnicze na Krym z Rosji zostały wstrzymane, a samo lotnisko pozostaje całkowicie zamknięte dla ruchu cywilnego. Dzisiejszy Stiopa nie miałby więc nawet czym wrócić do Moskwy – chyba że skorzystałby ze świeżej rady samego Roberta Browdiego „Madziara" i wrócił drogą okrężną przez Most Krymski, który – jak przyznaje ów skuteczny dowódca ukraińskich Sił Systemów Bezzałogowych – celowo pozostaje nietknięty. Nie po to oczywiście, żeby ułatwiać życie przypadkowym ofiarom czarnej magii, lecz aby okupanci mieli jak stamtąd odejść – Stiopa musiałby więc, nolens volens, skorzystać z furtki pozostawionej dla kogoś zupełnie innego.

•

Tymczasem Synod Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej przyjął 16 lipca do powszechnego użytku liturgicznego nowe teksty nabożeństw, w tym służbę ku czci Soboru Świętych Krymskich. Wśród zatwierdzonych sformułowań znalazła się prośba skierowana do Bogurodzicy o utrwalenie „obecności prawosławnych na Krymie" oraz o zesłanie „nam zwycięstwa" z Nieba. Jedna z modlitw zawiera też prośbę o „zwycięstwo nad widzialnymi i niewidzialnymi wrogami" (w oryginale: supostaty), rozumianymi zarówno jako przeciwnicy, jak i złe moce duchowe.

W tekstach przywołuje się również świętego admirała Fiodora Uszakowa (1745–1817), określanego jako „niezwyciężony siłą Bożą, floty rosyjskiej i Sewastopola opiekun". Warto dodać, że Uszakow zasłynął przede wszystkim jako zwycięski dowódca w wojnach z Imperium Osmańskim pod koniec XVIII wieku, natomiast kanonizowany został jeszcze przed obecną wojną, w 2001 roku, a następnie uznany za patrona rosyjskiej marynarki wojennej w 2004 roku – za swoje osobiste cnoty: pobożność, troskę o marynarzy i działalność dobroczynną. Dzisiejsze przedstawianie go jako „opiekuna floty rosyjskiej i Sewastopola" w kontekście wojny przeciw Ukrainie stanowi jaskrawy dowód, że rosyjskich świętych „transportuje się" obecnie do obcych im przestrzeni znacznie łatwiej aniżeli benzynę do Jałty, Sewastopola i na cały Krym.

Trudno powstrzymać się od gorzkiej konstatacji, że obecna cerkiew prawosławna w Rosji zeszła już nieodwołalnie z drogi chrześcijaństwa, przekształcając się w duchowe ramię Putina i FSB, przy czym trudno się zarazem nie zgodzić z konstatacją emigracyjnego dziennikarza Aleksandra Niewzorowa, że konsekwencją tego jest przemiana wina w Eucharystii w Moskwie nie w krew Jezusa, lecz w krew niewinnych ukraińskich ofiar tej wojny. W sytuacji, gdy Bóg prawdziwy w podobnych okolicznościach zachowuje niezmienne milczenie, nie ma się chyba co dziwić, iż tenże Niewzorow przywołuje teraz ku pomocy plejadę bogów pogańskich, zawsze przecież skłonnych do interwencji na ziemi – niechże więc teraz staną oni w imieniu ofiar, przeciw ich katom: grecko-rzymski Ares-Mars, starosłowiański Perun i staroskandynawski Thor.

•

Gdy przed 40 laty (1986–1987) przygotowywałem – korzystając z pomocy mojego mistrza Andrzeja Drawicza – komentarz filologiczny do polskiej edycji „Mistrza i Małgorzaty", wydanej ostatecznie w roku 1990, jedną z zagadek była dla mnie geneza imienia kota Behemota. Ten – przyznajmy – w samej

eprasa.pl bbdb7a80f8

powieści jest stworzeniem na ogół dobrodusznym i przez długi czas miałem wrażenie, iż to jego mini-pomnik stoi w Kijowie za Złotymi Wrotami, który udało mi się utrwalić na fotografii jeszcze w 2006 roku. Dziś wiem, że się pomyliłem: ów niewielki pomnik przedstawia bowiem kotkę Pantiuszę, związaną niegdyś z kijowską restauracją „Pantagruel”, której po śmierci – znamienne, że w pożarze restauracji – ufundowano w 1998 roku brązowy pomnik właśnie na Placu Złotych Wrót. Przez lata nie tylko ja, ale mnóstwo innych osób – najwyraźniej również miłośników Bułhakowa – brało go za pomnik Behemota.

Gdy natomiast chodzi o genezę imienia prawdziwego, choć również literackiego kota Behemota, to już owych 40 lat temu udało mi się bez trudu ustalić, że sięga ona Biblii – a dokładniej Księgi Hioba (40, 15–24), gdzie Behemot występuje jako budzące grozę, potężne stworzenie, obok wspomnianego tam też Lewiatana, oba będące symbolem niepojętej dla człowieka mocy Boga. Gdy natomiast już szykowałem w 2016 roku komentarz do naszego rodzinnego tłumaczenia arcypowieści, zdążyłem jeszcze dopisać, że jeszcze wyraźniej apokaliptyczny obraz obu tych stworzeń przynosi pozabiblijna, choć wywodząca się z podobnego kręgu tradycji, starotestamentowa apokryficzna I Księga Henocha, etiopska (60, 7–8), gdzie Behemot błądził dziewiętnaście dni po pustyni i występuje jako pustynny demon zemsty, też równy Lewiatanowi.

Nie ma się więc co dziwić, że Ukraińcy określili imieniem Behemot swój nowy dron uderzeniowy średniego zasięgu, zdolny – jak na razie – do rażenia celów w odległości do 300 km. I to właśnie ów „Behemot” wykorzystany został 13 czerwca 2026 roku do ataku na Most Czongarski, łączący kontynentalną część Ukrainy z okupowanym Krymem. Na co moskiewska cerkiew zareagowała po miesiącu, opisanym sposobem – przyjmując do liturgicznego użytku nowe modlitwy o utrzymanie „prawosławnej obecności” na Krymie i o zesłanie zwycięstwa z Nieba.

Tylko czy aby rzeczywiście z prawdziwego Nieba? ●

Jasne strony dziejów

Etos i polskość

Jak wyjaśnić, że tysiące kibiców na stadionach skanduje nazwisko rtm. Witolda Pileckiego, a w całej Warszawie nie znalazło się kilkunastu chłopców, którzy identyfikowaliby się z harcerzami poległymi w walce z Niemcami?

Andrzej Brzeziecki

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta



Problem nie dotyczy tylko Warszawy. W ostatnich dekadach rodzice wykupują dzieciom pozaszkolne aktywności, a jednocześnie zanikają instytucje społeczne, budujące więzi i umiejętności komunikowania się inne niż poprzez smartfony. Jak temu zaradzić? Pewną podpowiedzią jest książka prof. Tomasza Stryjka.

Stryjek, jak już weźmie się za jakiś temat, wgryza się weń tak, że zawsze wychodzi kilkuset stronicowe dzieło. Tym razem poświęcił ogrom pracy 80 Warszawskiej Drużynie Harcerskiej, popularnej Osiemdziesiątce, z którą sam był związany, a w latach 1986-1989 był komendantem Szczepu 80 WDH „Chrobry”.

Dzieje Osiemdziesiątki w latach 1934-2024 to piękna wyprawa do świata wartości i braterstwa. I choć dziś funkcjonuje ona w zredukowanej formie żeńskiego szczepu „Wędrowniczek” i to w ramach ZHR, to licząca blisko sto lat tradycja jest dalej materiałem do budowy nowoczesnych postaw patriotycznych. Stryjek przywraca pamięć o kilku pokoleniach ludzi, którzy na przekór wszystkiemu chcieli budować wspólnotę i wychowywać młodzież. Centralną postacią tej historii jest Feliks Pendelski „Felek”, którego znamy ze stron „Kamieni na szaniec” i który zginął w czerwcu 1943 podczas odwrotu z akcji pod Czarnocinem. Ale „Felek” nie był jedyny. Obok heroicznego okresu wojny ciekawy jest czas, gdy harcerstwo budowało społeczeństwo alternatywne. Przez te dziewięć dekad Osiemdziesiątka przybierała różne oblicza.

„W latach 1934-1939 przyciągała podrostków obietnicą męskiego spełnienia oraz energią patriotycznej mobilizacji społeczeństwa w obliczu nadchodzącej wojny. W Szarych Szeregach dorastającym mężczyznom jawiła się pod postacią imperatywu walki o przetrwanie narodu i zakończenia koszmaru, a także wizji takiego urządzenia Polski, aby powrót wojny nie był nigdy możliwy” – pisze Stryjek. W PRL-u była zobowiązaniem wobec poległych oraz przeciwwagą dla komunistycznej rzeczywistości.

W opowieści Stryjka nie ma w nacjonalistycznego zadęcia. Przeciwnie: podkreśla on, że stadionowo-prawicowe ryki, choć za takie bywają uważane, w rzeczywistości nie są i nie mogą być wehikułami polskości, bo opierają się na krótkotrwałych emocjach. I często są wymierzone przeciwko innym. Lansowane zaś przez państwo, niezależnie kto akurat rządzi, wizje przeszłości i wspólnoty są raczej ukłonami w stronę popkultury.

Natomiast właśnie harcerstwo ze swoją tradycją, ideą wytrwałej pracy nad sobą oraz przede wszystkim służby ogółowi mogłoby być wehikułem polskości, jeśli zdołałoby odnaleźć się w nowej epoce. Czy mu się to uda? Nie wiadomo. Stryjek nie ma pewności. Zwłaszcza gdy zadaje to dramatyczne pytanie, jak to jest, że z tysięcy wyjących i odpalających race na 11 listopada młodzieńców nie uformowała się żadna drużyna chcąca odrodzić etos, za który zginął „Felek”?

To paradoks historii, że lata wolności okazały się czasem zanikania aktywności harcerskiej. A przecież nie musi ona polegać tylko na walce o polskość, a gdy tylko owa polskość przestanie być zagrożona, harcerstwo straci rację bytu. Skauting, anglosaski pierwowzór harcerstwa, Robert Baden-Powell tworzył w czasach, gdy Imperium Brytyjskie miało się doskonale i nic nie zagrażało tożsamości Brytoli. Wręcz przeciwnie – inne narody wręcz wzorowały się na nich. Stryjek także ceni polskość przede wszystkim na tle wartości uniwersalnych.

Jak zauważa, młodzież straciła dostęp do przeszłości za pośrednictwem autentycznych opowieści „zwykłych” ludzi. Oczywiście zawsze można sobie odpalić na stronie jakiegoś wirtualnego muzeum czyjeś wspomnienia. To jest oczywiście cenne, ale nic nie zastąpi gawędy (najlepiej przy ognisku). Jeśli więc jakaś młodzież chciałaby posłuchać o „Felku” albo o przygodach harcerskich w latach PRL-u, najlepiej zacząć od zaproszenia Tomasza Stryjka, mógłby to być początek prawdziwej przygody. ●

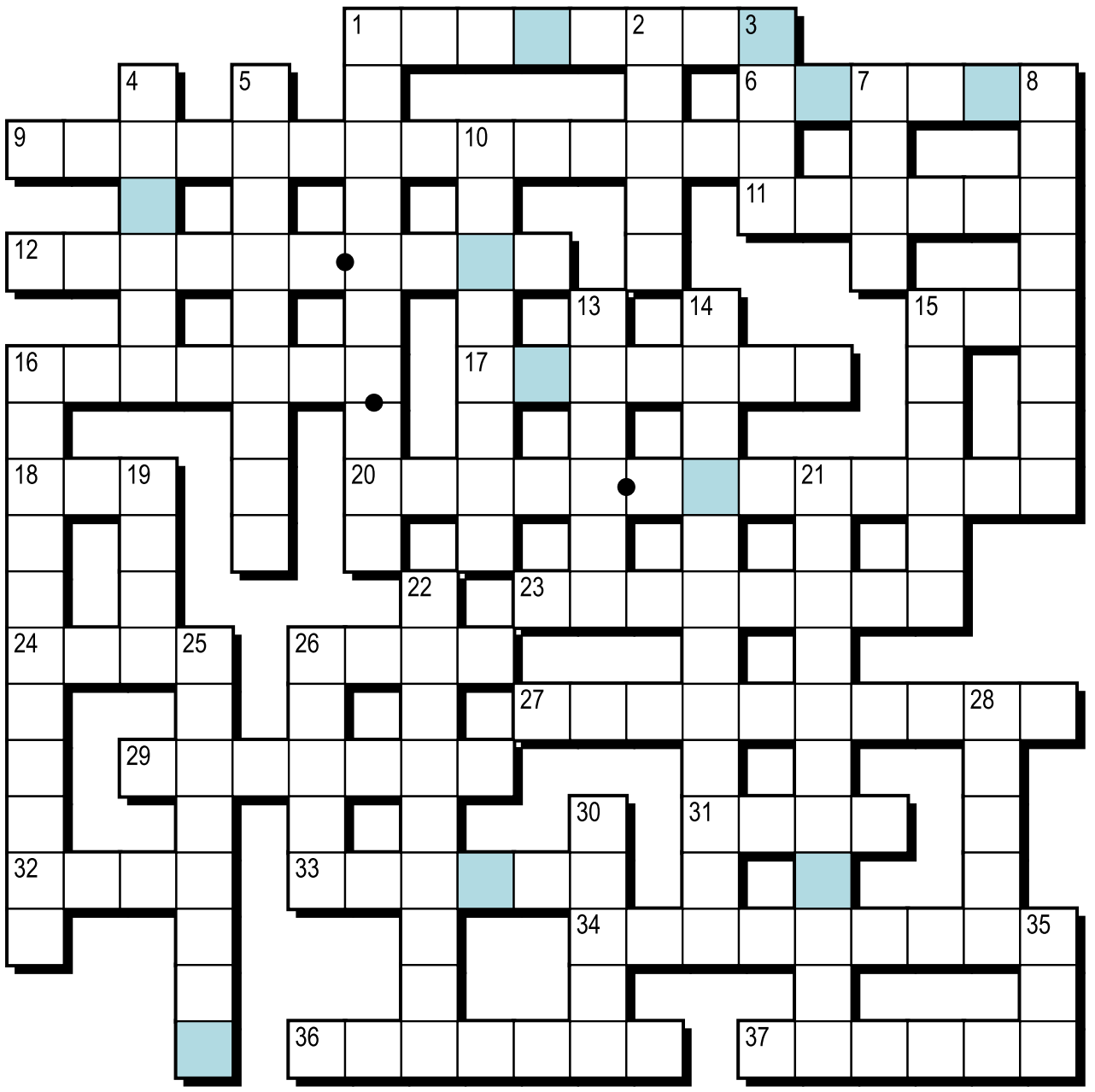
Tomasz Stryjek, „Osiemdziesiątka. Harcerska grupa etosowa wobec próby czasu 1934-2024”, Warszawa 2025, ISP PAN

OGŁOSZENIE PŁATNE Kraj/34450356



1 RP

weekendówka nr 220



KRZYŻÓWKA Z ZAROSTEM

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
1) autor komedii „Wiele hałasu o nic", w którym Beatryks mówi: „Panie, nie mogłabym znieść męża z brodą na twarzy"
6) broda i wąsy
9) tak Petroniusz nazywał Nerona („Quo vadis")
11) poniżej brody, zamiast krawata
12) miejsce, w którym zawodowo zajmą się brodą klienta
15) brodacze monachijskie
16) potocznie o baczkach
17) z kunsztowną fryzurą, wypielęgnowaną brodą, w modnym ubraniu
18) nad wąsami
20) japoński reżyser filmowy („Rudobrody")
23) alternatywa dla grzebienia
24) ... Rudy, wiking uważany za odkrywcę Grenlandii (X w.)
26) „atom" zarostu
27) agama brodata
29) do brody i wąsów, w ofercie drogerii
31) brzytwy i ..., dawniej ostrzone przez golibrodów
32) jest nim brodaty zespół Z.Z. Top
33) między jamą ustną a przełykiem
34) ciemna farba, którą wcierano w brodę lub wąsy
36) niewielkie golarki do przystrzygania wąsów, bród
37) często w zestawie z sztuczną brodą i sztucznymi wąsami

Pionowo:
1) siwobrody senior
2) imię odtwórcy tytułowej roli w filmie „Hallo Szpicbródka, czyli Ostatni występ króla kasiarzy"
3) miasto, w którym rządził władca z określenia 9 poziomo
4) ... I Brodaty, książę z dynastii Piastów
5) ... włosa na czworo
7) szlachetne ... twarzy
8) ... zapuszczania okazałych wąsów, u Sarmatów
10) ... twarzy, czyli pozbycie się zarostu
13) Fryderyk I Barbarossa (Rudobrody)
14) wyhodowanie zarostu
15) tradycyjny kosmetyk do układania, utrwalania i stylizacji włosów
16) Zbigniew Bródka
19) ryby o okazałych wąsiskach
21) skrócenie zarostu
22) baki, faworyty
25) ... Matołek, brodaty podróżnik z bajeczek
26) obowiązek, np. noszenia zarostu nie dłuższego niż 3 cm (w polskim wojsku)
28) może być z brodą (wszyscy go znają)
30) sędziwy dachowiec o posiwiałych wibrysach
35) „... do wąsów", utwór Franciszka Dionizego Kniaźnina

Leszek Rydz

Rozwiązania „weekendówki" nr 219 z 29 sierpnia:
Poziomo: 5) Romet 7) Harley mój 10) Amerykanin 12) zaparkowanie 16) buty 17) zawody 18) Rider 19) asy 22) kask 23) obroty 25) Kawasaki 27) iskry 28) Hammer 29) prezent 30) koło 31) gangi) 34) litraż 37) dramat 39) rezerwa 40) cewki 41) aktor 42) ramoneska

Pionowo: 1) Stany 2) jazda 3) Peter Fonda 4) biegi 6) manetka 8)motocyklista 9) Jawa 11) kabaret 13) plac manewrowy 14) narkotyki 5) enduro 20) skuter 21) szarpnięcie 24) Yamaha 26) King 28) Honda 32) niebo 33) start 35) żwir 36) cross 38) Motor
HASŁO: STARY SIMSON

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Gdańsk/34451038

Wymyśl grę, zgarnij 10 000 zł

Masz pomysł na codzienną grę logiczną lub słowną?



APLIKACJA WYBORCZEJ

Zgłoś pomysł na:

nowagra.wyborcza.pl

1 RP

eprasa.pl bbdb7a80f8

wysokieobcasy.pl

wysokieobcasy

wyborcza

10 / Wywiad
Agnieszka Dymińska Co się stało z moim synem?

27 / Felieton Marty Nowak
Luana Lopes Lara – lepsza niż tech bros



ELIZABETH STROUT

Zmiana zawsze nadchodzi

– rozmowa Pauliny Reiter

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 35 (1406) SOBOTA – CZWARTEK, 5-10 WRZEŚNIA 2026

Czysto i bezpiecznie



KATARZYNA PAWŁOWSKA

Nie jestem celebrytką ani influencerką, nie dlatego występowałam w mediach, nie szukałam sławy – mówi w poruszającej rozmowie z Pauliną Reiter Agnieszka Dymińska. – Jestem po prostu mamą Krzyśka i jedyne, co zrobiłam, to poprosiłam ludzi, żeby byli uważni, bo może Krzysiek gdzieś obok nich przechodził. Ocenianie mnie jako matki bardzo mnie bolało i boli do dziś". Ludzie pisali o niej to, co piszą o matkach, gdy coś stanie się ich dziecku: że zaniedbała, że zajmowała się tylko sobą, że coś jest nie tak z nią i w ogóle z całą rodziną. A ona, nie dość, że od trzech lat nie wie, co się naprawdę stało z jej synem, to jeszcze musi czytać o sobie tak niesprawiedliwe słowa.

To, dlaczego ludzie robią takie rzeczy, to jedno – najczęściej chcą uspokoić się, że im taka tragedia nie grozi, bo oni sami dbają, nie zaniedbują, u nich w rodzinie wszystko jest tak, jak trzeba. To mechanizm psychologiczny – owszem, krzywdzący dla innych, ale tym, którzy go wykorzystują, daje poczucie bezpieczeństwa.

Mnie najbardziej mierzi to, że takie krzywdzące wypowiedzi niosą się szeroko, wspierane są przez algorytmy i platformy społecznościowe. Te ostatnie, np. Meta, wręcz nagradzają finansowo, czyli monetyzują, najbardziej nienawistne posty. Oczywiście nie wprost – post się rozchodzi, bo niesie go algorytm, a algorytm go niesie, bo post jest nienawistny. Dzięki temu wpis zobaczy sporo osób, skomentują go, czasem udostępnią. Efekt jest taki, że autor czy autorka dostaje za takiego posta całkiem sensowną sumkę. I jak tu się nie skusić?

Takim samym mechanizmom podlegają wpisy o Ukrainie, o polskiej polityce, o imigrantach. Tu pod rękę z algorytmami i monetyzacją od Zuckerberga idą rosyjskie trolle Putina.

Ta spółka kocha też wiele innych tematów. Np. coś à propos tak głośnej ostatnio promocji marki Polska. Coraz częściej w sieci czytamy, a od znajomych słyszymy, że w Polsce jest czysto, schludnie i bezpiecznie. Że gdy wracamy z wakacji, z wojaży po zachodniej Europie, to widzimy, jak bardzo Paryż czy Mediolan są hałaśliwe, brudne i nieprzyjemne. I że nie czujemy się tam dobrze. A co jest w podtekście? Nie mamy u siebie tylu imigrantów spoza Europy, dlatego udało nam się zachować tę czystość, i to w wielu znaczeniach tego słowa.

Co ciekawe, tak samo w sieci pisze się o Białorusi. A do niedawna „najczystszym" miastem dla wielu osób był Dubaj.

No i tak płyną po sieci opowieści o „czystej" Polsce, o Ukraińcach, o złej pani profesor od promocji marki, o matkach, co zaniedbały dzieci. Rosyjskie trolle wciąż dorzucają swoje kamyczki, a Meta patrzy z góry i wszystko monetyzuje. Tak to się kręci.

Nadzieja w tym, co robi teraz Rafał Brzoska. Trzymam kciuki za jego walkę z Metą w sprawie oszukańczych reklam, fałszywych postów i innych nadużyć. Oby to był czas zmiany. ▲

Katarzyna Pawłowska – zastępczyni redaktorki naczelnej „Wysokich Obcasów"



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Sandra Bullock: Życie jak film ■ **TEMAT NUMERU:** • Rozstanie to nie koniec świata
■ **PSYCHOLOGIA:** • Koniec przyjaźni: Co niszczy relacje • Wakacje na dziko: Pod namiotem też można wypocząć
■ **TWARZE:** • Rosemary Kennedy: Wymazana z pamięci i • Agnieszka Cegielska: Przerwane dzieciństwo • Anthony Bourdain: Gonzo przy garach

www.wysokieobcasy.pl **wysokieobcasy** **wysokieobcasy.pl** **listy@wysokieobcasy.pl**

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Katarzyna Pawłowska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I Ddruk:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronach 3, 15, 17, 23, 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 35 (1406)
NA OKŁADCE:
ELIZABETH STROUT
FOT. TRISTAN SPINSKI/ THE WASHINGTON POST/ GETTY IMAGES



SKECHERS

HANDS FREE Slip-ins

GLIDE-STEP

Air-Cooled MEMORY FOAM™



BEZ UŻYCIA RĄK PO PROSTU WSUŃ STOPY I GOTOWE

Zakładanie butów jeszcze nigdy nie było łatwiejsze dzięki Skechers Hands Free Slip-ins®. Zero schylania się. Bez dotykania butów. Po prostu wsuwasz stopy i gotowe.

Heel Pillow™ utrzymuje stopy bezpiecznie w miejscu!

NIGDY WIĘCEJ DOTYKANIA BUTÓW RĘKAMI

NIGDY WIĘCEJ SCHYLANIA

MOŻNA PRAĆ W PRALCE

Joanna Krupa

skechers.pl

ELIZABETH STROUT

Każdy skrywa jakiś sekret

Po opublikowaniu powieści dostałam listy od czytelników, którzy pisali, że w ich życiu również był sekret podobny do tego w książce. Dlaczego tak jest? Ludzie czasami zaspokajają swoje pragnienia za wszelką cenę

FOT. LEONARD CENDAMO



ELIZABETH STROUT

– ur. 1956 r., amerykańska pisarka, laureatka Nagrody Pulitzera za powieść „Olive Kitteridge", na podstawie której powstał miniserial produkcji HBO z Frances McDormand.
Filmowej adaptacji doczekała się też jej debiutancka powieść „Amy i Isabelle". Jej późniejsze książki to m.in. „Mam na imię Lucy", „Lucy i morze", „To, co możliwe", „Opowiedz mi wszystko". Najnowsza nosi tytuł „To, o czym nie mówimy".

Z **ELIZABETH STROUT**, PISARKĄ, ROZMAWIA **PAULINA REITER**

„Olive Kitterigde pojawiła się w mojej głowie, gdy wypakowywałam naczynia ze zmywarki. Zobaczyłam ją stojącą przy stole piknikowym na weselu swojego syna, mówiącą: Najwyższa pora, by wszyscy już poszli do domu" – mówiła pani w „Wysokich Obcasach" Michałowi Nogasiowi. Czy bohater pani nowej powieści „To, o czym nie mówimy" – Artie Dam, starszy nauczyciel historii w prowincjonalnym liceum – również przyszedł do pani w jakiś szczególny sposób?

– To było dziwne! Gdy spoglądam wstecz, widzę wyraźnie, że na jego pojawienie wpłynęły dwie rzeczy. Pierwszą był nekrolog. Wpadła mi w ręce gazeta sprzed lat z północy stanu Nowy Jork. Był tam nekrolog człowieka, który miał na nazwisko Damm. To nazwisko i jego twarz zapadły mi w pamięć. Kilka miesięcy później rozmawiałam z sąsiadem, który napomknął, że on i jego ojciec byli na łodzi, u wybrzeży Massachusetts, i nagle zobaczyli w wodzie głowę człowieka. Podpłynęli, okazało się, że to tonący człowiek, wyłowili go i odstawili na brzeg. Mój sąsiad opowiedział mi, że jego ojciec i ten człowiek przez kilka kolejnych wieczorów umawiali się na drinka i rozmawiali o życiu. Z jakiegoś powodu zdjęcie pana Damma z nekrologu oraz historia o topielcu złączyły się w mojej głowie. Zgubiłam jedno „m" z nazwiska i tak pojawił się Artie Dam, który myśli o samobójstwie do czasu, gdy ma wypadek na wodzie i – szczęśliwie – zostaje odratowany.

Czy Artie Damm z nekrologu był również nauczycielem historii?

– Nie pamiętam, czym się zajmował pan Damm. Pomysł, by mój bohater był nauczycielem historii, pojawił się, gdy tylko zaczęłam go wymyślać. Nagłe objawienie: będzie uczył historii!

Wiele decyzji podczas pisania zapada podświadomie. Zdawało mi się, że dość przypadkowo wybrałam zawód dla Artiego, ale szybko zdałam sobie sprawę z tego, że jest nauczycielem historii, bo moja powieść toczy się w roku wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych i dzięki Artiemu będziemy mogli spojrzeć na rzeczywistość polityczną Ameryki oczami osoby, która zna historię lepiej niż większość ludzi. Dzięki temu mamy dostęp do tego, czego Artie się obawia i co – jak przeczuwa – jest niebezpieczne dla społeczeństwa. Artie, obserwując sytuację w kraju, będzie chciał pomóc swoim uczniom nawigować w trudnych czasach.

Pani bohater ma poczucie, że jego kraj postanowił popełnić samobójstwo. Powieść przenika poczucie końca, poczucie kryzysu moralnego – zarówno na poziomie indywidualnym, rodzinnym, jak i politycznym, społecznym, historycznym. Ten niepokój o stan kraju, domyślam się, jest pani niepokojem? Co panią najbardziej martwi?

– Właściwie wszystko. Wielu ludzi martwi to, co dzieje się z naszym krajem, ja również jestem zaniepokojona. Byłam w głowie Artiego, gdy przyszła mi ta myśl do głowy. W powieści wydała mi się bardzo na miejscu – została pomyślana przez osobę, która miała myśli samobójcze.

Każdy dzień przynosi nowy horror, poczynając od samego początku, kiedy Elon Musk pokazał, jaki ma wpływ na rząd, przez to, jak Donald Trump gmera w Departamencie Sprawiedliwości – zresztą sądzę, że wielu ludzi w Stanach nawet nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważny jest ten resort – poprzez FBI, CIA, po Departament Obrony z jego nowym sekretarzem Pete'em Hegsethem i okropną wojną w Iranie. Jedno wydarzenie goni drugie i każdego dnia jestem oszołomiona tym, co się wydarzyło.

Co gorsza, mam poczucie, że tak wiele zostało zniszczone – struktury państwa, władzy doszczętnie zdemontowano. Sądzę, że odbudowa mojego kraju, przywrócenie go do dawnego stanu potrwa lata. Coraz bardziej wątpię, czy dożyję dnia, w którym on znów będzie zdrowy

Samotność przychodzi i odchodzi, *to część ludzkiej kondycji.*

Nie traćmy nadziei...

– Oczywiście, w końcu zmiana nadejdzie, bo zawsze nadchodzi. Mussolini został rozstrzelany, a jego ciało powieszone głową w dół ku przestrodze. Nie jestem jednak pewna, czy zmiana na lepsze nastąpi za mojego życia.

Pani bohaterowie zazwyczaj niekoniecznie interesują się wielką polityką. Tymczasem w nowej powieści nie mogą pozostać obojętni, zdaje się ona wdzierać w ich życie i w historię, którą pani opisuje.

– Każda powieść, którą piszę, toczy się w konkretnym miejscu i w konkretnym czasie. Jeśli masz miejsce i czas i wrzucisz tam postać, to masz historię, którą możesz opowiedzieć. „Lucy i morze" toczyła się w czasie pandemii. Czas, w którym toczy się nowa powieść, to czas wyborów, a więc to jasne, że historia i polityka przenikną do opowieści.

Artie wypowiada przestrogę dla swoich uczniów. Mówi im, by nigdy nie czuli się lepsi niż ktoś inny. To uwaga w reakcji na to, że klasa szydzi z jednej z uczennic, ale brzmi też jak sentencja na życie, program polityczny.

– Okazuje się zresztą, o czym zapomniałam, że użyłam już tej frazy w innej powieści, w „Mam na imię Lucy". To rada, którą pamiętam z dzieciństwa. Usłyszałam ją w szóstej klasie od nauczyciela w szkole. Podobnie jak Artie Dam udzielił nam wtedy szorstkiej reprymendy, bo zauważył, że jedno z nas stało się obiektem żartów ze strony grupy. Zapamiętałam jego słowa na zawsze. Jestem mu wdzięczna za te słowa – byliśmy młodzi i podatni na wpływ. Podarowałam je Artie-

mu, który próbuje nauczyć swoich uczniów, jak poruszać się w świecie, którego stan go coraz bardziej niepokoi.

Artie opowiada uczniom o narodzinach faszyzmu, o nazizmie. Robi to poza programem, żeby mieć pewność, że jego uczniowie będą to wiedzieli. Ma poczucie, że brunatne idee znów krążą po świecie?
– Tak. Mówi im o Holokauście, choć to było w programie wcześniej, bo nie jest pewien, czy tę wiedzę przyswoili. Ma przeczucie zbliżającej się zagłady w Ameryce i czuje, że jego obowiązkiem jest opowiedzieć dzieciom o tym, co wydarzyło się w Europie, czym był faszyzm. To wszystko, co może zrobić w tym momencie. Ma poczucie, że może spróbować otworzyć oczy tym dzieciakom.

Historii uczymy się, by nie powtarzać błędów przodków. Dorastałam w czasie, kiedy w szkole uczono nas haseł: „Nigdy więcej wojny", „Nigdy więcej faszyzmu". Jako nastolatka wierzyłam w taką przyszłość.
– Ja również. Dlatego każdego dnia jestem oszołomiona tym, co się dzieje, bo ja również dorastałam w czasach, gdy istniał ruch na rzecz praw obywatelskich i wszyscy mieliśmy poczucie, że robimy postęp. Myśleliśmy, że uda nam się przebrnąć przez wiele problemów i wyjdziemy na prostą. A teraz czuję, że wszystko się wali, i to jest bardzo dezorientujące.

W powieści zawiera pani również ostrzeżenie przed platformami społecznościowymi. Rob, syn Artiego, prosi ojca, by ich unikał. Jakie są największe zagrożenia, które pani widzi?
– Rob pracował na kontraktach rządowych. Kiedy opuszcza Stany Zjednoczone, przeprowadza się do Brukseli i rozpoczyna pracę – można się domyślać, że dla NATO – zaczyna dostrzegać, że ludzie, którzy wracają do kraju, mają często problemy z powodu tego, co amerykańskie służby znajdują na ich platformach społecznościowych. Ostrzega ojca, by trzymał się od tego z daleka, bo nie chce, by go prześwietlano.

Kiedy pisałam tę książkę, pewne rzeczy jeszcze się nie wydarzyły – osoby, które protestują przeciwko obecnej polityce państwa, nie zostały postrzelone na ulicach. A jednak miałam przeczucie, że do tego dojdzie.

Po napisaniu książki udzielałam wywiadów dziennikarzom z krajów europejskich – byli zaniepokojeni, bo chcieli wjechać do Stanów i musieli na granicy pokazać telefon. Jeden z nich miał na swoim koncie krytyczne uwagi na temat Trumpa i nie został wpuszczony do USA. Nasze gazety jeszcze w tamtym czasie nie podchwyciły tego tematu. Wydawało się, że nikt w kraju jeszcze nie wie o tym, że coś takiego się dzieje. A to już się działo.

Ludzie w obawie przed służbami zaczęli używać telefonów komórkowych z jednorazowymi kartami SIM i mieli zaszyfrowane dane. To było realne już wtedy, gdy książka poszła do druku. Od czasu jej publikacji słyszałam od wielu osób, że przed przyjazdem do Stanów starają się usunąć różne rzeczy ze swoich kont na platformach społecznościowych i ze swoich telefonów, a także od ludzi mieszkających

OGŁOSZENIE



Zadbaj o bezpieczeństwo i chroń się przed RSV.

RSV występuje w dwóch typach: A i B. Oba mogą być dla ciebie groźne: odporność po zarażeniu jednym typem RSV jest niepełna i nie chroni w pełni przed drugim.[1,2]

A B

Zaszczep się już dziś!

Masz 60 lat lub więcej? Porozmawiaj z lekarzem, farmaceutą lub pielęgniarką o dwóch typach RSV i sprawdź możliwość darmowych szczepień.[3]

Dowiedz się więcej na www.szczepieniersv.pl

RSV - syncytialny wirus oddechowy.
Referencje: 1. Cantú-Flores K, et al. Pathog Glob Health. 2022;116(7):398-409. 2. Nuttens C, et al. Infect Dis Ther. 2024;13(8):1725-1742. 3. Komunikat Głównego Inspektora Sanitarnego z dnia 31 października 2025 r. w sprawie Programu Szczepień Ochronnych na rok 2026 (DZ. URZ. Min. Zdr. 2025.85. Ogłoszony: 31.10.2025).

Pfizer Polska Sp. z o.o. ul. Żwirki i Wigury 16B, 02-092 Warszawa, Kapitał zakładowy 33.860.000 zł. KRS 0000022310 Sąd Rejonowy dla m.st. Warszawy. NIP 5213115586. BDO 000189470.

PP-UNP-POL-0499

w Stanach, którzy robią to samo z obawy przed tym, że zostaną aresztowani. To przerażające.

Choć polityka jest obecna w tej powieści, to jednak nie chciałabym, by nasze czytelniczki i nasi czytelnicy mieli wrażenie, że ta powieść to thriller polityczny.
– I słusznie, bo to nie jest polityczna książka. To głównie książka o mężczyźnie i jego synu oraz ich relacji, a jedynie akcja toczy się w specyficznym momencie dziejów.

W „To, o czym nie mówimy" pojawia się motyw – też znany z pani książek – że nie możemy poznać całkowicie innego człowieka, nawet gdy jest nam bliski, nawet gdy dzielimy z nim życie. Dlaczego ten wątek panią tak frapuje?
– To zabawne, bo przeglądałam ostatnio moje stare dzienniki i stare, niedokończone teksty, których próbuję się pozbyć, więc je niszczę, żeby nie pozostał po nich ślad...

Och, nie!
– Przy okazji przeglądania ich odkryłam, że nie zdając sobie nawet z tego sprawy, podejmowałam wielokrotnie ten temat: czy możemy w pełni poznać drugiego człowieka? Myślę o tym od tak dawna i dopiero pisząc tę powieść, zdałam sobie sprawę z tego, że znam odpowiedź na to pytanie. Brzmi: „Nie". Nie da się poznać drugiego człowieka. Pomyślałam, że narrator powie to czytelnikowi wprost.

Tyle że to wcale nie jest taka zła rzecz. Poznajemy różnych ludzi na tyle, na ile to możliwe, i to wspaniałe, że można wymieniać się myślami z drugą osobą, ale nie da się wniknąć do jej głowy ani nie można wiedzieć, co myśli w każdej chwili.

Ale wielokrotnie mówiłam już w wywiadach, że zawsze szukam w życiu tego, co nazywam momentami łaski. Nie mam na myśli religijnego rozumienia tego słowa – chodzi mi o chwile, w których ludzie czują ze sobą więź, w których czują się zrozumiani, dostrzeżeni przez drugą osobę.

Zanim przejdziemy dalej – dlaczego niszczy pani notesy? Nie chce pani, byśmy się dowiedzieli, co tam jest?
– O nie, nie! Nie chcę, by ktokolwiek je czytał, szczególnie moja córka. Naprawdę nikt nie musi wiedzieć, co w nich było. Niszczę wszystkie stare manuskrypty, w których zapisałam różne myśli i próby skonstruowania moich powieści.

To straszne. Czytałam ostatnio nieukończoną, wspaniałą książkę Ingeborg Bachmann „Przypadek F.". Choć nie do końca ułożona, jest arcydziełem. To byłaby wielka szkoda, gdyby Bachmann zniszczyła te notatki.
– Wiem, wiem, wiem. Co jakiś czas spoglądałam na te moje notesy i zastanawiałam się, co z nimi zrobić. Aż wreszcie pomyślałam: po prostu odpuść to. Cokolwiek tam jest.

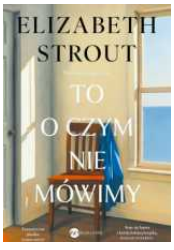
Jednym z pytań, które nurtują pani bohatera, jest to, czy mamy wolną wolę.
– Myślę o Artiem tak, jak on myśli o sobie: że nie jest jakimś szczególnie inteligentnym człowiekiem. To znaczy jest bystry, ale nie jest myślicielem, który lubi głębokie rozmyślania, niemniej rozumie wiele spraw i w tym momencie jego życia – przed sześćdziesiątką – mógłby zacząć zastanawiać się nad wolną wolą. Pozwoliłam mu porozmyślać o tym, na ile sami mamy wpływ na życie, a na ile jest to z góry przesądzone. Może czytelnik będzie chciał nad tym rozmyślać wraz z moim bohaterem?

W centrum opowieści jest wielki sekret rodzinny – nie zdradzajmy go, żeby nie psuć lektury. Dlaczego, jak pani sądzi, ludzie tak często kłamią, zamiast powiedzieć prawdę?
– Dla mnie to bardzo zajmująca kwestia. Po opublikowaniu powieści dostałam kilka listów od czytelników, którzy pisali, że w ich życiu również był sekret podobny do tego w książce. Dlaczego tak jest? Ludzie mają różne pragnienia i potrzeby i chcą je realizować najczęściej od razu. Czasami zaspokajają te pragnienia za wszelką cenę. Sądzę, że każdy zrozumie, dlaczego żona Artiego, Evie, nie chciała wyjawić swojego sekretu, bo każdy ma tajemnice – jedne większe, inne mniejsze. Raz na jakiś czas dowiadujemy się, że ktoś skrywał wielki sekret, i nas tym kompletnie zaskakuje.

Sądzę, że gdyby ludzie nie mieli sekretów, nie byłoby wielu wielkich dzieł literatury.
– Właśnie tak – gdyby ludzie nie skrywali tajemnic, nie byłoby o czym pisać!

Książka „To, o czym nie mówimy" została nominowana do Nagrody Bookera, jednej z najważniejszych nagród literackich na świecie. Czy dla pani – laureatki Pulitzera za „Olive Kitteridge" – ma to znaczenie, czy też nagrody już pani nie ekscytują?
– Oczywiście, że to dla mnie ważne i bardzo się cieszę z tej nominacji, choć nie jest to coś, co mnie napędza. Piszę dla moich wiernych czytelników i dla nowych, którzy dopiero sięgną po moje książki. Zależy mi na tym, żeby książka dotarła do tych, którzy jej potrzebują, którzy ją polubią i docenią. Cokolwiek się wydarzy później, jest miłe.

Gdy siadam i piszę, zawsze jest obok mnie czytelnik. I ten czytelnik nie ma płci ani wieku, ale czuję jego obecność. Jest trochę zainteresowany, ale nieszczególnie, więc moim zadaniem jest go zaciekawić i utrzymać jego uwagę. Nie chcę jego ani jej okłamywać, nie chcę się przed nim popisywać, ale chcę ich porwać historią, która sprawi, że poczują się przez chwilę ważni. Chcę, by – gdy odłożą książkę – pomyśleli: „Teraz to rozumiem". Albo: „Zawsze sądziłam, że tylko ja tak czuję, teraz rozumiem, że nie jestem jedyna", albo: „Teraz rozumiem inną osobę lepiej". Pragnę, żeby moi czytelnicy przeżyli chwilę transcendencji, nawet jeśli ona minie w ciągu paru minut. O tym myślę, gdy piszę.



ELIZABETH STROUT
„To, o czym nie mówimy", przekład Kaja Gucio, wyd. Wielka Litera

Jednym z pani wielkich tematów jest poczucie samotności. Ale pani nie przedstawia jej jako czegoś strasznego – może dlatego, że ją pani oswoiła? W końcu pisarstwo to samotnicza praca...
– To ciekawe, że pani tak to ujęła. Mówiłyśmy, że nie do końca można poznać drugiego człowieka, ale też nie zawsze do końca znamy siebie, i ta pani uwaga coś

mi uświadomiła. Faktycznie, samotność nie jest dla mnie czymś strasznym. Dla mnie samotność to oczywistość. Nie sądzę, by była czymś, czego należy się bać, choć wiem, że ludzie się jej boją i próbują jej unikać. Osobiście nie sądzę, by lęk przed samotnością był konieczny – to część ludzkiej kondycji, samotność przychodzi i odchodzi. Czasami jej doświadczamy, a potem znów możemy doświadczyć łaski bliskości z drugim człowiekiem.

Przywołuje pani słowa Johna Donne'a o tym, że żaden człowiek nie jest samoistną wyspą. Mam wrażenie, że to pani credo.
– Tak. Jesteśmy połączeni i wpływamy na siebie nawzajem, często nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wracając do Artiego i jego studentów – naprawdę wierzę, że dobry nauczyciel to rzadkie zjawisko, ale jakże istotne w życiu młodego człowieka. I szczerze wierzę, że nasze życie może się zmienić dzięki życzliwości ludzi, którzy pojawiają się w naszym życiu w pewnym momencie. Artie na pewno odmienił życie swoich uczniów.

Pisząc tę powieść, rozmawiałam z kilkoma nauczycielami historii, żeby upewnić się, że dobrze oddam tę postać. Rozmawialiśmy o uzależnieniu od telefonów komórkowych, o sztucznej inteligencji, o plagiatach związanych z jej użyciem, kryzysie prawdy, fake newsach i tego typu tematach. Ci ludzie robią niesamowitą robotę – to takie ważne, by młodzi ludzie mieli poczucie, że komuś na nich zależy, że ktoś się o nich troszczy.

A pani miała takiego nauczyciela, który wpłynął na pani życie i który pozostał w pani pamięci?
– Miałam kilku świetnych nauczycieli, życzliwie nastawionych do uczniów, którzy zostali w mojej pamięci. Ale nie miałam aż tak wyjątkowego nauczyciela jak Artie Dam. Zresztą, niestety, mój nauczyciel historii był okropny.

Ale pisząc Artiego, przywoływałam też własne doświadczenia nauczycielskie z czasu, kiedy uczyłam w Manhattan Community College, co trwało 13 lat, kiedy przeprowadziłam się do Nowego Jorku. To uczelnia publiczna i studenci często byli pierwszymi osobami w rodzinie, które ukończyły szkołę średnią. Byłam młoda i pełna entuzjazmu, a oni byli bardzo bezpretensjonalnymi, wspaniałymi ludźmi.

Często czytam, że pisze pani o zwykłych ludziach. Ale co to właściwie znaczy?
– Zawsze mnie zaskakuje, gdy ludzie to mówią. Zastanawia mnie, co mają na myśli. Uważam, że każdy jest bardzo wyjątkowy, ciekawy na swój sposób, zwłaszcza jeśli mamy szansę poznać kogoś bliżej. Niezmiennie zdumiewa mnie i zaskakuje, co ludzie przeżywają, i nigdy nie myślę o nich jako o szarych ludziach. Chyba żeby myśleć o tym tak, że każdy z nas jest na koniec zwykłym człowiekiem.

Może „zwykły człowiek" to ten, którego historii jeszcze nie poznaliśmy?
– Myślę, że właśnie tak jest. Zwykły człowiek to osoba, którą mijasz na ulicy, dopóki nie poznasz bliżej jej historii. ▲

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Kobiety, które współtworzyły historię Mazowsza

Przez wieki stały u boku książąt, ale nie pozostawały w ich cieniu. Córki, żony i matki mazowieckich Piastów zawierały polityczne małżeństwa, budowały sojusze, zarządzały majątkami, fundowały kościoły i szpitale, a niekiedy same sięgały po władzę.

Kobieta u władzy

Rola kobiet jeszcze bardziej zaznaczyła się na początku XVI wieku. To wówczas Anna z Radziwiłłów, księżna mazowiecka, doszła do władzy. Po śmierci swojego męża Konrada III Rudego w 1503 roku została regentką w imieniu nieletnich synów: Stanisława i Janusza III. Obejmując władzę, miała 27 lat. Musiała nie tylko zarządzać księstwem, lecz także bronić jego praw i pozycji wobec Korony, a do tego zręcznie manewrować pomiędzy potężnymi siłami – Koroną Królestwa Polskiego a Zakonem Krzyżackim. Po śmierci syna Anny – Janusza III, który nie miał potomstwa, wygasła męska linia mazowieckich Piastów, a Mazowsze w 1526 roku zostało włączone do Korony.

500-letnia rocznica

W 2026 roku mija 500 lat od wydarzeń, które zakończyły trwającą kilka stuleci odrębność polityczną Mazowsza i na trwałe zmieniły jego miejsce w strukturze państwa polskiego. Z tej okazji Muzeum Mazowieckie w Płocku przygotowało największą od lat wystawę poświęconą dziejom regionu w średniowieczu „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego". Wernisaż wystawy zaplanowano na 10 września 2026 roku. Będzie można ją odwiedzić do 10 grudnia 2026 roku.



Projekt „Mazowsze dla Korony. 500-lecie włączenia Mazowsza do Królestwa Polskiego" finansowany jest ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego.

Gdziekolwiek jesteś

Życie bez domknięcia to męczarnia. Codziennie, gdy kładę się spać, o niczym innym nie marzę, tylko o tym, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie: Co się stało z moim synem?

Z **AGNIESZKĄ DYMIŃSKĄ**, MAMĄ KRZYSZTOFA, ROZMAWIA **PAULINA REITER**



FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL; MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Dymiński zaginął 27 maja 2023 r. Wyszedł z domu nad ranem, ostatni raz kamery zarejestrowały go na Moście Gdańskim w Warszawie. Od tego czasu trwają jego poszukiwania. Film Michała Marczaka „Bez końca" przedstawia heroiczne poszukiwania na rzece, które prowadzi ojciec Krzysztofa.

Co pani sądzi o filmie?

– Uważam, że jest straszny. Nie dlatego, że jest zły, ale dlatego, że ja to przeżyłam. Widziałam film jeszcze przed premierą na festiwalu w Sundance. Michał Marczak zapytał mnie po seansie, co sądzę. Powiedziałam: „To straszny film, bo tak wygląda teraz nasze życie". Zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądają działania, które mój mąż Daniel podejmuje na Wiśle, poszukując Krzysztofa, ale film w sposób wstrząsający pokazuje jego desperację, na granicy obsesji.

Widzimy kontrast między małym człowiekiem na łódce a wielką wodą, widzimy tę syzyfową pracę. Żaden rodzic nie powinien szukać swojego dziecka w taki sposób.

Ale to film ważny i potrzebny. Pozwala pomyśleć o swoim życiu i relacjach z najbliższymi.

Widzimy, jak pani mąż wchodzi na Most Gdański. Wrzuca do rzeki manekina, który może pokazać trajektorię spływającego ciała. Pani tam nie ma. Nie jest pani w stanie iść na ten most?

– Nie, nie dałabym rady robić tego tak, jak robi to Daniel. Nie umiem działać w tak techniczny sposób. Pani mówi „ciało" – ja myślę o dziecku. Ale oczywiście byłam na tym moście, gdy tylko policja powiedziała nam, że ostatni ślad Krzyśka pochodzi z Gdańskiego. Stanęłam na środku – jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, w którym miejscu dokładnie stał Krzysiek – i popatrzyłam na rzekę. Woda była mętna, brudna, gliniasta. Pomyślałam, że to niemożliwe, żeby on skoczył. Znałam mojego syna dobrze i wydawało mi się, że ostatnią rzeczą jest to, że mógłby chcieć odebrać sobie życie... Chociaż również nie sądziłam, że Krzysiek może wstać w nocy i wyjść z domu. A więc rodzą się pytania, na ile znałam mojego syna.

Gdy policjanci przyszli do naszego domu po zaginięciu Krzysztofa, mówili mi: „Zobaczy pani, ile się jeszcze pani dowie rzeczy o swoim dziecku, których pani nie wiedziała".

I?

– Mimo wszystko uważam, że go znałam. Nic z tego, czego dotąd się z mężem dowie-



dzieliśmy, mnie nie zaskoczyło. Natomiast bardzo mnie zdziwiło, że policjanci powiedzieli, że nie interesuje ich powód wyjścia Krzyśka z domu. Pytałam: „Jak chcecie szukać mojego syna, skoro to was nie interesuje?". Ich interesował tylko skutek, czyli że osoba jest zaginiona.

Ale panią powód musiał interesować.
– Najpierw próbowaliśmy z mężem znaleźć jakieś logiczne wytłumaczenie. Rano poszłam go obudzić. Nie było go w pokoju. Zaczęliśmy dzwonić, telefon nie odpowiadał. Zastanawialiśmy się: wyszedł gdzieś i zasłabł? Telefon mu się rozładował? Później przychodzą inne pytania. Co się stało? Czy zrobiliśmy coś nie tak? Coś nie tak powiedzieliśmy? Zadręczaliśmy się.

Później na szczęście trafiliśmy do psychotraumatologa. On uczył nas, jak nie budować scenariuszy tego, co się mogło wydarzyć. Nie wkręcać się w to, co Krzysiek mógł czuć. Nie gdybać. To tylko wzmaga zadręczanie się. Policja zasugerowała, że możemy się udać po pomoc w ramach interwencji kryzysowej do ośrodka w Warszawie. Skorzystaliśmy także z tego. Potrzebowaliśmy pomocy, bo nie wiedzieliśmy, jak sobie z tym radzić.

Pani często mówi w liczbie mnogiej. Wiem, że przechodziliście przez to razem, ale ja bym chciała porozmawiać bardziej o pani, szczególnie że w filmie jest pani na drugim planie, prawie niewidoczna.
– Film opowiada o rodzinie, ale Michał zdecydował, że to będzie opowieść o Danielu. Nie dziwię mu się, bo ilu jest ojców, którzy tak szukają dziecka? Którzy byliby tak zdesperowani, żeby zamknąć sprawę? Zresztą ja nie za bardzo lubię o sobie mówić. Nie potrafiłabym się tak otworzyć jak Daniel. Nawet u psychologa początkowo miałam problem, żeby nazywać uczucia, które mi towarzyszą.

Dlaczego zgodziła się pani na film?
– Nadal nagłaśniamy sprawę Krzyśka. Ciągle jest we mnie jakaś nadzieja, że on nie skoczył, ale zszedł z mostu, więc może ktoś go rozpozna. Po drugie, chcę mówić o zaginięciu Krzyśka, by pomóc innym, zaopiekować się tematem rodzin, które coś takiego przeżyły i przeżywają. Pokazać, z czym mierzy się taka rodzina. Często słyszę, jak ktoś, zamiast mówić, że dziecko zniknęło, mówi, że uciekło z domu. To stwierdzenie od razu stygmatyzuje rodzinę, sugeruje, że coś było nie tak. Ludzie w pierwszej kolejności oskarżają rodzinę, w naszym przypadku też tak było i nadal spotykamy się z takimi opiniami.





Kadry z filmu „Bez końca"

I najważniejszy powód: żeby po obejrzeniu tego filmu choć jedna młoda osoba zrezygnowała z decyzji o zniknięciu czy próbie samobójczej.

Oprócz tego, że musiała się pani mierzyć z dramatem, spotkała się też pani z krzywdzącymi ocenami?
– Dla mnie to było zaskoczenie. Nie jestem celebrytką ani influencerką, nie dlatego występowałam w mediach, nie szukałam sławy. Jestem po prostu mamą Krzyśka i jedyne, co zrobiłam, to poprosiłam ludzi, żeby byli uważni, bo może Krzysiek gdzieś obok nich przechodził. Ocenianie mnie jako matki bardzo mnie bolało i boli do dziś.

Na początku ludzie bardzo chcieli nam pomagać. To było niesamowite. Z czasem to zaangażowanie zmalało, ale pomagają cały czas. Są uważni, wspierają dobrym słowem. Bardzo jestem za to wdzięczna. Ale była na przykład taka dziewczyna, która nam pomagała, a potem dostała jakiejś obsesji. Jej misją stało się wykazanie, że z naszą rodziną, a zwłaszcza ze mną, jest coś nie tak. Założyła grupę na Facebooku, gdzie rozbierała na części różne wątki, a potem usuwała to, co napisała.

Znała Krzyśka?
– Nie. Ta grupa była otwarta, więc do niej dołączyłam. Dowiedziałam się, że mnie oskarża. Zarzucała mi na przykład, że tego dnia, gdy Krzysiek wyszedł w nocy z domu, był u mnie kochanek pod nieobecność męża, i że Krzysiek to zobaczył. Wrzucała taki komentarz i po krótkim czasie go kasowała, ale przynęta już została zarzucona, ludzie zaczynali o tym dyskutować. Innym razem wykorzystała zdjęcie moje i Krzyśka, z którego wykadrowałam drugiego syna, Patryka. Nie chciałam publikować jego wizerunku, chciałam go chronić. Stałam z Krzyśkiem na tle krzewów. Ta kobieta przerobiła to zdjęcie i pokazując je na grupie, próbowała przekonać innych, że to ja majstruję przy zdjęciach, argumentując, że te krzaki nierówno się łączą, że przedziałek mam po innej stronie... Wymyśliła sobie, że mam coś za uszami, że nie mówię prawdy. Pisała, że z Danielem jesteśmy małżeństwem tylko na papierze. Albo że Patryk na pewno coś wie, ale nie dopuszczam go do zabrania głosu publicznie. Pragnęła sensacji. Na szczęście ta grupa została w końcu zamknięta.

Niestety, nie była jedyna...

Koszmar.
– Miałam też historię z jasnowidzem, który zadzwonił do mnie i powiedział, że Krzy-

siek został zamordowany i że pomoże mi znaleźć ciało. Wahadełko mu powiedziało. Dwa tygodnie później zadzwonił, że się pomylił, że jednak widział Krzyśka żywego w autobusie. Tłumaczył, że chciał tylko pomóc. Ten pan zrobił dużo złego. Robił transmisje na żywo na swoich kanałach w mediach, opowiadał tam o naszej sprawie i pobierał za to opłaty.

Nie wiem, kto jest w stanie płacić za słuchanie takich głupot, ale okazuje się, że tacy ludzie są. W jednym z filmów położył zdjęcie Krzyśka na stole, wziął wahadełko i pytał, czy tata jest winny jego wyjścia z domu, czy brat, czy mama. Gdy zapytał o mnie, wahadło się zaczęło ruszać. Zaczęły się spekulacje i oczernianie mnie. Musiałam zareagować, poszło do niego pismo od prawnika. Skasował te treści i przeprosił. To nie był żaden jasnowidz. Ten pan para się różnymi rzeczami w życiu. Jest wiele osób, które skrzywdził w podobny sposób.

Chcę wrócić do pytania, dlaczego Krzysiek wyszedł z domu nad ranem. Powiedziała pani, że policji to nie interesowało. Ale panią tak.

– Wszystko sprawdzaliśmy. Policja nie była zainteresowana komputerem Krzyśka, więc sami sprawdziliśmy, co mogliśmy. Po jakimś czasie Daniel odzyskał backup telefonu syna. Przeczytałam wtedy jego prywatne rozmowy, co było dla mnie dużym dyskomfortem. Wiedzieliśmy, że Krzysiek był zakochany, że mu zależało na tej dziewczynie. Bardzo się z tego cieszyłam, że ją poznał. Pomyśleliśmy, że może coś się między nimi wydarzyło, pokłócili się. To była moja pierwsza myśl, gdy jechaliśmy na policję.

Ale nie chciałabym o tym mówić. Od początku staramy się chronić tę dziewczynę, nie chcemy, by ktoś ją oskarżał. Celowo nie podajemy jej imienia. Nie chcę, by czuła się winna. W mediach mówię jedynie o faktach, że Krzyś spotkał się z nią dzień wcześniej, potem do późna rozmawiali w internecie. Nad ranem wstał, zabrał ze sobą m.in. plastikową różę, którą od niej dostał, i wyszedł. Zależało mi na tym, by policja te ich rozmowy przestudiowała, ale ich chyba takie rzeczy nie interesują.

Nie chcę przez to powiedzieć, że nie zostaliśmy potraktowani poważnie. Przeciwnie – Krzysiek przy zgłoszeniu dostał pierwszy stopień w skali poszukiwań. Ale dlaczego ja jako matka nie mogę zobaczyć ostatniej nagranej monitoringiem miejskim drogi mojego dziecka? Dlaczego działania objęte są klauzulą tajności? Ja bym chciała wiedzieć, jak mój syn się zachowywał, jadąc autobusem na ten most, bo mogłabym spróbować ocenić, co myślał, czuł... Przecież znaliśmy go z mężem najlepiej...

Mówi pani o obsesji, z jaką pani mąż wracał nad Wisłę, by ją przeczesywać. Z filmu wyniosłam wrażenie, że zniknął pani z domu syn, a potem mąż.

– Trochę tak było. Kocham Daniela, dlatego nie mogłam mu powiedzieć: „Przestań to robić! Zajmij się mną!". Mogłam jedynie powtarzać: „Nie zapominaj, że masz drugiego syna".

Czekałam, aż sam zdecyduje, że czas zakończyć poszukiwania. Minęły ponad trzy lata, odkąd Krzyśka nie ma, a Daniel dalej pływa... Nie dalej jak wczoraj rozmawialiśmy o tym, że jest historycznie niski poziom wody w Wiśle i Daniel zastanawiał się, jak ten fakt wykorzystać, co jeszcze można zrobić. Jeśli Krzyś utonął, to jest już szukanie szczątków, czegokolwiek, co mogłoby wskazać, że wybrał tę drogę: butów, łańcuszka... Nie oszukuję się – potrzebujemy dziś cudu, żeby cokolwiek znaleźć, jeśli on jest w tej wodzie.

Nie dostaliście domknięcia, które jest potrzebne, by przeżyć żałobę?

– Nie dostaliśmy. Ale dzięki pomocy Daniela domknięcie dostał Mariusz, ojciec Gabrysi, której ciało Daniel pomógł odnaleźć. Życie bez domknięcia jest męczarnią. Codziennie, gdy kładę się spać, o niczym innym nie marzę, tylko o tym, by znaleźć odpowiedź na pytanie: Co się stało z moim synem?

Tworząc kampanię „Gdzie jesteś?", wiedzieliśmy, że to będzie rozdrapywanie ran. *Ale ja chcę mówić o Krzyśku*

Obraz, jaki widzimy w filmie, że siedzi pani w domu, w kuchni, podczas gdy mąż szuka syna, nie do końca jest prawdziwy. Pani pracowała i pracuje nadal.

– Tak, w branży odzieżowej na stanowisku menedżerskim. Mój pracodawca wykazał się dużą wrażliwością i zrozumieniem. Usłyszałam, bym wzięła tyle wolnego, ile potrzebuję. Na początku w 100 proc. poświęciliśmy się poszukiwaniom – ja również poszłam w teren. Podzieliliśmy się z Danielem – on przeczesywał Wisłę, ja zostałam w domu, żeby odbierać telefony, przyjmować zgłoszenia. Do pracy wróciłam po dwóch tygodniach, bo już nie chciałam siedzieć w domu i płakać.

Jednak w tym sensie film pokazuje prawdę, że moją główną rolą życiową – rolą, której pragnęłam – jest być żoną i matką. Bardzo chciałam mieć rodzinę, to był mój nadrzędny cel. Gdy Krzyś wyszedł z domu, to się posypało. Potrzebowałam pomocy specjalisty, żeby spróbować zrozumieć, po co mamy dalej tworzyć rodzinę, po co żyć. Oczywiście jest Patryk, który potrzebował naszego wsparcia, tylko że trudno dawać wsparcie, gdy samemu się nie wie, jak dalej żyć. Wszyscy potrzebowaliśmy pomocy.

Pamiętam, jak Daniel pierwszy raz poszedł na Wisłę, by szukać Krzyśka. Wrócił i powiedział: „Przepraszam, że nie znalazłem nam syna". I się rozpłakał w drzwiach. Myślę, że on do dziś sam narzuca sobie tę presję, by mi ulżyć w bólu – byśmy się dowiedzieli, co się stało. Żeby to zawieszenie się skończyło. Jeśli Krzyś żyje, niech się odezwie. A jeśli nie, to też chciałabym się dowiedzieć.

Tworząc kampanię „Gdzie jesteś?" wspierającą rodziny, które pozostają w stracie, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że to będzie dla nas rozdrapywanie rany. Ale jednocześnie chcę mówić o Krzyśku. Nie wymazuję syna z mojego życia, nie wymazuję tych 16 lat, kiedy był z nami. Jestem za nie bardzo wdzięczna.

Starałam się być dla Krzysia, tak jak dla Patryka, dobrą matką. Krzyś jest naszym czwartym dzieckiem, ale drugim urodzonym. Miałam problem z utrzymaniem ciąż. Sama jestem jedynaczką i bardzo chciałam, żeby Patryk miał rodzeństwo. Dwa razy poroniłam, czwarta ciąża się utrzymała. To był dla nas cud. Jako niemowlę Krzyś dużo płakał, ale później już był zawsze uśmiechnięty. I to mu zostało. Miał takie śmiejące się oczy. Ludzie do niego lgnęli. Był radosny, ciekawy świata, dlatego tym trudniej mi zrozumieć...

Miał w sobie chęć życia, miał marzenia. Był taki skrupulatny i metodyczny, to po



Kadry z filmu „Bez końca”

Danielu. Jeśli zdecydował się zejść z mostu i zniknąć, to jeśli ktoś mu krzywdy nie zrobił, to jestem pewna, że sobie świetnie dał radę. Ale nie powinnam wchodzić w takie myślenie, bo można zwariować, a ja nie chcę zwariować. Nie cofnę czasu, nie zmienię decyzji Krzyśka, po prostu chciałabym wiedzieć, czy żyje, czy nie. I tutaj obwiniam policję.

O co?

– Myślę sobie, że gdyby weszli na wodę wcześniej i gdyby szukali tak, jak szuka mój mąż, być może dzisiaj miałabym odpowiedź i nie cierpiałabym w niewiedzy tak długo. Mój Krzysiu wyszedł w sobotę nad ranem z domu, a policja zaprosiła nas dopiero w czwartek rano – 1 czerwca, w Dzień Dziecka – na komisariat w Babicach i funkcjonariusze powiedzieli nam, że Krzysiek na 95 proc. skoczył do Wisły.

Pokazali wam film z mostu?

– Fragment, nie całe nagranie. Z tych kadrów nie wynikało, że chce skoczyć do Wisły. Po prostu tam stał, przez 20 minut. I patrzył w dal. Kamera nie uchwyciła momentu skoku.

Prosiliśmy o to, by pokazano nam zapis z monitoringu z autobusu, gdy jechał do Warszawy. Odmówiono nam. A ja bym chciała zobaczyć, jak się wtedy zachowywał. Może dałoby mi to jakąś odpowiedź, może bym zrozumiała, co wtedy myślał, bo naprawdę dobrze go znałam.

To nie są puste słowa. Syn dzielił się ze mną różnymi sprawami. Na pewno miał swoje sekrety, nie mówił mi wszystkiego, a ja szanowałam jego prywatność.

Dziś ludzie szukają we wszystkim sensacji. Powiedziałam kiedyś w mediach, że nie wchodziłam do jego pokoju po tym, gdy powiedział mi dobranoc i szedł spać. Niektórzy zapamiętali z tej wypowiedzi tylko to, że nie wchodziłam do jego pokoju, i odbierają to tak, że się nim nie interesowałam. To bardzo krzywdzące... A on miał przecież prawo do prywatności, czas, żeby zadzwonić do kolegi, do dziewczyny.

Ale tamtej nocy pani weszła.

– Tak... Dlaczego? Do dzisiaj nie wiem. Nazywam to jakąś intuicją. Weszłam i pocałowałam go w skroń. Potem, gdy zniknął, rozmawiałam z Danielem, że może gdybym wtedy się koło niego położyła, to może powiedziałby mi, co mu leżało na sercu. Wiem ze swojego doświadczenia, że najczarniejsze myśli przychodzą do człowieka, kiedy leży w nocy, jest ciemno i cicho. Może gdyby mi wtedy powiedział...

W filmie pojawia się wątek filmików z TikToka znalezionych w jego mediach społecznościowych, w których poruszony jest temat samobójstwa. Co pani pomyślała, gdy je znaleźliście?

– Trudno mi to oceniać. Wiem, że takie treści są przez młodych inaczej interpretowane niż przez nasze pokolenie. Takie filmiki były trzy, pośród prawie dwustu, które repostował. Dla mnie ciekawe byłoby się dowiedzieć, kiedy to się stało. Większość filmików dotyczyła historii, polityki i biologii, bo tym się interesował. Szczególnie biologią, bo chciał zostać lekarzem. Ale były też śmieszne filmiki.

Natomiast jeśli chodzi o jego stosunek do samobójstwa, pamiętam, jak o tym rozmawialiśmy, bo była taka tragedia w Ożarowie, że dziecko weszło pod pociąg. Krzyś powiedział mi wtedy, że odebranie sobie życia to dla niego tchórzostwo i głupota. Dlatego biorę pod uwagę scenariusz, że zszedł z mostu. A jeśli skoczył? Bodajże w 2024 roku była taka historia, że z Mostu Poniatowskiego chłopak skoczył do Wisły i przeżył. Wypłynął na praską stronę.

Krzysztofa szukała cała Polska. O waszej sprawie było bardzo głośno. Nadal dostaje pani zgłoszenia. Nawet przed naszą rozmową ktoś dzwonił?

– Tak, poinstruowałam tę osobę, jak zrobić zgłoszenie. Ktoś mnie zapytał kiedyś, dlaczego ta sprawa jest taka głośna. To wynik naszej determinacji, pracy, autentyczności. Ludzie bardzo chcieli i chcą nam pomóc. Bardzo im za to dziękuję.

Przecież ja pana marszałka Hołowni nie znałam wcześniej. A pewnego dnia, przeglądając Facebooka, patrzę, że napisał do mnie wiadomość, że zna naszą historię i zaprasza na kawę na Wiejską, gdybyśmy chcieli porozmawiać. Poszliśmy i to był kolejny etap tej historii, bo to spotkanie wyznaczyło dla nas nowy kierunek. Postanowiliśmy zrobić kampanię społeczną „Gdzie jesteś?”, powołać Parlamentarny Zespół ds. Zaginięć. Zorientowaliśmy się, że z naszą wiedzą i doświadczeniem możemy pomóc innym.

Poza tym już wiedzieliśmy, że wiele osób, które nam zgłaszano jako osoby przypominające Krzyśka, mogły być osobami zaginionymi.

Pomogliście innym znaleźć zaginionych członków rodziny?

– Wydaje mi się, że tak, ale nie mam pewności. Na przykład odebrałam telefon od pewnej pani, że na ławce siedzi chłopak, że może to Krzyś. Okazało się, że to inny zaginiony, ale szczegółów tej sprawy

GABI DRZEWIECKA powraca jako ambasadorka Garnier Olia po 10 latach!



Co dobre, wraca po latach – i to w najlepszym stylu! **Gabi Drzewiecka**, jedna z najbardziej cenionych dziennikarek muzycznych i osobowości medialnych w Polsce, **ponownie została twarzą marki Garnier Olia.**

Dokładnie dekadę temu była jedną z bohaterek premierowej kampanii tej innowacyjnej farby. Dziś, **po 10 latach udowadnia, że prawdziwy zaufany wybór nie potrzebuje zmian.** Jej ulubionym odcieniem stał się zmysłowy i pełen głębi **6.35 – czekoladowy jasny brąz.**

Powrót po dekadzie: Autentyczność, która buduje zaufanie

W 2015 roku Gabi Drzewiecka była jedną z twarzy debiutującej na rynku rewolucyjnej koloryzacji od Garnier. Tamta współpraca była jednym z jej pierwszych kroków w świecie dużych kampanii komercyjnych. Przez ostatnią dekadę jej kariera nabrała tempa – Drzewiecka prowadziła najważniejsze festiwale muzyczne, programy telewizyjne, a obecnie z sukcesem realizuje swój autorski projekt „Gabi Drzewiecka Zaprasza".

Zgodnie z najnowszą strategią marki, opartą na platformie „**Maksymalna moc koloru bez widocznych uszkodzeń**", tegoroczny powrót Gabi nie jest przypadkowy. To dowód na autentyczną relację i trwałe zaufanie do produktu. Gabi Drzewiecka przez lata pozostawała wierna marce, nie wiążąc się w tym czasie z żadnymi innymi producentami z kategorii produktów do włosów i koloryzacji. W swoim zabieganym grafiku ceni sprawdzone rozwiązania – dlatego do domowej koloryzacji od lat wybiera właśnie Garnier Olia, łącząc spektakularny efekt z wygodą farbowania w zaciszu własnego domu.



Wybór gwiazdy: Odcień 6.35 (Czekoladowy Jasny Brąz)

W ramach nowej odsłony kampanii Gabi sięgnęła po odcień **6.35 – czekoladowy jasny brąz**. To idealna propozycja dla kobiet, które szukają głębokiego, wielowymiarowego koloru pełnego świetlistych refleksów, **do uzyskania w domowych warunkach**.

Formuła Garnier Olia idealnie odpowiada na największe obawy konsumentek (takie jak ryzyko uszkodzenia włosów czy obecność agresywnej chemii):

- **Moc 60% olejków:** Formuła bez amoniaku, oparta na naturalnych olejkach kwiatowych i roślinnych, dba o kondycję pasm.
- **Maksymalna moc koloru:** Zapewnia intensywny, trwały odcień i doskonałe pokrycie siwych włosów.
- **Komfort skóry głowy:** Gwarantuje przyjemność stosowania i widoczną poprawę jakości włosów nawet po latach regularnej domowej koloryzacji.

Cena sugerowana: 36, 99 zł

nie znam. Chcieliśmy zwrócić uwagę ludzi na to, że jeśli widzą taką osobę, trzeba zareagować – przecież to czyjeś dziecko, ktoś bliski, ktoś, kogo może inni szukają.

Przy nagłaśnianiu zaginięcia Krzyśka zgłosił się do nas raper Przemek Wieczorek, który bardzo chciał pomóc. Zaproponował, że nagra piosenkę o Krzyśku. Zasugerowaliśmy, żeby była to piosenka o zaginionych dzieciach. Zaprosił do współpracy swoich znajomych i tak powstał utwór „Zaginione dzieci", który zainicjował w 2024 roku kampanię społeczną „Gdzie jesteś?".

W pierwszej odsłonie kampanii mieliście hasło: „Gdy znika dziecko, gubi się cała rodzina".

– Tak, tak właśnie się dzieje w rodzinie, kiedy doznaje straty. Zgłaszały się do nas rodziny, które potrzebowały rady, jak postępować, ale też takie, które po prostu chciały być wysłuchane. Usłyszałam wtedy wiele historii rodzinnych, niektóre bardzo dramatyczne. Nie zastanawiałam się nad tym, czy jestem na to gotowa. Po prostu słuchałam.

Przyjmowałam na siebie ciężar tych strat i starałam się być dla tych ludzi wsparciem. Te matki, które do mnie dzwoniły, wiedziały, że ja wiem, co czują. Przecież czułam to samo.

Jeśli nie ma domknięcia, nie można przejść żałoby?

– Na początku jest szok. Potem strach. Myślałam: przecież jest zimno. Czy on nie marznie? Czy ma co jeść? Potem dużo do niego pisałam: „Wróć. Bardzo Cię kochamy. Martwimy się o Ciebie". Kiedyś napisałam: „Wróć. Nie masz się czego obawiać". Ludzie od razu to podchwycili: co się dzieje w domu, skoro dziecko musi się bać do niego wracać?

Dlatego też nie afiszuję się z moją rozpaczą, z ogromną tęsknotą, bo moje słowa były różnie interpretowane i rozkładane na czynniki pierwsze.

Oprócz szoku i strachu pojawia się ból. Taki wręcz fizyczny. Do dziś czasami bardzo boli mnie serce.

Nie umiem zadecydować, że Krzyś nie żyje. Nie chcę. Myślę, że każda matka mnie zrozumie. Policja powiedziała, że na 95 proc. się zabił. Ale przecież nie ma ciała, więc nie mogę zakończyć procesu. Nie mogę przejść tej szeroko rozumianej żałoby. Musiałam nauczyć się żyć w niewiedzy, niepewności i zawieszeniu. I to jest najtrudniejsza rzecz, bo jestem tym naprawdę bardzo zmęczona.


Krzysztof Dymiński

Jak powinna wyglądać pomoc dla rodziny dotkniętej zaginięciem?

– Potrzebny jest szybki kontakt z psychotraumatologiem i najlepiej, żeby specjalista przyjechał do domu, bo rodzina w takiej chwili nie myśli o tym, żeby sobie zabezpieczać pomoc. Najlepiej, gdyby działo się to na poziomie lokalnym, czyli żeby np. gminny ośrodek pomocy społecznej dysponował budżetem na taką interwencję kryzysową.

Druga rzecz, która przychodzi mi do głowy, to oficer kontaktowy ze strony policji. Tak by dobrze skomunikować służby z rodziną, żeby rodzina dobrze rozumiała, co mówi do niej policja, i odwrotnie.

I sprawa dla mnie najistotniejsza – żeby rodzina była stroną. Jeśli zostanie wykluczona z podejrzeń, to dlaczego nie może mieć dostępu do materiałów z poszukiwań? Dlaczego nie mogę zobaczyć nagrania ostatniej drogi mojego dziecka? Nie chcę nikogo oskarżać, rozliczać, nie chcę tego publikować. Chcę po prostu zmierzyć się z moim dzieckiem, które jedzie o świcie autobusem, i nie wiem, czy płacze, o czym myśli, jak się zachowuje. Dlaczego nie mogę zobaczyć nagrania z kamery na moście?

Mój mąż znajduje w Wiśle różne ubrania. Wrzuca je na stronę internetową. Zadałam pytanie policji, czy oni robią jakąś inwentaryzację znajdywanych w rzece rzeczy. „A po co?!" – usłyszałam. A po to, że gdyby mi ktoś pokazał bluzę, w której był Krzyś, to ja bym ją rozpoznała i wiedziała, że Krzyś był w Wiśle. Może jakaś inna matka rozpoznałaby którąś z rzeczy wyłowionych przez Daniela?

Nowe hasło waszej kampanii to: „Gdziekolwiek jesteś, nie jesteś sam".

– Teraz koncentrujemy się na relacjach i emocjach. Film Michała Marczaka gra w tej odsłonie ważną rolę, bo opowiada o emocjach rodziny. To hasło jest skierowane do każdego, ale koncentrujemy się na młodzieży.

Jeśli masz myśli samobójcze, jakieś kłopoty, to pamiętaj, że nie jesteś sam. Nie wstydź się poprosić o pomoc, porozmawiaj z kimś. Masz rodzinę. A jeśli nie chcesz podzielić się swoimi problemami z kimś z rodziny, porozmawiaj z przyjaciółmi lub zadzwoń na linię kryzysową, na numer telefonu zaufania.

Gdy leżysz w nocy, w łóżku, jest ciemno, może ci się wydawać, że jesteś zupełnie sam. Nie jesteś. Jesteś ważny, kochany i potrzebny, a każdy problem da się rozwiązać. Nie podejmuj decyzji pod wpływem emocji; nie tylko ty ponosisz jej konsekwencje. Zawsze jest ktoś, kto ponosi je z tobą.

Michał Marczak pokazuje Wisłę majestatyczną, piękną, groźną. Jaką pani ma relację z rzeką?

– Pogodziłam się z Wisłą. Jakiś rok temu powiedziałam Danielowi, że chcę z nim popłynąć łódką. Przepracowałam to sobie w głowie, że jeśli Krzysiu skoczył do Wisły, to rzeka nie jest niczemu winna.

I popłynęła pani?

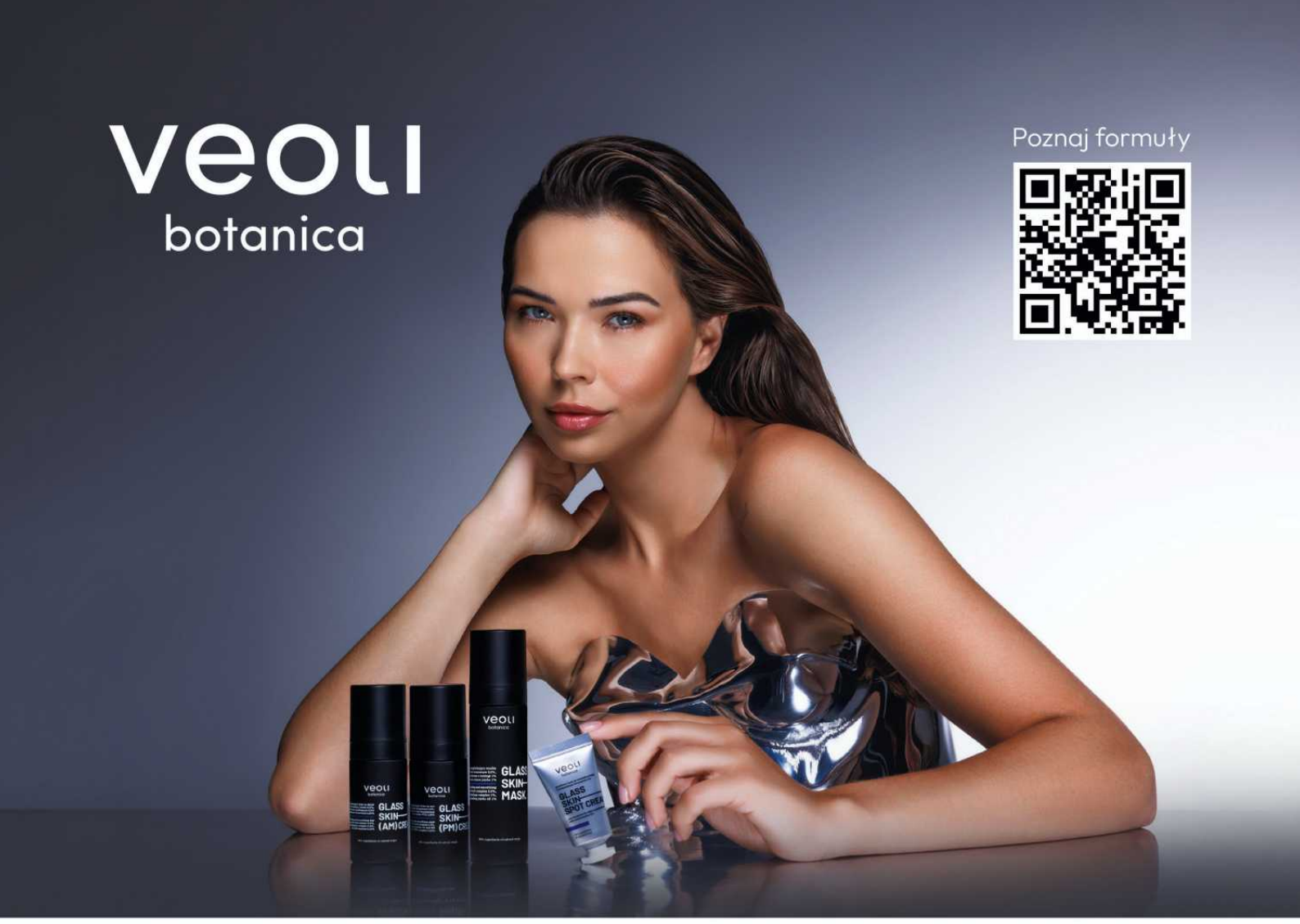
– Tak. Całkiem niedawno. Któregoś dnia Daniel powiedział, że są dobre warunki, nie ma upału, wiatru, woda nie jest niebezpieczna. Czekałam na ten dzień, zastanawiałam się, czy nie zrezygnuję w ostatniej chwili. Ale popłynęliśmy, we dwoje.

Gdyby nie to, że Wisła do końca życia będzie dla mnie pewnym symbolem, to nazwałabym tę wyprawę piękną. ▲

Rodzice Krzysztofa Dymińskiego założyli stronę dyminski.pl, na której można przeczytać historię zaginięcia, wesprzeć poszukiwania lub zgłosić, że widziało się zaginionego.
Strona kampanii społecznej: www.gdziejestes.org
Film Michała Marczaka „Bez końca" w kinach od 11 września

veoli botanica

Poznaj formuły



Zatrzymaj efekt **GLASS SKIN** z nową kompletną rutyną

Wygładzenie, wyrównanie kolorytu i naturalny glow.
4 produkty, 1 rutyna i jedyny taki długotrwały efekt **GLASS SKIN.**







Interesuje mnie to, co nie do końca *określone*

Kiedy otoczenie sprawia mi przyjemność, jest mniej hałaśliwe, mniej chaotyczne i nie składa się wyłącznie z kątów prostych, pracuje mi się lepiej



Z **EDYTĄ HUL**, ARTYSTKĄ WIZUALNĄ, ROZMAWIA **ANGELIKA SWOBODA**

Kiedy po raz pierwszy odważyłaś się pokazać swoje obrazy?
– Podczas studiów na Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku. Od tamtego czasu dużo się zmieniło, ale jedno pozostało niezmienne: moment pokazywania siebie światu jest zawsze niebywale stresujący. Po tym ogromnym napięciu czuję potężny powystawowy zjazd emocjonalny.

Moje malarstwo jest bardzo fizyczne – tworzę na wielkich formatach, obrazy są trudne do udźwignięcia. Kiedy ułożę kilkadziesiąt w jedną spójną całość, widzę swoją sprawczość i skuteczność. To mnie wzmacnia, buduje i napędza. W życiu nie zawsze jest tak, że możemy coś zaplanować i doprowadzić do końca. A wystawa to ciężka praca, kumulacja i upragniony finał.

A po nim upragniony odpoczynek?
– Mój odpoczynek to po prostu sen. Powrotem do równowagi jest też dla mnie doprowadzanie do ładu własnej przestrzeni. Muszę ją nieco przeorganizować i odświeżyć, żeby zacząć kolejny etap.

W twojej twórczości widać bardzo silne motywy organiczne, ale nie jest to natura sielankowa – raczej drapieżna i niepokojąca. Jestem ciekawa, czy bardziej cię ona zachwyca, czy przeraża? A może przynosi ukojenie?
– Nie skupiam się na obecności natury w jakiś analityczny sposób. Jest dla mnie najbardziej oczywistym wymiarem funkcjonowania. Malując, nie staram się niczego naśladować ani odwzorowywać rzeczywistości, w moich obrazach widoczne jest raczej myślenie o formie, która rozrasta się do tego stopnia, że zaczyna przypominać coś żywego. Zawsze chodzi o formy, które mają w sobie niezrealizowany potencjał – kiedy coś namacalnie przypomina jakąś strukturę, ale nie wiem do końca, czym jest. Tu otwiera się pole dla widza. Jedni dostrzegają w moich pracach tkanki, inni rośliny czy pnącza.

Inspiruje mnie samo życie w świecie i jego konstrukty. Widzę na przykład, że gdy spędzam zbyt dużo czasu w mieście, nie jestem w stanie w pełni czerpać z otoczenia. A to, czym się otaczam, ma ogromny wpływ na to, co tworzę. Kiedy otoczenie sprawia mi przyjemność, jest mniej hałaśliwe, mniej chaotyczne i nie składa się wyłącznie z kątów prostych, pracuje mi się lepiej.



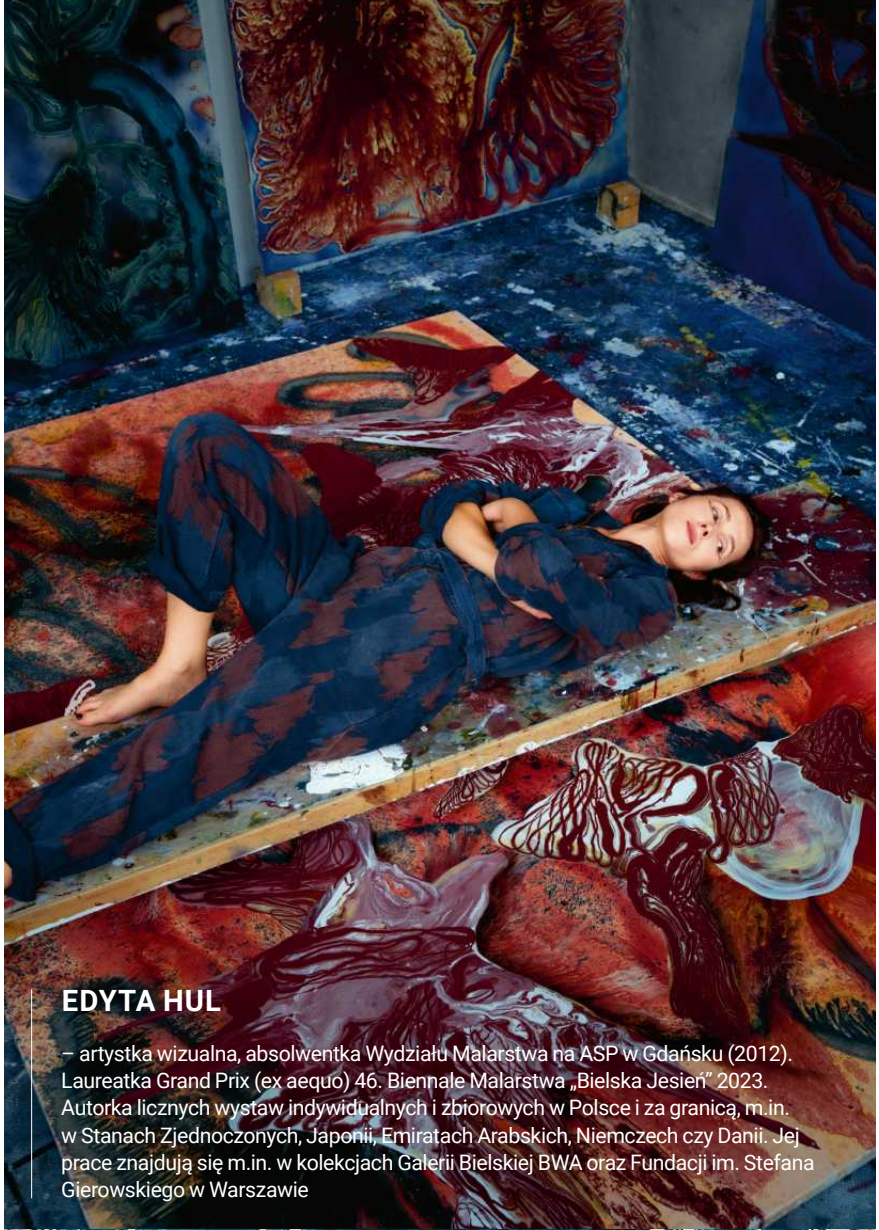
Rozumiem, że naturę wybierasz chętnie. Lubisz ją?
– Zdecydowanie. Wychowałam się na Warmii, jestem jeziorakiem. Kocham wodę, ona mnie karmi. Choć miasto ma swoje niewątpliwe zalety i korzyści, to jednak bycie w jeziorze czy w oceanie jest dla mnie powrotem na właściwe miejsce. Dostęp do wody ma w sobie coś niesamowicie oczyszczającego, a czasem wręcz transcendentalnego. W najistotniejszych momentach zawsze towarzyszyła mi woda. Ocean jest dla mnie jak osoba. Kiedy do niego wchodzę, witam się z nim, a kiedy wychodzę – żegnam. Jest w tym coś kojącego, bezpiecznego.

I niezwykłego. Podobnie jak technika, którą wybrałaś. W praktyce malarskiej stosujesz farby olejne i emalię przemysłową.
– Nigdy nie bałam się sięgać po różne techniki i łączyć je ze sobą. Po latach pracy doszłam do momentu, w którym mam własny wachlarz środków. Poprzedziło go testowanie niekonwencjonalnych metod, rodzajów farb i podłoży, aż w końcu odnalazłam w tym swój język malarski.

Długo uczyłam się cierpliwości i ogłady. Z natury jestem osobą chaotyczną, nie potrafię zrobić niczego idealnie równo. Musiałam nauczyć się poskramiać gwałtowność rozsądkiem i obserwacją, która pomaga mi nie niszczyć materiałów ani nie marnować czasu oraz pracy.

Jestem otwarta na to, co przyniesie dzień czy konkretny obraz. Reaguję na bieżąco. Nie potrafię trzymać się sztywno gotowego projektu. Niezależnie od tego, z jakim założeniem zaczynam pracę, istnieje ogromne

FOT. OLGA URBANEK; REMI URANT / PIĘKNA GALLERY; ADAM GUT / PIĘKNA GALLERY; ADAM REICH



EDYTA HUL

– artystka wizualna, absolwentka Wydziału Malarstwa na ASP w Gdańsku (2012). Laureatka Grand Prix (ex aequo) 46. Biennale Malarstwa „Bielska Jesień" 2023. Autorka licznych wystaw indywidualnych i zbiorowych w Polsce i za granicą, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Japonii, Emiratach Arabskich, Niemczech czy Danii. Jej prace znajdują się m.in. w kolekcjach Galerii Bielskiej BWA oraz Fundacji im. Stefana Gierowskiego w Warszawie



prawdopodobieństwo, że ostatecznie pójdę za obrazem, a nie za własnym ego, które coś sobie zaplanowało.

Gdy w trakcie pracy wydarza się coś nieprzewidzianego, co mnie zachwyca i przynosi mi zadowolenie, czuję niesamowity wyrzut dopaminy. Często mam też tak – i to dotyka mnie ostatnio regularnie – że kiedy kończę pracę i jestem z niej niezadowolona, dopiero po pewnym czasie dojrzewam do niej i dostrzegam jej potencjał.

Zdarza ci się niszczyć swoje prace?

– Cały czas mi się to zdarza. Nie czuję żalu, kiedy coś poświęcę, bo wiem, że przyjdzie w końcu coś lepszego. Czasami kontynuowanie pracy na siłę nie przynosi dobrych efektów. Trzeba umieć wyczuć moment, wykazać się ostrożnością i poczekać. Czekanie nie do końca pasuje do współczesnego, szybkiego świata, a malarstwo potrzebuje czasu na inkubację. Człowiek musi z obrazem pobyć, pożyć, doświadczyć go. Czasami trzeba odłożyć jedno płótno, zacząć kolejne i w tym nowym znaleźć odpowiedź na pytania, które postawiło poprzednie. Pracując nad kilkoma obrazami jednocześnie, wracam do nich naprzemiennie, czekając, aż wyschną. One dyskutują między sobą, a ja uczę się tego, co mogę zrobić na innym, który czeka.

Czasami myślę, że praca malarki polega na ciągłej pracy nad jednym obrazem. Nie chodzi o pojedyncze, skończone przedmioty, które odkładam na bok i które gdzieś wędrują, ale o ciągłość procesu, o to, by czerpać przyjemność z samego działania, kontynuować siebie i nie przerywać myśli.

Przygotowanie płótna jest dla ciebie niemal tak samo ważne jak malowanie – ręcznie naciągasz tkaniny i nakładasz wiele warstw podkładowych. Skąd ta potrzeba perfekcji?

– Dążenie do perfekcji to moje przekleństwo, czasami przez to cierpię. Ostatnio postawiłam sobie poprzeczkę tak wysoko, że nie potrafiłam się niczym zadowolić. Rezygnowałam z prac, które – gdy patrzę na nie z perspektywy czasu na zdjęciach dokumentujących poszczególne etapy – były naprawdę świetne. Perfekcjonizm bywa dobry, ale potrafi być też wrogiem i prowadzić do autosabotażu.

Wielowarstwowość wynika ze specyfiki techniki, którą wypracowałam. Bardzo zależy mi na idealnie gładkiej powierzchni obrazu. Chcę za wszelką cenę uniknąć widocznej tekstury lnu czy bawełny. Pra-

gnę stworzyć iluzję idealnej, śliskiej, wręcz gadziej powierzchni. Ta gładkość wymaga powolnego, wieloetapowego nakładania cienkich warstw.

Ależ to musi być żmudna praca!
– Warstwowość to także moja metoda na niwelowanie błędów – nakładam kolejną warstwę, zakrywam to, co nieudane, a zostawiam nieprzykryte te fragmenty, które mi się podobają. Taki wielowarstwowy obraz staje się gęstym zapisem czasu, ma swoją gęstość, „tłustość" i złożoność, co sprawia mi ogromną przyjemność. Moja metoda łączy w sobie rygorystyczne poruszanie się według określonego planu z moim wewnętrznym chaosem – kiedy coś mi nie wychodzi, zakrywam to nową warstwą z nadzieją, że będzie lepsza od poprzedniej.

I jest lepsza?
– Czasami jest lepsza o tyle, że buduje głębię. Łączy przeszłość z przyszłością. Poszczególne etapy pracy są różne, bo ja sama się zmieniałam. Wybierałam inne kolory, inaczej patrzyłam na świat. To buduje wartość obrazu, choć obiektywna ocena bywa niezwykle trudna.

Ile najdłużej pracowałaś nad jednym obrazem?
– Miałam jedno podobrazie, które zaczęłam malować w 2010 roku, a skończyłam w 2022.

Dwanaście lat!
– I to właśnie pokazuje moje perfekcjonistyczne przekleństwo, ale też dbałość o recykling. Nie chcę marnować materiałów, staram się wykorzystywać to, co już mam. Mój rekord w malowaniu jednego obrazu to co najmniej dekada, choć paradoksalnie wyznaję zasadę, że najlepszy, autentyczny obraz powinien powstać w trakcie jednego posiedzenia. Wtedy jestem spójna, mam niezakłócony strumień myśli i czystą intencję. Kiedy wraca się do obrazu po czasie, włącza się logiczne myślenie i ego, które zaczyna manipulować, grzebać i kwestionować pierwotne brzmienie.

Udaje ci się skończyć obraz podczas jednego posiedzenia?
– Tak, i na tym skupiam się w ostatnim czasie. Wiąże się to ze wspomnianą dbałością o gładką, iluzyjną płaszczyznę. Chcę, by widz zastanawiał się, czy ma do czynienia z malarstwem, wydrukiem, czy czymś zupełnie innym. Chcę ukryć sam proces technologiczny.

Taki efekt udaje mi się osiągnąć, gdy pracuję szybko i w pełnym skupieniu podczas jednego krótkiego odcinka czasu. Wtedy moje prace są jak osobiste zapiski, jak strony z dziennika czy notesu.

Kiedyś w zasadzie tylko rysowałam – rysowanie w moim wykonaniu było szybkie i powtarzalne. Teraz przekładam to na płótno: obraz musi być jedną, konkretną myślą. Jeśli jest nieudany, zmywam go i zaczynam od nowa, by zachować tę jedną, świeżą energię i właściwy moment.

Dlatego tak ważne jest dla mnie przygotowanie ciała. Muszę podejść do pracy w jak najlepszym samopoczuciu, z czystą głową i w przyjaznych warunkach dookoła. Wtedy jest szansa, że obraz namalowany za jednym razem będzie niezakłócony.

Pracujesz wtedy bez przerwy od rana do wieczora? Bez jedzenia i picia?
– Zawsze mam pod ręką coś do picia i jedzenia. Jedno posiedzenie trwa zazwyczaj bez przerwy od czterech do ośmiu godzin – mówię o końcowej warstwie obrazu. Samo przygotowanie płótna i podłoża zajmu-

OGŁOSZENIE





17 września 2026 roku Piękna Gallery otwiera indywidualną wystawę Edyty Hul „Haloxylon" w zabytkowym Pałacyku Rusieckiego przy ulicy Lwowskiej 13 w Warszawie

je około dwóch tygodni żmudnej pracy polegającej na nakładaniu warstw i czekaniu, aż wyschną.

Zrealizowanie dwumetrowego obrazu w jeden dzień to ogromne wyzwanie energetyczne. Bywa, że w obrazie widać zmęczenie, ale to ma swój urok. Kiedy w obrazie widoczne są moje różne stany, wielogodzinna droga od początku do końca, zapętlone myśli, zmienianie decyzji i lepienie w farbie – to dla mnie najprzyjemniejszy, najpełniejszy sposób pracy. Kiedy kończę, czuję ogromną satysfakcję. Wychodzę wtedy ze studia do domu z tarczą.

Ta tarcza staje się mocniejsza dzięki nagrodom takim jak chociażby Grand Prix „Bielskiej Jesieni" w 2023 roku?

– Nagrody motywują mnie do dalszej pracy. Nie sprawiają, że osiadam na laurach. W moim życiu nagrody nie były codziennością, nie miałam do nich wcześniej szczególnego szczęścia. Grand Prix „Bielskiej Jesieni" było dla mnie momentem przełomowym. Dostałam sygnał, że moja droga jest właściwa. Przez długi czas miałam poczucie, że jeszcze dużo muszę poprawić, udowodnić i nadrobić, zanim będę mogła uznać, że jestem w dobrym miejscu. Nagroda dała mi pewnego rodzaju zewnętrzne potwierdzenie, które pozwoliło mi trochę wyhamować z tym nieustannym doskonaleniem siebie. Nie chodzi o to, że nagle przestałam mieć wątpliwości, ale chyba łatwiej jest mi teraz zaufać temu, co już zrobiłam, i nie traktować każdej kolejnej pracy jak kolejnego egzaminu.

Wystawy za granicą, m.in. w Kopenhadze, Mediolanie, Budapeszcie, Dubaju i Nowym Jorku, dodatkowo wzmocniły to poczucie pewności, czy też może poczułaś się sparaliżowana, by sprostać oczekiwaniom międzynarodowej publiczności?

– Podróże i spotkania z ludźmi to dla mnie jedna z najwspanialszych stron bycia artystką. Traktuję to jako formę samorozwoju, która niesamowicie mnie otwiera. Zagraniczne sukcesy mnie nie paraliżują, raczej mobilizują do dalszego działania.

W twoich obrazach można znaleźć piękno, ale także coś, co budzi niepokój. Co chciałabyś, abyśmy zobaczyli?

– Daję wam pełną dowolność. Nie znoszę w malarstwie narracji, która od początku jest skończona i jasna. Uwielbiam moment zawieszenia, kiedy patrząc na obraz, nie potrafimy ubrać w słowa tego, co widzimy, czujemy się skonfundowani lub rozdarci. Chcę, by moje prace budziły ambiwalentne odczucia: od zachwytu pięknem po lekki niepokój czy wręcz wstręt. Czasem ktoś nie dostrzeże w nich niczego, i to też jest całkiem w porządku.

Chodzi o to, by stanąć przed obrazem, zatrzymać się i zacząć go powoli odczytywać, przyglądając się fakturze i detalom? To wymaga od nas dziś czegoś niemal niemożliwego, czyli cierpliwości.

– Każdy widz wnosi przed mój obraz własną historię, doświadczenia i bagaż życiowy, co decyduje o tym, jak go odbierze. Ty pewnie dostrzeżesz w nim coś zupełnie innego niż osoba stojąca obok, i to jest dla mnie najbardziej fascynujące. Chcę dać możliwość odczuwania i zatopienia się w obrazie, bez konieczności dochodzenia do logicznych, racjonalnych wniosków.

I naprawdę nie masz problemu z tym, że ktoś zinterpretuje twoje dzieło zupełnie inaczej niż ty w momencie tworzenia?

– O to właśnie chodzi! Moje obrazy oglądane w różnych momentach życia wywołują we mnie zupełnie inne emocje. Choć większą przyjemność daje mi tworzenie niż oglądanie.

Jeśli chodzi o innych artystów, zawsze zwracam uwagę na prace, które są przemyślane pod kątem technologicznym, mają w sobie coś dziwnego, ale jednocześnie niezwykle szczerego. Uwielbiam, gdy artysta ma na jakimś punkcie wyraźną obsesję i silnie manifestuje to w swoich dziełach.

Sama masz jakąś zawodową obsesję?

– Jest nią praca twórcza. Nie mogłabym bez niej funkcjonować. Pozwala mi poukładać myśli i wszystko inne w głowie na odpowiednich półkach.

W ogóle wszelkie prace manualne – i nie musi to być wyłącznie malarstwo – sprawiają, że łączę się z jakimś wyższym potencjałem. To daje mi poczucie, że robię w życiu coś naprawdę istotnego i wyjątkowego. Ostatnio na przykład nauczyłam się samodzielnie kłaść kafelki.

Naprawdę? Zaimponowałaś mi!

– Bawiłam się formą. Tworzyłam kompozycje z potłuczonych płytek, nie było to klasyczne układanie kafelków. Bardzo ważne jest też dla mnie szycie, tworzenie form przestrzennych, lepienie.

Fascynuje mnie estetyczna strona przedmiotów, wykorzystywanie materiałów w nieoczywisty sposób i myślenie o tym, jak przetworzyć znalezione rzeczy. Kiedyś moją wielką pasją była renowacja starych mebli. Mam naturalną łatwość dostrzegania potencjału w przedmiotach – wiem, co do nich dodać, jak je przerobić, by mogły jeszcze długo służyć.

A co z perspektywy dojrzałej artystki, którą jesteś dzisiaj, powiedziałabyś nastoletniej Edycie?

– Słuchaj swojego instynktu. Nigdy w niego nie wątp i nie kwestionuj samej siebie. ▲

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

TEMAT NUMERU:
ROZSTANIE TO NIE KONIEC ŚWIATA

PSYCHOLOGIA: Jak rozpada się przyjaźń

RELACJE: Seks to nie nagroda

URODA: Reanimacja po lecie



W sprzedaży, również z dostawą do paczkomatu

Zamów magazyn z darmową dostawą na: **Prenumerata24.pl**

Zrozumieć *Bourdaina*

Kuchnia ratuje życie wielu ludzi. Kiedy ktoś, kto wcześniej zagubił się w życiu, trafia do pracy w kuchni, może dzięki niej naprawdę odwrócić swój los, zmienić coś na lepsze

Z **DOMINIKIEM SESSĄ**, AKTOREM, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

W swoim najnowszym filmie „Tony" w reżyserii Matta Johnsona opowiadającym o być może najważniejszym lecie w życiu Anthony'ego Bourdaina wcielasz się w tytułową postać słynnego kucharza i podróżnika. Co sprawiło, że zdecydowałeś się zmierzyć z tym wyzwaniem?

– Kiedy po raz pierwszy przeczytałem scenariusz, nie czułem, że to coś, co mógłbym albo chciałbym zrobić. Wydawało mi się, że ta historia opiera się na czymś, co zostało bardzo dokładnie udokumentowane, o czym sam Bourdain dużo mówił, a nawet zostały nagrania z tamtego okresu. Myśl, że miałbym w pewnym sensie naśladować konkretną osobę, niezbyt mi odpowiadała.

Potem jednak poznałem Matta [Johnsona] i właściwie podczas naszego pierwszego spotkania zaczęliśmy rozmawiać o tej historii, o jej najważniejszych założeniach, ale przede wszystkim bardzo osobiście o naszych życiach, doświadczeniach z tego wieku, o tym, czego się wtedy nauczyliśmy i co ten okres dla nas znaczył. Wiele z tych rozmów włączyliśmy później do historii i do filmu, który ostatecznie stworzyliśmy.

Była to więc dla mnie okazja, by poznać Anthony'ego Bourdaina, który – mam wrażenie – przeżył swego rodzaju kulturowy renesans w pokoleniu, do którego należę. Dla wielu osób w moim wieku był i nadal jest kimś niezwykle ważnym i wywarł na nas ogromny wpływ. Ale była to też okazja do tego, żeby lepiej poznać siebie i zmierzyć się z wieloma rzeczami, których być może wcześniej unikałem albo którymi nie potrafiłem się odpowiednio zająć. Także możliwość pracy z Mattem była czymś wyjątkowym. Od dawna byłem jego fanem, a teraz jesteśmy też przyjaciółmi. Naprawdę zmienił moje życie.

Wspomniałeś, że dużo rozmawialiście o waszych prywatnych doświadczeniach. Jak to wpłynęło na ostateczny kształt filmu?

– Większość tego, co znalazło się w filmie, jest inspirowana wspomnieniami i opowieściami o tamtym okresie samego Bourdaina. Sporo rzeczy, które Matt zaczerpnął i wykorzystał w scenariuszu, opierało się na wydarzeniach, które przydarzyły się Tony'emu między mniej więcej piętnastym a trzydziestym rokiem życia. Matt połączył wiele z tych doświadczeń i umieścił je w jednym lecie, kiedy Tony ma dziewiętnaście lat.

> Kuchnia jest miejscem, w którym możemy odnaleźć życiowy ład *i poczucie odpowiedzialności*

Dla mnie najważniejsze było znalezienie w tym czegoś, z czym mogłem się utożsamić. Nie chodziło koniecznie o dosłowne przeniesienie własnych doświadczeń do tej historii, ale raczej o zastanowienie się, kim byli ludzie z jego otoczenia i kogo przypominają mi z mojego własnego życia. Na przykład osoby pracujące w kuchni: Stavros, Sal czy Szef grany przez Antonio Banderasa. Kiedy rozmawialiśmy o Salu (Leo Woodall), pomyślałem o przyjacielu z czasów dorastania. Latem mieszkałem w nadmorskim miasteczku, podobnym do Provincetown, i miałem w swoim otoczeniu bardzo podobnego kumpla, który wpływał na mnie w zbliżony sposób. Stawiał mi wyzwania, popychał mnie do eksperymentowania i wciągał w niebezpieczne, ryzykowne sytuacje. Bourdain bardzo dużo mówił o takich ludziach w swoim życiu.

Film pokazuje różne oblicza Tony'ego: oczywiście kucharza, ale też pisarza, intelektualisty, romantyka czy buntownika. Jako aktor, ktoś, kto przywykł do wcielania się w różne postacie, znasz to pewnie z autopsji, ale która jego wersja była ci najbliższa?

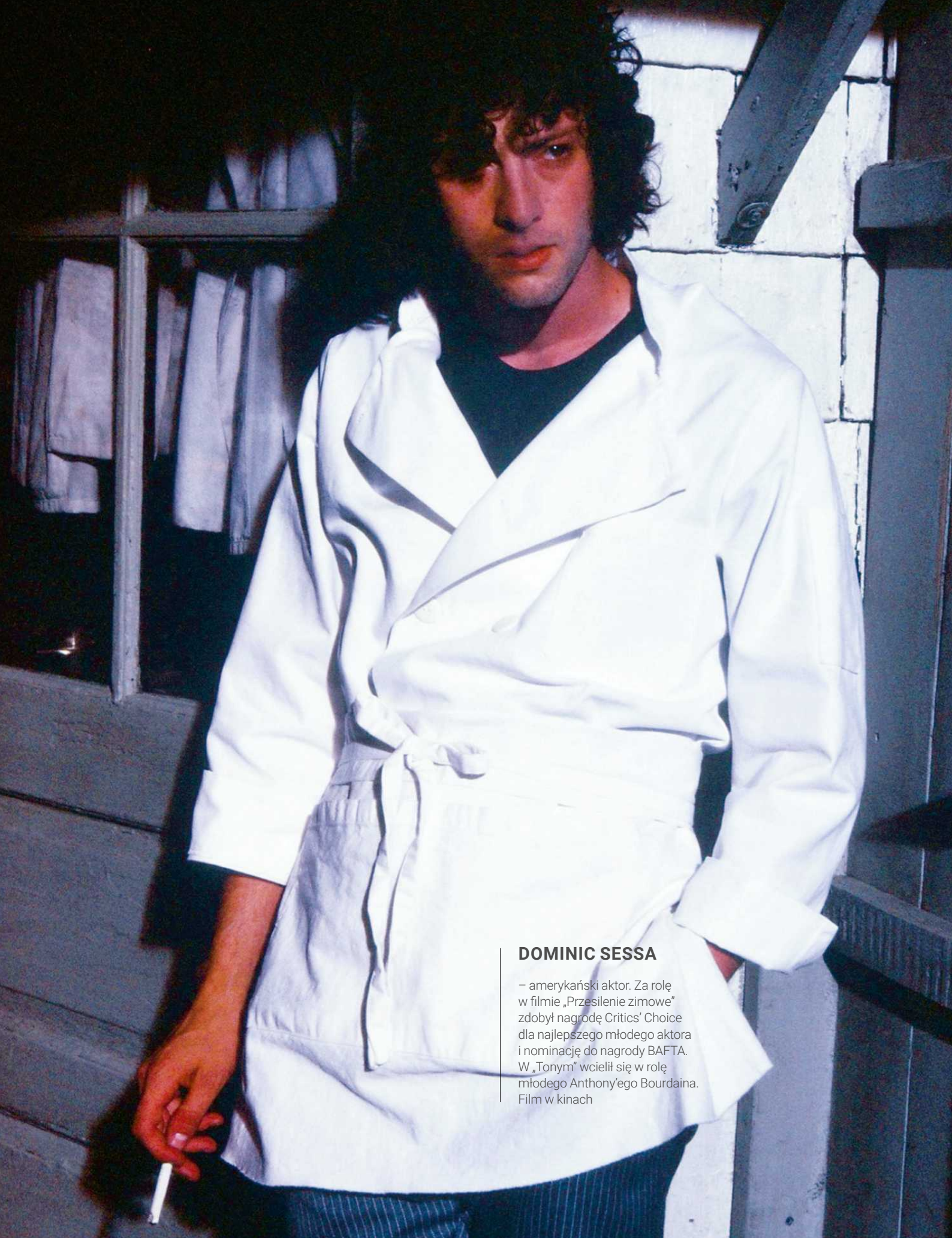
– Trudno powiedzieć, z którą z tych wersji Tony'ego najbardziej się utożsamiam. Jestem życiowo w podobnym miejscu, co on wtedy, eksperymentuję i próbuję różnych rzeczy.

Kiedy patrzymy na Bourdaina z perspektywy czasu, zwłaszcza na moment, kiedy stał się osobą publiczną, a właściwie celebrytą, widać, że wciąż miał w sobie te wszystkie różne wersje siebie. Był niezwykle barwną, niejednoznaczną osobowością, z całą masą różnych cech, które razem stworzyły ikonę, osobę, którą ludzie tak bardzo podziwiają.

Próbowałem sam tego wszystkiego doświadczyć poprzez ten film. Jak powiedziałaś, był np. buntownikiem i kiedy w filmie spędzam czas z Leo, czyli Salem, właśnie tę stronę Bourdaina próbuję poznać i zrozumieć. Z kolei w relacji z Antoniem, czyli Szefem, próbuję zobaczyć, jak to jest być kimś odpowiedzialnym, profesjonalnym, mówić prawdę i postępować uczciwie. A z Nancy (Emilia Jones) oczywiście starałem się zrozumieć, jak właściwie postępować z kobietą. Wszystko to, co w nim ceniliśmy i szanowaliśmy, było w nim obecne, ale na tym etapie życia, w którym go grałem, dopiero to przymierzał i sprawdzał, kim chce być. Chyba dokładnie w tym samym miejscu sam jestem teraz w życiu.

Wiele, jeśli nie większość scen, które grasz z Antonio Banderasem, koncentruje się na relacji mentorskiej. Czy Antonio był dla ciebie takim samym mentorem, jak Szef dla Tony'ego, czy była to

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



DOMINIC SESSA

– amerykański aktor. Za rolę w filmie „Przesilenie zimowe" zdobył nagrodę Critics' Choice dla najlepszego młodego aktora i nominację do nagrody BAFTA. W „Tonym" wcielił się w rolę młodego Anthony'ego Bourdaina. Film w kinach

raczej relacja oparta na wzajemnej wymianie doświadczeń?

– Antonio zdecydowanie był dla mnie mentorem, wiele się od niego nauczyłem, ale wcale nie robił tego w jakiś nachalny sposób. Nigdy nie podchodził do mnie i nie mówił: „Powinieneś spróbować tego", „Zagraj tę scenę w ten sposób", „Zrób to czy tamto". Właściwie wystarczyło to, że każdego dnia pojawiał się na planie i że tak wiele troski i zaangażowania poświęcał temu filmowi. To naprawdę odświeżające doświadczenie, bo zanim przyjechał, zastanawialiśmy się, jaki będzie. W końcu to naprawdę sławny aktor. Czy będzie w porządku? Czy w ogóle będzie chciał z nami rozmawiać?. Myślisz o takich rzeczach. A potem przyjechał i przez cały czas był na planie. W ogóle nie siedział w swojej garderobie. Ciągle o coś pytał, rozmawiał z Mattem o scenach, zadawał mi pytania i naprawdę zależało mu na poznaniu mojego punktu widzenia. Dla mnie to mówi o człowieku wszystko i sprawia, że darzę go ogromnym szacunkiem. Właśnie takim aktorem chciałbym być.

Dzięki takiej relacji, zwłaszcza gdy jesteś młody, uświadamiasz sobie, że jeśli chcesz mieć długą karierę i odnieść sukces w tym zawodzie, właśnie tak trzeba do niego podchodzić.

Trzeba traktować aktorstwo z szacunkiem, troską i zaangażowaniem. Byliśmy naprawdę ogromnie wdzięczni, że chciał być częścią tego filmu razem z nami.

Spodziewałeś się, że ta rola będzie wiązała się z jakimiś wyzwaniami? I czy ostatecznie te przewidywania się sprawdziły?

– Były rzeczy, o których rozmawialiśmy, ale finalnie nie wykorzystaliśmy ich. Przedstawiliśmy Tony'ego w taki sposób, że – przynajmniej na początku filmu – nie jest szczególnie sympatyczny. W ogóle oglądanie go bywa często frustrujące. I właśnie o tym nieustająco myślałem, że największym wyzwaniem będzie pokazanie, że owszem, taki był, taką emanował energią – negatywną, szorstką, był bardzo bezpośredni, ale jednocześnie nie chciałem, żeby widzowie uznali, że to były jedyne prawdziwe i niezmienne cechy jego charakteru. Myślę, że to raczej efekt uboczny różnych emocji, z którymi wszyscy musimy sobie jakoś radzić. Łatwo sobie o nich przypomnieć, wracając pamięcią do czasów nastoletnich, a w moim przypadku także do początku moich lat dwudziestych. Zakładasz wtedy różne maski, trochę jak oszust, próbujesz odnaleźć się w różnych sytuacjach i chronić swoje ego. A przy tym działasz impulsywnie, mówisz ludziom różne rzeczy, czasem jesteś niemiły – różnie bywa. Później patrzysz na swoje zachowanie i myślisz: „To przecież nie ja. Naprawdę taki nie jestem".



Antonio Banderas, Dominic Sessa i Leo Woodall na planie filmu „Tony"

Właśnie to chciałem przede wszystkim pokazać oraz drogę, jaką przechodzi mój bohater. Pod koniec filmu ma taki moment, w którym, choć nie zostaje to powiedziane wprost, zaczyna rozumieć: „Dotarłem do miejsca, do którego chciałem dotrzeć. Jestem z dziewczyną, z którą chciałem być, ale przez cały czas kłamałem. Niczego nie osiągnąłem uczciwie". Kiedy sobie to uświadamia, daje też szansę widzom na nawiązanie z nim pewnej więzi.

Niełatwo było znaleźć tę idealną równowagę postaci.

Anthony Bourdain mawiał, że kuchnie w restauracjach to miejsca, gdzie outsiderzy odnajdują swoje rodziny. Powszechnie wiadomo też, że wszystkie najlepsze imprezy kończą się w kuchni. Jak myślisz, skąd bierze się magia tego miejsca?

– Wielu ludziom daje poczucie bezpieczeństwa i pewnego rodzaju uporządkowania. Chodzi o to, że jeśli lubisz gotować w domu, to masz listę składników i przepis, według którego próbujesz coś stworzyć. Bywa w tym też doświadczenie przygotowywania czegoś dla drugiej osoby. To bardzo intymna czynność, której fundamentem jest zaufanie.

W przypadku wielu bohaterów tego filmu wygląda to tak, jakby kuchnia była dla nich miejscem, w którym mogą odnaleźć w życiu pewien ład i poczucie odpowiedzialności. Sal jest dla mnie kimś w rodzaju byłego skazańca, a Stavros... cóż, dla ludzi takich jak on – wszystkich piratów, szalonych postaci – kuchnia to miejsce, gdzie mogą nauczyć się odpowiedzialności i odnaleźć jakieś poczucie równowagi. Kuchnia ratuje życie wielu ludzi. Kiedy ktoś, kto wcześniej zagubił się w życiu, trafia do pracy w kuchni, może dzięki niej naprawdę odwrócić swój los, zmienić coś na lepsze. I chociaż sądzę, że to nie jest wyjątkowe tylko dla kuchni, każdy, kto pracował w gastronomii, na pewno widział takie sytuacje i wie, o czym mówię. ▲

Lepsza niż tech bros



MARTA NOWAK
– dziennikarka, publicystka, twórczyni internetowa (IG: @marta__no). Współprowadzi podcast „Co to będzie" o światowej polityce

Luana Lopes Lara mogła być primabaleriną. Wyszło inaczej. Dzieciństwo spędziła na ćwiczeniu piruetów w brazylijskim Joinville. To tam – ciekawostka – mieści się jedyna poza Rosją szkoła słynnego Baletu Bolszoj. Bezwzględny baletowy rygor świetnie pasuje do opowieści o Luanie, zwłaszcza jeśli ktoś wciąż hołduje wierzeniom, że bogacze są bogaci, bo umieją wcześnie wstawać i ciężko pracować. Ale taniec w życiu naszej bohaterki wcześnie zszedł na drugi plan. Na studia wyjechała na MIT, najbardziej prestiżową politechnikę w USA. Poznała kolegę, założyli start-up, reszta jest przewidywalną historią sukcesu. Rok temu 29-letnia Luana Lopes Lara została najmłodszą na świecie miliarderką typu self-made. Taką, która doszła do pieniędzy nie dzięki mamie i tacie, tylko dzięki pracy własnych rąk.

No dobra, tak naprawdę były to raczej cudze ręce obstawiające, kto wygra mecz.

Lopes Lara jest współzałożycielką platformy Kalshi. Kalshi jest rynkiem prognostycznym. A rynek prognostyczny jest miejscem, gdzie się przewiduje, co takiego się stanie na świecie. Czy Francja wejdzie do finału mundialu? Kto w tym roku zagra na Coachelli? Kiedy dokładnie USA zbombardują Iran? Od klasycznych zakładów sportowych rynki prognostyczne różnią się kilkoma aspektami. Różnica merytoryczna: kursów nie ustala bukmacher, działa to bardziej jak zakład bezpośrednio z innymi użytkownikami platformy. Różnica prawna: zakłady sportowe są zwykle uznawane za hazard i podlegają surowym obostrzeniom, status rynków prognostycznych jest bardziej mglisty (choć są już wyroki sądów orzekające, że Kalshi też prowadzi działalność hazardową). Natomiast dla człowieka, który widzi w aplikacji, że bye bye tysiąc dolarów, bo Francja jednak nie weszła do finału – różnica jest absolutnie żadna.

Zakłady dotyczące sportu wciąż stanowią na Kalshi zdecydowaną większość – według szacunków mniej więcej 80-90 proc. To pewnie niewielkie zaskoczenie, w grach hazardowych jak świat światem obstawia się wyniki sportowe. Porozmawiajmy lepiej o tym, czym Kalshi różni się od innych platform tego rodzaju. Porozmawiajmy o kobietach.

Luana Lopes Lara dodała dwa do dwóch. Pierwsze dwa: na rynkach prognostycznych można obstawiać niemal każde przyszłe wydarzenie – nawet to, czy Donald Trump wypowie w przemówieniu słowo „kalafior". Drugie dwa: platformy prognostyczne, wciąż obracające się wokół tematów takich jak sport, polityka czy kryptowaluty, są dziś zdominowane przez mężczyzn. Wynik działania: trzeba zaciągnąć do gry kobiety i wiadomo, jak to zrobić.

„Girl math: jeśli zarobiłam dychę na przewidywaniu rzeczy, no to kawusię mam praktycznie za darmo. Skoro i tak skroluję newsy o popkulturze, to równie dobrze moje hot tejki mogą mi zarobić na mrożoną kawkę. Ciut uzależniające... ale to superzabawa" – mówi dziewczyna w filmiku promującym Kalshi. Inna dziewczyna, inne wideo: „Chłopaki mogą sobie obstawiać różne rzeczy i używać jakichś słów, których w życiu nie słyszałam. Ale to my, laski, znamy się na popkulturze. [...] Kalshi jest dla dziewczyn". Na platformie można obstawiać, kto dostanie Oscara, czy Brooklyn Beckham pokaże się publicznie z Victorią albo co się wydarzy w „Love Island". Na Instagramie „Kalshi Girls" wiszą grafiki ze słodkimi pieskami, matchą i zakładami o ślub Taylor Swift. Przekaz jest prosty. Nie musisz, babo, znać tych wszystkich piłkarzy, żeby sobie coś obstawić. Wystarczy, że w twoim sercu jest wyryta cała biografia Harry'ego Stylesa.

Kalshi tak naprawdę nie jest tylko dla dziewczyn. Kobiety stanowią mniej więcej jedną czwartą użytkowników. Ale ten wynik to i tak efekt tego, że w ostatnich miesiącach ich liczba drastycznie wystrzeliła w górę. Matcha i girl math przyciągają dziewczyny, które nie weszłyby na ociekającą męskim potem apkę do obstawiania wyników meczów. Oszczędzę sobie moralitetów o tym, jak śliska jest spirala hazardu. Ale to, że wszystko odbywa się w aplikacji na smartfonie, że platforma ma algorytm, widzi twoją historię zakładów, potrafi dopasować oferty specjalne pod dany styl obstawiania – to wszystko też robi swoje. Ten sam mechanizm, przez który wciąż trwa twój toksyczny związek z sową z Duolingo, ten sam, przez który sto razy dziennie sprawdzasz powiadomienia na Instagramie, działa też w przypadku Kalshi. Wchodzisz, sprawdzasz, stawiasz dalej.

> Nie wiem, czy jest dziś kobieta,
> *która lepiej uosabia liberalny feminizm*

A ponieważ to przecież nie są zakłady sportowe, tylko rynki prognostyczne, to nie hazard, tylko trading, do swoich gier możesz z łatwością dorobić wizerunkową opowieść. Spójrzcie na ten tweet Gigi Alcaraz, influencerki współpracującej z Kalshi: „Zostałam traderką na Kalshi, bo chciałam rozwinąć swoją umiejętność myślenia probabilistycznego. Spędziłam tysiące godzin na budowaniu swojej przewagi; dzięki temu dziś myślę bardziej analitycznie". Co – jej własnym zdaniem – przyciągnęło ją do Kalshi? „Matematyka, statystyka, badania". Ty też możesz być jak Gigi – mówi ci Kalshi. Twoje śledzenie plotek o Taylor Swift to już nie głupoty ani strata czasu. To inwestycja.

Na początku tej drogi są celebryci i popkultura, na końcu – aspiracje i ego. Jestem inteligentna. Mam umysł jak brzytwa. Kocham liczby, kocham statystykę, kocham fakty. „Koneserka matematyki" – pisze żartobliwie o samej sobie Luana Lopes Lara w poście, który przypięła na swoim profilu na X. Nie wiem, czy jest dziś kobieta, która lepiej uosabia liberalny feminizm w najgorszej jego odsłonie. Szklany sufit nie dla mnie, prześcignęłam męskich tech bros, jestem founderką, prezeską, miliarderką. I to ja, nie jakiś chłop, pokażę ci, koleżanko, pierwszy rzut dopaminy od internetowego hazardu. ▲

FOT. MATEUSZ KRÓL_GAZETA.PL.


SOLAR
x
Magdalena Lamparska
solar.com.pl